

Linda Francis Lee

**DIABLICA NA BALU
DEBIUTANTEK**

z angielskiego przełożyła HANNA SZAJOWSKA

Podziękowania

Diablica na balu debiutantek nie powstałaby bez nieustającego wsparcia ze strony tych osób w moim życiu, które rozmawiają, słuchają, radzą, wskazują drogę. Bywało nawet, że — kiedy trzeba — trzymają za rękę. W wydawnictwie St. Martin's Press: Jennifer Weis, Sally Richardson, George Witte, Matthew Shear, John Murphy, Lisa Senz, John Karle i Stefanie Lindskog. W Writers House: Amy Berkower, Genevieve Gagne-Hawes, Jodi Reamer, Lily Kim oraz Maja Nikolic. Na gruncie rodzinnym: Tim, Carilyn, Grant i Spencer, do których zwracam się z podziękowaniem za wspólne dni gorącego teksas-kiego słońca i długie spacerory wzdłuż rzeki. No i oczywiście — Michael.

Rozdział 1

Wyprzeć dk XI (1528): jedno słówko wciśnięte w dwie krótkie sylaby, słówko, które powoduje spore problemy w życiu mnóstwa ludzi. Słowo, jak większość, mające wiele znaczeń: 1. odmówić przyjęcia prawdy; 2. zanegować logikę i 3. (moje ulubione): wpakować się w coś, co teraz określam mianem "debiutanckiej papraniny".

Naturalnie z etykietą, manierami i walcem miałam do czynienia od kołyski. I, przyznaję, sama wykonałam obowiązkowy ukłon w stronę społeczności jedenaście lat wcześniej podczas jednego z najważniejszych spotkań towarzyskich Teksaskiej klasy wyższej. Z pozoru więc nie miałam powodu się nie angażować. Poza tym, iż opuściłam Teksas, żeby od tego właśnie uciec.

Dokładnie rzecz ujmując, opuściłam Teksas, żeby uciec przed bardzo, nazwijmy ją, silną osobowością matki i jej sławną urodą, o której nikomu nie pozwala zapomnieć, przed obsesją mojej siostry Savannah na punkcie dzieci i niemożnością posiadania własnego oraz jej wiecznym narzekaniem na naszą bratową Janice, której brak obsesji na punkcie dzieci tak rzuca

się w oczy, że nie może ona zaprzestać powoływania do życia kolejnych potomków.

Jednak, jak powiedział Michael Corleone w Ojcu chrzestnym III: „Właśnie gdy uznałem, że się uwolniłem, wciągnęli mnie z powrotem”.

Nazywam się Carlisle Wainwright Cushing, jestem z teksas-kich Wainwrightów. Dokładniej pochodzę z Wainwrightów z Willow Creek. Moją matką jest Ridgely Wainwright... Cushing Jameson Lackley Harper Ogden. Serio.

Zważywszy na upodobanie mojej matki do rozwodzenia się, nikogo chyba nie zaskoczy, że w dorosłym życiu zostałam prawnikiem rozwodowym.

Wybór wydawał się oczywisty, gdyż jako jedyna praktycznie myśląca osoba w rodzinie w ten czy inny sposób miałam do czynienia z rozpadem małżeństw mojej matki, odkąd nosiłam skarpetki z falbankami i skórzane pantofelki z paskiem — i to nie od Manola.

Dokładniej mówiąc, to nierozstrzygnięta kwestia rozpadu najnowszego małżeństwa matki ściągnęła mnie z Bostonu do rodzinnego miasta, z którego wyprowadziłam się trzy lata wcześniej. Potem, kiedy już znalazłam się w Teksasie, jak Alicja spadająca w głąb króliczej nory, przetoczyłam się po śliskiej pochyłości od sprawy rozwodowej do kwestii rozwojowej - balu debutantek - a wszystko dlatego, że nie potrafiłam uchylić się przed odpowiedzialnością. Przynajmniej tak sobie powiedziałam.

Widzicie? Wyparcie. Zamazywanie prawdy, kuglarskie sztuczki wyczyniane z rzeczywistością tak długo, aż sama uwierzyłam w tę pokręconą wymówkę usprawiedliwiającą powrót do domu.

Ale uprzedzam fakty.

— Carlisle przyjechała, żeby rozwiązać tę nieznośną sytuację z moim rozwodem — oświadczyła kobieta, która zarzekała się, że z powodu jej twarzy zwodowano tysiące statków. Matka siedziała u szczytu stołu nakrytego do kolacji, idealna w kaszmirze i rodowych perłach.

— Doprawdy? — zapytała moja siostra.

— Naprawdę? — domagał się odpowiedzi mój brat. Nawet Lupe, długoletnia rodzinna służąca, podająca właśnie

swoją słynną cielęcinę cordon bleu, na ułamek sekundy zamarła zaskoczona.

— Rozum wam odebrało? — Zadałam to pytanie w sposób o wiele bardziej bezpośredni, niż wypadało szanującej się damie z Południa.

Ridgely Wainwright Cushing Jameson Lackley Harper Ogden rzuciła swemu najmłodszemu dziecku, mnie, groźne spojrzenie. Ale nie byłam już tą starającą się wszystkich zadowolić dziewczyną, która trzy lata temu opuściła dom. Odstawiłam kieliszek z winem na elegancko nakryty stół i uśmiechnęłam się z przymusem.

— Mamo, czy mogłabym prosić cię na chwilę do kuchni?

— Nie teraz, Carlisle. Jesteśmy w środku kolacji. Lupe, cielęcina wygląda bosko.

— Mamo.

Mama miała na sobie kremowy kaszmirowy bliźniak i kremowe spodnie z wełnianej flaneli, buty w kolorze kości słoniowej, na niskim obcasie, a długie do ramion blond włosy elegancko zaczesane do tyłu i podtrzymane kremową aksamitną opaską. Kieliszek z winem trzymała w idealnie wymanikiurowanej dłoni i przyglądała mi się badawczo nad delikatnym obrusem, srebrami, cienkim jak papier kryształem i gustowną kompozycją z białych róż, jasnoróżowych piwonii oraz lawendowych hortensji. Po chwili skinęła głową. Moja matka była o wiele bardziej spostrzegawcza niż postronny widz wywnioskowałby na podstawie jej wyglądu lalki z porcelany. Na pierwszy rzut oka zrozumiała, że panna Nigdy Nie Rób Scen

Carlisle Cushing miała wielką ochotę urządzić scenę. Poszła jednak moim śladem i opuściła jadalnię, sądząc, że przede wszystkim z zaskoczenia.

Gdy tylko weszliśmy do kredensu rezydencji Wainwright House, drzwi jadalni zatrzęsły się za nami, a ja gwałtownie zatrzymałam się na progu kuchni i zrobiłam w tył zwrot, stając twarzą w twarz z matką.

— Och! — pisnęła.

— Swoją prośbę o pozostanie tu i zajęcie się twoim rozwodem naprawdę kierujesz do niewłaściwej osoby. Mam pracę, pamiętasz? W Bostonie.

Tylko na mnie patrzyła.

— Przybrałaś na wadze, kochanie?

Być może zacisnęłam wtedy powieki i policzyłam do dziesięciu, na pewno natomiast zastanawiałam się, jakim cudem pozwoliłam się zwabić z powrotem do Teksasu.

— I twoja skóra wydaje się przesuszona. Nie lubię się przechwalać, ale wiesz, że jestem znana z młodego wyglądu. Ale wyglądam tak, ponieważ O SIEBIE DBAM, Carlisle. Czy pielgrzymi nie sprzedają kremów nawilżających?

Moja matka z zasady nie przepada za nikim, kto mieszka na północ od linii Masona—Dixona. W osobistym słowniku określa mieszkańców Nowej Anglii z 1 (1620) mianem: 1. pielgrzymów (w różnych odmianach); 2. zjankesowionych; 3. Thurstonów Howellów Trzecich w rajstopach.

Zignorowałam krytykę i nie dałam się zbić z tropu, co nie było łatwe, bo patrzyła na mnie jak sędzia na konkursie piękności.

— Jestem tu wyłącznie dlatego, że zadzwoniłaś do mnie, twierdząc, że jesteś w podbramkowej sytuacji.

Skóra wokół jej oczu zdradzała napięcie.

— Ten bałagan z rozwodem to jest sytuacja podbramkowa. I jeżeli tego nie uporządkujesz, przysięgam na Boga, że to

będzie mój koniec. — Przycisnęła delikatną dłoń do piersi. — Kochanie, naprawdę cię potrzebuję.

W chwili tej stwierdzenie, że moja matka była niewiarygodna, należałoby uznać za niedopowiedzenie. Powinna zostać aktorką sceniczną i pewnie by nią została, gdyby nie fakt, że jako bezpośrednia potomkini ojca założyciela Teksasu, samego Sama Koustona, prawnuczka piątego diuka Ridgely, który przybył w te strony pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, Debiutantka Roku, choć wykonała przepisowy „dyg” znacznie dawniej, niż chciała to przyznać, do tego bogatsza niż Ross Perot, nie zajmowała się tak przyziemnymi sprawami jak gra aktorska. Zamiast tego odgrywała swoje życie i to z takim zapamiętaniem, że nie jestem pewna, czy ktokolwiek (wliczając ją samą) wiedział, kim naprawdę była.

A jednak jako dobra córka kocham ją, tak jak kocham całą resztę mojej rodziny, choć nikogo chyba nie zdziwi, że znacznie łatwiej przychodziło mi być dobrą córką, kiedy nie znajdowałam się w samym środku jej komedii.

Miałam dwadzieścia pięć lat, gdy to sobie uświadomiłam, i w tamtym momencie zrobiłam jedyną rozsądną rzecz, jaką mogła zrobić rozsądna dziewczyna. W gabinecie Wainwright Mouse otworzyłam wielki atlas na mapie Ameryki Północnej, zamknęłam oczy i na oślep dźgnęłam palcem stronę. Wylądował w Oceanie Atlantyckim, ale w rozsądnej odległości od Nowej Szkocji, Maine i Bostonu. Nie pragnąc zostać Kanadyjką i nie mając pojęcia, co właściwie robi się w Maine poza noszeniem flaneli w szkocką kratę i łowieniem homarów, spakowałam walizki i udałam się do światowej stolicy pieczonej fasoli, po czym wylądowałam w mieście, gdzie cała masa ludzi miała przodków bardziej uciążliwych niż moi. A najlepsze, że nikt w Bostonie nie znał mojego nazwiska. Co oznaczało, jak zdałam sobie sprawę, robiąc nie tak do końca

rozsądny głęboki wdech, że mogłam zostać, kim tylko chciałam, a konkretnie kimś innym męskosob. (2005): 1. nie potomkinią Sama Houstona; 2. nie praprawnuczką diuka; 3. nawet nie najmłodszym dzieckiem Ridgely Wainwright Cushing Jameson Lackley Harper Ogden.

Przeprowadzka do Bostonu to było niezłe uczucie. Wyzwalające. A kiedy słysząc mój teksaski akcent, ludzie stereotypowo założyli, że należę do „białych śmieci”, pewnie z kazirodzkiego związku, jestem ignorantką i to bez wątplenia biedną, cóż, nie kiwnęłam palcem, żeby wyjaśnić sprawę. Pozwoliłam im snuć najgorsze przypuszczenia.

Wiem, brzmi to okropnie, i gdybym mogła zrobić to jeszcze raz, rozegrałabym wszystko inaczej. Nie żeby przeszkadzała mi opinia biedaczki z Teksasu, ale coś, co w wieku lat dwudziestu pięciu wydawało mi się przygodą, trzy lata później znalazło sposób, żeby wrócić i ugryźć mnie w tyłek.

Wtedy jednak w ogóle się tym nie przejmowałam.

— Jest wielu prawników, którzy potrafią się tym zająć, mamó.

— Tak, dokładnie jak ten przy ostatnim rozwodzie, który tak fatalnie wszystko załatwił. Czy choć przez sekundę wierzysz, że zaufam komukolwiek oprócz ciebie?

Ostatni adwokat matki tak źle spisał się przy rozwodzie, że pewien pan Lionel Harper (mąż numer cztery) został na stałe wciągnięty do rodzinnej księgowości. Nie chcę komentować tego, że prawnik szukał poklasku i podczas dziesięciu miesięcy wściekłych negocjacji wspomniano o rodzinie w Wiadomościach częściej niż przez poprzednich dziewięćdziesiąt dziewięć lat, które Wainwrightowie spędzili w Teksasie.

— Nie możemy dopuścić do szargania naszej rodziny, do mieszania nazwiska z błotem. Ponownie. A ty należysz do Wainwrightów, nawet jeśli wybrałaś życie gdzie indziej.

Nie mogę zostać w Teksasie. Bez względu na to, czy mi wierzysz, czy nie, naprawdę mam pracę. Dobrą pracę. — I miałam. Zdobyłam świetną pozycję u Marcusa, Flinta i Warthsona, w jednej z największych i najbardziej prestiżowych firm prawniczych w Bostonie.

Pfff. Pracę, która polega na pilnowaniu, żeby banda typków w rodzaju Kennedych zachowywała się jak należy. Powiedz im, żeby nauczyli się poprawnej wymowy i znaleźli sobie innego adwokata. Jesteś potrzebna tutaj, potrzebna rodzinie, żeby ten biadolący Vincent Ogden pożałował dnia, w którym uznał, że nie chce być mi poślubiony.

Tym razem skóra wokół moich oczu zdradziła napięcie, chociaż mama nie mijała się prawdą. Jeżeli istniał ktoś, kto mógł sprawić, że człowiek czegoś pożałuje, to tym kimś byłam ja. Niejednego z moich klientów wyciągnęłam z paskudnych małżeńskich opałów.

Ale, przypomnę, mieszkałam w Bostonie.

Kochałam to miasto, uwielbiałam zaskoczenie prawdziwymi czterema porami roku, bujną zielenią bostońskiego parku wiosną, pikniki przy Hatch Shell, słuchanie Boston Pops latem, oszałamiające pomarańcze, żółcie i czerwienie jesieni oraz zimową ślizgawkę na ścietym lodem Żabim Stawie.

No i tak się złożyło, że byłam zaręczona. Mama o tym nie wiedziała i nie miałam ochoty jej tego wyjawiać właśnie tam, w pokoju kredensowym, wśród deserowej porcelany i filiżanek do kawy, gotowych do wniesienia na stół. Byłam jednak zaręczona z prawnikiem z mojej firmy, absolutnie niesamowitym Philipem Grangerem o ciepłym uśmiechu, roześmianych błękitnych oczach i duszy, którą się otulałam jak zimą kaszmirowym szalem.

Istniał tylko jeden drobny problem. Philip chciał, żebym wyznaczyła datę ślubu, a, cóż, nawet ja nie mogłam jej ustalić bez powiedzenia matce, że wychodzę za męża. Tylko gdybym się przyznała (po jej otrząśnięciu się z ogłupiającego szoku, że wychodzę za Jankesa — to znaczy, jeśli doszłaby do siebie), z kretesem pograżyłaby się w tradycyjnych weselnych planach. A mnie nie interesowały przyjęcia, herbatki i wszystkie te przedślubne subtelności, które mama uznałaby za niepodlegające dyskusji. Zaplanowałam sobie praktyczny, skromny ślub cywilny, który stanowczo zabiłby moją matkę, co ponownie doprowadza mnie do niemożności ustalenia daty ślubu.

Musiał jednak istnieć sposób przekonania jej, że to, czego chciałam, było najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich zainteresowanych. I wyłącznie z tego powodu nie wyszłam po prostu z domu, nie wsiadłam do samolotu i nie wróciłam do Massachusetts. Zamiast tego, gdybym, załóżmy, została, tylko na trochę, nie żeby zająć się rozwodem, ale pomóc matce

znaleźć porządnego prawnika, zyskałabym nieco wytchnienia od sprawy pewnej nieustalonej daty i trochę czasu na wymyślenie, jak powiedzieć mamie, że wychodzę za męża, i nie poddać się temu wszystkiemu, co pociąga za sobą teksaski ślub z rozmachem.

— Zrobię tak — oświadczyłam.

Szczegółowo wyjaśniłam, jak wszystko ułatwię. Pomogę znaleźć prawnika, ale nie zaangażuję się w żaden inny sposób.

— Cóż, niech i tak będzie, kochanie. Jednak zanim załatwisz wszystkie te... sprawy organizacyjne, Vincent poprosił, żeby spotkać się z nim w biurze prawnika. Naturalnie chodzi o firmę tego nędznego Howarda Grouta.

— Myślałam, że lubiłaś Howarda Grouta.

— Oczywiście, że tak. Trudno go nie lubić. Co nie znaczy, że go aprobuję.

Czy wspomniałam, że moja matka ma bardzo jasne zasady, z kim stosownie jest utrzymywać relacje towarzyskie? Howard Grout ze swoją górą wątpliwych pieniędzy i brakiem manier nie trafił na jej listę.

W każdym razie — ciągnęła — to spotkanie jest jutro rano. Pójdź ze mną, porozmawiaj ze swoim ojczymem. Vincent zawsze cię lubił. Może uda ci się przemówić mu do rozumu. Jeśli nie, to uruchom cały ten niegodny damy morderczy urok, z którego jesteś znana, i trochę go nastraszyć.

Nie byłam pewna, czy czuję się pochlebiona, czy urażona.

Jeżeli musi dojść do rozwodu — dodała — to przekonaj go, że powinno dojść do niego szybko, po cichu i bez większego zamieszania. A potem, w zależności od tego, jak przebiegnie spotkanie, pomyślimy o znalezieniu innego prawnika.

*

Zatem zaraz rano kierowca mamy, Ernesto, zawiózł nas do biura „Howard Grout, kancelaria adwokacka, sp. z o.o.". Jechaliśmy pomiędzy splekanymi dębami przez faliste zielone wzgórza i idealnie utrzymane ulice miasta, minęliśmy główny plac, potem szkołę średnią w Willow Creek i uniwersytet.

W sądzie, jak słyszałam, Grout był bardziej złośliwy niż pies podwórzowy i zatrudniał wyłącznie prawników ulepionych z tej samej gliny. Nie żeby to mnie martwiło, ale — wchodząc — dobrze było to wiedzieć.

Biura były ładne w ten nowoczesny sposób, który wielkimi literami miał obwieszczać, że poradzili sobie bez pomocy starych pieniędzy. Rok wcześniej Howard pracował w domu,

potem otworzył biuro w jednym z najlepszych budynków w mieście. Front pokrywał tradycyjny wapień, wewnątrz w całości tworzyły szkło, stal i rzeźbiony granit. W całej kancelarii Howard Grout, sp. z o.o. nie znalazłoby się ani cała boazerii z ciemnego orzecha, mahoniowych biurków czy obrazów olejnych.

Byłam ubrana w garnitur od Armaniego, który na szczęście ze sobą przywiozłam, sięgające ramion włosy ściągnęłam w gładki koński ogon. Nigdzie się nie ruszałam bez aktówki z miękkiej czarnej cielęcej skóry, więc miałam ją pod ręką, a jedyną słabością, na którą sobie pozwoliłam, były czarne czółenka od Chanel na niskim obcasie.

Matka podążała w ślad za mną (co rzadko miało miejsce) Wyglądała oszałamiająco z profesjonalnie ułożonymi blond włosami, idealnym makijażem i paznokciami w kolorze delikatnego różu, który dobrała do barwy ust. Zwyczajowo miała też na szyi sznur rodzinnych pereł.

Przeszliśmy długimi szerokimi korytarzami o marmurowych posadzkach, przeciętych pluszowymi orientalnymi chodnikami, wzdłuż ścian ozdobionych współczesną sztuką. Przestrzeń w końcu korytarza wypełniał Schnabel.

— Kto to? — zapytałam recepcjonistkę.

— Kto?

— Ta kobieta na portrecie. — Wskazałam na potłuczoną porcelanę stołową, tworzącą mozaikowy portret, charakterystyczne dzieło Schnabla.

— A, to. Pani Grout.

— Nikki?

— Tak. Pan Grout zamówił portret jako niespodziankę. — Dziewczyna pokręciła głową. — Powiedział, że jest jak maszt na statku czy coś takiego. Talizman, na szczęście, podczas otwierania biura. Nie wiem jak pani, ale ja nigdy wcześniej nie widziałam obrazu namalowanego na kupie potłuczonych kubków i spodków.

Z biura wyrzwał Howard Grout.

— Czyżbym słyszał, że ktoś rozmawia o mojej Nikki? — odezwał się dostojnie.

— Panie Grout, jestem Carlisle Cushing.

— Naturalnie. A to pani matka. Najładniejsza babka w mieście, oprócz mojej Nikki, oczywista.

Mama uśmiechnęła się jak skromna uczennica.

- Ależ panie Grout. Jest pan po prostu słodki. Drobiazg w rodzaj braku aprobaty nigdy nie powstrzymał mojej matki przed flirtem.

Zachichotał i klepnął się po wielkim okrągłym brzuchu, który krył pod włoskim garniturem za trzy tysiące dolarów.

- Oboje wiemy, że to wierutne kłamstwo. Wiele rzeczy można o mnie powiedzieć, pani Wainwright, ale słodki nie jestem.

Pożegnał się z nami, a potem ostrym głosem wydał rozkazy jakiemuś nieszczęśnikowi w biurze obok.

W całym Willow Creek nie było ani jednego człowieka, którego matka by nie znała, i kiedy poszliśmy dalej, zamieniła słówko z niemal każdą mijaną osobą.

- Masz śliczną bluzkę, Lisabeth. Chociaż następnym razem mogłabyś zastanowić się nad niebieską. Różowy to naprawdę ule twój kolor.

Lisabeth szeroko otworzyła oczy, udała, że komentarz w ogóle jej nie obszedł, po czym, gdy tylko mama znikła jej z oczu, pobiegła do łazienki przed lustro.

- Coś takiego, patrzcie tylko, Burton Meyer. Za każdym razem kiedy cię widzę, wyglądasz coraz młodziej. Farbujesz włosy? A może się poddałeś i stawiasz na botoks? — Ucałowała go w policzek. — Cokolwiek by to było, jak na mężczyznę w twoim wieku, wyglądasz znakomicie, mój słodki.

Burtonowi Meyerowi zabrakło słów.

— Morton Henderson! Twoja słodka Mabel musi być niezłą kucharką, sądząc po tym, ile przybrała na wadze. — Poklepała go po okrągłym brzuchu, na co nie odważyłby się nikt inny w całym Willow Creek ze względu na jego reputację krwiożerczego adwokata. — Ale nie martw się, nie pisnę twojej matce ani słówka. Wiem, jak ona i Mabel się nie lubią.

Ridgely jak huragan, który przemknął przez miasto, zostawiła za sobą zwyczajowy pas zniszczeń. Każdy, kto miał krztynę rozumu, zszedł jej z drogi.

Kiedy wprowadziłam matkę do wyznaczonej sali konferencyjnej, mój ojczym już czekał.

— Witaj, Vincencie.

Vincent Ogden był muskularnym mężczyzną o rudawych włosach niemal wprasowanych w czaszkę oraz starannie przyciętej brodzie i wąsach. Miał na sobie tweedową marynarkę, spodnie z mankietami i białą koszulę bez krawata. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z pokoju dla wykładowców na uniwersytecie Willow Creek.

— Carlisle. — Rozpoznał mnie, a potem, rzucając na matkę złośliwe spojrzenie, odwrócił się i zaczął zajmować miejsce przy stole konferencyjnym.

— Typowe — stwierdziła Ridgely. — Siada, zanim zrobi to dama.

— Dama? Nigdy w życiu! Dama wie, jak traktować mężczyznę!

Teoretycznie kobieta wie, jak traktować mężczyznę, niekoniecznie dama. Ale powstrzymałam się od komentarza. Matka uniosła podbródek.

— Kiedy staniesz się prawdziwym mężczyzną, daj mi znać. Poślubiłam mięczaka.

— Nie jestem mięczakiem! Jędza z ciebie i łatwiej jest siedzieć cicho, niż stale walczyć z twoimi komediami.

— Moimi komediami! — krzyknęła. — Jeżeli ktokolwiek w moim domu dramatyzował, to ty.

— Tak, twój dom. Twoje pieniądze. Twoje wszystko! Widywałam to wcześniej, taką wymianę ciosów w pojedynku.

— Mamo, Vincent, proszę was.

Nic to nie dało. Nie przestali, każda kolejna inwektywa była gorsza od poprzedniej, aż drzwi do sali konferencyjnej zostały

otwarte. Przepelniona ulgą, że wreszcie zjawił się adwokat strony przeciwnej, odwróciłam się, prezentując swój najlepszy zawodowy uśmiech. Ale tym razem zamarłam i zabrakło mi tchu jak aktorce, która szarżuje w naprawdę kiepskiej sztuce.

— Jack?

— Carlisle Cushing. Słyszałem, że wróciłaś do miasta. Głos miał głęboki i aksamitny, ze śladami przyjaznego

rozbawiania. Okay, „przyjazny” mogło być określeniem na wyrost. Właściwe bardziej na miejscu byłoby „pełne zniecierpliwienia zdumienie”. Mniejsza z tym, na jego widok popadłam w takie oszołomienie, że moje mięśnie przestały reagować na sygnały wysyłane przez mózg.

Nie zmienił się od czasu, kiedy ostatnio go widziałam, chyba że zyskanie na urodzie (był niebezpiecznie przystojny) liczy się jako zmiana. Nadal miał te same szerokie ramiona i wąskie biodra, te same brązowe włosy i brązowe oczy, nie wspominając o gęstych ciemnych rzęsach, dzięki którym wyglądał jak anioł, a aniołem nie był i nigdy nie będzie. Co nie znaczy, że nie próbował.

Wiedziałam, że zaraz po studiach zaczął pracować dla prokuratora okręgowego. Wyrobił sobie reputację gwałtowni-ka — żadna niespodzianka — i stał się znany jako agresywny oskarżyciel, który grał trochę zbyt obcesowo jak na wymagania prokuratury.

Kiedy stamtąd odszedł, nikogo to nie zaskoczyło. Gdy podjął pracę dla Howarda Grouta, nikt nawet nie mrugnął. Plotka głosiła, że od tamtej pory do przymiotników używanych przy jego opisie dodano „bezwzględny”, to znaczy ktoś, kogo człowiek nie chciałby spotkać na ciemnej sali sądowej... a nawet oświetlonej, z sędzią rezydującym na środku.

Nie miałam powodów, by wątpić w plotki, ponieważ dobrze znałam Jacka Blaira. Warto tu chyba napomknąć, że był moją pierwszą miłością. Odegrał też główną rolę w pewnym drobnym wydarzeniu sprzed trzech lat, którego nie lubię nazywać swoją porażką.

Ale to nie znaczy, że chowam urazę.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Jacka, byłam przedwcześnie dojrzałą uczennicą pierwszej klasy szkoły średniej. Zaraz pierwszego dnia w Willow Creek zrezygnowałam z kursu algebry i geometrii pierwszego stopnia i zapisałam się na algebrę drugiego stopnia z arogancką dumą, która dokładnie pokazywała, jak bardzo byłam nieświadoma zasad rządzących dziecięcym światem. Tamtego dnia ubrałam się starannie w białą wykrochmaloną bluzkę zapinaną na guziki, zieloną plisowaną spódnicę, zielone podkolanówki i błyszczące mokasyny. Wchodząc do klasy przed dzwonkiem, byłam całkiem z siebie zadowolona, dopóki nie zauważyłam, że salę zajmowali trzecioklasiści, którzy na mój widok przestali robić to, co robili.

— Hej, mała, przedszkole jest przecznicę dalej, przy podstawówce.

— Zadzwońcie do klubu kujonów. Chyba kogoś zagubili. Puściłam ich uwagi mimo uszu i znalazłam miejsce, niestety, z tyłu sali.

Nigdy wcześniej nie widziałam takiej ławki, czarnego stolika z podnoszonym blatem i wysokimi drewnianymi nogami, stolika dla dwóch osób. I pewnie się domyślacie, kto wszedł do klasy, tym samym wkraczając w moje życie, i usiadł obok. Jack Blair.

Nauczyciel jeszcze się nie pojawił. Nie trzeba matematycznego geniuszu, żeby się zorientować, jak dziewczyny uwielbiały Jacka, niektórzy co fajniejsi chłopcy chcieli być do niego podobni, a wszystkie piszczące klasowe kujony się go bały. Ja stanowczo wpadłam w kategorię: „Uwielbienie od pierwszego wejrzenia”.

— Hej — powiedział, wolno podchodząc do ławki w T-shir cie, dżinsach i roboczych buciorach, które przydałoby się porządnie zawiązać.

Był potargany, jakby prosto z łóżka wpadł do klasy, ale jego uśmiech sprawił, że pierwszy raz doświadczyłam podskoku serca.

— Mogę tu usiąść? — zapytał.

Czy miałam coś przeciw? A ty mógłbyś? Czy mogę potem zmienić krzesło w pomnik?

— Jasne — odparłam wyjątkowo przytomnie, biorąc pod uwagę gimnastykę, która miała miejsce w mojej piersi.

Padł na krzesło z jękiem, a potem wrócił do przerwane go snu. Kiedy zadzwonił dzwonek i do sali wszedł pan Hawkins, Jackowi nie drgnął ani jeden mięsień.

Drobny nauczyciel matematyki, fryzurą, błyszczącym garniturem i czarnym krawatem szerokości ołówka oddający hołd Elvisowi, zaczął coś mówić, ale ledwie mogłam się skupić, ponieważ, cóż, kilka cali ode mnie siedział bóg. Mogę spokojnie stwierdzić, że do tamtej pory nie myślałam o chłopcach. Interesowała mnie tylko szkoła i zdobywanie wspaniałych stopni jako element planu, by zostać jeszcze wspanialszym prawnikiem. W scenariuszu, który miałam w głowie, nie było miejsca na romantyczne komplikacje. To zostawiłam matce, siostrze i bratu — wszyscy bowiem robili wrażenie opętanych picia przeciwną, co w efekcie zdominowało ich życie.

Z pewnością właśnie dlatego, że tak usilnie ignorowałam to doskonale umięśnione i opalone ramię, które leżało na blacie obok mnie, nie zorientowałam się, iż monotony głos pana Hawkinsa przybliżał się sylaba za sylabą. Kiedy nauczyciel walnął liniałem o naszą ławkę, prawie dostałam ataku serca, Jack jednak ledwie się ruszył. Usiadł i ziewnął. - Jak leci? — zapytał.

Nauczyciel sprawiał wrażenie zdumionego i sfrustrowanego, Z trudem wydusił:

— Nie za dobrze.

— Przykro mi to słyszeć. Życie jest ciężkie, bez dwóch zdań.. Myślałam, że pan Hawkins wybuchnie.

— Słyszałem o tobie, doskonale wiem, jak prześlizgujesz się z klasy do klasy, dostając oceny A dlatego, że jesteś młodszym bratem Huntera Blaira.

Nawet ja słyszałam o Hunterze. Powiedzmy tylko tyle, że prześcignął nawet Howarda Grouta, zarówno jeśli chodzi

o pieniądze, jak i gorszące postępowanie.

Z Jacka Blaira wyparował niedbały urok, chociaż widziałam, że starał się tego nie okazać. Najwyraźniej Pragnienie Mego Serca miało pod skórą coś więcej niż nonszalancki wdzięk.

— Tym razem dla odmiany będziesz musiał popracować. — Nauczyciel uśmiechnął się złośliwie. — A teraz usiądź i uważaj.

Wszyscy przyglądali się, jak Jack usiadł, wzruszając ramio-, nami, nie zdradzając zakłopotania, podczas gdy ja czułam palące mnie policzki od tych wszystkich spojrzeń.

Pan Hawkins odszedł na przód sali, rozdał książki i tuż przed dzwonkiem zadał nam pierwszą pracę. Starałam się, jak mogłam, by zapomnieć o Jacku Blairze do chwili, gdy następnego dnia wrócił do klasy i znów usiadł w mojej ławce, jakby to miejsce zostało mu przydzielone.

— Hej — mruknął, po czym szybko ułożył głowę na ramionach i zasnął.

Pan Hawkins zaczął lekcję w tempie stu mil na godzinę. Potok jego słów płynął tak szybko, że tylko częściowo byłam świadoma obecności sąsiada, pracując nad wyliczeniem x oraz y na wypadek, gdybym została wywołana.

Kiedy prawie skończyłam szczególnie trudne równanie, pan Hawkins uderzył liniałem we własne biurko, szokując całą klasę, z wyjątkiem Jacka.

- Panie Blair! — ryknął. — Odpowiedź, proszę. Nadal nie wiem, czemu to zrobiłam. Ale kopnęłam go pod ławką i usiadł prosto. Nigdy nie zapomnę spojrzenia, które mi rzucił. Był dzień drugi i moje uwielbienie zamieniło się w oniemiałą miłość. Kto by pomyślał.

- Panie Blair — powtórzył nauczyciel. — Odpowiedź! Nietrudno było zauważyć, że miarka się przebrała. Jedna kropla i rozpęta się piekło. Pan Hawkins szukał wymówki, żeby się go pozbyć. I, przepraszam bardzo, ale byłam zakochana do szaleństwa i nie myślałam o konsekwencjach. Więc zrobiłam jedyne, co mógł zrobić oniemiały z miłości matematyczny geniusz. Zapisałam odpowiedź na brzegu swojej kartki, tak żeby Jack mógł to zobaczyć.

Spojrzał na wynik, potem na mnie. Zastanawiał się całą wieczność, potem wzruszył ramionami.

- X równa się trzy przecinek czterysta pięćdziesiąt osiem. Można by pomyśleć, że nauczyciela to zadowoli i ten odpuści. Nic z tego. Był wściekły. I skupił swoją furię na mnie.

Z siłą tornada pędzącego przez Kansas ruszył w naszą stronę. Z miejsca zdałam sobie sprawę, że zostanę wyrzucona. Za podpowiadanie. Ja, panna Trzymaj Się z Dala od Kłopotów. Ja, panna Wątpliwie Pomocna, miałam zostać wyrzucona z klasy.

Czułam zbliżający się atak serca. I Jack Blair to widział. Spojrzał prosto w oczy nadciągającej burzy i z czymś na ustach, co — przysięgam — zabrzmiało jak przekleństwo, uśmiechnął się. Tak, uśmiechnął.

Powoli oddał brzeg kartki z odpowiedzią, a następnie włożył go do ust i ze smakiem zjadł. Czegoś takiego naprawdę nie da się wymyślić. Pan Hawkins dostał szału, wrzeszczał, groził, że wyrzuci nas oboje za przestępstwa, poczynszy od braku szacunku po oszustwa.

— Ależ proszę, niech nas pan wyśle do dyrektora — urągliwym tonem zaproponował Jack.

Gwałtownie odwróciłam się w jego stronę, a kąciki ust opadły mi w grymasie: „Oszalałeś?”. Nigdy w życiu nie zostałam wysłana do dyrektora.

A on zachichotał, beknął i dodał:

— I co im pan powie, Hawkins? Że nas pan wyrzucił, bo zjadłem kawałek papieru, a ona na to patrzyła?

Matematyk rzucił mu mordercze spojrzenie, zaczerpnął powietrza, ale wiedział, że został pokonany. Mrucząc coś, wrócił na przód sali.

Następnego dnia Jack zjawił się w klasie i nie zasnął od razu po zajęciu miejsca.

— Dzięki za wczoraj — powiedział.

Przejrzałam swój zwykle obszerny zasób słownictwa i zdobyłam się na „No, cóż...” i nic więcej.

Jack sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki i wyjął plastikowe jajko, takie z automatu z gumą do żucia.

— Proszę.

— Co to jest? — szepnęłam.

— Nie jestem pewien. Ale wypadło z automatu i, cholera, wykombinowałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić. — A potem szybko zasnął.

Oczywiście wiedziałam, że to tylko niemądry gest, ale i tak serce waliło mi jak szalone. Kiedy rozłamalam jajo, wypadł plastikowy pierścionek z dziwnym niebieskim plastikowym „klejnotem”. Jack nawet nie drgnął, gdy wyszeptalam dziękuję, i z całą pewnością nie zauważył, że wsunęłam go na palec.

Rozdział 2

W wykończonej granitem sali konferencyjnej biura prawnego i widokiem na całe Willow Creek matka z zaciętą i ponurą miną przyjęła do wiadomości, że mój obecny ojczym zatrudnił Jacka Blaira, by załatwił sprawę rozwodu.

Matka nie należała do wielbicieli rodziny Blairów, chociaż odkąd pamiętałam, jej niechęć skupiała się na starszym bracie Jacka, Hunterze. Jak wspomniałam, Hunter zarobił masę pieniędzy, ale dokonał tego jako prosty poszukiwacz ropy, a do tego był podobno bardziej wredny niż syjamski kot wrzucony do wanny z zimną wodą.

Nigdy go nie poznałam, ale słyszałam niejedną historię o tym, jak to nestor rodu Blairów zmarł, zostawiając po sobie dwóch synów i córkę. Hunter miał zaledwie osiemnaście lat, Jack pięć, a siostra była niemowlęciem, kiedy najstarszy brat musiał zająć się matką i rodzeństwem. Zrobił to i wyniósł ich z nędzy do wielkiego bogactwa, a wszystko zdarzyło się przed jego trzydziestką.

Zawsze przypuszczałam, że to przeszłość Jacka uczyniła go nieposkromionym — gorączkowa ucieczka w przód, by zdys-

lansować demony. Ale co ja tam wiedziałam. W college'u nienawidziłam psychologii.

Większość Teksaszczyków była pod wrażeniem osiągnięć Huntera. Moja matka nie za bardzo, stwierdzając: „To zuchwały blagier, nigdy też nie pozwolił nikomu zapomnieć, że doszedł z

nędzy do pieniędzy. Można by pomyśleć, że postara się ukryć swoją niefortunną przeszłość, jak zrobiłby to każdy szacowny, liczący się obywatel".

Trzeba pamiętać, że mówimy tu o mojej matce, tej samej, która nazywa mieszkańców Nowej Anglii „pielgrzymami" i uważa, że Kennedy powinni brać lekcje wymowy.

Jack i moja matka wymienili zaledwie zdawkowe uprzejmości, zanim on skierował uwagę na mnie. Spojrzeniem brązowych oczu ocenił moją skromnie przyodzianą sylwetkę w prawdziwie alfasamczy, neandertalski sposób, podczas gdy ramiona trzymał skrzyżowane na przyciśniętej do piersi teczce. Poczulałam kielkujące oburzenie i otworzyłam usta, żeby ostro go zbesztać z pomocą imponującego zasobu słownictwa.

— Dobrze wyglądasz, Carlisle — powiedział. Serce mi podskoczyło. Uważał, że dobrze wyglądam. Było to dziecinne zachowanie, kompletnie nie do przyjęcia i w formie, której nie akceptuję. Dawno minęły czasy, kiedy Jack Blair robił na mnie piorunujące wrażenie.

— Dziękuję — odparłam głosem rześkim i energicznym. — Ty też.

Oczywiście powiedziałam, co należało, ale jakoś nie wyszło to w pożądaną sposób.

Jack uniósł jedną ciemną brew, a potem mnie minął. Minęło mnie tych sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona, wąska talia i rzeźbiony podbródek. Czulałam bijącą od niego czystą energię, pierwotną, przysięgam, mimo cywilizowanego otoczenia. Ruchem ręki zachęcił nas do zajęcia miejsc.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli — stwierdził krótko, jakby nie chciał marnować czasu. Nie byłam pewna, czy chodzi o kwestie rozliczenia za przepracowane godziny czy o mnie.

Usiadłam obok matki, naprzeciw Jacka i Vincenta, po drugiej stronie nowoczesnego modnego stołu z cementu. Z wysiłkiem usunęłam z pola uwagi Jacka i jego szczupłe biodra. Jestem tu tylko tymczasowo, aż znajdę mamie adwokata, Jack odchylił się w wartym tysiąc dolarów ergonomicznym kapitańskim krześle. Przyjrzał mi się oceniająco, po czym na jego ustach zamajaczył krzywy uśmiezek.

- Dobry pomysł — stwierdził. — Z przykrością wykorzystałbym swoją przewagę nad człowiekiem północy z upodobaniem do przesadnie wielkich srebrnych sprzączek, trzewików z kwadratowymi noskami i szpiczastych kapeluszy. Nawet jeśli chodzi tylko o konwertytkę. Ale czasami ci są najgorsi.

Coś się we mnie zmieniło jak za przekręceniem klucza, także ja odchyliłam się w krześle i rozsiadłam, po czym oznajmiłam:

- Najwyraźniej nie odrobił pan pracy domowej, mecenasie. Pielgrzymi nigdy nie nosili srebrnych klamer ani tych wysokich Marnych kapeluszy. — Trzymałam ołówek numer dwa

za oba końce. — Ponadto mój rejestr wygranych spraw powinien przyprawić pana o nerwowe drżenie. - Jankeski rejestr.

- Panie Blair — syknęłam. — Jeśli się nie mylę, to Jankesi wywiali, kiedy ostatnio Południe z nimi zadarło.

Vincent wydawał się zmieszany, matka jęknęła, ale Jack, jak zauważyłam, stłumił śmiech.

- Wygląda na to, że wpadł nam w ręce zdrajca pełną gębą - stwierdził.

Prawda. Człowiek nie rodzi się i nie dorasta w Teksasie, żeby potem zacząć popierać Północ. Przenigdy. Można zostać

demokratą, walczyć o zakaz posiadania broni (no dobra, może nie zakaz posiadania broni), nawet ubierać się na czarno. Ale nigdy, przenigdy, nie można patrzeć na własny stan z punktu widzenia Północy. Jeśli ktoś potrzebuje dowodu, to wystarczy wspomnieć, co spotkało Dixie Chicks, i to mimo nawału nagród Grammy.

— Zdrajcę? Nie — wykręciłam się. — Wolę myśleć o tym jako o poszerzaniu horyzontów. Ale dość o mnie. Pomówmy o naszych klientach. Na podstawie tego, co na moich oczach zaszło między moją matką a jej mężem, mogę chyba śmiało przyjąć, że pojednanie nie nastąpi.

Ridgely i Vincent demonstracyjnie odchrząknęli.

— Zgadzam się — przyznał Jack. — I mogę chyba śmiało przyjąć, że wszystkim nam zależy na załatwieniu sprawy jak najdyskretniej.

— Oczywiście.

— Świetnie. — Jack rozłożył stos papierów. — Oto zasady, dzięki którym wszystko łatwiutko ułożymy.

„Łatwiutko ułożymy”, jakby był wyluzowanym dżentelmenem z Południa na werandzie, z cygarem i kapką burbona. Ale nie ze mną takie numery. Jack Blair nigdy niczego nie ułatwiał, a pod eleganckim zachowaniem wyczułam buzującą zaciętość.

Z chłodem, spokojem i opanowaniem, które przez ostatnie trzy lata doprowadziłam do perfekcji, przejrzałam dokument. Przy końcu ostatniej strony musiałam zawalczyć, żeby szczeka nie opadła mi ze zdumienia.

— Mam wrażenie, że pomyliłeś sprawę rozwodową, z którą mamy się tu dziś uporać, z jakąś inną.

— Nie, mamy tu sprawę Ogden kontra Ogden.

— O co chodzi? — chciała wiedzieć mama. Nie patrząc na nią, oznajmiłam:

Chcą alimentów w kwocie dwudziestu tysięcy miesięcznie.

Matka zamarła.

Jeśli Jack to zauważył, nie dał niczego po sobie poznać. - Mój klient przywykł do stylu życia, jaki prowadził z twoją matką. Żaden sędzia w mieście nie spodziewałby się niczego innego.

Zignorowałam go.

- Chce mieć i bmw, i escalade...

Sedana potrzebuje do jazdy po mieście, a SUV-a do jazdy po dzikich terenach, których w Teksasie nie brakuje. Przewróciłam oczami, a potem odczytałam następny wers. Chce domu w Aspen? - Tak.

- Nawet nie jeździ na nartach. - Oświadczył się tam twojej matce. - Żartujesz? To on chce rozwodu, więc czemu miałby wspominać, gdzie się oświadczył?

- Przypomina mu to lepsze czasy. Tym razem mama przewróciła oczami.

- Chce także domu nad jeziorem Travis — dodał Jack. - Czemu? Napisał tam dla niej wiersz?

Jack zmierzył mnie spojrzeniem, które nie wróżyło nic dobrego.

- Tam po raz pierwszy uprawiali seks. Mama głośno zaczerpnęła powietrza. Przyznaję to z najwyższą przykrością, ale poczułam, że po twarzy pełźnie mi rumieniec, ponieważ zaczęłam przypadkiem myśleć o seksie między dwiema osobami znajdującymi się w tej sali... dwiema osobami, które nie były moją matką i jej mężem. Nawet pod groźbą kary nie mogłabym skłamać i musiałabym przyznać, że Jack naprawdę wyglądał świetnie.

Wzięłam się w garść.

— Kolejne pamiątki dla człowieka, który chce zapomnieć. Bardzo sensowne. To strata naszego czasu.

— Nie żądamy Wairwright House.

— Ponieważ żaden będący przy zdrowych zmysłach sędzia nie przyznałby Vincentowi czegoś, co jest własnością rodziny, a nie mojej matki.

Postukał piórem w stół i zmierzył mnie wzrokiem.

— Trudno powiedzieć. Twoja matka należy do Wainwright-tów, ergo należy do niej pewien procent posiadłości.

— Skończyliśmy. — Odepchnęłam się od stołu i wstałam. — Chodźmy, mamó.

— Czy to oznacza nie? — zapytał.

— Czy to oznacza nie? — Przechyliłam głowę i przyjrzałam mu się, jakby był niegrzecznym dzieckiem. — To nie jest zwykłe nie, ale...

Uniósł dłoń.

— Nie mów czegoś, czego pożałujesz, Cushing.

— Żałuję masy rzeczy w swoim życiu, ale ta nie będzie jedną z nich. Nie żałuję również spisanej przez matkę in-terczy.

— A, to. W sądzie tego nie wybronisz. Być może, zamrugalam.

— Jakim sposobem doszedłeś do takiej konkluzji?

— Vincent był dla twojej matki dobrym mężem i towarzyszem życia.

Moja starannie wychowana matka skrzywiła się szyderczo, i słusznie. Towarzyszem życia? Jack rzucił pióro na teczkę, wszelkie ślady uśmiechu zniknęły.

— Vincent wzbogacił jej życie bardziej, niż oddaje to jednostronna interczyza, którą twoja matka na nim wymusiła.

— Wymusiła?

- Był też kochającym współmałżonkiem.

- Och proszę. — Kolejny komentarz matki.

- Uważamy, że nasze warunki są więcej niż uczciwe, dość sprawiedliwe, by nie zaprowadzić nas do sądu, gdzie bylibyśmy zmuszeni zakwestionować umowę przedmałżeńską. Co ty na to?

- Zrób krok wstecz i sam sobie powtórz wcześniejszą odmowną, odpowiedź.

- Tak chcesz — stwierdził, podnosząc pióro i głośno zamykając teczkę. — Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

- Spotkamy się w sądzie, mecenasie.

- Więc bierzesz sprawę? Zgrzytnęłam zębami.

- Moja matka spotka się z tobą w sądzie, kiedy znajdę dla niej prawnika, który z uśmiechem sprawi, że pożałujesz chwili, gdy wszedłeś mi w drogę.

To sprawiło, że wszyscy zamarliśmy. Bo trzeba postawić sprawę jasno; nie chodziło tu o mnie. I byłam tego świadoma.

- To znaczy dnia, kiedy Vincent wszedł w drogę mojej matce.

Mimo podskoków wyczynianych przez moje serce z wielką godnością zebrałam rzeczy i poprowadziłam mamę do wyjścia, myślami wracając do liceum Willow Creek i lekcji matematyki pana Mawkinsa. Przypomniałam sobie, jak wtedy szłam do domu, niemal płynąc w powietrzu. Nie mogłam się doczekać powrotu do szkoły, do sali matematycznej, do ławki, w której musieliśmy siedzieć tak blisko, że kolano Jacka ocierało się o moje. Pierwszy raz w życiu rozumiałam, co znaczy zauroczenie.

Kiedy tamtego dnia pogałam do domu, matki nie było, siostra wyjechała z miasta, a brat mieszkał już w Kalifornii z żoną i pierwszym z dzieci. Zanim zastanowiłam się, co robię, weszłam do pokoju Savannah i wyszukałam jakieś ciuchy,

zwykłą sukienką plażową, ale jakże odmienną od mojej prostej spódnicy w kratkę i bluzki.

Następnego ranka ubrałam się starannie, pomodliłam, żeby mama jeszcze leżała w łóżku, po czym weszłam do kuchni, krzywiąc się, gdyż zastałam ją w kwiecistym peniuarze, z włosami zwiniętymi w luźny węzeł złotych loków. Ich kosmyki opadały na twarz, gdy sączyła kawę ze swojej ulubionej śniadaniowej filiżanki z porcelany.

— Carlisle — rozentuzjzmowała się na mój widok. Z miejsca wiedziałam, że poznała jakiegoś mężczyznę. Gdy poznawała kogoś nowego, zawsze działo się to samo, tryskała przesadnym entuzjazmem jak dziecko, które dostaje nową zabawkę. W tej fazie była męcząca, choć głównie dlatego, że miałam świadomość końca, nieuniknionego jak białe i herbaciane róże na balu debutantek.

— Dzień dobry! — zanuciła. — Czyż to nie cudowny dzień?

— Kto to taki?

Odrzuciła głowę w tył i się roześmiała.

— Niegrzeczna dziewczynka. Kto twierdzi, że kogoś poznałam?

Uniosłam brew.

— Świetnie. Niech będzie po twojemu. Poznałam kogoś. Jest fantastyczny! Po prostu fantastyczny! Przychodzi dziś wieczorem na kolację.

— Tak szybko? Czy w dzisiejszych czasach nie powinnaś spotkać się z nim gdzieś poza domem, najpierw zorientować się w sytuacji i sprawdzić, czy nie jest seryjnym mordercą albo kimś w tym rodzaju, i dopiero później sprowadzić go do domu?

— Bzdura. Jedyne, w czym jestem dobra, to w ocenie facetów.

Rozbawiła mnie. Przepraszam. Jeżeli mama ma jakiś talent,

to z pewnością jest to talent do zakochiwania się w mężczyznach, którzy w nieunikniony sposób mieli ją zranić. Uśmiechnęła się wstydliwie.

- Jeżeli cię zapyta, to masz dziesięć lat. - Przepraszam? Dziesięć? - Czy czegoś ci ubędzie, że się postarasz? - Być może, A co to za różnica, czy mam dziesięć czy trzynaście lat?

- Można mieć dziecko w gimnazjum, ale nastolatkę w liceum. ' Nie sadzę.

- Mamo, na wypadek, gdybyś zapomniała, masz dwójkę dorosłych zameżnych dzieci. I z tego. co słyszałam, jesteś babcią. - Ugryź się w język. Zgodnie z obietnicą pan Rhys McDougal zjawił się w naszych progach, wysoki, ciemny i przystojny, tak Jak lubiła mama. Oczywiście przyniósł prezenty. Kwiaty dla matki, lalkę dla mnie. Wyraźnie nie miał pojęcia,

czym się bawią „dziesięciolatki”, chociaż był bardziej rozgarnięty, niż można sądzić po tym potknięciu. Tylko na mnie spojrzął i stwierdził: - Duża jesteś jak na dziesięć lat. Posłałam matce krzywy uśmiech. Ridgely tylko głośno się roześmiała i zaprowadziła go do bawialni.

- Zawsze była duża jak na swój wiek — zagruchała, szczególnie miękko akcentując słowa. — A wiesz, jak wrażliwe potrafią być dziewczynki, gdy ktoś mówi, że są „duże”. Róż oblał jego uszy. - Ależ przepraszam...

- Nie ma potrzeby. — Zwróciła się do mnie: — Carlisle, kotku, powiedz Lupe, że czekamy na drinki w salonie.

Mama rozsiadła się na francuskiej sofce, powiewając szy-fonem przejrzystej sukni nad brokatem pokrycia, krzyżując jak modelka w reklamie rajstop.

Lupe weszła ze srebrną tacą zastawioną kryształami i lodem po czym ustawiła wszystko na wysokiej komodzie, mieszczącej alkohol. Ja odgrywałam rolę przyzwoitki i podano mi lemoniadę.

Pan McDougal pił burbona z kroplą wody.

Mama stwierdziła:

— Och, może skosztuję kropelkę sherry. Bóg mi świadkiem,, że rzadko piję alkohol.

Zmiażdżyła mnie wzrokiem, kiedy się roześmiałam.

Wszystko odbywało się w bardzo staroświeckim południowym stylu, jakbyśmy mieszkali w Atlancie albo Nowym Orleanie na przełomie wieków, a matka skończyła osiemnaście lat i szykowała się do oficjalnego debiutu.

Tego pierwszego wieczoru zjadłam z nimi kolację — pieczoną młodą kaczkę, młode ziemniaki, szparagi i wypilałam znacznie więcej niż kapkę wina. Drugiego wieczoru zostałam odesłana po lemoniadzie pod pretekstem, że mam tony pracy domowej do odrobienia i że już jadłam kolację. Trzeciego wieczoru, kiedy Lupe miała wolne, tak się szczęśliwie złożyło, że zostałam na noc u przyjaciółki (nie miałam przyjaciółek) i musiałam zakryć głowę poduszką, żeby odgrodzić się od dziewczęcego śmiechu matki i głębokiego barytonu pana McDougala, dochodzących z jej sypialni.

Następnego wieczoru nie zadzwonił.

W wygodnym szlafroku i kapciach mama chodziła tam i z powrotem i wpatrywała się w telefon, chcąc, by zadzwonił. Być może powiedziałam coś o czajniku, który się nie gotuje,, gdy się na niego patrzy, z czego nie była zadowolona, ale przeniosła się do innego pokoju i pędziła do aparatu za każdym razem, gdy dzwonił. Jednak w żadnym przypadku nie był to pan McDougal.

Kiedy uznała, że nie zadzwoni, zostawiła mu kilka wiadomości na które nie odpowiedział. Tydzień po pierwszej kolacji w środku nocy wyciągnęła mnie z łóżka i wpakowała do ciężarówki kupionej dla Ernesta. Korzystała z niej zamiast mercedesa, żeby nikt jej nie rozpoznał. Obie miałyśmy nocne koszule podczas jazdy ciemnymi ulicami, by sprawdzić, co knuje Rhys McDougal. Przed jego nędznym domem stał samochód, którego nie rozpoznała, więc zaparkowała i czekałyśmy.

- Mamo, to nie jest dobry pomysł, przeciwnie, zupełnie koszmarny i raczej nie powinnaś dawać takiego przykładu podatnej na wpływy trzynastolatce, czyli mnie. - Cicho. Muszę się skupić. Niestety, znałam tę procedurę. Ćwiczyłyśmy ją ze zniechęcającą regularnością.

Właśnie zaczęłam drzemać, kiedy spięła się i zakłęła. - A to drań.

Mrugając sennie, zobaczyłam pana McDougala opuszczają-cego dom z kobietą.

Rhysie McDougal, powinieneś się wstydzić swojego robaczywego serca! — Jej przenikliwy szept odbił się echem w szoferce, gdy zsunęła się na siedzeniu, jak zwykle uważając, żeby nie zostać zauważoną. — Nienawidzę go!

Gniew mamy wypełnił całą przestrzeń i w końcu przeszedł w rozpacz, gdy perorowała o męskiej niewierności. Kiedy zaczęła płakać, wiedziałam, co mam robić. Wskoczyłam z ciężarówki, płacząc się w nocnej koszuli, a potem pognałam do drzwi od strony kierowcy. Otworzyłam je, wzdrygnęłam się na skrzypienie zawiasów, i stanęłam na stopniu, by wejść do środka. Spychając mamę na siedzenie pasażera, musiałam usiąść na książce telefonicznej, którą trzymała pod fotelem, żebym mogła zawieźć nas do domu tak, jak się tego nauczyłam.

- Wszyscy są tacy sami — płakała ze zwieszoną głową, a łzy nie do pokazania w świetle dnia płynęły jej po policzkach. — Zawsze łamią ci serce. Pamiętaj o tym, Carlisle.

Wróciłam do pokoju i schowałam plastikowy pierścionek od Jacka do szuflady. I po tygodniu siedzenia z nim z tyłu klasy następnego dnia przyszłam do szkoły wcześniej, po czym zajęłam miejsce w pierwszym rzędzie. Kiedy Jack wszedł, spojrzał na mnie zaskoczony. Pan Hawkins nie dał mu szansy

o nic zapytać, a po dzwonku zniknęłam i z powodzeniem unikałam go jak zarazy aż do ukończenia szkoły Willow Creek., Przynależałam sobie radę matki. Gdyby tylko ona stosowała się do własnych rad.

Po wyjściu z kancelarii prawnej Howarda Grouta Ernesto odwiózł nas do domu. Willow Creek wyglądało mniej więcej tak samo jak zawsze, zakrzywione obsadzone drzewami ulice, wypiełgnowane trawniki między rozległymi rezydencjami a uniwersytetem. Dotarliśmy do Wainwright House na Hilde-brand Square, niemal w środku miasta, Ernesto skręcił w długi podjazd, minął drzwi frontowe i zmierzał na tył, do garażu.

Dom był co najmniej okazały, obszerna trzypiętrowa budowla, przypominająca średniowieczny zamek z wapienia

i granitu, z masą wieżyczek i blankami na szczycie. Byłam zdziwiona, że praprapradziadek nie poszedł w swoim marzeniu

o królewskim splendorze na całość i nie zbudował fosy ze zwodzonym mostem.

Moi przodkowie mieszkali w tym miejscu od początku dwudziestego wieku, kiedy Gerald Wainwright, diuk Ridgelyh trafił na przynoszące milion dolarów tygodniowo pole naftowe..

I niech mi wolno będzie zaznaczyć, że w tamtych czasach milion dolarów tygodniowo uczynił mojego praprapradziadka bogatszym niż król Anglii.

Od tamtej pory rodzina znalazła kolejne źródła ropy i mądrze inwestowała, więc krach z 1986 roku nie spowodował nawet drgania w aktywach. Miałam za przodków konserwatystów, przynajmniej do chwili urodzenia mojej matki.

Kiedy Ernesto zaparkował, zaczęłam wysiadać. Matka mnie zatrzymała. Miała zaciśnięte usta, po chwili ze świadomym wysiłkiem rozpozodziła twarz.

- Zmusisz Vincenta, żeby mi za to zapłacił, dobrze? - Adwokat go zmusi — uściśliłam.

Matka spojrzała na mnie surowo jak na zdrajczynię. Za-czyynałam mieć dość takiego traktowania. Mimo wszystko zmierzałam znaleźć mamie innego prawnika. Nie było mi to potrzebne, nie chciałam tego. Nie musiałam temu miastu niczego udowadniać. Nie musiałam niczego udowadniać Jackowi

Blairowi.

Pomyślałam o Philipie i z miejsca się rozluźniłam. Niedługo wróce do Bostonu. Pojedziemy do La Fenice na lasagne i butelkę porządnego czerwonego wina. Ustalimy datę ślubu. Potem życie wróci do normy. Dokładnie, jak zaplanowałam.

Kiwając głową, obiecałam sobie, że gdy tylko zamknę drzwi, zacznę szukać prawnika, ale kiedy to zrobiłam, rozpętało się szaleństwo.

Rozdział 3

Gdy weszliśmy do Wainwright House przez obszerną werandę z tyłu, ogarnął nas wszechobecny hałas. Mój starszy brat Henry i jego żona Janice (znana ze swej płodności przybyli do Teksasu z Kalifornii zaledwie kilka tygodni przede mną).

Zdaniem mamy istniały trzy typy kobiet. Te, które urodziły się wspaniale (jak Jacqueline Bouvier, Kennedy Onassis). Te, które nauczyły się być wspaniale (jak księżna Diana). I te które nigdy, choćby nie wiem co, nie będą wspaniale (jak Jessica Simpson).

Niektórzy twierdzili, że istnieje czwarta odmiana. Te, które przysięgają, że mogłyby być wspaniale, gdyby chciały, ale to poniżej ich godności (jak nieuznające makijażu typy w sandałach Birkenstock, które wierzą, że golarka to kolejny sposób na ujarznienie kobiety).

Mama nie uznaje ostatniej kategorii, posługując się argumentem: „Kto nie chce być wspaniałą?”.

Ridgely przysięgała, że gdybym ja, z moimi blond włosami niebieskimi oczami i alabastrową skórą Wainwrightów, choć

spróbowała, rzetelnie podpadałabym pod kategorię drugą (nauczyły się być wspaniale, tj. księżna Diana - w końcu byłam skórą własnej matki). Jednak nigdy się nie postarałam, a teraz utrzymywałam wspomnianą potencjalną wspaniałość, mieszkając, na północ od linii Masona - Dixona. Nie potrafiłam sobie wyobrazić co by pomyślała (i z pewnością powiedziała), dowiadując się, że żyłam w Bostonie jako „ta dziewczyna bez grosza z Teksasu”. Nie sprzeczałam się jednak. Nie żebym była zainteresowana dyskusją na temat wspaniałości (kto by chciał się porównywać z być może stukniętą, a z całą pewnością kompletnie martwą księżną), nie chciałam po prostu zabierać głosu w obronie bratowej.

Janice Josephine Reager była zdobywczynią Nagrody Puli-tzera, dziennikarką San Francisco Chronicle. Mimo że urodzona i wychowana w Willow Creek, znalazła bratnie dusze między żywiącym się granolą tłumem w birkenstockach, który wierzył, że zbawia świat... a każdy, kto się z nimi nie zgadza, wręcz przeciwnie. Można by pomyśleć, że w życiu nie słyszała o Teksasie, gdyby nie fakt, że wystarczyło poskrobać, by znaleźć jej teksaskie korzenie.

Mimo południowego pochodzenia była oficjalną, wściekłą aktywistką ruchu na rzecz praw kobiet, która porównała kiedyś wszystkie obowiązki towarzyskie do czystek etnicznych w krajach Trzeciego Świata. Jeśli dobrze pamiętam, wygłosiła to stwierdzenie podczas spotkania, które matka określa obecnie Mianem Piekielnego Święta Dziękczynienia. Biorąc pod uwagę, że Ridgely Wainwright Cushing Jameson Lackley Harper Ogden całym sercem

była oddana obowiązkom towarzyskim, nietrudno zrozumieć, dlaczego ich relacje były napięte.

Stosunki między nimi od początku nie były idealne. Pierwszym błędem ze strony Janice był fakt urodzenia się w rodzinie Hyforda Reagera, właściciela firmy „Rupiecie i złom, sp. z o.o.". Drugim, cóż, pozostanie sobą podczas spotkania z moją matką, kiedy zaczęła umawiać się z moim bratem w szkole średniej. Numer trzeci na liście zajmowała ciąża Janice w ostatniej klasie liceum.

Bywały takie chwile, gdy przysięgłabym, że mój pozornie bezkonfliktowy brat poślubił Janice tylko dlatego, aby doprowadzić matkę do szału.

— Co tu robią Henry i Janice? — zapytałam.

— Przyjechali z powodu Morgan — wyjaśniła mama, mając na myśli moją osiemnastoletnią bratanicę. — Boże miłosierny, czy widziałas ją wczoraj przy kolacji? Ten dzieciak stroi fochy i zachowuje się, jakby siłą zaciągnięto ją do krainy wieśniaków. Chociaż nikt nie zadał sobie trudu, by wprost poinformować mnie, dlaczego zjawili się tak nieoczekiwanie, udało mi się podsłuchać ich rozmowę. Okazuje się, że Morgan wyrzucono z kolejnej szkoły w rejonie San Francisco. Z tego, co usłyszałam, nikt inny nie chciał jej przyjąć, zwłaszcza tak późno w trakcie, roku szkolnego w ostatniej klasie. Więc najwyraźniej przeprosili się z Teksasem. — Wygladziła kostium od St. Johna, potem uniosła jedną idealnie wyskubaną brew. — Ale ode mnie tego nie słyszałaś.

— A czemu, u licha, mieszkają z tobą?

Janice nie była idiotką (pewny dowód w Pulitzerze) i nie lubiła mojej matki tak samo, jak matka nie lubiła jej. Nie umiałam sobie wyobrazić, że sprowadza się gdziekolwiek w okolice Wainwright House, a tym bardziej do domu. Poza tym, po nieoczekiwanej ciąży w liceum, Janice i Henry ani trochę nie zwolnili i Janice oprócz zdobycia Pulitzera zdołała powołać do życia trzech dodatkowych potomków.

— Sama to zaproponowałam — oznajmiła mama — nie mogłam postąpić inaczej. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że przyjmą gościnnie.

Moja matka miała w zwyczaju mówić to, co powinna, myśleć i coś zupełnie innego, a potem lamentować nad faktem, że ludzie nie byli dość roztargnięci, by uznać ją za przemiłą, po czym odrzucić szczodłą propozycję.

Odgłosy w domu sugerowały, że dzieci mojego brata po-oalowały. Lupe sprzątała w kuchni z iPodem ustawionym tak głośno, że nawet ja słyszałam Ricka Martina śpiewającego La Vida Loca. Ernesto nie dał się namówić na przyjęcie do nas, narzekał, że jego aparat słuchowy nie zniesie podobnego hałasu.

Gdy podjechaliśmy, na podjeździe nie widziałam samochodów ani Janice, ani Henry'cgo. Gdy tylko weszliśmy, zjawiała się moja siostra Savannah.

- Nareszcie! — stwierdziła. — Mamo, musisz coś zrobić z tymi dziećmi.

Moja siostra Savannah Wainwright Cushing Carter była młodszą wersją matki. Piękna, eteryczna i nawykła do stawiania na swoim. Stojąc w kuchni, wyglądała jak kolejna porcelanowa lalka wyciągnięta z serwantki, z blond włosami zaczesanymi do tyłu, idealną porcelanową skórą i oczami błękitnymi jak greckie morze.

Mama się spięła. Wiedziałam, że zdenerwowało ją spotkanie z Luckiem i Vincentem. Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że lada chwila pójdzie do sypialni się położyć. Zamiast tego weszła do salonu, gdzie między antycznymi meblami i rodzinnym dziedzictwem rozłożyły się jej jedyne wnuki. - Co się tu dzieje?

Morgan niezgrabnie siedziała na sofce Ludwik XIV z jedną nogą przerzuconą przez delikatną poręcz, bawiąc się długim pasmem farbowanych na pomarańczowo włosów. Henry Herbert Cushing Piąty, znany także jako Cinco, dziesięcioletni wulkan energii, zjeżdżał ze schodów na kawałku kartonu. Puscilla, ośmioletnia księżniczka o jasnych włosach, niebieskich oczach i upodobaniu do różowego, wyglądała tak, że powinna być dzieckiem Savannah. Przerwał nam wrzask, gdy dwuletnia Robbie obudziła się z drzemki z żalnym zawodzeniem.

— Gdzie twoja matka? — mama zapytała Morgan.

— Mama twierdzi, że wychowanie dzieci to wspólny obowiązek. Dzisiaj jest dzień taty, żeby się nami zajmować.

Ridgely zacisnęła zęby.

— Podarujmy sobie moje przekonania co do miejsca kobiety, powiedz mi po prostu, gdzie jest twój ojciec.

— Wyszedł. Powiedział, że tu jest za duży hałas.

Moja matka wyglądała, jakby zgrzytała zębami. Zacisnęła powieki, otrząsnęła się, a potem spróbowała przywołać dzieci do porządku. Ale się jej nie udało.

— Jeżeli zobaczysz krew, to zadzwoń pod dziewięćset jedenaście. Idę do Brightlee. — Zwróciła się do Savannah i do mnie. — Chodźcie, dziewczynki. Idziemy do herbaciarni na lunch.

Savannah zerknęła na mamę, potem na mnie, znów na mamę.

— Zabieramy ją?

— A czego mi brakuje? — Chciałam wiedzieć. Matka i siostra zmierzyły mnie wzrokiem.

— Niczego — odparła mama. Moja siostra wywróciła oczami.

— Prawda jest taka — wyjaśniła Ridgely — że muszę się pokazywać. Wszyscy muszą wiedzieć, że świetnie się miewam, lepiej niż świetnie. A poza tym — spojrzała na swoje wnuki — zdaje się, że to dobry moment na wyjście z domu.

Pojechaliśmy do Brightlee i w chwili, gdy z matką i siostrą weszliśmy do herbaciarni, wszyscy odwrócili głowy w naszą

Brightlee to kwatery główna Junior League w Willow Creek. Tuż poza centrum, w starej rozległej posiadłości z wapienia, z obiegającą budynek werandą i dachem z cedrowych gontów. Wewnątrz mieści się herbaciarnia z wysokim sufitem i starymi meblami. Było to miejsce, w którym pokazywały się damy wyróżniające się szczególną klasą.

Jako kelnerki pracowały ochotniczki z Junior League, więc nie można było liczyć na skuteczną obsługę. Na szczęście kucharze i piekarze należeli do zawodowców, zatem, chociaż czekało się wieki, by kelnerka zwróciła na człowieka uwagę, cokolwiek przyniosła, było boskie.

Weszliśmy do jadalni, nasze obcasy przesadnie głośno stuknęły o drewnianą podłogę. Nawet ja wyczułam porozumiewawcze szepty obiegające salę na nasz widok.

Matka nie należała do osób dających się zbić z tropu, z uśmiechem weszła i ruszyła przed siebie z torebką od Hermesa fason „Kelly”, krokodyla skóra, kołyszącą się na przedramieniu. Za nią moja siostra, raczej zwolenniczka „Bir-khi”, Zamykałam pochod ze zwykłą czarną aktówką. Gdy szliśmy w trójkę między stolikami, kobiety nas witały, ale nawet ja się zorientowałam, że Ridgely nie odbiera zwyczajowych hołdów, których normalnie panie jej nie szczędziły.

- Carlisle? — zapytała ze zdziwieniem niejedna członkini Junior League. — Ledwie cię poznałam. Te proste włosy i czarny strój... Och, mniejsza z tym, kochana. Jak się masz?

Kolce owinięte w uśmiechy, „kochania” i „ależ jesteś słodka”. Południowa specjalność, równie popularna jak mrożona herbata i harbequeue.

Usadzono nas przy zabytkowym dębowym stole nakrytym srebrem i delikatną porcelaną, jednak na pojawienie się kelnerki czekałyśmy dłużej niż zwykle. Była to Carla Simmons, nie śmiała osoba, która czerwieniła się, przyjmując nasze zamówienie. Miałam niejasne wrażenie, że została zmuszona do wzięcia naszego stolika, o czym się upewniłam, widząc resztę jej gości wyraźnie po przeciwnej stronie sali.

— Co się dzieje? — zapytałam. Savannah z trzaskiem zamknęła puderniczkę.

— Niektóre z pań twierdzą, że bal debutantek jest w rozsypce. I krąży paskudna plotka, że tegoroczne debutantki chcą się wycofać i urządzić debiut w San Antonio albo Dallas —

wyjaśniła, rozglądając się po sali w pełni zadowolenia z własnych blond włosów, idealnego kaszmiru i rodowych pereł. Ich sznurek był prezentem od naszej babki.

Też taki miałam, ale nie mogłam się zmusić, żeby go nosić. Po pierwsze dlatego, że jakimś sposobem zmieniał mnie w kogoś, kim nie chciałam być. Ale istniało też „po drugie”: bardzo tęskniłam za babcią, odkąd zmarła rok wcześniej. Zawsze mnie wspierała, mówiła, żebym sięgała po to, czego pragnę. I miałam to. W Bostonie.

Gdy zakładałam perły, za każdym razem mi ją przypominały; a, szczerze mówiąc, trudno być ostrą prawniczką z jajami, specjalistką od rozwodów, kiedy człowiek tłumi w gardle szloch tęsknoty za zmarłą babką. Gdy więc opuściłam Teksas, zostawiłam perły w wyłożonym aksamitem pudełeczku na biżuterię w szufladzie mojej dziecięcej sypialni.

— A żeby pogorszyć sytuację — dodała Savannah — po zeszłorocznym fiasku filharmonia ma kłopoty finansowe.

Doroczny Bal Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego z Willow Creek należał do najstarszych i najbardziej prestiżowych balów debiutantek w kraju i zdecydowanie był najbardziej prestiżowy w całym Teksasie. Ponadto jest istotne, że filharmonia w Willow Creek i jej bal debiutantek zostały zapoczątkowane sto lat temu przez Wainwrightów. Wszystko,

co się z tym balem wiązało, miało dla babki pierwszorzędne znaczenie aż do dnia śmierci.

- Jak poważne są problemy? — zapytałam.

- Bardzo.

Gwałtownie odwróciłam się, by z niedowierzaniem popatrzeć na matkę.

- Czy filharmonia zbankrutuje? Matka rzuciła siostrze groźne spojrzenie. Savannah tylko się uśmiechnęła.

- Owszem.

Od śmierci babki matka przejęła jej funkcję i zorganizowała zeszłoroczną imprezę. Niestety, bal zakończył się kompletną klapą gdy sławny (obecnie niesławny) dyrygent Alberto Gius-aoppe Rinaldi został przyłapany w garderobie dziewcząt w wie-czór wielkiej gali. Nie wraz z jedną z dziewcząt (co byłoby katastrofą), ale potajemnie przymierzający wartą dziesięć tysięcy dolarów dziewczęcą balową suknię (w Teksasie to jeszcze większa katastrofa). Reporter, który go zobaczył, pstryknął zdjęcie i nazajutrz fotografia pojawiła się na pierwszej stronie niemal każdej gazety w Teksasie z nagłówkiem:

Debiutantka Roku z Willow Creek.

To już nie to, co dawniej.

Na domiar złego zdjęcie zostało zrobione od tyłu, z seniorem Rinaldim spoglądającym przez ramię jak niewinna kokietka, co odsłoniło niefortunny fragment owłosionych pleców w miejscu, gdzie nie dopiął się zamek.

Jak łatwo sobie wyobrazić, matka była zażenowana. A jednak myślałam, że zostawiła to za sobą, zbierając kolejną tradycyjną grupę ośmiu dziewcząt z pieniędzmi i odpowiednimi rodzinnymi koneksjami, które miały zadebiutować za niespełna trzy miesiące. Nazwiska powinny zostać ogłoszone za nieco ponad tydzień. Wkrótce zeszłoroczna klapa miała pozostać tylko złym wspomnieniem.

— Plotka głosi, że matki tegorocznych debiutantek zamierzają zbojkotować bal, jeśli ster nie przejdzie w inne ręce — wyjaśniła Savannah. Wyglądała na ubawioną. — Winią mamę za zeszłoroczną klęskę i nie chcą ryzykować powtórki.

— Czy to prawda, mamó?

— Tak. I nie możemy do tego dopuścić. Nie możemy pozwolić, żeby te kobiety zniszczyły sto lat naszej rodzinnej historii. Balem debiutantek zawsze zarządzał ktoś z Wain-wrightów. Zmrużyłam oczy. Myśl o tym, że ukochana impreza babci zaliczyła wpadkę, była przykra, ale naprawdę nieznośne stało się to nagłe użycie słowa „my”.

Niektóre kobiety szeptały do siebie, zerkając w naszą stronę.

— Uśmiechajcie się, dziewczynki — syknęła matka z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Moja pomniejsza drugoplanowa rola w tym przedstawieniu wiązała się z takim napięciem, że nabawiłam się bólu głowy. A miałam tylko siedzieć, uśmiechać się i obojętnie paplać o głupstwach, od czasu do czasu dodając konieczny śmiech, by pokazać, jak świetnie się bawimy. I że nie obejdzie mnie nic, a z pewnością nie plotka, tak jak nie obchodziła mojej matki. Mogłam spędzić ostatnie trzy lata w bezwzględnym północno-wschodnim świetle prawa rozwodowego, ale wciąż pamiętałam, jak zachowywać się w uprzejmym teksaskim towarzystwie.

Na twarzy mamy, wokół ust, pojawił się ślad stresu, co w jej przypadku było wyjątkowo niepożądane, skoro chlubiła się młodym jak na swój wiek wyglądem. Wszyscy się zachwycali, że bez pomocy chirurgii mogła uchodzić za naszą siostrę. „Mam szczęście, posiadając tak dobre geny”, lubiła mawiać.

— Proszę — wyciągnęła z torebki list. — Musisz to przeczytać. Babcia napisała go przed śmiercią.

— List? — Zmarszczyłam brwi. — Jaki list? Czemu do tej pory nic nie słyszałam o liście? Savannah wykrzywiła się szyderczo.

— Ponieważ mama nie chciała, żebyś wiedziała. — Roześmiała się przy tym. — A teraz jest zdesperowana.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza. Matka przyglądała włosy.

— Guzik cię obchodziło twoje dziedzictwo, czego dowodzi fakt, że zaraz po pogrzebie babci popędziłaś z powrotem do Bostonu.

Zmieszana, wzięłam kopertę.

Trzymałam ją w ręce przez długą chwilę, zanim uniosłam zamknięcie. Z miejsca poczułam subtelne perfumy babci. „L'Air du Temps”.

Westchnęłam głęboko, przełknęłam zdradzieckie łzy, a potem zaczęłam czytać. Matka przyglądała mi się wyczekująco. Savannah pokiwała do kogoś po przeciwnej stronie sali.

Droga Carlisle,

z pewnością zaskoczy Cię ten list, ale z czasem, jak sędzę, zrozumiesz. Dzięki założeniu filharmonii w Willow Creek rodzina Wainwrightów ma zapewnioną w statucie koncesję na zarządzanie dorocznym Balem Debiutantek. Przez sto lat tworzyło to naszą tożsamość.

Teraz jednak Savannah ma na głowie inne rzeczy niż bale debiutantek, a Twoja matka, niech ją Bóg błogosławi, kocha bale, ale nie obchodzą jej te liczne detale, niezbędne, by tego rodzaju impreza rzeczywiście się udała. Gdyby ona się tym zajęła, obawiam się, że bal byłby, powiedzmy, zagrożony.

Co pokazał ten pierwszy rok, gdy mama przejęła dowodzenie.

Potrzebujemy u steru kogoś, kto rozumie znaczenie szczegółów. Ty, kochana dziewczynko, ubóstwiasz detale.

Przyjmij swoje dziedzictwo, Carlisle. Proszę..

Jeżeli nie możesz, to zrozumiem. Ale wiedz, że stanowisko to jest Twoje, chyba że odmówisz.

Kochająca babcia

Ja?

Przejąć dowodzenie?

— Nie mogę!

Mama pociągnęła łyk herbaty.

— Dlatego właśnie nie dałam ci tego listu.

Savannah uśmiechnęła się złośliwie, jednocześnie ze wzdargą i protekcyjnie, z perwersyjną radością.

— To był szalony pomysł, zważywszy na twoje doświadczenie z balami debiutantek.

Matką wstrząsnął dreszcz.

— To prawda. Po twoim katastrofalnym debiucie z całą pewnością nie powinnaś mieć do czynienia z balem. Nie rozumiem, co babcia miała na myśli.

Ze skruchą przyznaję, że pominęłam pewien drobny (czytaj: ogromny) szczegół. Choć z etykietą, manierami i walcem miałam do czynienia od dziecka, z pewnością nikt nie mógł mi zarzucić, że byłam Debiutantką Roku. Mój własny debiut okazał się raczej nieudany. Ale one nie musiały być takie paskudne.

— Jednakże to było lata temu — dodała mama. — Nikt nie pamięta debiutu Carlisle.

Moja siostra prychnęła.

— Widzisz? Jest zdesperowana.

— Savannah, wystarczy. Prawda jest taka — ciągnęła mama — że chodzi tu o nasze dziedzictwo. I babcia prosiła, żeby Carlisle się tym zajęła.

Serce mi waliło i to nie w przyjemny sposób.

— A co z tobą, Savannah? Czemu sama tego nie zrobisz?

— Jak zauważyła babcia, mam teraz na głowie inne sprawy.

— W rodzaju?

— O, wybacz. W rodzaju zajścia w ciążę.

Moja siostra przez ostatnich siedemnaście lat usiłowała urodzić dziecko. Miała drugiego męża (z wyraźną wyższością obwieściwszy, że to on jest jej idealnym partnerem), ale nie było dziecka, podczas gdy czterdziestka i związany z nią gwałtowny spadek płodności stały za rogiem.

Savannah rozwinęła swoją najnowszą teorię, dlaczego pozostawała bezdzietna. Opowiadała o akupunkturze, diecie bogatej w soję i o czymś, co określiła jako urojone macice. Nie miałam pojęcia, o czym mówiła, i nie pytałam, bo nie chciałam wiedzieć.

Potrzebna mi była przerwa. Bez słowa wstałam od stołu, a potem ruszyłam do drzwi frontowych. Widziałam jednak, że będzie tam czekał Ernesto. Nie chciałam na niego wpaść, pospiesznie oddaliłam się więc długim korytarzem, który zaprowadził mnie na tyły, do damskiej toalety.

Gdy weszłam, dwie członkinie Junior League poprawiały szminkę. Chcąc uniknąć rozmowy, weszłam do ostatniej kabiny, zamknęłam drzwi i uważnie opuściłam zasuwkę. Potrzebowałam kilku minut samotności, żeby wziąć się w garść i oczyścić umysł.

Usłyszałam, że kobiety zamykają torebki i wychodzą. Zaczęłam wstawać, gdy drzwi ponownie się otworzyły i weszły dwie osoby.

— Możesz w to uwierzyć! — powiedziała jedna. — Ridgely siedzi tam i udaje, że nic się nie zmieniło. Ha! Ależ będzie miała niespodziankę, kiedy dostanie ultimatum, że albo rezygnuje,

albo traci debiutantki. Teraz wszyscy inaczej spojrzą na nią i tę jej szaloną rodzinę. — Kobieta się roześmiała. — I Carlisle! Możesz uwierzyć, że wróciła? Pamiętasz jej debiut? Zniewaga sprawiła, że skuliłam się, kiedy obie się roześmiały.

— Jak mogłabym zapomnieć? Przysięgam, że od tego upadku skrzywił się jej nos.

Musiałam stłumić jęk, zakrywając twarz, gdy przypominałam sobie swoją wielką noc. Założyłam wymaganą białą długą suknię i białe rękawiczki, włosy miałam zebrane w elegancki kok. Czułam się jak królowa, piękna, gdy schodziłam po schodach. Ledwie pamiętałam ojczyma u swego boku, mój partner czekał na dole. Kiedy doszłam do ostatniego stopnia, przez jeden idealny moment stałam tam między partnerem a ojczymem. Potem wykonałam słynny Teksaski Dyg, głęboki ukłon, w którym dziewczyna dotyka czołem podłogi. Trudny dla większości, dla mnie okazał się katastrofą, gdyż straciłam równowagę i uderzyłam twarzą o podłogę.

Kryjąc się w toalecie, czułam upokorzenie sprzed jedenastu lat, jakby to było wczoraj.

Dwie panie z Junior League stały obok siebie przy umywalkach i lustrach. Przez szparę między drzwiami a ościeżnicą widziałam, jak poprawiały włosy i śmiały się złośliwie niczym dziewczęta w licealnej toalecie.

Normalnie wpadłabym tam i zażądała przeprosin, ale jakoś nie mogłam się do tego zmusić. Zamiast tego ostrożnie (w krępująco dziecinnym odruchu rodem z filmu Świadek) uniosłam stopy z podłogi.

— Słyszałam, że jest teraz prawnikiem. Rozwodowym. Więcej śmiechu, i to nie z wnętrza mojej kabiny.

— Przeciętym. Bez dwóch zdań w teksaskim sądzie zjedzą ją żywcem.

Opadła mi szczeka. Te kobiety mogły obrażać mój strój, wyśmiewać fryzurę, ale jak śmiały kwestionować moje zawodowe umiejętności?

Nagle w torebce zawibrowała moja komórka. Rzekomo bezgłośna wibracja wywołała słabe buczenie.

_ Co to było?

— C° takiego?

— Ten hałas?

— Niczego nie słyszałam.

przytuliłam torebkę mocno do piersi, ale na szczęście telefon więcej nie zahuczał.

Jedna z kobiet schyliła się przed pierwszą kabiną i zobaczyłam jej długie blond loki niemal muskające podłogę.

Świetnie, pisnął mój umysł. Jest już wystarczająco źle, że nie stawiałam im czoła, ale teraz przyłapią mnie w ukryciu.

Włosy znów majtnęły w dół, gdy zajrzała pod drzwi następnej kabiny.

Serce miałam w gardle, a umysł pracował jak szalony. Co robić? Co mówić?

Już miałam wypaść z kabiny, gdy stuknęły otwierane zewnętrzne drzwi i energicznie weszła główna kelnerka.

_ A co wy tu robicie? Mamy klientów! I czekają na herbatę!

_ dobrze, dobrze, idziemy.

Wypuściłam powietrze, gdy wszystkie trzy wyszły.

Z ulgą oparłam się plecami o sedes, jednak dałam sobie tylko chwilę. Po czym otworzyłam drzwi i podeszłam do umywalki. Ochlapałam twarz wodą i zerknęłam na swoje odbicie w lustrze.

_ jestem Carlisle Cushing. Silna. Twarda. Kontroluję to —

wyszeptalam. Nie byłam już tą dziewczynką bez ojca, której matkę dramat przyciągnął jak miód królową roju, dziewczynką,

która walnęła twarzą o podłogę. Odbicie wpatrywało się we mnie i, szczerze mówiąc, nie wyglądało na przekonane o tym, co mnie rozzłościło.

Czując dziwną determinację z powodów, których w tamtej chwili nie potrafiłabym nazwać, wróciłam do stolika matki. Gdy tylko usiadłam, godnym krokiem podeszły dwie kobiety.

Dość głośno, by wszyscy słyszeli, drobna różowa blondynka powiedziała:

— Ridgely, wręcz mnie zemdliło, kiedy o tym usłyszałam. Wiedziałam, że to nic dobrego, szczególnie że od razu

rozpoznałam w niej jedną z kobiet z łazienki.

— Maylee Pearson — odparła matka — nie jestem pewna, do kogo zwracasz się tym tonem?

Maylee rozejrzała się po sali i zobaczyła, że wszyscy się nam przyglądają.

— Ależ Ridgely, kochana, oczywiście do ciebie. Po tym zenującym wydarzeniu z zeszłego roku tegoroczny bal jest nieodwołalnie skazany na klęskę. Wszyscy to mówią. Pomyślałam, że ktoś powinien powiedzieć ci prosto w oczy, że debiutantki zastanawiają się, czy rozsądnie będzie wziąć udział w balu Towarzystwa Symfonicznego, jeżeli ty będziesz nim kierować.

Całe Brightlee zamarło. Oczywiście wszyscy już wiedzieli, w Willow Creek nie ma tajemnic. Ale nikt nie spodziewał się tak ewidentnego wyzwania, rzuconego w czasie lunchu w herbaciarni Junior League.

Zobaczyłam zakłopotanie na twarzy matki. Choć bardzo chciałam je zbagatelizować, nie mogłam. Ogarnęły mnie emocje, jakich naprawdę nigdy nie doświadczam.

Jako dziecko wyciągałam z szafy z ręcznikami czerwony plażowy ręcznik i zarzucałam na ramiona niczym magiczną pelerynę. Po raz pierwszy czułam wtedy, że dysponuję mocą inną niż matka, inną niż Savannah, ale jednak pewną mocą, którą się teraz otuliłam. To na myśl o głupiej pelerynie wstałam.

— Ależ moje drogie, nie słyszałyście? — zapytałam z najsłodszymskimsakim akcentem, jaki można sobie wyobrazić.

Ze zmarszczonymi brwiami rozejrzały się po sali, potem zwróciły spojrzenia na mnie.

— Moja matka jest tak zajęta, ma na głowie całą tę ogromną odpowiedzialność za zasoby Wainwrightów i sprawy charytatywne, że ja przejmuję organizację tegorocznego balu debiutantek.

Po chwili zaskoczenia wyglądało na to, że dziewczęta przyjęły nowinę raczej z ulgą.

— Ty? Odpowiedzialna za bal debiutantek? Usłyszałam chichoty i moja determinacja przybrała na sile.

— Będzie po prostu niebiańsko — zagruchałam teatralnie. — Nie wyobrażacie sobie, jakich wspaniałości się nauczyłam, mieszkając w Bostonie z wszystkimi tymi potomkami pasażerów Mayflower, z ich niezwykle prestiżowymi, tradycyjnymi balami debiutantek. Zobaczycie, co zamierzam wprowadzić. — Oczywiście nie miałam pojęcia o balach debiutantek w Bostonie, wyobrażałam je sobie jako skromne imprezy, biorąc pod uwagę ich purytańskie korzenie, ale te kobiety nie musiały tego wiedzieć. — Opiszą nas wszystkie większe teksaskie media. Będzie wspaniale!

Szaleństwo, wiem. Ryzykanctwo, bez dwóch zdań. I sama nie rozumiem, czemu to zrobiłam. Skumulowany stres związany z rolą odgrywaną w Bostonie? Nagła niepokojąca myśl, że muszę udawać, by odnieść sukces? A może po prostu zbliżająca się trzydziestka i ściskające serce tykanie, z którym budziłam się rankami? Trudno powiedzieć. Wiedziałam tylko, że nie mogłam stać spokojnie i patrzeć na upokorzenie mojej matki.

— Tegoroczny bal debiutantek będzie niezapomnianą imprezą. — Uśmiechnęłam się łagodnie. — Mamo. Savannah. Myślę, że możemy już iść.

Ridgely i moja siostra siedziały przy stole w otoczeniu pań z towarzystwa w Willow Creek i wyglądały jak rażone piorunem. Bez specjalnego wysiłku wygoniłam je na parking, a plotki płynęły za nami jak fale w kilwaterze.

Ernesto wyskoczył z samochodu i pognął dookoła, by otworzyć drzwi mamie. Wystarczyło jedno spojrzenie i krzyknął:

— Co się stało mamusi?!

Nie odpowiedziałam. Zapędziłam matkę i siostrę do mercedesa. Jazda do Wainwright House zajęła nam zaledwie pięć minut, ale to wystarczyło, żeby Ridgely wzięła się w garść. Gdy wjechaliśmy na podjazd, odwróciła się do mnie. Spodziewałam się, że weźmie mnie za rękę i wylewnie podziękuję.

Pokręciła głową.

— Miejmy nadzieję, że babcia miała wszystkie klepki na miejscu, pisząc ten list, i wiedziała, co mówi.

— Dam radę — usłyszałam własny głos. — I świetnie mi pójdzie.

— Nie dajmy się ponieść, kochanie. Nigdy nie byłaś świetna, jeśli chodzi o sprawy towarzyskie. Mam tylko nadzieję na coś lepszego niż katastrofa, co da nam czas, by zebrać siły na przyszły rok.

— Mamo!

— Cóż, nie kłamie. I szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że to cię obeszło. Nigdy wcześniej nie zależało ci na sukcesach w żadnych dziedzinach oprócz tych intelektualnych, jak prawo.

— I dlatego biorę twoją sprawę.

Obie byłyśmy zaskoczone moim stwierdzeniem, ale kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, wiedziałam, że mówię prawdę.

Mimo że zbudowałam sobie życie w Bostonie, nie zamierzałam pozwolić, by Jack Blair ani ktokolwiek inny uważał mnie za osobę, która nie poradzi sobie w Teksasie.

— Zamierzam wziąć sprawę w swoje ręce i zorganizować ten bal. Wszystko będzie świetnie.

Mama być może prychnęła, ale zbyt zajęło mnie planowanie, żebym to zauważyła.

Zamierzałam zrobić wszystko, co trzeba, by przygotować Setny Doroczny Bal Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego z Willow Creek i załatwić rozwód matki. I z dobrymi manierami czy też nie, pielęgnowałam wysoce niestosowną myśl, że na koniec wszystkie te kobiety pożałują, że obraziły moją rodzinę, moją matkę i, cóż, mnie.

Rozdział 4

Panika to dziwne uczucie. Z zasady nie panikuję, ale kiedy zniknęło moje przeświadczenie, że potrafię zdziałać cuda, czułam właśnie panikę.

Stojąc w starym dużym domu, w którym wyrosłam, słuchając znajomych trzasków i skrzypnięć z własnej przeszłości, wypróbowywałam ćwiczenia oddechowe, których nauczono nas na sponsorowanym przez firmę (i obowiązkowym) kursie radzenia sobie ze stresem. Wtedy uważałam kurs za śmieszny (na sali sądowej jedną z moich najmocniejszych stron jest

umiejętność znakomitego funkcjonowania, wręcz czerpania przyjemności z prób zestresowania mnie przez adwokata strony przeciwnej), ale tym razem, z sercem w gardle, żałowałam, że bardziej nie uważałam. Wygłaszanie podniosłych deklaracji na temat balów debiutantek w obecności pań z towarzystwa nie było w moim stylu, tak samo jak pretensjonalne przejawy uczuć. I byłam dumna z faktu, że zawsze potrafiłam pozostać sobą.

Do południa następnego dnia wyjaśniłam sprawującemu zarząd wspólnikowi u Marcusa, Flinta i Worthsona w Bostonie,

że muszę wziąć wolne. Stwierdził, że to nie do przyjęcia. Świetnie, oznajmiłam, niech w takim razie powie Stanleyowi Marcusowi, że się zwalniam.

Wycofał się, choć nie bez licznych niepoehlebnych pomruków, a potem dał mi wolne, nazywając je „urlopem naukowym”. Prawda była taka, że po tym, jak sporządziłam dla głównego wspólnika firmy umowę przedmażeńską, która okazała się nie do ruszenia, gdy żona wystąpiła o rozwód. Marcus, Flint i Worthson stanęliby na głowie, by mnie uszczęśliwić.

W dodatku, ze względu na upodobanie firmy do zatrudniania ludzi po Harvardzie, Princeton i Yale, podejrzewałam, że zostałam zatrudniona by dowieść swoistej poprawności. Znakomite oceny, gwiazda uczelnianych procesów i kobieta, a konkretnie " finansowo upośledzona" kobieta

z Teksasu.

Następnie wcisnęłam w komórce trójkę, szybkie wybieranie

numeru mojego narzeczonego.

Stwierdzenie, że Philip nie był zadowolony, byłoby niedo-powiedzeniem.

— Co to znaczy, że zostaniesz na trochę? Jakie trochę? Tydzień?

— Nie.

— Miesiąc?

- Niezupełnie.

— Dłużej niż miesiąc? Czy ty rzuciłaś pracę, Carlisle?

W jego głosie był ślad hysterii i zdałam sobie sprawę, że nie wiem, co ją wywołało - możliwość, że go opuszczam, czy możliwość, że stracę pozycję w firmie.

Philip Granger robił szybką karierę u Marcusa, Flinta i Worthsona. Uważano go za niezłą zdobycz mimo faktu urodzenia po niewłaściwej stronie torów (kolejny dowód poprawności?), a przynajmniej niewłaściwej w oczach kancelarii prawnej bostońskich braminów. Trudno się dziwić, że Philipa zachwycało moje „także skromne” pochodzenie. Uwielbiał również mój

spokojny i rozsądny styl, bo choć blond włosy oraz fiołkowe oczy naznaczały mnie jako dziecko mojej matki równie wyraźnie, jak zrobiłoby to dowolne badanie DNA, to ja nie urządzałam absurdalnych histerii.

Oczywiście powinnam była wyznać mu prawdę, ale niech mi wolno będzie powiedzieć na własną obronę, że przecież nie powiedziałam mu o swoich kłopotach finansowych. Plotka jakimś sposobem się pojawiła i cóż, po prostu nigdy jej nie sprostowałam. Ale dość już o tym. — Wzięłam wolne. — Zawahałam się. — Teoretycznie jestem na urlopie naukowym.

Nastąpiła bardzo długa pauza pełnych niedowierzania trzasków, a potem wybuch:

— To szaleństwo. Robisz karierę, Carlisle. Wycofanie się w tej chwili to zawodowe samobójstwo. — Zawahał się przez chwilę. — Zaczekaj.

Słyszałam, że wstał, podszedł do drzwi i je zamknął. Kiedy skończył, odezwał się cicho, ale z podnieceniem.

— Nie mów nikomu — zaszeptał ochryple — ale teraz, kiedy złapali Skaggsa na sypianiu z żoną Worthsona, jestem następny w kolejce, żeby zostać współnikiem!

Chyba mnie zatkało. Bernie Skagas i Martha Worthson? Wyobraźcie sobie szkaradną brzydotę i zaawansowany wiek. W tej kolejności. Najwyraźniej Bernie pracował na sukces, jak mógł.

— Wyobrażasz sobie? — ciągnął Philip. — To wspaniałe. Powinienem zostać współnikiem przed końcem miesiąca. Wracaj, Carlisle. Chcę, żebyś tu wtedy była. Zaczniemy planować ślub, gdy tylko dotrzesz.

Jak już zostało ustalone. Philip stanowił świetną partię. Ponadto naprawdę bardzo go kochałam. Kochałam życie, które prowadziliśmy w Bostonie, to, jak zahaczał o moje mieszkanie w drodze do pracy, jak trzymaliśmy się za ręce, bez względu na pogodę, udając się przez park publiczny i Boston Common do biur firmy w wieżowcu. Jak zaglądał przez drzwi do mojego biura w porze lunchu, pytając, gdzie chcę zjeść tego dnia.

W weekendy dokądś jechaliśmy. Wzdłuż wybrzeża Maine, na Cape Cod, do Nowego Jorku. Tuż przed moim wyjazdem postanowiliśmy wziąć psa. Zaraz po powrocie mieliśmy ruszyć prosto do schroniska.

Philip z naddatkiem spełniał wszystkie wymagania z mojej listy zalet idealnego męża. i czy to naprawdę zaskakujące, że córka kobiety pięciokrotnie zamężnej może próbować ustalić, co czyni kogoś wartym zachodu?

Wart zachodu fraz. (XIV w.) mężczyzna: 1. jest uczciwy; 2. kocha mnie; 3. ma wspólne ze mną cele; 4. nigdy, w żaden sposób, nie zmusi mnie. żeby zachowywała się jak moja matka.

Philip miał te wszystkie atrybuty.

— Och, tak się cieszę. Naprawdę. Ale nie mogę teraz wrócić. Zostaję, żeby popracować nad sprawą rozwodową.

— Sprawą rozwodową? Czyją? Postanowiłam załatwić to z marszu.

— Mojej matki.

— Twojej matki? — (To ty masz matkę?) — Zajmujesz się sprawą rozwodową własnej matki?

Chcę zaznaczyć, że gdyby okazał choć ślad zatroskania faktem, iż moja świeżo odzyskana matka się rozwodzi, mogłabym poczuć się winna albo nawet ponownie bym wszystko rozważyła. Ale nie okazał.

— Philipie — mój głos znów zdradzał napięcie — nie mogę zostawić matki, żeby sama się z tym uporała.

Narzekał i wymamrotał wszystkie te doskonale mi znane mądrości z pierwszego roku studiów o reprezentowaniu krewnych w kwestiach prawnych, a potem dodał:

— Nie umiem sobie jednak wyobrazić, czemu miałyby to potrwać dłużej niż parę tygodni. Jak skomplikowana może być sprawa, gdy w grę nie wchodzi pieniądze? — Miałam wrażenie, że się zastanawia. — Kwestia opieki odpada, biorąc pod uwagę twój wiek. I podejrzewam, że Teksas, jak większość stanów w dzisiejszych czasach, nie wymaga dowodzenia winy. Wygląda mi na to, że twoja matka mogłaby wypełnić odpowiednie formularze, odczekać wymagany okres, a potem podpisać papiery. Nie rozumiem, czemu w ogóle musisz tam zostawać?

Słyszałam, jak prostuje się na krzesło, i wyobraziłam go sobie w wykrochmalonej białej koszuli, konserwatywnym niebieskim krawacie i garniturze w szare prążki, wyglądającego przez okno.

— Nie mogę uwierzyć, że to robisz. Nawet jeżeli zajmujesz się jakąś sprawą, zamiast brać wolne, ryzykujesz. — Krzesło skrzypnęło. — No i tęsknię za tobą.

Było na to trochę za późno, ale poczułam, że na te słowa mięknę. W rezultacie zaczęłam go uspokajać, obiecując zaprosić z wizytą, kiedy tylko matka się uspokoi.

— Gdy tylko poznasz moją matkę, Philipie, ustalimy datę. Tak będzie idealnie.

— No dobrze. — Zawahał się. — Jak mogę ci pomóc? Stanowczo nie powinnaś zniknąć z obiegu, gdy tam jesteś. Powinnaś mieć jakąś prasę.

— Żadnej prasy! — krzyknęłam.

— Czemu nie? Prasa uwielbia historie o biedakach, którzy robią dobre uczynki. To mogłaby być dla ciebie żyła złota. Już widzę ten artykuł: „Biedna dziewczyna spełnia dobry uczynek i pomaga swojej biednej matce”.

Stanowczo zbyt wiele biedy jak na jedno zdanie.

- Philipie, poważnie. Nie chcę zwracać uwagi. Kiedy tylko uporządkuję sprawy, możesz przyjeżdżać.

Ten plan mógł zadziałać. Prędzej czy później musiał się dowiedzieć o mojej niefortunnej sytuacji finansowej i to byłby idealny sposób. Ustalilibyśmy datę. Odebrałabym go z lotniska, potem w drodze wyjaśniła sytuację tak by zrozumiał, że majątek matki to nie moja wina. W każdym razie zamierzałam się tym zająć, gdy przyjdzie pora. Tymczasem miałam pilniejsze troski, a konkretnie zbliżające się spotkanie w filharmonii.

Obecne: debiutantki i ich matki.

Cel: przekonać je, żeby zostały.

Jak to osiągnąć: omówić własne wyjątkowe zalety, których użyję, by wzbogacić imprezę... Ale w razie czego będę błagać.

*

Budynek filharmonii stał na rogu Hildebrand Boulevard i Willow Creek Avenue, tuż przy Hildebrand Square. Moja babka kochała to miejsce i zabierała mnie na koncerty odkąd nauczyłam się chodzić. Każde wejście do holu przynosiło mi uczucie dogłębnego spokoju, jak wejście do katedry.

Przybyłam na spotkanie jako pierwsza choć kawa, mrożona herbata i kanapeczki zostały już rozłożone na Kredensie.

Weszła Giselda Montserat. Zamrugała na mój widok. — Kim pani jest?

Giselda była niewysoką krępa, kobietą z włosami ufarbowanymi na tak jaskrawą czerwień, że wyglądała jak kardynał. Pracowała w filharmonii od czasów mego dzieciństwa, co oznaczało, że była na miejscu podczas niefortunnego dnia mojego debiutu. — Jestem Carlisle Cushing.

Najpierw wydawała się zakłopotana, a potem do niej dotarło i zmieszanie ustąpiło miejsca przerażeniu.

Nauczyłam się, że są w życiu chwile, kiedy należy wyłożyć karty na stół, przyjąć do wiadomości, co trzeba, i mieć to z głowy. Ale są też inne chwile, kiedy najlepiej sprawę zbagatelizować, udawać, że słoń na środku pokoju nie istnieje. Zasadniczo życie przypomina wtedy grę w kości, a najlepsi są w niej ludzie, którzy najtrafniej umieją ocenić, kiedy zignorować bestię, a kiedy przyjąć jej istnienie do wiadomości.

Tamtego dnia najlepsze wydało mi się działanie dwutorowe. Dać jej do zrozumienia, że wiem, co myśli, a potem niech tylko spróbuje zrobić coś równie głupiego, jak odwołanie się do wspomnień.

Uniosłam podbródek, zmierzyłam ją wzrokiem i powiedziałam:

— Jestem Carlisle Cushing. Z pewnością mnie pani pamięta. Ostatnie trzy lata na sali sądowej wyostrzyły moje instynkty

i z panną Montserat poszło mi całkiem nieźle. Pociągnęła nosem, a potem odwróciła się, by poprzekładać perfekcyjnie ułożone kanapki.

Zjawiły się pierwsze dziewczęta z matkami. Nie były zmieszane ani zaskoczone, co mogło oznaczać tylko jedno: wieść o moim wystąpieniu w Brightlee się rozniosła. Dobra wiadomość była taka, że przyszły wszystkie.

Wianuszek starannie ubranych matek i córek sączył herbatę, wszystkie trzymały w dłoniach kanapki, których nie jadły, i co chwila zerkwały w moją stronę, jak przechodnie zmuszeni przejść obok wrzeszczącego bezdomnego.

— Witam — zaczęłam, stając na froncie sali.

— Carlisle? Nie mogę uwierzyć, to ty?

Słowa te padły z ust Genny Jenkins (poślubiła Edwarda Jenkinsa z Jenkins Technology), która dorastała z Savannah.

— Dobry Boże, nie uwierzyłam, kiedy usłyszałam, że tu będziesz.

Teraz już kilka innych matek zgromadziło się przy mnie, a w ich szeregach wezbrała fala ogólnego niezadowolenia.

— Myślałam, że to żart. Zmusiłam się do uśmiechu.

— Nie.

Ledwie rozpoznałam Andę Wilkinson. Czas nie okazał się dla niej łaskawy, choć w młodości była blond seksbombą. Teraz jej opalona skóra tak bardzo przypominała skórę na siodło, że nawet kostium Chanel oraz włosy z idealnymi pasemkami nie mogły złagodzić tego efektu.

— Wystarczająco fatalna jest nieobecność twojej babki — stwierdziła Anda. — Ale, doprawdy, jakim cudem sądzisz, że dasz sobie radę? Uważałyśmy, że ktoś powinien wspomóc twoją matkę po zeszłorocznej klęsce, to prawda, ale ty, Carlisle?

Do tej pory nastolatki kompletnie nie zwracały uwagi na obrady. I nagle osiem matek miało osiem córek przyglądających się nam badawczo. Nie zamierzając okazać słabości, przedstawiłam się towarzystwu.

— Jestem Carlisle Cushing i, jak pewnie już słyszałyście, zajmuję się tegorocznym bale. Impreza jest za trzy miesiące, a nazwiska mają zostać ogłoszone za tydzień w niedzielnej gazecie. Nie mamy ani chwili do stracenia.

Jedna z dziewcząt zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół.

— Czy nie została pani wybrana na najgorszą debiutantkę w historii, jakieś sto lat temu?

— O mój Boże! To pani?

— Cóż — przysięgam, nie rumieniłam się, po prostu w sali było gorąco - jak sama zauważyłaś, to było wieki temu. I nie ma nic wspólnego z moimi możliwościami, by teraz zorganizować wspaniały bal.

— To może być prawda — odezwała się niska pulchna dziewczyna w grubych okularach. — Kiedy usłyszałam plotki,

że ona przejmuje sprawę, wygooglowałam ją. Wygrała wszystkie swoje procesy i w Bostonie jest uważana za świetną prawniczkę. Na pewno potrafi urządzić bal debiutantek.

Reszta dziewcząt odwróciła się do niej i obejrzała z pogardą, zatrzymując wzrok na mokasynach.

— Nie dostałaś notatki? — zapytała jedna z nich.

— Notatki? — Pewność dziewczyny uległa zachwianiu.

— Mokasyny wypadają. Wchodzą wsuwy.

Reszta wybuchnęła śmiechem. Pyzata zrobiła się jaskrawo-czerwona. Jej matka zrobiła się jaskrawoczerwona. Jedna z matek upomniała swoją córkę, ale bez wielkiego przekonania.

W tej chwili znenawidziłam stadko tegorocznych debiutantek. Niezbyt dobry znak, skoro miałam z nimi pracować przez następne trzy miesiące.

— Moje panie, jak zostało już wspomniane — dodałam swoim najlepszym „adwokackim” głosem — przez kilka ostatnich lat mieszkałam w Bostonie. — I wstawiłam im tę gadkę o krainie szacownych rodowodów i pielęgnowanej tradycji, i jaki to świetny będzie bal.

Prawie przekonałam samą siebie.

— Jak poszło? — zapytała Savannah ze swoim firmowym złośliwym uśmiechem, gdy weszłam do domu.

— Świetnie.

— Naprawdę?

Wyniosłość Savannah powinna była mnie ostrzec, ale tak długo nie miałam z nią do czynienia, że wyszłam z wprawy. Kiedy mama wyjrzała z kuchni, sprawiała wrażenie chorej.

— Co jest? — zapytałam. Savannah tylko się uśmiechnęła.

— Debiutantki zrezygnowały.

— Co? — Ze wzburzenia zabrakło mi tchu. — Niemożliwe. Miałyśmy świetne zebranie i nikt nie wspominał o rezygnacji.

— W takim razie „świetne” nabrało nowego znaczenia, ponieważ zadzwoniły matki wszystkich dziewcząt, żalując, że nie mogą z pełnym przekonaniem wziąć udziału w Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego z Willow Creek.

Gwoli sprawiedliwości zaznaczam, że stłumiłam każdą niepożądaną emocję, której nadejście odczuła moja zdruzgotana psychika. Uśmiechnęłam się i wzruszyłam ramionami, demonstrując fałszywą pewność siebie.

— Nic martw się, mamó. Zajmę się tym. Choć jak miałabym to zrobić, nie miałam pojęcia.

Rozdział 5

Rozwiązanie problemu spadło na mnie w środku nocy. Musiałam tylko zebrać osiem nowych debiutantek, zyskując w ten sposób pieniądze potrzebne do uratowania filharmonii dzięki wspaniałemu balowi, wydanemu dla owych debiutantek.

To chyba nie mogło być trudne?

Zabrałam się do przygotowań jak generał sporządzający wojenne plany. Matka nie mogła służyć mi pomocą, ponieważ niemal zemdląła, gdy ogłosiłam nowinę.

— Zbierasz nowe debiutantki?

— Tak właśnie. Dziewczęta nie zostały jeszcze oficjalnie zaanonsowane. No i prawda jest taka, że nie były dość dobre.

— Dziewczynki te pochodziły z najlepszych rodzin w mieście. Już sam ten fakt sprawiał, że były odpowiednie.

Usłyszałam prychnięcie i kiedy się odwróciłyśmy, zobaczyłam stojącą w kuchennym korytarzu Janice, która jadła z pojemnika jogurt z żywymi kulturami bakterii, używając do tego celu jednej z ulubionych przez moją matkę srebrnych łyżek Francuska Prowincja.

Zignorowałyśmy ją.

Nie tracąc ducha, opracowałam plan działania.

Na szczęście nawet ja wiedziałam, jakich pięć elementów składa się na każdy sezon debiutów m IV (1748 r.): 1. wybór ośmiu spełniających wymagania dziewcząt kończących szkołę, z nadzieją, że będą wyglądać, jakby przynajmniej słyszały o niewinności; 2. ogłoszenie nazwisk młodych dam, które zostaną wprowadzone do towarzystwa, i zanoszenie modłów, by żaden reporter nie miał dość czasu na wygrzebanie w In-ierneecie kompromitujących zdjęć naszych rzekomo przyzwoitych wybranek; 3. odegranie roli sędziego, gdy każda z matek

spróbuje przyćmić pozostałe ekstrawagancją indywidualnych (i obowiązkowych) przyjęć wstępnych; 4. odgrywanie roli opiekunki wobec dziewcząt, które potajemnie współzawodniczą o tytuł Debiutantki Roku, nadawany przez teksaską prasę (może powinny skontaktować się z seniorem Rinaldim i zapytać o wskazówki?); 5. planowanie i szykowanie wielkiego finału każdego sezonu, końcowego balu debiutantek.

Generalnie przygotowania rozkłada się na cały rok kalendarzowy. W obliczu dezercji tegorocznych dziewcząt w ostatniej chwili wszystko, co powyżej, należało zrealizować w ciągu najbliższych trzech miesięcy.

Odzyskawszy pewność siebie (i zadowolenie, że potrafię tak szybko zebrać siły), zaczęłam sporządzać w czarnym zeszycie listę potencjalnych kandydatek.

W towarzyskim świecie Willow Creek istnieje pięć grup społecznych, które teoretycznie mogą sobie pozwolić na sezon debiutantek. W porządku ważności są to:

1. zamożne rodziny z dobrymi starymi nazwiskami; moja grupa docelowa;
2. w miarę zamożne rodziny z dobrymi starymi nazwiskami; całkowicie do przyjęcia;
3. zamożne rodziny z nowymi nazwiskami, znane także jako haute bourgeois; tylko w razie desperacji;
4. zamożne rodziny z nazwiskami budzącymi dreszcz; wykluczone, matka by mnie zabiła.

Zdołałam skompletować dziesięć nazwisk rodzin, które choć niezupełnie z grupy pierwszej, przynajmniej o nią zatęczały. Obdzwoniłam je, umówiłam się na „wizytę”, a potem wzięłam się do pracy.

Nie byłam pewna uczuć matek w związku z tym spóźnionym zaproszeniem, ale czasem kobieta bywa zadowolona, że jej córka dostaje szansę i mniejsza o to skąd.

Zaczęłam poszukiwania od Kitty Hayes. Bez dwóch zdań należała do starego Willow Creek i miała masę pieniędzy, zaczęłam się nawet zastanawiać, dlaczego jej córka została pominięta w pierwszym podejściu.

Pożyczyłam ciuchy od siostry (powiedziałam sobie, że wcale nie rezygnuję z własnych zasad, po prostu mam dość sprytu, by wiedzieć, że potrzebne mi jest coś więcej niż czarny Armani), ubrałam się w kremowy kaszmirowy sweter, stosowne spodnie z wełnianej flaneli i założyłam parę brązowych zamszowych ferragamo na niskich obcasach, po czym udałam się do domu Hayesów. Skorzystałam z volvo, którego Lupe używa, jadąc na zakupy, i przejechałam przez miasto. Udało mi się dotrzeć do Hildebrand Square dokładnie w czasie przerwy między zajęciami na uniwersytecie. Samochody i studenci byli wszędzie. Całe wieki trwała

przeprawa przez skrzyżowanie Hildebrand Avenue i Moss Street, ponieważ stada studentów przechodziły przez ulicę, mimo migającego znaku „stój”.

Tracąc w końcu cierpliwość, zapomniałam o kardynalnej zasadzie „żadnego trąbienia w Teksasie” i parę razy walnęłam w klakson. W promieniu stu jardów wszyscy z wyjątkiem studentów odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Za późno zauważyłam zbyt przystojnego Jacka Blaira, wychodzącego ze Starbucks na rogu.

Słońce oblało jego ciemne włosy, rozjaśniając te niesławnie rzeźbione policzki i mocną szczękę. Nie miał na sobie tego nowego uniformu, składającego się z niebieskiej marynarki i szarych spodni. Włożył pięćsetjedynki ciasno obejmujące go w miejscu, którego taka rozsądna dziewczyna jak ja nie powinna dostrzegać. Czarny T-shirt przylegał do jego szerokich ramion. To był Jack Blair, jakiego pamiętałam.

— Boże, świetnie wyglądasz — rzuciłam oskarżycielsko przez szybę.

Nie ja jedna go zauważyłam. Każda kobieta w promieniu pięćdziesięciu stóp wyciągnęła szyję, żeby na niego spojrzeć, choć tego nie zauważył i najwyraźniej o to nie dbał.

Kiedy mnie zobaczył, poczułam drgnienie. W sobie, oczywiście, ale też w nim. Stał i patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami, jakby usiłował coś zrozumieć. Czemu wróciłam? Co w związku z tym czuł? Czemu stałam nieruchomo na środku skrzyżowania?

Bez namysłu uniosłam dłoń w pozdrowieniu. Stał i tylko na mnie patrzył, dopóty... dopóki nie podeszła do niego kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałam, i nie wzięła go pod rękę. Cały świat nagle poruszał się w zwolnionym tempie, a on otrząsnął się z transu, po czym spojrzał na tę kobietę i się uśmiechnął. Szczerze. Bez śladu żartobliwości, uśmiechem, który głośniej niż słowa mówi, że uszczęśliwia go jej widok.

Gwałtownie odwracając wzrok, dostrzegłam, że przejście jest puste, światło lśni zielenią. Zakłopotana w takim stopniu, że musiałam zakląć, przejechałam przez skrzyżowanie (być może pozostawiając na chodniku drobne ślady gumy), oddalając się od Jacka i tej kobiety.

Oczywiście tak naprawdę nie zostawiłam go za sobą. Czaił się w mojej głowie w podwójnej roli seksownego boga i przypomnienia, że muszę przyspieszyć sprawę rozwodu matki. Ot, taka drobnostka.

Do domu Hayesów dotarłam pięć minut później. W liceum Kitty była cheerleaderką, na Uniwersytecie Teksaskim należała do stowarzyszenia Kappa. Po dyplomie wyszła za Russella Hayesa, uniwersytecką gwiazdę futbolu. Z jej pieniędzmi i jego niemal boskim statusem teksaskiego futbolisty (umocnionym później sukcesem w roli potentata handlu nieruchomości) byli uważani za jedną z czołowych par Willow Creek.

Rodzina Hayesów mieszkała w obszernej rezydencji z wapienia z masą okien i brukowanym podjazdem, prowadzącym do drzwi frontowych. Stanowiła imponujący element inwestycji o nazwie Live Oak Estates, jeden z deweloperskich projektów Russella.

Budynek był po części domem, po części reklamą, wewnątrz właściwie bardziej przypominał reklamę niż rodzinną siedzibę. Miało się wrażenie, że ktoś pojechał do miejscowego sklepu meblowego na szybkie zakupy. Wszystko krzyczało „odpowiednie wyposażenie”, a konkretnie „kosztowne odpowiednie wyposażenie”. Moja matka tego by nie zaaprobowała.

Generalnie rzecz biorąc, ani śladu antyków przekazywanych z pokolenia na pokolenie czy dowodu, aby ktokolwiek przejechał się dalej niż do Znakomitych Mebli Ferdynada w celu zapelnienia przestrzeni „skarbami”. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby „skoordynować” obicia, zamiast je „dopasowywać”.

Ale niech się urządzają, jak chcą, jeśli tylko Kitty zgodzi się na moją prośbę.

— Dziękuję, że zechciałaś się ze mną spotkać tak szybko — powiedziałam.

— Ależ oczywiście — stwierdziła entuzjastycznie. Nie zapomniała jeszcze o cheerleaderskich czasach. — Byłam zachwycona, kiedy zadzwoniłaś.

Służąca podała nam herbatę na werandzie, kompletnie wyposażonej, włącznie z wiklinowymi meblami. Gawędziłyśmy

o Bostonie i pogodzie, a potem odpracowałyśmy obowiązkowe wzmianki o tym i tamtym, zanim przeszłam do rzeczy.

— Kieruję tegorocznym komitetem balu debiutantek.

— Och, Boże, co za kłopot.

Zamarłam z filiżanką w pół drogi do ust, ale tylko na chwilę, po której zmusiłam się, by pociągnąć łyk.

— Zapewniam cię, że wszystko zostało wyjaśnione. Słyszałaś być może, że przejęłam dowodzenie i mam wszystko pod kontrolą.

— Niezupełnie.

— Tegoroczny setny bal będzie tym najlepszym. Pochyliła się do mnie, cmoknęła i — poważnie — poklepała mnie po nodze.

— Kochanie, wiem, że będziesz się starać z całej siły.

Nawiasem mówiąc, zawsze miałam problem z tym przesłodzonym stylem, nawet jeśli byłam znana z tego, że sama z niego korzystam, aby coś uzyskać. Zresztą mniejsza z tym.

— Mimo wszystko — ciągnęła — nie mogę uwierzyć, że wszyscy wywołują z tego powodu taką rozróbę. Wiesz, że wręcz uwielbiam twoją mamusię. I próby zniszczenia tyłu lat historii

wołają o pomstę do nieba. Bo prawda jest taka, że to historia Willow Creek, nie tylko twojej rodziny. Nie pojmuję, co ludzie sobie myślą.

Zignorowałam „rozbórę”, „mamusię” oraz „pomstę do nieba”

i zapytałam:

— Więc pomożesz mi?

— Och Boże, nie.

— Dlaczego?

- Po pierwsze, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby znaleźć się w Willow Creek po niewłaściwej stronie. Russell zainwestował tu w Live Oak Estates, ma masę ziemi do sprzedania i nie wyszłoby na dobre, gdybym wplątała się teraz w jakieś kłopoty. A poza tym, cóż, po prostu nie mam czasu. Wróciłam do pracy.

To mnie zaskoczyło. Choć kiedy wreszcie skupiłam się na czymś poza problemem z debiutantkami (i dekoratorskim wyczuciu Kitty), zauważyłam, że taktycznie, praktyczny granatowy kostium oraz jedwabna bluzka zamiast kaszmiru i eleganckiej wełny nadawały jej wygląd raczej bizneswoman niż pani zajmującej się dobroczynnością.

Spięła się, gdy zorientowała się, że zauważyłam.

— Nie chodzi o to, że jestem zmuszona pracować wyjaśniła. — Muszę coś ze sobą począć teraz, kiedy Cecelia wyjeżdża do college'u. Syndrom pustego gniazda i tak dalej.

Podczas jednej z cotygodniowych rozmów telefonicznych, gdy mieszkałam jeszcze w Bostonie, mama podzieliła się ze mną plotkami, że Russell Hayes ma problemy z przepływem gotówki. Uznałam wieści za absurdalne, ale może niesłusznie. Z pewnością to by wyjaśniało, dlaczego Cecelia nie należała do pierwotnej ośmioosobowej grupy. Na pewno została zaproszona, ale moja matka powiedziała nie.

A syndrom pustego gniazda? Najstarsza córka rzeczywiście wyjeżdżała pod koniec lata, jednak Hayesowie mieli jeszcze dwójkę młodszych dzieci, które nie wyfrunęły nawet ze szkoły podstawowej, więc tym bardziej nie mogły wpędzić Kitty w kryzys wieku średniego.

Odprowadzono mnie do drzwi znacznie szybciej, niż wprowadzono do salonu. Nie należę jednak do tych, którzy łatwo się zniechęcają, więc z niesłabnącym optymizmem ruszyłam po następną ofiarę.

Przez resztę dnia i dzień następny zaliczyłam wizyty u każdej matki każdej abiturientki pochodzącej z odpowiedniej rodziny, dziewczyny rzekomo zamożnej i przypuszczalnie posiadającej dwa chromosomy X. Odwiedziłam Lalee Dubois, Georginię Weatherman, Pamelę Prescott. I tak dalej, z listy. Kiedy doszłam do jej końca i nie znalazłam chętnych,

przez pół sekundy zastanawiałam się nad urządzeniem debiutu chłopcom... skoro już miał być skandal.

Przysięgam, że to nie desperacja pchnęła mnie, by odwiedzić Merrily Bennett.

Szczęśliwie się złożyło, że Merrily przez małżeństwo weszła do szacownej starej rodziny. Pech chciał jednak, że była bardziej szalona niż kapelusznik i grubsza niż... och, mniejsza z tym. Śmiała się głośno i nie bała wygłaszać własnych opinii. Nie poproszono jej o wstąpienie do Junior League, kiedy była młodsza, i bez wątpienia w najmniejszym stopniu nie nadawała się na mamę idealnej debutantki. Ale miała pieniądze, i to dużo, bo ceny ropy cały czas stały wysoko.

Weszła do rodziny Bennettów i zanim zmarł starszek Bennett, była jego oczkiem w głowie. Rozpieszczał ją bardziej niż którąkolwiek inną synową czy nawet córkę. Sytuacja należała do wywołujących uniesienie brwi, bardzo w stylu „Kotki na gorącym blaszanym dachu”, tatulek i Maggie kocica minus uroda Elizabeth Taylor. Ponadto do chwili, gdy Frank junior poślubił Merrily, wszyscy żyli w przekonaniu, że gra w drużynie przeciwnej. Nie żebym sugerowała cokolwiek niestosownego między teściem a synową. Ja tylko opowiadam.

Państwo Bennettostwo juniorowie mieszkali naprzeciwko mojej matki w masywnym wiktoriańskim domu, pokrytym piernikowymi gzymsami i wielobarwnymi ozdobami. Podwórze było usiane krasnalami, różowymi flamingami i dużymi plas tikowymi stokrotkami, które kręciły się na wietrze. Mama nazywała dom Bennettów „karnawałowym”. Bez dwóch zdań — był pełen życia.

Merrily powitała mnie jak dawno niewidzianą przyjaciółkę. Miała na sobie powiewną suknię Miu Miu pasującą do stylu domu. Na jej twarzy rysowały się zmarszczki od słońca, a siwe włosy zaplotła w obarzanki nad uszami w stylu pasterki z pudełka kakao. Niezbyt udatnie jak na kogoś, kto dawno przekroczył wiek sześciu lat i mieszkał poza granicami Szwajcarii, ale Merrily Bennett to właśnie uwielbiała.

Zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie powitała nas drobna starszka o błyszczących oczach (dość podobna do prawdziwego krasnoludka).

— Carlisle, znasz moją teściową, prawda? Mamo Bennett, to najmłodsza dziewczynka Wainwrightów.

— Ojej — zaświergotała pani Bennett piskliwym głosem. — Chyba nie córka tej okropnej Ridgely?

— No, Mamo Bennett, nie zwracaj sobie tym głowy. Stara kobieta zachichotała z czegoś, co dla mnie pozostało

nieczytelne, napchała ciastkami kieszenie podomki i zniknęła.

— Przepraszam — powiedziała Merrily. — Twoja mama i Mama Bennett nigdy się nie lubiły.

Merrily podała mi wysoką szklankę mrożonej herbaty. Pokój był ogromny i wyglądał zachęcająco ze schowanym pod szklanym przykryciem ciastem i świeżymi kwiatami w porcelanowych wazonach.

— Chyba mniej bym była zaskoczona, znajdując w brytfance pancernika niż twoim telefonem. — Roześmiała się gardłowo. — No to mów. Co mogę dla ciebie zrobić?

Postawiłam torebkę na blacie, nie wypuszczając rączki z dłoni, i oznajmiłam: — Przyszłam zaprosić twoją córkę, by zadebiutowała na Setnym Dorocznym Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego z Willow Creek.

Bardzo przepraszam, ale świeżo wyczerpałam zapas uprzejmości. Od razu przeszłam do rzeczy.

Oczy Merrily zrobiły się okrągłe jak spodki. Nie odezwała się ani słowem i przestraszyła mnie, maszerując do kuchennych drzwi i otwierając je z rozmachem. Podskoczyłam.

- Betty! — krzyknęła. — Zejdź na dół. Ktoś tu ma do ciebie prośbę.

Nie tak się to załatwiało. Najpierw zaproszenie wystosowywano do rodziców, generalnie robiła to moja matka. Potem pojawiała się formalne ręcznie wypisane zaproszenie dla córki. Ani przez chwilę nie sądziłam, by rodzice przed nadejściem Oficjalnego zaproszenia utrzymywali nowinę w tajemnicy przed potomstwem, ale z pewnością nie wołano dziewcząt do pokoju podczas wizyty.

- Merrily, naprawdę nie sądzę...

Ale było za późno.

Córka wpadła do kuchni.

Betty Bennett. Wyglądała dokładnie jak matka, ale w wersji znacznie pomniejszonej, zarówno pod względem wzrostu, jak i wagi. Poza tym miała złocistobrązowe oczy, ledwie widoczne spod szalonej czupryny wijących się złocistobrązowych loków. Idealnie nadawałaby się do zdjęcia „Przed” w reklamie telewizyjnego sklepu. - Tak, mamo?

- Panna Cushing przyszła zaprosić cię, żebyś została debiutantką. Wspaniale, prawda?

Dziewczyna nabrała powietrza, a potem zrobiła się buracz-kowoczerwona i z pewnością nie z braku tlenu.

- Och, nie — jęknęła. — Nie mogłabym. Umarłabym ze wstydu.

Co sprawiło, że jednocześnie poczułam się okropnie i odetchnęłam z ulgą.

— Nie umiałabym zrobić Teksaskiego Dygu — dodała dziewczyna, po czym odwróciła się na pięcie i uciekła.

Dyg rzeczywiście mógł doprowadzić dziewczynę do takiego stanu i chyba nie muszę przypominać, z jakiego powodu. Merrily westchnęła.

— Wstydliva jest ta moja Berty. Pojęcia nie mam, skąd się jej to wzięło. Ale miło, że zapytałaś.

I kolejny raz znalazłam się na kolejnym ganku, mając za plecami starannie zamknięte drzwi. Wróciłam do domu i przy kolacji z rodziną jak szalona gadałam o niczym i o wszystkim z wyjątkiem poczynionych postępów lub braku takowych. Zmonopolizowałam rozmowę, nie dając nikomu szansy się odezwać. Przeszłam przez wszystkie ulubione tematy matki (bez śladu wzmianki o balu debiu-tantek), zaczynając od jej nagradzanych róż, przebrnęłam przez wiosenne kapelusze na nowy sezon, po czym wygłosiłam imponujące exposé o różnicach między srebrami Franciszek I a Burgundy.

— Carlisle — przerwała mi matka.

Nawet podejrzenie o złe maniery nie powstrzymało jej od osiągnięcia celu.

— Ile dziewcząt masz do tej pory?

Wszyscy przy stole przestali jeść, żeby spojrzeć na mnie. Przy takim ciśnieniu słowa „żadnej”, „zero”, „ani jednej” nie wydały mi się najlepszą odpowiedzią, więc poprzestałam na: „Pracuję nad tym”.

Co, jak wszyscy wiedzieli, znaczyło żadnej, zero, ani jednej.

Kiedy skończyłam aktualizację, Ridgely osuszyła usta i z cichą precyzją położyła lnianą serwetkę obok talerza. Gwoli wyjaśnienia: to nie był dobry znak, znałam go od urodzenia.

- Carlisle, musisz to załatwić. Obiecałaś, że to załatwisz. Matka patrzyła mi w oczy nie z nadzieją, nie prosząco, ale z żądaniem. Chciałam rzucić swoją obietnicę pomocy jak w geście poddania rzuca się ręcznik, ale siedząc tam, nagle zrozumiałam, że nie chodzi już o to, by oszczędzić matce zakłopotania. Jakimś sposobem chodziło o mnie.

*

Następnego ranka zasiadłam przy granitowym blacie ku-chennej wyspy. Miałam przed sobą notes, Lupe uwijała się dookoła, zalewając mnie potokiem hiszpańskiego. Słuchałam najuważniej, jak mogłam, ale nie udawało mi się skupić. Byłam właściwie zadowolona, kiedy weszła Janice, ubrana w swój uniform złożony z powiewnej spódnicy i płóciennych sandałów.

- Dzień dobry — powiedziała energicznie. Ciemne włosy miała zwinięte w luźny węzeł na karku. — Widzę, że znów piszesz w tym czarnym notesie.

Nalała sobie filiżankę kawy, zanim Lupe zdążyła to dla niej Zrobić. A potem usiadła na wysokim taborecie naprzeciwko. Przekrzywiając głowę, zerknęła na nagłówek w moim notesie.

— „Możliwe debiutantki” — przeczytała na głos. — Nie mogę uwierzyć, że naprawdę chcesz tu zostać i zająć się rozwodem twojej matki oraz tym idiotycznym balem.

— Cóż, kiedy rodzina jest w potrzebie...

— W potrzebie. — Spojrzała na mnie jak na obłąkaną. — Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek urządza coś tak przestarzałego i upokarzającego jak debiut. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, na miłość boską.

Choć było wcześniej i wypiałam zaledwie pół filiżanki kawy, przykleiłam do twarzy fałszywy uśmiech.

— Daj spokój, Carlisle — ciągnęła, opierając łokcie na granicie. — Jak możesz dobrze o sobie myśleć, skoro chcesz zebrać grupę dziewcząt i prezentować je jak żywy inwentarz? Mój nieszczerzy uśmiech stał się jeszcze bardziej nieszczerzy.

— Weź na przykład mnie — mówiła dalej. — Mowy nie ma, żebym w czasach młodości została debiutantką. Nawet wtedy popierałam postępowanie w sprawach kobiet.

Nie wytknęłam jej, że nikt nie poprosiłby Nity Reager, żony Buforda, o zgodę na debiut córki. Po prostu się uśmiechnęłam.

— Nigdy nie dawałam się wcisnąć w żadne ramy. I Morgan nauczyłam tego samego.

Może powinna była ją nauczyć, jak nie dać się wyrzucić ze szkoły. Wiem, paskudna myśl.

— Wbiłam mojej córce do głowy, jak ważne jest, by była kimkolwiek zechce, bez zawstydenia. I mniejsza o to, co kto mówi. Powiedziałam jej, żeby robiła to, czego chce. Niech nie pozwoli, by czyjeś opinie lub pragnienia ją powstrzymały, jeżeli coś będzie dla niej ważne.

W tym kontekście to, co wydarzyło się następnie, nie było niespodzianką.

Weszła Morgan (pomarańczowe włosy nieuczesane, pajaco-waty szlafrok, liczne kolczyki lśniące w podziurawionym uchu), odmówiła Lupe wypicia świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego i spojrzała na swoją matkę z uśmiechem, który nawet ja, niezamężna i bezdzietna, rozpoznałam jako niewróżący nic dobrego, po czym obwieściła:

— Podjęłam decyzję.

Janice zerknęła na córkę, z powagą kiwając głową.

— W jakiej sprawie, Morgan? — zapytała tonem pod tytułem: „Widzisz, jestem idealną troskliwą matką, która zadaje pytania”, a potem pociągnęła łyk kawy.

— Postanowiłam zostać debiutantką na tym Setnym Dorocznym Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego.

Rozdział 6

Janice prychnęła kawą przez całą kuchnię.

Zapanowała cisza, wszyscy patrzyli na Janice albo na znakomitą kawę French Roast, która spływała z ręcznie rzeźbionych szafek z wiśniowego drewna. Tylko Morgan nie była speszona. Teatralnym gestem, który sprawiłby w dumę moją matkę, wyjęła z rąk Lupe dzbanek z kawą, nalała sobie filiżankę, hojnie doprawiła śmietanką i cukrem, a następnie zamieszała ze szczękiem srebra o porcelanę, co zabrzmiało jak złowrogie łykanie bomby zegarowej.

— Co o tym myślisz, mamó? — zapytała w końcu z uśmiechem majaczącym na wymalowanych pomarańczową szminką ustach.

Sądząc z wyrazu twarzy Janice, nietrudno było zgadnąć, co myślała. I z pewnością wypułaby kolejną porcję kawy, gdyby nic weszła moja matka.

— Dzień dobry, dzień dobry — zanuciła, wyraźnie na powrót w różowym nastroju. Jeśli chodzi o mamę, to była jedna z najtrudniejszych do przewidzenia rzeczy. Jej nastrój. Biorąc pod uwagę zbliżający się rozwód, spodziewałam się gwałtownych skoków. Tym razem jednak wydawała się zaskakująco zadowolona — jakby raczej chodziło o znalezienie niż utratę mężczyzny.

— Bonjour, koteczki.

Przyjęła od Lupe filiżankę kawy i pociągnęła łyk.

— Boskie — dodała, wstrząsając się lekko z rozkoszy, a potem znieruchomiła i rozejrzała się dookoła. — Co takiego? Co się dzieje?

Morgan uśmiechnęła się do babki.

— Postanowiłam być debiutantką i właśnie powiedziałam o tym mamie.

Tu drobna uwaga techniczna: Morgan tak naprawdę nie została zaproszona. Ale hej, jak to powiadają, diabeł tkwi w szczegółach.

Matka zamarła jak my, potem odstawiła filiżankę i otworzyła dla wnuczki ramiona.

— Och, cudownie, będziesz najwspanialszą debiutantką wszech czasów!

W kontekście stylu Morgan i jej nastawienia zabrzmiało to trochę na wyrost. Ponadto wątpiłam, żeby od urodzenia ćwiczyła Teksaski Dyg i moim zdaniem miała szansę, by pójść w niesławne ślady ciotki. W każdym razie byłam matce wdzięczna za ten zaskakujący wybuch altruizmu.

Ridgely zwróciła się do synowej, wzięła ją w objęcia i mocno przytuliła.

— Musisz być taka dumna. Możecie to sobie wyobrazić.

Widziałam, że Janice usiłuje się opanować, rozumienie praw kobiet walczyło w niej z naukami o tym, by pozostać w zgodzie ze sobą. Klasyczny przypadek utknięcia między przysłowiowym młotem a kowadłem. Gdyby Janice wyraziła emocje widoczne na jej twarzy (Za cholerę nie ma mowy, żeby moja córka została debutantką!), dowiodłaby, że wszystko to, czego uczyła Morgan o byciu kimkolwiek chce, było kłamstwem. Ale gdyby się zgodziła, cóż, nawet ja widziałam, że z trudem zdołałaby przełknąć tę gorzką pigułkę. Trudno powiedzieć, żebym całym sercem kochała bale debutantek, ale moja bratowa żywiła do nich wprost wściekłą nienawiść.

Możecie mnie potępić, ale byłam rozbawiona.

— Co o tym sądzisz, mamó? — naciskała Morgan, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Cóż, ja...

- Uważam, że to po prostu wspaniale — oznajmiła Ridgely. - Właściwie — zerknęła na Janice — mam genialny pomysł! Ty i Carlisle razem zajmiecie się balem, Tego nie uznałam za specjalnie zabawne.

Pomyśl tylko. Rodzina Wainwrightów trzyma się razem i tak dalej. — Matka niedbale machnęła dłonią. — Jasno i wyraźnie przekaże to sygnał, że z nami się nie zadziera. Genialne posunięcie. Powinnam była wcześniej na to wpaść.

- Mamó — zaczęłam. — Uważam, że jeśli Morgan pragnie być debutantką, to świetnie, ale Janice naprawdę nie chce mieć do czynienia z jakimś dętym społecznym komitetem. Poradzę sobie sama.

- Ridgely, doprawdy — zaczęła Janice przez zaciśnięte zęby. Ale nie dokończyła.

— Pff! To znakomity plan!

Matka musiała być naprawdę zdesperowana, skoro chciała pozwolić mnie i mojej bratowej zająć się balem.

Janice sprawiała wrażenie niezadowolonej z rozwoju wydarzeń podobnie jak ja, szczęki jej grały i z wielkim wysiłkiem starała się nad sobą panować.

Przez drzwi wahadłowe przepchnął się do kuchni mój brat Henry. Na nasz widok jego uśmiechnięta twarz stężała, a oczy

się zwęziły. Stanął i się rozejrzał. Był bardziej inteligentny, niż mogła to sugerować uderzająca przystojność, i wiedział, że coś jest na rzeczy. Uczynił więc to, co zrobiłby każdy psychicznie zdrowy mężczyzna w podobnej sytuacji. Odwrócił się na pięcie i usiłował pospieszyć się wycofać.

— Henry Herbercie Cushingu, ani kroku dalej. — To matka. Zrobił, co mu kazano, ze zwieszoną głową. Usłyszałam, jak stęka, zanim się wyprostował i odwrócił.

— Co się stało?

Ridgely w mgnieniu oka przeszła od surowości do podniecenia.

— Morgan zamierza zadebiutować! A Janice będzie razem z Carlisle pomagać komitetowi organizacyjnemu. Czy to nie wspaniałe wieści?

Henry z niedowierzaniem przeniósł wzrok z córki na żonę.

— Zgodziłaś się na to?

— Oczywiście, że nie.

Morgan przybrała zadowoloną minę, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, mamó, tylko tak gadasz”.

Janice w milczeniu przekazała mojemu bratu rozpaczliwą wiadomość: „Poprzyj mnie! Zabroń jej!”.

Henry odwrócił się do mnie i przewiercił wzrokiem, później rzucił surowe spojrzenie matce. A potem wybuchnął śmiechem.

— Cholera. Zapowiada się lepiej niż fajerwerki na pikniku Czwartego Lipca. — Podeszedł do dzbanka z kawą i Lupe wręczyła mu filiżankę. — Rozkoszna Lupe — zażartował i przyjął naczynie.

Kiedy się odwrócił, zastał za plecami żonę i gdy odskoczył zdziwiony, prawie oblał ją kawą. Jednak Janice Josephine Reager nie zamierzała znosić tego wszystkiego z pokorą.

— Kochanie — odezwała się do męża z uśmiechem, który wyglądał bardziej na obnażenie zębów — czy chcesz powiedzieć, że aprobujesz nie tylko zagnanie naszej jedynej córki na arenę jak bydła podczas aukcji... - Mamó!

... ale również mój w tym udział?

- Dobry Boże, Janice — syknęła matka. — Jaka aukcja? Bal debutantek to wiekowa tradycja, która pozwala dziewczętom poczuć się wyjątkowo. Nic poza tym.

- Daj spokój, Gigi — powiedziała Morgan, zwracając się do mojej matki. — Mama nie zamierza się zgodzić. Wiedziałam, że to hipokrytka. Jasne, mogę być, kim zechcę. Pod warunkiem, że ona chce tego samego.

Morgan walnęła filiżanką jak dwulatką, rozlewając kawę na granitowy blat.

Przysięgam, słyszałam, jak w feministycznym mózgu Janice obracają się tryby, gdy rozpaczliwie poszukiwała mowy godnej Pulilzera, by przekonać krnąbrną córkę, że ta błędzi.

A potem zaskoczyła nas wszystkich. - Masz rację, Morgan.

- Tak?

Po bliższej inspekcji zorientowałam się jednak, że Janice chowa coś w zanadru.

- Postąpiłam jak hipokrytka — przyznała. — Jeżeli tego chcesz, to możesz być debiutantką. I będę w tym Komitecie, dokładnie jak chce Gigi. — Zawahała się, zrobiła przesadnie poważną minę. — Nawet pójdę z tobą na przefarbowanie włosów na naturalny kolor i usunięcie kolczyków z uszu i tego z wargi. Będziesz wyglądać fantastycznie. — Do tego stopnia tryskała fałszywym entuzjazmem, że nawet ja byłam pod wrażeniem. — Oczywiście będziesz musiała pozbyć się tego pomarańczowego lakieru i jaskrawych ubrań. Wspaniale!

— Co?

— Nie sądzisz chyba, że w czystym jak lilia świecie debiutantek możesz wyglądać jak pokolorowana plama z testu Rorschacha, kochanie?

Morgan skrzywiła się z wściekłości. To, najwyraźniej, nie przyszło mojej bratanicy do głowy. Punkt dla Janice.

Morgan gwałtownie odwróciła głowę w stronę mojej matki.

— Tak kochanie, będziesz musiała trochę nad sobą popracować.

Teraz z kolei Janice wyglądała na zadowoloną z siebie.

Matka i córka zmierzyły się w rodzinnej kuchni Wainwrightów i Janice wglądała na przekonaną, że znalazła idealne wyjście, by postawić na swoim. Morgan też to zauważyła. A Morgan nie była głupia.

Nastolatka, stojąca rzekomo na progu prawdziwej kobiecości (nie wspominając już o deklaracji, że chciała wejść w świat jako prawdziwa dama), wzięła głęboki oddech, a potem z zimną krwią godną Grace Kelly oznajmiła:

— Pomarańczowy zaczął mnie już nudzić. Zamierzam zostać debiutantką. — Zmrużyła oczy.

— Najlepszą debiutantką, jaką to zakazane wieśniackie miasto kiedykolwiek widziało.

Rozdział 7

Miałyśmy pierwszą debiutantkę i dwuosobowy komitet. Swego rodzaju postęp.

Jedyny problem tkwił w tym, że zdobywczyni Nagrody Pulitzera Janice Reager zupełnie inaczej niż ja widziała nasze dalsze postępowanie. Właściwie nie powinnam być zaskoczona, ale nie zmniejszyło to mojej irytacji.

Po pierwsze, oczekiwała, że córka lada chwila się wycofa. Po drugie, chcąc skierować to, jak je nazywała „niefortunne wydarzenie”, na właściwą drogę, rzuciła się do udziału w pracy

komitetu z energią pilota kamikadze w metalowym samolociku z czasów II wojny światowej. Zamierzała odnieść sukces albo zginąć podczas dążenia do niego.

— No dobrze — oznajmiła Janice, zawieszając swój dziennikarski ołówek nad notesem. — Jeżeli muszę się zaangażować w tę farsę, to zrobimy coś innego niż spęd bydła. Postawmy na inteligentne dziewczęta — dodała z zawziętą determinacją. — Wybierzmy się do liceum i sprawdźmy, które dziewczyny mają najlepsze oceny.

Nie żebym popierała idiotki, ale Janice nie wiedziała (albo nie rozumiała), jaki jest cel balu debutantek. Spróbowałam więc wyjaśnić kwestię zbierania pieniędzy na rzecz filharmonii, by mogła realizować potrzeby muzyczne i kulturowe centralnego Teksasu, nie wspominając już o płynności finansowej samej instytucji. Aby tego dokonać, musiałyśmy wybrać dziewczęta z rodzin, które całymi latami ofiarowały filharmonii czas i pieniądze, dowodząc swego oddania, i które nadal zechcą to robić, bla, bla, bla.

Brzmiało to wszystko bardzo w stylu „zrobić, co należy” i byłam pewna, że dokładnie taka przemowa do niej dotrze.

— Jasne.

A więc nie miałam racji.

— Ludzie trzymają się tej taktyki, by ukryć fakt, że to handel żywym towarem.

Ona i jej handel żywym towarem. Poczułam za oczami ucisk zbliżającego się bólu głowy.

— Świetnie, myśl sobie, co chcesz — powiedziałam. — Prawda jest taka, że filharmonia w Willow Creek ma problemy finansowe i jeśli nie zbierzemy dość pieniędzy, żeby ich uratować, to zbankrutują.

— Jak do tego doszło?

— Z tego, co słyszałam, wszystko, co zarobili na zeszłorocznym balu, wydali na pokrycie szkód. Poza tym wynajęli rzecznika prasowego, zamieszczali reklamy zachwalające wspinałą muzykę w filharmonii, takie rzeczy.

— Więc co próbujesz powiedzieć?

— Same stopnie nie wystarczą, żeby być dobrą debutantką. Potrzebujemy dziewcząt ze starych rodzin, które sypną hojnie dotacjami i zapłacą za stoły oraz ekstrawaganckie przyjęcia, nie wspominając o ciuchach, które każda z nich musi mieć. Uzyskane fundusze trafią prosto do filharmonii. Dziewczyny z dobrymi ocenami niekoniecznie mają pieniądze, żeby zrobić coś dla budżetu filharmonii.

Janice przy całej swojej socjalistycznej dzielności musiała pogodzić się z rzeczywistością. Szczególnie że jej własna rodzina miała tony pieniędzy i żadnego starego dobrego, znamienitego nazwiska.

- Świetnie, weźmiemy dziewczęta z pieniędzmi. - Ustąpiła. — Ale podaruj sobie stare dobre nazwiska.

Normalnie nie zgodziłabym się tak szybko, ale cóż, przerobiłam już kategorię starych dobrych nazwisk i zostałam z pus-tymi rękami. Byłam jak najbardziej gotowa przejść do majątnych rodzin z nowymi nazwiskami.

- Świetnie, zrobimy to po twojemu — oznajmiłam, mimo że już słyszałam matkę: „Wybrałaś dziewczęta drugiej kategorii?!“.

Ale to była kolejna sprawa, z którą miałam się uporać we właściwym czasie.

- Okay, zrobmy listę potencjalnych kandydatek — powiedziała Janice.

Siedziałyśmy przy kuchennym stole gotowe do pisania i nie mogłyśmy wymyślić ani jednego nazwiska, czego należało się spodziewać po dwóch kobietach, które ostatnimi czasy nie mieszkały w Willow Creek.

- Nie mam pojęcia — stwierdziła. - Ja też nie.

Posiedziałyśmy jeszcze trochę.

- Będziemy musiały pójść do twojej matki. - Nie!

- Carlisle, wiem, o czym myślisz, ale prawda jest taka, że w końcu i tak się dowie, kogo wybrałyśmy.

- „W końcu” jest tu słowem kluczowym. Wolałabym, żeby dowiedziała się raczej później niż wcześniej... Kiedy będzie po wszystkim i nie będzie mogła nic zrobić.

Janice się skrzywiła.

- Rozumiem. Dobrze. Jesteśmy inteligentnymi kobietami a ja dziennikarką śledczą. Powinnyśmy być w stanie się dowiedzieć, kto w tym mieście ma pieniądze.

Omawiałyśmy, jak dokładnie to zrobić, kiedy do kuchni marszowym krokiem weszła Savannah. Wraz z mężem Benem mieszkała w Wainwright House od ślubu, chociaż, oboje się zarzekali, że się wyprowadzą, kiedy tylko Savannah znajdzie idealny dom. Prawdę mówiąc, nie mogłam sobie wyobrazić siostry mieszkającej gdziekolwiek poza naszym starym domem rodzinnym.

Savannah weszła, stukając kłapeczkami ozdobionymi różowymi piórami, w przejrzystej podomce. Włosy miała skręcone w elegancki węzeł, na palcu lśniący pierścionek z diamentem przesadnej, nawet jak na teksaskie standardy, wielkości. Mogłaby pozować do katalogu „Victoria's Secret”, gdyby nie czarna satynowa maseczka do snu zsunięta na czoło.

Janice zerknęła na mnie.

— Czy ona naprawdę tak śpi? Wzruszyłam ramionami.

— Co? — chciała wiedzieć Savannah, nadąsana jak dwuletnia Robbie. Myśl o Robbie sprawiła, że w końcu dotarły do mnie hałasy. Skrzywiłam się na trzask w górnych rejonach domu, po którym nastąpiły krzyki.

Janice z uwagą przechyliła głowę, jakby dopiero teraz wszystko usłyszała. Po chwili oznajmiła:

— Nic się nie dzieje. Zawsze można stwierdzić, kiedy leje się krew albo pojawiają połamane kości. To inny rodzaj krzyku.

Przy całej swojej inteligencji Janice stanowczo brakowało wycucia wobec szwagierki.

— Janice! — wrzasnęła moja siostra, wyraźnie nie dbając o powód dziecięcych krzyków. — Musisz coś zrobić z tymi twoimi wyrodnialcami. Jak mam się wyspać przy wszystkich tych wrzaskach? - Zwyrodnialcy? Wrzaski? — zapytała groźnie Janice. - A jak ty to nazwiesz? - Normalną zabawą normalnych dzieci. - Normalnych? — Savannah uniosła ręce. — Co ty możesz wiedzieć o normalnych dzieciach? Z tego, co słyszałam, bywasz ze swoimi za rzadko, żeby odróżnić, co dobre, a co złe!

Chyba się skuliłam.

Janice nie.

- Nie jestem pewna, czy muszę korzystać z rad na temat wychowania dzieci od kobiety, która ich nie może mieć. W tym momencie wszyscy obecni nieco się zapowietrzyli. Zgubne zachowanie n I (1600): 1. krytykowanie cudzych dzieci lub umiejętności wychowawczych; 2. nazywanie wspo-mnianych dzieci wrzeszczącymi zwyrodnialcami i/lub 3. za-rzucanie bezdzietności kobiecie, która rozpaczliwie pragnie dzieci.

- Przepraszam, Savannah — z westchnieniem powiedziała Janice. Trzymała filiżankę kawy w obu dłoniach i wyglądała na skruszoną. — Uderzyłaś w czułe miejsce. Nie żeby stanowiło to wymówkę dla bycia nieuprzejmą. Rzecz w tym, że bardzo staram się sprostać roli matki, ale nie mogę cały czas być tylko mamą. Są też inne rzeczy.

Z zaskoczeniem zauważyłam, że moja siostra wydawała się zmieszana, a potem kompletnie zbiła mnie z tropu, mówiąc: - Nie, nie, to ja przepraszam. Nie miałam prawa mówić tak o twoich dzieciach.

Po czym, co było jeszcze większym szokiem, Savannah zadrżały usta.

- To takie trudne — powiedziała, walcząc ze łzami, których klan Wainwrightów nigdy nie akceptował, a przynajmniej nie w świetle dnia. — Tak bardzo chcę mieć dziecko. I kiedy widzę twoje, po prostu... zaczynam zachowywać się jak wariatka. Kobiety spojrzwały na siebie z zakłopotaniem.

— Mogłabym pożyczyć ci Robbiego. — Janice spróbowała żartu.

Savannah zaczęła płakać. O rany.

— Nigdy nie będę miała dziecka! Z Benem prawie już nie uprawiamy seksu. Najpierw myślałam, że cały ten seks w wyznaczonym czasie doprowadza go do szału. Ale teraz po prostu on jest taki zajęty! Jak mieć dziecko, kiedy Ben jest zbyt zajęty, żeby uprawiać ze mną seks?

Janice spojrzała z niedowierzaniem.

— Słuchaj. Jeżeli chcesz seksu, to uwiedź swojego męża. Nie takiej wypowiedzi spodziewałabym się po postępowej kobiecie.

— Uwiedź? — zapytała Savannah bez rumieńca, którego się spodziewałam. — To znaczy?

— Nigdy nie uwiodłaś Bena?

— No nie — przyznała Savannah.

— Savannah. Nie żyjemy w latach pięćdziesiątych. Widziałam, że moja siostra poczułaby się obrażona, gdyby

nie to, że zbyt ciekawiło ją, czego mogła nauczyć się od Janice.

— Na przykład otworzyć mu drzwi w negliżu, kiedy wraca do domu?

Roześmiałam się i szybko zamilkłam przeproszająco. Janice i Savannah zmierzyły mnie gniewnym wzrokiem.

— No co? — odcięłam się. — Mieszka w domu z matką, bratem, szwagierką, czwórką dzieci, a teraz jeszcze ze mną. Nie widzę w tym scenariuszu miejsca na nagość, negliż i drzwi frontowe.

— Prawda — przyznała Janice. — Ale chodzi o podobny klimat. Musisz wymyślić coś innego. A przy tym tłumie ludzi pewnie trudno jest czuć się seksownie. — Zastanawiała się przez chwilę. — Okay, musicie wyjść. Upij się, upij Bena, a potem pójdz za nim, kiedy wstanie od stołu.

- Kiedy wstanie? — Moja siostra się spieszyła.

- Tak. Kiedy wyjdzie na papierosa.

- On nie pali.

- No to gdy pójdzie do baru po następnego drinka.

- Ale kelner może się tym zająć. Janice westchnęła zniecierpliwiona.

- No to idź za nim do męskiej toalety, na litość boską. - Nie mogę tego zrobić! Janice wzruszyła ramionami.

- Jasne, że możesz. Jeśli inni faceci cię tam zobaczą, to gwarantuję, że zwieją, kiedy się zorientują, że nie do nich przysłaś.

- Brzmi to, jakbyś mówiła z własnego doświadczenia — powiedziałam.

Szwagierka miała na twarzy iście diabelski uśmiech.

— Powiedzmy tylko, że twój brat nigdy nie zapomni męskiej toalety w Bubba's BBQ na Szóstej Ulicy w Austin.

Skrzywiłam się, naprawdę nie chciałam jednym ciągiem myśleć o bracie i seksie. Ale nie mogłam też powstrzymać śmiechu.

— Nie ma mowy, żeby Savannah weszła za Benem do męskiej toalety — stwierdziłam. — Choćby dlatego, że nie spodobałby się jej bałagan.

— No to do milej męskiej toalety. Albo coś w tym rodzaju. Po prostu niech to będzie trochę perwersyjne. Pojęcia nie mam dlaczego, ale faceci lubią perwersje.

— Mój Ben nie lubi perwersji — oświadczyła Savannah. Janice przewróciła oczami.

— Po prostu spróbuj. Założę się, że wepchnie cię do kabiny i sprawi, że zapomnisz, gdzie jesteś.

Tym razem Savannah się zarumieniła, ale w jej fiołkowych oczach widziałam, że planowała już metodę uwodzenia.

*

Jestem zdeklarowaną zwolenniczką granic. Ich ustalania. Zachowywania. Pilnowania, żeby nikt ich nie przekroczył, by nie zbrukał mojego idealnie urządzonego świata.

W Bostonie nie było to trudne. Pobudka o szóstej, w sali gimnastycznej o szóstej czterdzieści pięć, w biurze o dziewiątej, w sądzie przed dziesiątą, praca jeszcze długo po zachodzie słońca, kolacja w mojej maleńkiej kuchni z Philipem, omawianie spraw, którymi się zajmowaliśmy, przy świecach i dobrym czerwonym winie. Kochałam moje życie tam, spokojne proste życie, kiedy zwijasz się pod kocem i czytasz książki, gdy pada gęsty śnieg, pikniki nad Rzeką Charlesa w lecie, które w Teksasie uznano by za wiosnę. Zbudowałam w Bostonie życie, które stanowiło dla mnie wyzwanie pod względem zawodowym i dawało mi spokój poza biurem. W Willow Creek zachowanie granic nie było łatwe. Wydawało się, że nikt z mojego dawnego świata nie podpisuje się pod koncepcją, że posiadanie uporządkowanego życia, planowanie i zachowanie granic są czymś dobrym.

Mimo wszystko postępowałam jak zdeterminowany żołnierz i kreśliłam linie na piasku z uporem generała Pattona podczas ofensywy w Ardenach. Mając na głowie siostrę spragnioną dyskusji o perwersyjnym uwodzeniu i bratanicę, wykorzystującą mój stojący na słomianych

nogach bal debutantek, by wbić szpilę w feministyczne serce własnej matki, żywiłam nadzieję, że nie stanę się generałem Custerem pod Little Big Horn.

To serce wojownika i tykanie zegara, przybliżające tradycyjny dzień ogłoszenia nazwisk w pierwszą niedzielę marca, zawiodły mnie na spotkanie z Isabel Foley, żoną Wenera, w biurach Foley Construction. Budynek Foley'a stał na południe od miasta, konstrukcja z różowego marmuru, która sterczała w górę jak przesadnych rozmiarów męski przydatek, otoczona niskimi rozległymi wzgórzami, gęsto porośniętymi dębami. W mieście budynek bez śladu sympatii nazywano Szczytem Głupoty, po pierwsze dlatego, że był tak nie na miejscu wśród gustownej niskiej zabudowy Willow Creek, a po drugie, ponieważ mimo uporczywych starań Wenerowi nie udawało się zwabić tam żadnych najemców. Ani jednego. Kto chciałby pracować w wielkim różowym penisie po niewłaściwej stronie miasta?

W przeciwieństwie do wszystkich, którzy trzymali się z daleka od wspomnianego budynku, ja trafiłam tam w potrzebie. Chciałam mianowicie odnaleźć nastolatki z pieniędzmi, a Foleyowie taką mieli. Chociaż ich różowy kaprys nie stał się przebojem wśród biznesmenów poszukujących przestrzeni biurowych, wszystkie inne postawione przez firmę nieruchomości osiągnęły rekordowe ceny za stopę kwadratową. A to oznaczało, że Foleyowie mieli kupę gotówki.

Zjawiłam się w biurach Foley'a za dziesięć dziesiątą na wyznaczone na dziesiątą spotkanie z Isabel, wiceprezes Foley Construction. Podczas gdy kobiety w klubie snuły domysły, że stanowisko Isabel jest tylko na pokaz, uważałam panią Foley za znacznie bardziej rozgarniętą niż jej mąż. W każdym razie kobieta wiceprezes dużej firmy dobrze robiła Willow Creek. Janice poparła mój kontakt z rodziną Foleyów w stu procentach.

- Dzień dobry, panno Cushing — powiedziała recepcjonistka. — Pani Foley właśnie kończy spotkanie wyznaczone na dziewiątą. Proszę usiąść w poczekalni, poproszę panią, gdy będzie gotowa.

— Dziękuję.

Biura ozdobiono masą różowego marmuru (musieli dostać dobrą cenę), meble były lśniące i nowoczesne, z sięgających od podłogi do sufitu okien roztaczał się widok na środkowy Teksas. W poczekalni na bufecie wystawiono kawę i pączki. Nigdy nie przepuszczam dobrego pączka ani gorącej kawy, więc poszłam je zbadać, a potem o mało nie wyskoczyłam ze skóry, kiedy podszedł do mnie Jack Blair we własnej osobie.

- Jesteś dziś nerwowa - zauważył, nalewając sobie filiżankę, — Czy kawa to na pewno dobry pomysł?

Odwracając się twarzą do mnie, pociągnął łyk i czekał na odpowiedź. Skupiłam się na pożywieniu, ale ledwie widziałam półmisek śniadaniowych słodkości, pojemnik z kawą, srebrną misę wypełnioną kostkami cukru i oparte o nią srebrne szczypczyki. Stał zaledwie kilka cali ode mnie, ciepło jego ciała wyczyniało dziwne rzeczy z moim umysłem. Gwoli ścisłości, kiedy ostatnio znajdowałam się tak blisko Jacka Blaira, byłam naga. W jego łóżku. W domku na północ od centrum miasta. Jego czarny harley stał od frontu zaparkowany pod dziwnym kątem, tak się spieszyliśmy, żeby wejść do środka i zrzucić ubrania.

Przypomniałam sobie, że zdarzyło się to trzy lata temu, i przeklełam własne usta za to, że na samo wspomnienie rozchylały się w drżącym oddechu.

Sięgnęłam po porcelanową filiżankę w chwili, gdy on chciał coś wziąć ze stołu, i nasze ręce się zetknęły — właściwie zderzyły. Wszystko jedno, wrażenie było elektryzujące. Co za absurd.

Ze spokojem, którego nie czułam, cofnęłam się, wzięłam filiżankę, napełniłam ją kawą, potem wybrałam pączka z lukrem.

— Odrobina kofeiny jeszcze nikomu nie zaszkodziła. A poza tym — dodałam, stawiając na humor, choć wymuszony — lubię żyć niebezpiecznie.

Ugryzłam pączka i odwróciłam się twarzą do Jacka, bo nie mogłam cały dzień gapić się na stół. Stanięcie z nim twarzą w twarz okazało się błędem ze względu na jego niesamowitą zdolność do odbierania mi mowy. Ciemne włosy miał zaczesane do tyłu, rzeźbioną szczękę, no cóż, rzeźbioną, ramiona były stanowczo zbyt szerokie i silne pod niebieską marynarką. Mogę tylko powiedzieć, że na szczęście nie założył pięćsetjedynek.

- Kofeina i tłuszcze — uniósł brew. — Inaczej widzę niebezpieczne życie.

Pokręcił głową. Iskra rozbawienia zabłysła w brązowych oczach, gdy wyciągnął rękę, wycierając mi kącik ust z takim spokojem, tak zwyczajnie, jakby dotykał mnie codziennie. Jednak w chwili, gdy jego palec z lukrem nieco się odsunął, oboje zamarliśmy.

Zmarszczył brwi, gdy zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Potem, opuszczając dłoń, zaklął, przysięgam. Stałam bez ruchu, ponieważ przebiegł mnie zdradziecki dreszcz, kumulując się w miejscach, w których kumulować się nie powinien, a przynajmniej nie z powodu Jacka Blaira, który nie należał już do mojego życia.

Kiedy ukończyłam liceum w Willow Creek, poszłam na uniwersytet w Willow Creek. Jack już tam był, wspaniały, niepokojący, dziki, znany ze skłonności do bójek. Mimo to (a może właśnie dlatego) był marzeniem każdej dziewczyny w kampusie.

Moje postanowienie, żeby trzymać się z dala od facetów, przetrwało do końca liceum i trwałoniearuszone, kiedy poszłam na studia. Skupiłam się na nauce, zdecydowana zostać świetnym

adwokatem, ale nawet ja nie mogłam spędzać każdej chwili z nosem w książce. Media trąbiły o konieczności ćwiczeń, więc zaczęłam biegać, często na bieżni w sali gimnastycznej.

W dniu, gdy ponownie zobaczyłam Jacka, byłam roztargniona. Usilnie starałam się unikać mojej współlokatorki Betsy, która jako formę fizycznej aktywności wybrała seks ze swoim chłopakiem. Eddie spędzał w naszym domu całe godziny. Razem z Eddiem przychodzili jego przyjaciele. Skąd mogłam wiedzieć, że należał do nich Jack?

Właśnie wróciłam z treningu z butami do biegania upchniętymi w wielkiej torbie, której używałam jako torby gimnastycznej, i usiłowałam uniknąć bandy Eddiego i jego przyjaciół, na palcach przemykając przez drzwi frontowe i zmierzając prosto do własnego pokoju.

— Czy to nie mała Carlisle Cushing?

Skuliłam się, po pierwsze dlatego, że w razie porażki na wydziale prawa najwyraźniej nie mogłabym zostać szpiegiem, a po drugie, ponieważ głos należał do Rogera Dubaca, studenta ostatniego roku, którego uważałam za niezbyt miłego. Był to olbrzym, który w ramach sportu pijał piwo.

— Cześć, Roger. — Spuścić głowę. Iść dalej.

— Biegałaś w tych prowokujących ciuchach? — Szorty i bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem trudno byłoby uznać za perwersję, ale mniejsza o to. Musiałam policzyć do dziesięciu, żeby nie powiedzieć czegoś, co tylko pogorszyłoby sprawę.

— Widziałem w mieście twoją matkę i siostrę — zachichotał lubieżnie — ubierają się przyzwoicie, ale nie miałbym nic przeciw temu, żeby którąś zaliczyć.

Liczenie nie pomogło. Odwróciłam się na pięcie, żeby podzielić się z nim swoimi przemyśleniami albo może przyłożyć mu torbę, jednak nie zdążyłam.

— Co jest, kurwa, masz jakiś problem, Roger?

Jack stał tam niczym jakiś rycerz w czarnej skórzanej zbroi. Ciemne włosy miał szesane do tyłu, sięgały ramion. Skórzana kurtka pokazywała skrawek czarnego T-shirta.

W liceum wyglądał jak chodzący kłopot. W coilege'u wszystko w nim wielkimi pulsującymi literami wołało: „niebezpieczeństwo”.

- A co ci do tego? — odciął się Roger.

Jack był wyższy od Rogera, ale ten przeważał go dobrą setką funtów czystego tłuszczu. A jednak jedno spojrzenie na twarz Jacka zachęciłoby pilbula do wymiany metalowej kolczatki na różową koronkę i paciorki. Roger był ostrożny, ale się nie wycofał.

- Może więcej, niż myślisz — stwierdził Jack. — I na twoim miejscu wyniosłbym się stąd w cholerę, zanim pozwolę jej dołożyć ci tą torbką. Wygląda, że mogłaby narobić szkód.

Roger coś mruknął i cofnął się do kuchni. Jack zwrócił się do mnie.

- Przepraszam...

Roger okręcił się w miejscu i skoczył na niczego niespodziewającego się Jacka. Ten się zachwiał, ale tylko przelotnie. Mocowali się przez minutę czy dwie, wywabiając wszystkich z kuchni.

- Cholera! — wrzasnął Eddie. — Co robicie?

— Jasna dupa — stwierdził ktoś inny, wyraźnie pod wrażeniem bójki.

— Hej, hej, hej — wydusiłam. Obijali się o ściany, a to ja przecież wpłaciłam kaucję za dom.

— Natychmiast przestańcie.

Nikt mnie nie słuchał. Jack i Roger walnęli w ścianę i (szczęśliwie solidny) dębowy stół niczym para pijanych tancerzy, a potem zobaczyłam, że w Jacku zaszła jakaś zmiana. Ryknął gardłowo, ostro szarpiąc Rogera, i szybko przygwaźdżając tłustego opilca do ściany.

Ciężko oddychał, brązowe oczy miał dzikie.

— Rany. — Pozostali faceci cofnęli się o krok.

— Cholera — dodał głośno Eddie. — Za długo się przyjaźniliście, żeby tak to spieprzyć.

Przysięgam, wyglądało, jakby Jack mógł zabić Rogera.

— Jack? — odezwałam się łagodnie. Zauważyłam, że zadrzał, potem głęboko zaczerpnął powietrza i z pchnięciem puścił przeciwnika. Otrząsnął się, a po chwili wrócił mu uśmiech. Potem strzepnął kurz z ramion Rogera, jakby doprowadzał do porządku młodszego brata.

— Nie zadzieraj z nią, Rog. Tylko tyle. Roger się rozluźnił.

— Jasne, przepraszam, stary. — Jack skinął głową, a potem wymienili uścisk dłoni.

Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Nie miałam doświadczenia z facetami nawet we własnym domu, nigdy wcześniej niczego takiego nie widziałam. Przyciskając do piersi torbę, bez obawy, że dom jest zagrożony dalszym zniszczeniem, nie czekałam na rozwój sytuacji. Jednak Jack jeszcze ze mną nie skończył.

— Przepraszam cię za tamto — powiedział, wchodząc do mojej sypialni, jakby od naszego ostatniego spotkania nie minęły cztery lata, jakby przed chwilą się nie bił. — Jak się masz? — Zatrzepotało mi serce i tak dalej. Obszedł mój pokój i obejrzał tablicę z kalendarzem, planem zajęć, bieżącą dietą. Stanął, gdy dotarł do biurka. Moje serce też stanęło, kiedy z wyrazem zmieszania na twarzy wyciągnął rękę i dotknął plastikowego pierścionka, który dał mi w liceum. Nawlokłam go na łańcuszek i powiesiłam na ozdobnej gałce na ramie lustra. Wiem, żalosne, ale na swoją obronę dodam, że miałam tylko osiemnaście lat. Widziałam trybiki obracające się w jego głowie, ale nie rozgryzł sprawy.

— Jack! — wyrwało mi się nagle. Odwrócił się, wciąż zmieszany.

- Co mówiłeś? — zagadnęłam radośnie, przerywając mu i iąg myśli. -Co?

- Pytałeś, jak się mam — wyjaśniłam. Jasne, było to dość nieudolne, ale naprawdę nie chciałam, żeby przypomniał sobie, skąd pochodzi pierścionek. Ale byłby wstyd.

Mówiłam pospiesznie:

- U mnie wszystko dobrze. A u ciebie? Bo po waszej sprzeczce najwyraźniej nic ci nie jest. Zaśmiał się.

- Przez lata mieliśmy z Rogerem liczne takie sprzeczki. Podejrzewam, że ta nie będzie ostatnia. O rany.

- Cóż. — Jak na coś takiego odpowiedzieć? — No to świetnie. Na pewno musisz już iść.

— Tak, muszę. — Wzruszył ramionami, po czym na mnie spojrział. — Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

Jakim cudem taki niedostępny łobuz, z którym nic mnie nie łączyło, niezmiennie sprawiał, że czułam się... sama nie wiem, bezpiecznie?

- U mnie? Wszystko dobrze. Zupełnie dobrze.

— Roger nie jest taki zły. Po prostu wie, że go nie lubisz. Najpierw o mało faceta nie zabił, a teraz go broni?

— Nie ma nikogo, kogo bym nie lubiła. Tylko się zaśmiał.

— Nie wszyscy jesteśmy jak on.

— Spokojna głowa, Roger mnie nie niepokoi. Niepokoją mnie tacy jak ty.

— Ja?

Jak zza kulis w kiepskiej sztuce rozległ się dziewczęcy głos:

— Jack, gdzie jesteś? Skinęłam głową.

— Tak, dziewczyna musi się wystrzegać właśnie takich jak ty.

— Dlaczego?

— Z daleka pachną złamanym sercem.

— Nie chcę łamać ci serca. Tym razem ja się roześmiałam.

— Zapewniam cię, Blair, że nie będziesz miał okazji.

— Jack!

— Lepiej się pospiesz — powiedziałam, popychając go do wyjścia.

Gdy tylko przeszedł przez próg, gwałtownie zamknęłam drzwi. Osłony podniesione, radar włączony. Nie zamierzałam być jak moja matka, której życie zawsze obracało się wokół jakiegoś mężczyzny.

Dokładnie tak samo czułam się całe lata później, stojąc w budynku Foleya. Wśród tych różowych marmurów zamknęłam oczy i pomyślałam o Bostonie, uporządkowanej siatce ulic

w Back Bay, idealnie przystrzyżonych trawnikach w parku publicznym, Philipie i kojącym kolorycie jego piaskowych włosów oraz bladozielonych oczu.

— Granice — wyszeptałam.

Kiedy otworzyłam oczy, Jack mi się przypatrywał i wyglądał na tak samo nieszczęśliwego jak ja.

- Przestań to robić — zdołałam powiedzieć.

— Co robić?

Gwałtownie machnęłam palcem (z tłuszczem i całą resztą) w kierunku jego twarzy. - To.

— Nic nie zrobiłem.

— Nieważne. A teraz chciałabym się pożegnać.

- Oczywiście. Zaczęłam się odwracać.

- Ale najpierw pomóż mi zrozumieć. — Zatrzymał mnie. Odstawił kawę. Jęknęłam.

- Co zrozumieć? Szczerze mówiąc, nie wyglądało na to, by miał pojęcie, o czym mówi, i być może wcale nie chciał znać odpowiedzi.

- Słuchaj, żadnego spoufalania, jasne? — Nawet w moich oczach zabrzmiało to absurdalnie. Jack odrzucił głowę w tył i głośno się roześmiał.

- Ale spoufalanie może być takie zabawne — powiedział, podchodząc bliżej. Zaczął z niego wyłazić stary Jack, którego znałam, zły, owszem, dziki, to prawda, ale nie bezwzględny.

Myśli o mnie, o nim i tym, co „zabawne”, wirowały mi w głowie jak nawijana na patyk w dzień targowy cukrowa wata.

- Nie będzie żadnej zabawy. — Zakrztusiłam się tymi słowami. Ale doprawdy ostatnią rzeczą, której potrzebowałam, byłyby dalsze komplikacje podczas tej już i tak skomplikowanej podróży do domu.

— Daj spokój. — Usta mu drgnęły. — Ani trochę? Ze względu na dawne czasy?

— Nie. Żadnej zabawy. — Dla podkreślenia tam i z powrotem przesunęłam stopą po podłodze. — Ty i ja. Granice — powtórzyłam.

Ponownie pojawiło się to coś mrocznego.

— Ty i twoje granice. — Chwilę później znów zaklął

i przyciągnął mnie do siebie. Ramiona miałam przyciśnięte do boków, w jednej ręce trzymałam kawę, w drugiej pączka. A potem mnie pocałował. I nie mówię o jakimś całusie w policzek. To był pocałunek, który wstrząsnął mną do głębi, zachłannie biorący w posiadanie moje usta, pocałunek, który sprawił, że straciłam grunt pod nogami. Moje ciało drżało. Granice zostały przekroczone.

Przez pół sekundy stałam nieruchomo. Poczułam jednak, jak moje zdradzieckie ciało topnieje, pocałunek stał się głęboki i gorący i chyba nawet jęknęłam.

Po chwili się odsunął, ale dzięki Bogu nie puścił mnie, bo przysięgam, że upadłabym na podłogę. Nachylił się i wyszeptał:

— Kiedy się wreszcie nauczysz, że w życiu zabawny jest nieład?

Prawie nie słyszałam zbliżających się kroków. Na szczęście Jack owszem, bo cofnął się, chociaż musiał wyciągnąć do mnie rękę, żebym nie upadła.

— Panie Blair, pani Foley teraz pana przyjmie.

— Dziękuję, Adele — powiedział, patrząc na mnie. — Pamiętaj — dodał, to coś mrocznego zniknęło, a wkurzający uśmiezek wrócił na miejsce. — Nieład jest dobry.

Wyszedł, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć, zresztą i tak bym się nie odezwała, bo w mózgu wybuchwały mi fajerwerki, których ofiarą padło moje ciało. Czułam niejasną potrzebę, żeby go dogonić i wymierzyć mu policzek... no dobrze, tak naprawdę chciałam się na niego rzucić i zażądać, żeby wziął mnie tu i teraz, w wielkim różowym fallusie z marmuru. Z dumą mogę stwierdzić, że zamiast to zrobić, okiełznałam krnąbrne myśli i czubkiem stopy kreśliłam tę samą linię, jeszcze i jeszcze raz, tym razem z większą determinacją. Recepcjonistka patrzyła na mnie, jakby rozważając, czy powinna wezwać ochronę.

Rozdział 8

Przez trzy kolejne dni wysilałam mózg, by znaleźć potencjalne debutantki. Ledwie pamiętam spotkanie z Isabel Foley, ale wiem, że kiedy wprowadzono mnie do jej biura (Jacka nie było w zasięgu wzroku), nadal mruczałam o granicach. Isabel z żalem wyjaśniła, że poczynili już kroki w sprawie debiutu córki w Nowym Jorku. Prawdę mówiąc, szybko się przekonałam, że tłum nuworyszy (lekceważonych przez wyższe klasy społeczne Willow Creek przez stulecie) zaczął zabierać córki do Nowego Jorku i Paryża, by debiutowały z potomstwem filmowców z Hollywood i przebrzmiałych gwiazd rocka.

Wyszukałyśmy z Janice piętnastkę ludzi mających masę pieniędzy, bez starych nazwisk, po przejrzeniu w bibliotece publicznej najnowszych numerów „Willow Creek Times” i „Texas Monthly”. Uzbrojona w numery telefonów ustaliłam spotkania.

Philip dzwonił przynajmniej raz dziennie, czasem częściej, i każda kolejna rozmowa upływała w nieco bardziej napiętej atmosferze, gdy nie chciałam określić daty jego przyjazdu do Teksasu. Poza tym, mimo że teoretycznie byłam na urlopie, z biura dzwonili niemal równie często.

- Allison - powiedziałam do asystentki głównego wspólnika. - Przy nowej umowie przedmażeńskiej Walterowi może pomóc Deidra z biura Billa Pellersona.

Ale Walter nie chce Deidry ani nikogo innego, chce ciebie.

Jeśli nie Walter z nowa intercyzą, to z kolei dzwonił ktoś, kto dostał moje nazwisko od przyjaciela, którego reprezentowałam. Z powodów, których nigdy do końca nie pojęłam, wydawało się, że nikt nie rozumie pojęcia "urlopu naukowego" i tego, co właściwie oznacza. Zaczęłam się wzdragać za każdym razem, ilekroć dzwoniła moja komórka. Rzucenie się w wir spotkań w poszukiwaniu tych wymykających się debiutantek w gruncie rzeczy okazało się wytchnieniem.

Po sprawdzeniu pierwszych dziesięciu nazwisk, które znalazłyśmy z Janice podczas naszych poszukiwań, tylko trzy rodziny były skłonne zaangażować się w bal debiutantek. co dawało cztery dziewczynki, wliczając Morgan. Niezbyt imponująca średnia, szczególnie że zostały nam tylko cztery dni do tradycyjnego ogłoszenia nazwisk w gazecie.

W którymś momencie Janice, kwestionując moje umiejętności, postanowiła towarzyszyć mi na spotkaniu.

Proszę mi opowiedzieć o swojej córce zagadnęła bogatą, świetnie ubraną Elizabeth Peters, pochylając się jak reporterka, która usiłuje dojść, kto naprawdę otworzył w sąsiedztwie przetwórnę kokainy.

- Jaką ma średnią ocen? - chciała wiedzieć Janice.

Elizabeth tylko na nią patrzyła.

- Czy uważa pani córkę za inteligentną? - Czy jest. po prostu przeciętną dziewczyną, która szaleje za chłopakami?

Elizabeth się spięła.

- Pani Peters - wtrąciłam grzecznie, rzucając Janice sceptyczne spojrzenie - przyszłyśmy zaprosić pani córkę Emily do wzięcia udziału w tegorocznym balu debiutantek.

Janice znów pochyliła się w przód.

- Wiemy, że to wstrętne, więc proszę nie czuć się urażoną wystosowaniem do niej zaproszenia. Choć to trudne, proszę myśleć o tym jako o dobrym uczynku na rzecz społeczności, a nie jak o targu niewolników.

Zatrzaśnięto za nami drzwi i znalazłyśmy się na frontowym ganku w rekordowym czasie. Przysięgam, że nie triumfowałam.

W sumie nie miałam się z czego cieszyć. Zostało nam czterdzieści osiem godzin do czasu podania nazwisk do gazety, matka suszyła mi głowę, żądając informacji o tym, kogo mamy, a

nadal dysponowałyśmy tylko czterema debiutantkami, podczas gdy tradycja wymagała ośmiu. Po dotarciu do domu byłam zdesperowana.

Dzwonek zabrzmiał, gdy siedziałyśmy z Janice w kuchni, omawiając nowy plan ataku. Lupe poszła otworzyć, przez ściany dotarły do nas ostre głosy, po czym służąca energicznie przepchnęła się do kuchni przez drzwi wahadłowe. - Lupe? Co się tam dzieje? - Ta dziewczyna. India. Ona niemiła. - India? Jaka India? — India Blair — z oburzeniem pociągnęła nosem. — Widuję jej w mieście, kiedy idę zakupywać (tłumaczenie: na zakupy).

— Blair, z rodziny Blairów? — zapytała Janice.

— Si — Lupe demonstracyjnie odchrząknęła. — Ona mówi, że słyszy o pani balu debiutantek.

— Córka Huntera Blaira? Chce być debiutantką? — dopytywała się Janice.

— Chyba, i czeka tam na panie.

Skrzywiłam się. Hunter Blair (1963), człowiek, który: 1. bardzo rzetelnie podpadał pod kategorię (bardzo) dużych pieniędzy z nazwiskiem wywołującym (potężny) dreszcz; 2. był starszym bratem adwokata przeciwnika mojej matki... co wszystko razem prowadziło do punktu 3. stanowczo nie mógł liczyć na aprobatę Ridgely Wainwright Cushing Jameson Lackley Harper Ogden.

— Powiedz jej, że mnie nie ma.

Janice z początku milczała, potem coś mruknęła. I nie zabrzmiało to jak mruknięcie o znaczeniu „odeślij ją”.

— Mów o Hunterze, co chcesz — stwierdziła — ale jest tak bogaty, jak to w Teksasie tylko możliwe. Ponadto wygląda na to, że ma osiemnastoletnią córkę. Która stoi w holu. Nie znasz powiedzenia, że „darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby”?

Miała rację.

Czując coś więcej niż lekką obawę, wyszłam za Janice z kuchni. Drżałam na myśl o tym, jakiego rodzaju dziecko mógł spłodzić Hunter Blair. Widywałam jego zdjęcia w gazetach. Jack był ciemny i miał rzeźbione rysy, Hunter żyłasty i nie miał nic wspólnego z pięknem. U mężczyzny można to uznać za swego rodzaju zaletę, ale niech mi wolno będzie stwierdzić, że nigdy, przenigdy nie służy to kobiecie. Przynajmniej nie w Teksasie.

Gdy wreszcie zobaczyłam Indię Blair, rzeczywistość okazała się gorsza od moich wyobrażeń. Dziewczyna była ładna... jeśli ktoś gustuje w dziwkarskim stylu a la Britney Spears w Oops. I've Done It Again w czasach sprzed ogolonej głowy.

India dodawała sobie wzrostu czteroccalowymi obcasami, ciemnoblonde włosy miała poprzedzielane grubymi pasemkami. Nosila superobcisłe spodnie ze spandeksu i coś w

rodzaju prześwitującej dziewczęcej minisukienki, która falowała jej wokół bioder, z jaskrawym stanikiem pod spodem.

— O mój Boże — wyszeptała Janice. — Kto wypuścił to dziecko w takim stroju?

Ten właśnie Hunter Blair, którego przed chwilą tak elokwentnie wychwalałaś. Jęknęła.

Jednak India nie przysłała sama. Krok za nią stały dwie równie „skromne inaczej” dziewczyny.

Bogata żdzira ze świtą.

India zerknęła na Janice, potem na mnie.

Pani musi być Carlisle Wainwright Cushing. — Ponownie spojrzała na Janice. — A pani?

Janice się spięła.

- Janice Reager — powiedziała pełnym wyższości tonem.

- Nigdy nie słyszałam.

- Więc pewnie nie czytasz gazet. India prychnęła.

- Pewnie.

Zawody w pluciu między trzydziestosiedmioletnią dziennikarką a nastolatką. Właśnie to był moment na wykazanie się mądrością i powrót z podkulonym ogonem do Bostonu i pielgrzymów.

— Więc, Carlisle — chłodno stwierdziła India — oczywiście wiesz, kim jestem.

Nie muszę chyba mówić, że żadna osiemnastolatka (nawet wyjątkowo doświadczona) nie mogła mnie speszyć.

— Powiedziano mi, że nazywasz się India Blair i chcesz zostać debiutantką.

— Dokładnie. Tak samo moje przyjaciółki. Abby Bateman i Tiki Beeker. Nie przejmuj się, mają pieniądze. I nasi rodzice wydadzą je na twój bal.

Świta przytaknęła z dumą.

— Pewnie słyszałaś o ich ojcach. Grady Bateman i Armand Beeker. Totalnie bogaci. Nie tak bogaci jak mój tata, ale prawie.

Abby miała na sobie koronkową bluzkę, stosowny efekt psuł jednak pomarańczowy stanik, ciasna krótka džinsowa spódnica i czerwona koperta ze skóry krokodyla, którą ścisnęła pod pachą. Tiki włożyła odsłaniający brzuch T-shirt, podwinięte džinsy biodrówki, do tego czterocalowe grube obcasy i skarpetki z falbanką wokół kostki. Nie potrafiłam sobie wyobrazić żadnej z tych dziewcząt w obowiązkowej dziewiczej debiutanckiej bieli.

— Cóż, Indio — zdołałam powiedzieć - to uroczo, że przyszłyście, ale...

— Ale co? Wiem wszystko o balach debutantek. Trzeba mieć bzylion przyjaciół i przyjaciół rodziców, którzy siedzą przy potwornie drogich stołach. Więc żebyś wiedziała, mój tata ma tony przyjaciół i tony pieniędzy i wiem, że zamówiłby przynajmniej cztery stoły.

W głowie zawirowały mi liczby. Cztery po dziesięć tysięcy za sztukę — od jednej dziewczyny. India uśmiechnęła się z przekąsem.

— Plus ojcowie Abby i Tiki, którzy zrobią to samo. Zawsze robią to, co mój tata.

Dziewczyny z pieniędzmi. I to z całą ich masą. Zakręciło mi się w głowie.

Potem przypomniałam sobie, o jakiego rodzaju pieniądze chodzi. Pieniądze wzbudzające dreszcz niechęci. Staniemy się pośmiewiskiem.

Janiec przysunęła się do mnie.

— Po seniorze Rinaldim bal i tak już jest pośmiewiskiem. Moim zdaniem powinniśmy w to wejść. Co myślisz?

Prawdę mówiąc, myślałam, że nie powinnam mieć uczuć wypisanych na twarzy.

— A na moje przyjęcie — ciągnęła India — zabiorę wszystkich samolotem mojego taty (G4, dziękuję bardzo) do Nowego Jorku na imprezę na szczycie budynku Blaira.

Sstentacyjne obnoszenie się z bogactwem. Bardzo nie w stylu towarzyskich kręgów Willow Creek.

- Abby i Tikki też zrobią coś fajnego. - Czy Abby i Tikki potrafią mówić? — zapytałam. India przewróciła oczyma, Abby i Tikki zachichotały, nagle bardziej przypominając nastolatki, którymi były.

- Cóż, to bardzo miło z twojej strony — powiedziałam. Słowa te same mi się wyrwały, głównie dlatego, że pieniądze, czy nie, wiedziałam, że matka mnie zabije, jeżeli dopuszczę kogoś z Blairów choćby w poblże balu debutantek. — Przed-stawimy twoją... hojną ofertę komitetowi. Janice gapiła się na mnie z niedowierzaniem.

- Słuchaj, potrzebujesz debutantek — powiedziała India. — Ja chcę być debutantką. Decyduj teraz.

Musiała opanować technikę negocjacji, siedząc na ko-lanach swego ojca, który słyzył z tego, że dostawał, co chciał.

- Skąd to wszystko wiesz? — zapytałam. Zastanawiała się przez chwilę.

- Od Betty Bennett. Właściwie jest we mnie zakochana, Zawsze stara się zrobić na mnie wrażenie. — Znudzona wzruszyła ramionami. — Jak zwykle się nade mną rozplýwała. Kręciła się przy mojej szafce. I powiedziała, że poprosiłaś, Żeby została debutantką. - Odmówiła.

- Dzięki Bogu — odparła India z czymś w rodzaju prych-nięcia. — Kto by chciał debiutować z taką ofiarą?

Muszę zaznaczyć, że wcale nie poczułam się lepiej dlatego, że dokładnie to samo pomyślałam o Betty kilka dni wcześniej. - No więc? Łapiemy się? Nie mogłam się zdobyć, by potwierdzić, nie mogłam się zdobyć, by zaprzeczyć. Upadliśmy tak nisko. Matka mnie zabije. Ale nie mogłam zignorować faktu, że byliśmy zdesperowane. To oznaczało tylko jedno...

— Zgoda.

— Wszystkie trzy?

— Tak. Wszystkie trzy.

Świta pokiwała głowami z chłodną wyższością. India spojrzała na mnie z triumfującym uśmiechem.

— Niech twój ojciec do mnie zadzwoni i wszystko ustalimy. Twarde spojrzenie Panny Zwycięskiej zmiękło.

— A, tak. — Roześmiała się, ale z przymusem. — Mój błąd. Właściwie to tata nie wie, że tu jestem.

— Co takiego? — zdumiała się Janice.

— To nic wielkiego - oznajmiła India. — Musicie go tylko przekonać, żeby pozwolił mi zostać debiutantką.

— Co takiego? — Tym razem to ja byłam zdumiona.

— Ojciec nie jest wielkim fanem tych towarzyskich rzeczy — wyjaśniła India. — Mówi, że nie będzie się poniżał. Ale jeżeli ktokolwiek może go przekonać, żeby mi pozwolił, to Carlisle Wainwright Cushing.

— Nie zamierzam nikogo przekonywać — a zwłaszcza Huntera Blaira — żeby „poniżał się”, biorąc udział w uświęconej tradycją imprezie. To przywilej być zaproszonym.

India się skrzywiła.

— Ta tradycja pójdzie się gonić, jeżeli nie zdobędziesz ośmiu debiutantek.

A więc znów doszliśmy do tego punktu.

I w ten właśnie sposób mnie, Carlisle Wainwright Cushing, przypadło w udziale nie do pozazdrosczenia zadanie stawienia czoła starszemu bratu Jacka Blaira, by wyraził zgodę na debiut swojej jakże uroczej córki podczas Setnego Dorocznego Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego w Willow Creek.

Rozdział 9

Nie mając czasu do stracenia, następnego wieczoru, nie powiedziałam ani słowa matce i udałam się do domu Blairów. India stwierdziła, że powinnam przyjść tego wieczoru o siódmej, Jej ojciec będzie w domu. Na sto procent.

Wiedziałam (podobnie jak reszta Willow Creek), że Hunter Blair był rozwiedziony. Jego młoda żona, najwyraźniej aspirując do stereotypu, uciekła do Hollywood zaraz po urodzeniu Indii. Tym, co nie mieściło się w schemacie, był fakt, że zrzekła się wszelkich praw do dziecka, aby odzyskać wolność. A potem nie próbowała odzyskać wspomnianych praw, kiedy zmęczona brakiem sukcesów w biznesie filmowym ponownie wyszła za mąż i założyła nową rodzinę niecałe pięć minut od miasta, w południowym Willow Creek.

Hunter nigdy się już nie ożenił i mieszkał z córką na Osiedlu Wierzbowym, w prestiżowej zamkniętej dzielnicy, do której nie miał wstępu nikt poza wielkimi bogaczami, ich służbą i oczekiwanymi gośćmi.

Zjawiłam się przy bramie, gdzie jak pospolity przestępca zostałam przesłuchana przez niskiego mężczyznę w mundurze.

Po chwili wrócił do swojej stróżówki, zadzwonił do, jak sądzę, domu Blairów i oznajmił:

— Czekajom na paniom.

Następnie spisał mój numer rejestracyjny, wypełnił formularz, umieścił go za moją przednią szybą, wskazał drogę (cha, cha) i wpuścił. Wijące się ulice i uliczki Osiedla Wierzbowego wpasowano w rozległe wzgórza centralnego Teksasu, pokryte wierzbą, cedrem, pekanem i dębami obrośniętymi mchem luizjańskim. Willow Creek jest równie wyrafinowane jak Dallas, ale zachowało słodki urok Austin, a przynajmniej było tak, zanim stolica stanu zapelniła się nowego typu politykami, którzy traktują politykę jak sport.

Wjechałam w górę brukowanej uliczki Błękitnej Wierzby, zgodnie z instrukcją skręciłam w prawo w podjazd Płaczącej Wierzby i pomyślałam, że faktycznie się rozplaczę, kiedy przed domem Blairów zauważyłam mnóstwo samochodów i kilku parkingowych. Najwyraźniej trwała jakaś impreza.

— Witam — powiedział młody parkingowy w mundurze. — Trochę się pani spóźniła, ale proszę się pospieszyć, to nikt nie zauważy.

Nic dziwnego, że India była taka pewna obecności ojca. Po raz kolejny mnie zmanipulowała. Ta dziewczyna była niezła. Szczerze mówiąc, odwróciłabym się na pięcie i odjechała, gdyby nie to, że zostałam już zaanonsowana, a nie chciałam, by mój odjazd wyglądał na ucieczkę. Wysiadłam z volvo z nadzieją, że sweterek od St. Johna i spódnica, którą do niego dobrałam,

korzystając z szafy Savannah, okazała się stosownym strojem. Wecisnęłam dzwonek i drzwi z miejsca otworzył lokaj.

— Jestem Carlisle Cushing, do pana Blaira.

India majestatycznym krokiem weszła do holu. Nadal była ubrana jak zdzira, a jej chabrowe oczy błyszczały triumfem.

— Pomysłowy sposób, żeby cię wprowadzić, nie uważasz? — powiedziała. Chyba okazałam niezadowolenie. — Wszystko jedno. Tylko tak mogłam to załatwić. On ciągle jest zajęty.

— Indio — powiedziałam najuprzejmiej, jak potrafię — naprawdę nie sędzę, żeby to był dobry pomysł i żeby zadziałał. — Tak naprawdę zależało mi na następnym zdaniu. — Zadzwońię do niego rano.

— Jasne. Nie masz tyle czasu. Halo? Czas płynie i tak dalej. Choć irytująca, miała rację.

Prychnęła pogardliwie.

— Bez przesady, po prostu spotkaj się z nim teraz.

Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła mnie przez wspaniałe foyer — moje rozsądnej wysokości obcasy stuknęły o marmurową podłogę — do wielkiej sali. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że dom wyglądał imponująco. Weszłam do pomieszczenia, które okazało się rotundą z sufitem na wysokości drugiego czy trzeciego piętra, przeszkloną kopułą i wiszącym w centralnym punkcie współczesnej roboty żyrandolem. Obiegało ją coś w rodzaju antresoli wychodzącej na wielką przestrzeń. Ktokolwiek zbudował ten dom, był mistrzem.

Umeblowanie jednak nie prezentowało się tak wspaniale. Kosztowne, najwyraźniej Blair wydał na antyki małą fortunę, ale żaden mebel nie pasował do oszałamiającego w swej nowoczesności pałacowego wnętrza z marmuru, szkła, stali i granitu. Meble stanowiły mieszmasz pudełkowatego stylu wczesnoamerykańskiego, delikatnie rzeźbionego Ludwika XV, Chippendale'a i Shakera. Gobelinowe dywaniki i dywany z Aubusson leżały obok siebie, co tworzyło zestaw w stylu mrożone gofry i tabliczki dobrej francuskiej czekolady. Powszechnie dostępne reprodukcje wisiały obok czegoś, co wyglądało jak oryginalny Rembrandt. Na szczęście, dzięki złotemu akcentowi (guziki na moim topie), nie wyglądałam na osobę nie na miejscu wśród zestawu wystrojonych gości. Szybko przebiegłam wzrokiem towarzystwo i zorientowałam się, że w całym tym tłumie nie ma nikogo o szacownym starym nazwisku, ale wszyscy wydawali się mieć masę pieniędzy. Mężczyźni po czterdziestce i pięćdziesiątce, ich żony po dwudziestce i trzydziestce. Krótka po trzydziestce. Nawet biorąc pod uwagę młody wiek kobiet, dało się zauważyć dość botoksu, by zatruć nieduże państwo. Opalone twarze zamaryły w swej perfekcji, tylko oczy i uśmiechy dowodziły emocji.

Jedyną kobietą, która wyglądała normalnie, okazała się Nikki Grout, żona Howarda Grouta. Całe wieki temu chodziłyśmy razem do szkoły, ale z powodu mojego upodobania do wyższej matematyki i wkuwania, nigdy nie trzymałyśmy się razem. Była bardziej w stylu Frede Ware i popatrzcie tylko, jakich sobie przez to narobiła kłopotów. Dobra wiadomość była taka, że Nikki, nawet przystrojona w pióra i ręcznie malowane ciuchy, była słodka jak sama słodycz.

— Carlisle?! — właściwie wrzasnęła przez całą rotundę. — To ty?

Przeszła po marmurowej podłodze, jej obcasy wzbudzały echo jak karabin maszynowy.

— Dobry Boże, jak się masz?! — wykrzyknęła, ciasno obejmując mnie ramieniem. Kiedy się odsunęła, popatrzyła na mnie z dystansu i dodała: — Ależ wyglądasz po prostu prześlizgnięta.

Nikki należała do starej szkoły: „jeżeli nie możesz powiedzieć czegoś miłego, to nie mów nic”.

— Dziękuję, Nikki. Jak się masz?

— Po prostu wspaniale. Lepiej niż wspaniale. Mój Howard jest cudowny, chociaż wciąż przyzwyczajam się, że teraz pracuje raczej w biurze niż w domu. — Zachichotała zawstydzona. — To dość zabawne zaskakiwać go, no wiesz, kiedy wraca do domu.

Pomyślałam o Janice i jej radzie dla Savannah. Zwalczyłam dreszcz niechęci, uściskałam ją, a potem ruszyłyśmy na poszukiwanie ojca Indii.

Zlustrowałam salę (nie szukając Jacka), znalazłam Indię, a potem moją uwagę przyciągnęła starsza kobieta. Miała dobre sześćdziesiąt pięć lat, o wiele za gruby makijaż (nawet jak na teksaskie standardy) i krzątała się niczym gospodyni. Czy mogła to być oficjalna lub nieoficjalna pani domu Huntera Blaira? Wyglądała jakoś znajomo.

Hunter był starszym bratem Jacka, dzieliła ich duża różnica wieku, ale nie doszedł jeszcze do sześćdziesiątki. Ta kobieta nie mogła być jego drugą żoną.

Kobieta podbiegła do Indii i do mnie.

— Indio — zaświergotała. — Kto to jest?

— Babciu, to panna Wainwright Cushing — z namaszczeniem stwierdziła India.

Kobieta przyjrzała mi się, a potem zapytała:

— Carlisle? To ty?

Wpatrzyłam się w nią uważniej i rozpoznałam matkę Jacka. Przypomniałam sobie wtedy złośliwe telefoniczne wyjaśnienia mojej matki sprzed roku, jak to Gertrude Blair zmieniała uczesanie i ufarbowała włosy, odwiedziła chirurga plastycznego, wykapała się w botoksie i Bóg wie, co jeszcze. Mama bardzo wyraźnie podkreśliła, że nie aprobuję nienaturalnych sposobów poprawiania urody. Nie wytknęłam jej, że farbuję włosy, odkąd zdałam do trzeciej klasy.

— Znasz ją? — zapytała India.

— Tak, kochanie. Znam Carlisle. Jest przyjaciółką twojego wujka Jacka.

India spojrzała na mnie, a potem na nią.

— Naprawdę?

Przyjaciółka nie wydawała się właściwym słowem.

— Ojej — znów zaszczebotała Gertrude, przyciskając dłonie do obfitego biustu. — Nie jestem pewna, czy powinnaś tu być.

I nie mówiła do Indii.

Nie mam pojęcia, co jeszcze powiedziałyby lub zrobiła, gdybym nie została uratowana (w jakiś sposób) przez zmierzającego w naszą stronę Huntera Blaira.

Podejrzewałam, że to on, w chwili, gdy go zobaczyłam. Okazał się niższy, niż oczekiwałam, ale trudno byłoby pomylić z kimś innym tę żyłastą sylwetkę. Twarz miał poraną bruzdami po latach spędzonych na wyniszczających polach naftowych, gdzie zbił majątek, i wyglądał groźniej niż niedźwiedź obudzony zniecka w środku zimy.

Do niedawna, zajmując się gaszeniem pożarów szybów naftowych, Hunter niewiele czasu spędzał w Willow Creek. Zrobił miliony dzięki swojej firmie pożarniczej i podróżował po świecie, gasząc ogień w miejscach, które zawsze były niebezpieczne, a teraz stały się zabójcze.

Z tego, co słyszałam, legenda Huntera głosiła, że ruszył na pola naftowe zaraz po ukończeniu szkoły średniej i tam się wybił. Być może w mojej prawniczej duszy kryje się poetka, ale powiedziałabym, że Hunter uznał walkę z szalejącymi pożarami szybów naftowych za łatwiejszą niż walka z demonami biedy i złego urodzenia w mieście takim jak Willow Creek.

Kto wie. Hunter był dobry w tym, co robił, zbił fortunę i zmusił młodszego brata, żeby skończył szkołę, poszedł do college'u, a wreszcie ukończył prawo. Z całą pewnością wiedziałam, że brat był dla Jacka powodem zarówno frustracji, jak i dumy.

Potwierdzenie, że to Hunter, miałam, gdy mnie zobaczył i, wiedziony wypisanym na mojej twarzy poczuciem winy,

podszedł. Można pomyśleć, że gospodarz na przyjęciu będzie łaskawy. Nie ten facet. Zbliżył się, stanął, obrzucił mnie spojrzeniem z góry na dół i zapytał:

— A to kto, do cholery?

Moje rodem z horroru obowiązki gospodyni balu debutantek z każdą chwilą stawały się bardziej przerażające. Chciałam wyjść stamtąd jak najprędzej.

— Nikt — powiedziałam, odwracając się na pięcie z postanowieniem opuszczenia tego domu, opuszczenia Willow Creek, powrotu do Bostonu i oświadczenia „tak, tak, tak, wyjdę za ciebie, Philipie, bez względu na to, czy moja matka to zaaprobuje”.

Ale India złapała mnie za ramię.

— Tatusiu, to panna Carlisle Wainwright Cushing. — India zmieniała się jakoś, uśmiechała się do ojca jak rozmarzona dziewczynka. — Zaprosiłam ją, żeby zjadła z nami kolację.

Przyjrzał mi się podejrzliwie, kiedy powiedziałam:

— Kolację? Doprawdy, nie chcę przeszkadzać.

— Więc po co pani przyszła, jeśli nie jeść? Bezpośrednio. Rzeczowo. Bez owijania w bawełnę. Świetnie. Zagram w jego stylu.

Przywołałam w pamięci generała Pattona.

— Właściwie jestem tutaj, ponieważ pańska córka chciałaby zadebiutować na Setnym Dorocznym Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego w Willow Creek. Przyszłam, by przekazać panu i pańskiej rodzinie zaproszenie do wzięcia w nim udziału.

India jęknęła, ponieważ szczególnie podkreślała, że powinnam „wtrącić to mimochodem”. Spędziłam na sali sądowej dość czasu, by ocenić tego człowieka. „Wtrącanie mimochodem” nie należało do jego słownika, a tym bardziej nie wzbudziłoby jego szacunku.

Pierwszą reakcją Blaira było zdumienie.

— Bal debiutantek? — Potem szok, a wreszcie pooraną twarz wykrzywił gniew.

Matka Huntera spojrzała na mnie taksująco, potem zerknęła na wnuczkę, która dosłownie wstrzymała oddech. Po chwili Gertie Blair wyraziła niezadowolenie.

— Hunter, nie rób takiej miny. Takie zaproszenie to zaszczyt.

— Zaszczyt dla mnie wywalić kupę pieniędzy?

— Tatusiu — błagalnie odezwała się India.

— Żadne tatusiu. Nie wychowałem cię na mieszczańską snobkę.

Musiałam unieść brew, ponieważ Hunter rzucił mi spojrzenie z gatunku niezbyt miłych. Niech mi wolno będzie dodać, że z bliska był twardy jak skała, a spojrzeniem mógł w jednej chwili zmienić śmietankę w masło.

— Bale debiutantek są dla mięczaków — powiedział.

— Świetnie — zezłościła się India. — Więc nazwij mnie mięczakiem. Zamierzam być debiutantką. Jeżeli będę musiała, to wezmę pieniądze z mojego funduszu powierniczego, żeby zapłacić.

— Nie masz dostępu do funduszu powierniczego. — Szach.

— Będę miała za trzy miesiące. — I mat.

Kolejne groźne spojrzenia, coś w rodzaju impasu, po czym Hunter Blair stwierdził triumfalnie:

— Nawet ja wiem, że debiutantki muszą być eskortowane przez ojców. Byłoby dość kłopotliwe wystąpić tam w pojedynkę. — I znów szach.

Ale wychował córkę podobną do siebie. Jedna z idealnych brwi Indii wygięła się w górę. Pełna uwielbienia córka zniknęła.

— Do twojej wiadomości, tatusiu — dziewczyna musi się tylko zjawić w towarzystwie krewnego płci męskiej.

Brwi tatusia spotkały się na czole.

— Założę się, że jeśli nie ty, to wujek Jacky będzie mi towarzyszył.

Nie tylko serce tatusia stanęło na wzmiankę o wujku Jackym. Moje wykonało salto, szczególnie gdy usłyszałam jego głos.

— Co za kłopoty szykujesz tym razem, Indio? Wszyscy odwróciliśmy się, by zobaczyć Jacka wchodzącego

do foyer. Klepnął lokaja w plecy.

— Dobrze cię widzieć, stary.

— Panie Jacky — powiedział lokaj z ojcowską dumą. Jack miał na sobie czarny garnitur z marynarką zapinaną na trzy guziki, prawie granatową koszulę z niemal czarnymi guzikami, z których górny był rozpięty, i ani śladu krawata. Ciemne włosy zaczesał do tyłu i chyba nie muszę wyjaśniać, jak wspaniale wyglądał.

Podszedł do nas, mocno uściskał swoją matkę, prawie unosząc ją z czarno-białych marmurowych kafli, na co pisnęła z zadowolenia.

— Och Jacky, niegrzeczny chłopiec. — Było oczywiste, że uwielbia najmłodszego syna.

Jack udzielił Indii żartobliwej reprimendy:

— Po wyrazie tych pięknych niebieskich oczu mogę poznać, że robisz zamieszanie. — Potem i ją uściskał. — Grzeczna dziewczynka.

Wymienił z bratem uścisk dłoni.

— Nie jestem pewien, o co się kłócicie, braciszku, ale myślałem, że nauczyłeś się już z miejsca poddawać i unikać całego tego zamieszania. Wiesz, że twoja dziewczynka w końcu i tak postawi na swoim. — W tym momencie się zaśmiał. Hunter nie.

Potem Jack się odwrócił. I jak ostatnio stało się normą, jego uśmiech zgasł na mój widok. Miał minę będącą mieszaniną lodu i ognia, a ja poczułam, że krew uderza mi do twarzy.

Chciałam uciekać, a dokładniej uciekać, jakby się paliło, najszybciej i najdalej jak to możliwe. Jednak ze względu na mój status chłodnej, spokojnej i opanowanej kobiety, zostałam na miejscu.

— Jestem tu na prośbę Indii — wypaliłam niepytana. To tyle, jeśli chodzi o chłód, spokój i opanowanie.

Jedna ciemna brew podjechała, w górę, kącik ust się wykrzywił.

— A to powinno być dobre.

— India chce zostać debiutantką — wyjaśniła ich matka. Bratanica i matka pokrótce przekazały Jackowi szczegóły, czemu towarzyszył niezbyt pochlebny komentarz Huntera Blaira.

Cała ta przepychanka trochę trwała, przyciągając uwagę wszystkich. Nie żeby klan Blairów się tym od razu przejął, wszyscy mówili coraz głośniej i głośniej, aż w końcu nawet Hunter nie mógł ignorować narastającej ciszy, bo ludzie odwracali się w tę stronę.

— Czas jeść — warknął ze złością.

Tłum pospieszył do jadalni w ostentacyjnej powodzi biżuterii, starannie ułożonych włosów i designerskich ciuchów, prowadzony przez samego gospodarza. India z grymasem niezadowolona pomaszerowała w kierunku klatki schodowej. Chciałam wyjść, ale Jack mnie zatrzymał.

— Nabroiłaś, więc podejrzewam, że jedyne, co możesz zrobić, to zostać i zakończyć sprawę. Nie chcesz wiedzieć, czy Hunter się podda i pozwoli córce zostać... jak on to nazwał? Mięczakiem w rajstopach?

Jego rozbawienie sprawiło, że zacisnęłam zęby.

— Już powiedział nie. Syknął.

— No, no, panno Cushing. Myślałem, że jesteś twardsza. A poza tym najwyraźniej nic nie wiesz o tym, jak działa India.

Prawdę mówiąc, wiedziałam. Byłam przy tym, prawda?

— No chodź — powiedział. — Kolacja stygnie.

I w ten właśnie sposób skończyłam na wieczornym przyjęciu Huntera Blaira dla dwudziestu dwóch, teraz dwudziestu trzech osób, usadzona obok młodszego brata gospodarza.

Jak już zostało powiedziane, dom wypełniały kosztowne, choć źle dobrane antyki. Jadalnia nie stanowiła wyjątku. Od pierwszego spojrzenia oceniłam stół jako piękny delikatny zabytek z epoki królowej Anny, rozłożony na pełną długość i zastawiony najbardziej krzykliwym zestawem sreber, złota, kryształów i porcelany, jaki kiedykolwiek widziałam.

Siedząc tak blisko Jacka, czułam mrowienie jak jakaś idiotyczna uczennica. Uczucie było do tego stopnia dominujące, że ledwie zauważyłam, jak pozostali goście musieli się ścisnąć, by zrobić dla mnie miejsce. Jack siedział wygodnie oparty, z nogą założoną na nogę, i rozmawiał z kobietą po swojej lewej stronie. Niemal kompletnie zapomniałam o Indii i debiutantkach i przyłapałam się na tym, że gapię się na jego ręce, wspominając chyba, jak dotykał mnie w budynku Foleya. Stawiam, że wstrzymałam oddech. Byłam tak tym pochłonięta, że nie zauważyłam, kiedy Jack się do mnie odwrócił, ale wtedy już było za późno.

— Odpręż się — powiedział. Gwałtownie poderwałam głowę.

— Co?

— Powiedziałem „odpręż się”.

— Jestem odprężona. Przekrzywił głowę.

— Można powiedzieć o tobie masę rzeczy, ale z pewnością nie to, że jesteś odprężona. — Nachylił się nieco. — Słuchaj, jeżeli chcesz, żeby Hunter się zgodził na to debiutowanie, to musisz się przyłożyć. To biznesmen, sprzedaj mu ten pomysł.

Wpatrywałam się w obrus. Na jego słowa uniosłam wzrok.

— Jak można cokolwiek sprzedać Hunterowi Blairowi? Przyglądał mi się, bezmyślnie obracając w palcach nóżkę

kieliszka do wina. Zawsze umiał sprawić, że na zmianę kochałam go i nienawidziłam. Pokochałam Jacka w tej samej chwili, kiedy usiadł przy mnie na lekcji matematyki. Potem jednak wszystko zrujnował, zmieniając na zawsze bieg mojego życia, gdy wreszcie poddałam się wszystkiemu, co do niego czułam. Dramatyczne, wiem, ale wciąż prawdziwe. Na szczęście już dawno mi przeszło, miałam za sobą głupie zadurzenie, przez które zachowywałam się jak nie ja. Wzruszył ramionami.

— Nie wątpię, że ten twój mózg potrafi wykombinować, jak przekonać mojego brata, żeby zrobił, co chcesz. — Zmierzył mnie wzrokiem. — Chociaż raczej nie w ciuchach twojej matki. Ci dwoje nigdy się nie zgadzali.

Usiadłam prosto.

— To nie są ciuchy mojej matki.

— Okay. Savannah.

Miał rację, ale nie widziałam powodu, żeby potwierdzać jego podejrzenia.

— A co, jest jak ty i woli szpilki oraz spodnie ze spandeksu? Jack zachichotał.

— To na początek. Cholera, pokaż się w czymś takim, a sam go przekonam.

Rozbawił mnie. Boże, jak bardzo nienawidziłam tego, że potrafił mnie zauroczyć, nawet gdy wbijałam sobie zachowanie trzeźwości do głowy.

Na szczęście mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie zadał Jackowi pytanie, zmuszając go, by odwrócił wzrok.

Serwowano danie po daniu, matka Huntera gadała jak najęta, wyjaśniając zebranym pochodzenie tego mebla i tamtych sreber, i niemal podając ceny. Moja mama byłaby zde gustowana. Kiedy podano główne danie, trochę mnie zemdliło. Uwielbiam wołowinę, w końcu pochodzę z Teksasu, ale stek, który stał przede mną, był tak krwisty, że bałam się wbić w niego nóż, jeszcze by mnie ugryzł.

Cały posiłek wyglądał podobnie, dziwna mieszanka kulinarnego wyrafinowania i przysmaków spod budki z piwem. Na przystawkę, na przykład, podano jednocześnie pasztet i parówki w cieście, które wyglądały jak tanie hot dogi.

Zbagatelizowałam prowadzoną przez gości dyskusję (oraz Jacka) i zmusiłam się, by „sprzedać” Hunterowi bal debiutantek. Nie mogąc liczyć na niczyją pomoc, zwróciłam się do gospodarza, który siedział po mojej prawej stronie u szczytu stołu, i powiedziałam:

— Naprawdę uważam, że dziewczyna tej klasy, co India, byłaby wielkim atutem balu. A i jej będzie to przynosić korzyści przez całe życie.

Chrząknął.

— India ma wszystko, czego potrzebuje. A jak być damą, pokaże jej moja matka.

Spojrzałam na koniec stołu, zerkając poprzez wysokie srebrne kandelabry, liczne dekoracyjne kompozycje i krwiste steki.

— Pańska matka to urocza kobieta i niewątpliwie ceni sobie to, co w życiu najlepsze. — „Cenić sobie” i „być w czymś świetnym” to zupełnie inna para kaloszy. — Debiut spełniłby po prostu rolę lukru na cieście.

— Mojej córce nie potrzeba więcej słodczy.

Przez cały ósmiodaniowy posiłek przymierzałam się do problemu z każdej możliwej strony. I nic nie zadziało. Przez chwilę Hunter mierzył mnie spojrzeniem tak pełnym irytacji, że spodziewałam się nakazu opuszczenia domu.

Stało się to podczas deseru, naprawdę przepysznej mieszanki śmietankowego i czekoladowego sufletu. Babcia Indii gwałtownie się poruszyła, obrus uwiązał w jej ozdobnym pasie z turkusów i innych kamieni i stojące na nim szkło oraz kandelabry przewróciły się kolejno jak kostki domina. Wszyscy patrzyli wstrząśnięci, niezdolni się poruszyć, aż upadł ostatni kandelabr i obrus stanął w płomieniach. Nigdy w życiu nie widzieliście dwudziestu trzech osób tak szybko odskakujących w tył.

— Ojej — powiedziała babcia Indii. Ojej, dobrze powiedziane.

Po kilku obowiązkowych propozycjach pomocy grupa o mało się nie stratowała, uciekając na względnie bezpieczną odległość... Albo do telefonów, by opowiedzieć o pechowej kolacji u Huntera Blaira.

Hunter wyglądał, jakby chciał kogoś zamordować. Jack był zajęty gaszeniem ognia.

— Och, Hunter — z drzeniem odezwała się jego matka. — Tak mi przykro.

Potem wybiegła z pokoju. Wpadła India ze służbą. Dziewczyna spojrzała ojcu w oczy i stwierdziła:

— Jasne, potrafisz się zachować w towarzystwie. Odrzuciła w tył włosy i wyszła.

Służba rzuciła się pomóc Jackowi. Hunter Blair nadal się nie poruszył.

— Cóż, już pójdę — odezwałam się z nadzieją, że uda mi się wymknąć. Może rok przerwy w koncertach symfonicznych nie był wcale takim złym pomysłem.

— Panno Cushing.

Głos Huntera Blaira zabrzmiał jak grom.

Tak naprawdę nie chciałam się zatrzymać, właściwie nie zamierzałam się zatrzymać, nie chciałam uciekać, ale wyrwać, ile sił w nogach. Niepotrzebne były mi nowe kłopoty, a ta rodzina sama się o nie prosiła.

Odwróciłam się.

— Tak, panie Blair?

— Przyjmuję zaproszenie.

— Zaproszenie?

Tak, celowo udałam tępotę, ale rozpaczliwie usiłowałam wymyślić, w jaki sposób wypłatać się z czegoś, co zapowiadało jeszcze większą porażkę niż dyrygent przyłapany w sukience. Stojąc tam pod groźnym spojrzeniem Huntera, z opanowaną Indią u stóp schodów, nie wspominając o Jacku, który przyglądał mi się z twarzą wymazaną popiołem jak jakiś wojownik, poczułam, że jestem zdecydowanie za bardzo zaangażowana w sprawy Blairów. Z drugiej strony o wiele za daleko zaszłam z balem debutantek. Musiałam ratować rodzinną tradycję i chciałam, żeby moja uwielbiana babcia mogła być ze mnie dumna.

— India zadebiutuje na tym pani frymuśnym przyjęciu — uściślił Hunter.

India podskoczyła, a potem się opanowała.

— Dziękuję, tatusiu. — Popędziła przez foyer i objęła groźnego ojca ramionami.

To dziwne, ale on nie poddał się uściskom. Odsunął się, zaklął i wyszedł z sali. Z początku dziewczyna wyglądała na zranioną, ale potem powróciła India, którą poznałam i nie pokochałam.

— Więc ustalone — stwierdziła chłodno i z królewskim spokojem ruszyła w górę schodów.

Dostałam to, po co przysłam, i nie zamierzałam angażować się w rodzinne dramaty Blairów. Miałam dość dramatów we własnej rodzinie.

— Świetnie. Odezwę się, żeby ustalić szczegóły — stwierdziłam, po czym umknęłam.

Pragnę zaznaczyć, że wychodząc w chłodną teksaską noc, czułam na plecach spojrzenie Jacka.

Rozdział 10

Atmosfera w Wainwright House stanowiła skrzyżowanie między domem wariatów a rozpaczą. Dzieci wciąż jeszcze nie zapoznały się z zasadami dyscypliny, nastrój mojej siostry gwałtownie wahał się między przesadnie dramatycznym a depresyjnym, mama zaczęła raczej dzwonić na moją komórkę niż rozmawiać twarzą w twarz. Siedziałam przy długim biurku panny Montserat w głównym biurze filharmonii, czekając na jej powrót, kiedy matka rzuciła najnowszą bombę.

— Chcę, żebyś wiedziała — stwierdziła bez wtrącania do rozmowy stosownych uprzejmości — że jestem zdenerwowana i cały dzień nie wstawałam z łóżka.

Na pierwszy rzut oka sytuacja nie wyglądała poważnie. Matka często była zdenerwowana i kładła się do łóżka. Kiedyś naciągnęła prześcieradła na głowę na tydzień, gdy Matt Lauer obciął jej włosy.

— Czy jesteś chora? — zapytałam. Głos miała zdrowy i dzień wcześniej wyglądała zupełnie normalnie po powrocie z randki podczas późnego lunchu. Nie powiedziała nam, gdzie była, ale wróciła szczęśliwsza niż kiedykolwiek, odkąd zjawiłam się w Willow Creek.

— Oczywiście, że jestem chora. Z jakiego innego powodu zostałabym w łóżku?

— Ach... Może obawiasz się, że Gwyneth Paltrow znowu zajdzie w ciążę i nazwie dziecko Gruszką?

— Odkładam słuchawkę.

— No dobrze, przepraszam. Co się stało?

Panna Montserat wróciła z grubym czarnym notesem. Co roku zakładała taki, zawierający wszystkie plany nadchodzącego balu. Uniosła brwi, kiedy zobaczyła mnie przy telefonie. Posłałam jej czarujący, jak miałam nadzieję, uśmiech i wróciłam do rozmowy.

Mama pociągnęła nosem.

— Chodzą plotki, że Vincent wybiera się do klubu na kolację.

— I?

— I to moja karta członkowska, mój świat, moi przyjaciele.

— Więc z kim idzie?

— Ten Jack Blair go zabiera.

Poczułam mrowienie w kręgosłupie, równie bezwarunkowe, jak drgnięcie kolana po uderzeniu gumowym młoteczką. Nie można tego opanować, chyba że człowiek nie żyje albo umiera na jakąś dziwną przypadłość neurologiczną.

— Oczywisty ukłon w stronę opinii publicznej — domyśliłam się w końcu.

— Dokładnie tak uważam. Muszę przeciwdziałać.

— Jak?

— Także idąc do klubu na kolację. Oczekuję, że ty i reszta rodziny będziecie gotowi na siódmą.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam odpowiedzieć: „nie, dziękuję”.

Punktualnie o siódmej mama zeszła ze schodów, gotowa na kolację w klubie. Właśnie weszłam frontowymi drzwiami i nikogo innego nie było w zasięgu wzroku.

— Co się tu dzieje? — zażądała odpowiedzi.

Złote guziki przy jej garsonce od St. Johna lśniły mocą stosowną dla damy z Południa. Dla kontrastu ja miałam na sobie stare tenisówki Converse, biały T-shirt, oliwkowe spodnie i przyciśnięte do piersi notatniki.

— Dobry Boże, Carlisle, nie możesz iść do klubu tak ubrana. I gdzie jest twoja siostra?

Savannah wyszła z kuchni.

— O co chodzi, mamó?

— Boże, miej litość — powiedziała rozdrażniona mama. — Myślałam, że mogę liczyć przynajmniej na ciebie, że będziesz gotowa... I nie w stroju uchodźcy z Trzeciego Świata.

Na obronę siostry muszę stwierdzić, że nie wyglądała aż tak źle. Po prostu trochę nieporządnie.

Jak wyczuwające krew zwierzęta zjawili się pozostali członkowie rodziny, ale intuicja nie powiedziała im, że chodzi o ich własną krew. Mama zmierzyła ich wzrokiem i zamknęła oczy. Nikt nie był ubrany lepiej.

Klasnęła w ręce.

— Raz-dwa, moi drodzy. Mamy rezerwację za pół godziny. Ubierajcie się szybko.

Rozległy się powszechne narzekania, ale nawet dzieci Janice pojęły, że z Ridgely człowiek się nie kłóci.

W rekordowym czasie rodzina była gotowa i tłoczyła się przy drzwiach. Pojechaliśmy kilkoma samochodami.

— Gdzie jest Ben? — zapytałam.

Wyraz twarzy Savannah przedziwnie wahał się między złością a rozpaczą.

— Dzwoniłam do niego do pracy i powiedział, że nie wie, czy zdąży.

— Pewnie jest po prostu zajęty.

— Zawsze jest zajęty.

Usiłowałam znaleźć jakąś stosowną odpowiedź.

— Cóż. — Byłam zdumiona, więc uciekłam się do banału. — Nie martw się, Savannah. Ben cię kocha. — Oczywiście jako adwokat rozwodowy zdawałam sobie sprawę z wysokiego prawdopodobieństwa, że mój szwagier robił teraz gdzieś poza biurem coś z nie wiadomo kim. Ale jestem też siostrą i wiem, że siostrzane pogawędki całkowicie różnią się od prawniczych. Siostrzana pogawędka okazała się trafiona, bo po przyjeździe do KSWC (Klubu Sportowego Willow Creek) zastaliśmy Bena czekającego na nas przy wejściu.

Savannah padła mu w ramiona, a on ucałował ją tak czule, że albo zasługiwał na Oscara za rolę zakochanego, albo naprawdę był zakochany.

Klub Sportowy Willow Creek mieścił się na północ od Willow Square. Zbudowano go sto lat wcześniej i przyjęcie w poczet jego członków było trudniejsze niż w przypadku Junior League, głównie dlatego, że samo wpisowe przekraczało przeciętne roczne zarobki.

Wejście na teren posesji wyznaczały kolumny z wapienia i wysokie bramy z kutego żelaza, teren otaczał gęsty zielony żywopłot. Główna siedziba klubu, otoczona wierzbami i dębami, znajdowała się w oddaleniu od głównej bramy na wzór rezydencji z czasów wojny secesyjnej. Korty tenisowe i pole golfowe umieszczono na zachodzie, basen — po stronie wschodniej.

W piątkowe wieczory w klubie było tłoczno, ale choćby nie wiem co, Hektor, kierownik sali, zawsze trzymał dla mojej matki wolny stolik.

Po królewsku weszła do jadalni z wysokim sufitem i przeszklonymi drzwiami zamykającymi pomieszczenie. Sięgające do podłogi draperie odsunięto, żeby wpuścić światło księżyca. Matka dyskretnie do kogoś pomachała, zatrzymała się na przelotną rozmowę z kim innym, lekko dotknęła rękawa kolejnej osoby.

Rozejrzałam się po sali i nie zauważyłam Vincenta ani Jacka. Świetnie, powiedziałam sobie.

W piątkowe wieczory towarzystwo w klubie składało się głównie ze starszych. Młodszy zjawiali się w soboty. Nie doczekaliśmy się nawet w połowie tylu szeptów za plecami, co w Brightlee, ponieważ większość ludzi powyżej pewnego wieku nie dba już o to, kto co komu robi, z kim i tak dalej. Życie, jak w końcu pojęli, jest na to za krótkie.

Drinki zostały zamówione i podane, menu przejrzane od deski do deski, pogaduszki odbyte. Uśmiechy były obowiązkowo obecne. Wreszcie podano kolację, jednak gdy tylko zdążyliśmy przełknąć pierwsze kęsy, Ben odsunął się od stołu i położył serwetkę na krześle.

— Przepraszam na chwilę.

Ponieważ dobre wychowanie zabrania wstawania od stołu, gdy ludzie jedzą, więc matka z chwili na chwilę wyglądała na bardziej nieszczęśliwą. Savannah podobnie, w delikatnych palcach trzymała widelec ze zwisającą z niego, nietkniętą krewetką. Nagle jej oczy pojaśniały. Przez chwilę siedziała nieruchomo, potem ze szczękiem upuściła widelec na talerz, chwyciła kieliszek z winem i opróżniła do dna jak żołnierz, który właśnie wrócił z wojny. Zamaszyście odstawiała go i zerwała się zza stołu.

— Przepraszam — rzuciła przez ramię i zniknęła w pośpiechu. Janice i ja wymieniliśmy przerażone spojrzenia. „Nie ma mowy”, odczytałam z ruchu jej warg.

„Oczywiście, że nie”, odparłam w ten sam sposób.

Nawet ja wiedziałam, że Klubu Sportowego Willow Creek nie można uznać za perwersyjny. Ale z drugiej strony, moja siostra zawsze była nieprzeciętna.

Mając nadzieję zapobiec jeszcze większej potencjalnej katastrofie, pospiesznie ruszyłam za Savannah. Przemknęłam między stolikami, potem długim słabo oświetlonym korytarzem w stronę łazienek i na chwilę zatrzymałam się przed wielkimi dębowymi drzwiami, oznaczonymi PANOWIE. Niestety, nie znalazłam ani śladu mojej siostry czy jej męża.

Z grymasem niezadowolenia rozejrzałam się po korytarzu, a potem uchyliłam drzwi o cal.

— Savannah — syknęłam.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i wpadłabym do środka, gdybym nie wylądowała w czyichś ramionach.

— Carlisle, co za niespodzianka, zgubiłaś się? Damska toaleta jest obok.

Odepchnęłam się od przeszkody i stanęłam twarzą w twarz z Jackiem Blairem.

— Nie zgubiłam się — oznajmiłam dobitnie, jak w rozmowie z szaleńcem.

— Kiedy mówiłem, że granice nie są dobrym pomysłem, nie zdawałem sobie sprawy, że potraktujesz to dosłownie.

— Komediant, jak zawsze.

— Staram się, wiesz.

Cofnęłam się, a on ruszył za mną i kiedy drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, żołądek podszedł mi do gardła.

— Jak się masz? — zapytał, gdy plecami natrafiłam na przeciwległą ścianę.

— Mówiłam, żadnego spoufalania. — Nie bardzo mogłam oddychać, serce waliło mi w tempie stu mil na godzinę, a skórę rozgrzewało mrowienie będące mieszanką paniki oraz całkowicie niestosownego podniecenia.

— Spoufaliśmy się na przyjęciu Huntera. Och, ale wtedy czegoś potrzebowałaś. Więc zasada brzmi: „żadnego spoufalania, chyba że mogę ci pomóc”?

— Zabrzmiało niczym przygana.

Prawie się uśmiechnął, ale udało mu się powstrzymać, a potem znów się we mnie wpatrywał, jakby wciąż próbował coś zrozumieć.

Chciałam go wyminąć, ale wyciągnął ramię i oparł o ścianę, blokując mi przejście. Gapiłam się na tę opaloną skórę, napięte mięśnie. Moje serce, niebaczne na fakt, że mężczyzna w żadnym wypadku nie powinien nosić niczego z krótkim rękawem w piątkowy wieczór w klubie, waliło jak szalone, a drżące ciało pragnęło się poddać i rzucić w jego ramiona. Zawsze sprawiał, że tego pragnęłam.

Nie, nie, nie, powiedziałam sobie stanowczo.

Kiedy oderwałam wzrok od ramienia, przeniósłam spojrzenie na barki, a potem na rzeźbioną twarz. On nie odwrócił oczu. W przyćmionym świetle był bardziej Jackiem, jakiego zawsze znałam, niebezpiecznym, jasne, ale troskliwym. I tak, był piękny. No, naprawdę. Co miałam robić?

— Cholera — wymamrotałam, po czym zrobiłam dokładnie to, czego przysięgałam sobie nie robić, gdy zobaczyłam go w budynku Foleya. Rzuciłam się na niego w słabo oświetlonym korytarzu Klubu Sportowego Willow Creek. Tak, ja. Osoba całkowicie pozbierana i pod kontrolą. Tak, ja, zaręczona z mężczyzną idealnym. Tak, ja, kobieta, która wyrzekła się Jacka Blaira trzy lata wcześniej, jak Britney Spears wyrzekła się golenia głowy.

Pocałunek był natychmiastowy, mocny, jakbyśmy po prostu podjęli coś, co zostało przerwane. Oddychał szybko, jego ręce pieściły miejsca, które nie powinny być pieszczone — przynajmniej przez niego. Słysząc było przyspieszone oddechy i wszelkiego rodzaju odgłosy, których dziewczyna mojego pokroju po prostu nie wydaje.

Ujął moją twarz w dłonie, te silne pewne dłonie, odchylił mi głowę do tyłu.

— To nie jest dobry pomysł — powiedział.

— Myślisz, że nie wiem?

Otoczyłam ramionami jego barki i jęknął, najwyraźniej się poddał i uniósł mnie nieco. Choć przyznaję to z niechęcią, kiedy owinął sobie moje nogi wokół pasa, pozwoliłam mu na to. Nie, żeby ktoś chciał to wiedzieć, ale miałam na sobie spódnice.

Wtulił twarz w moją szyję, rękoma obejmując moje, cóż, dolne partie. I strach pomyśleć, do czego doprowadziłoby to szaleństwo, gdyby drzwi męskiej toalety ponownie się nie otworzyły.

Wyplątałam się z niego najszybciej, jak mogłam, odskakując, by zobaczyć moją siostrę stojącą w drzwiach.

— Carlisle? Jack?

— Savannah! Właśnie cię szukałam. Nie wyglądała na przekonaną.

— Co wy robicie?

— Nic. Zupełnie nic. Uśmiechnęła się szelmowsko.

— Nic?

— Miałam w oku rzęsę.

— Dobry Boże, Carlisle — stwierdziła moja siostra. — Potrafisz chyba wymyślić coś lepszego. No wiesz, w rodzaju: zmieniłam się w pnącze i trenowałam na seksownym prawniku naszego wroga.

Jack zmarszczył brwi. Ja jęknęłam. Savannah zachichotała. Potem wszyscy zamarliśmy, gdy ktoś pchnął z tyłu drzwi wychodzące na parking.

Kobieta, która weszła, zdejmowała z szyi jedwabną chustkę, a torebkę zawiesiła na przedramieniu. Po chwili zorientowałam się, że tę samą kobietę widziałam z Jackiem przed Starbucks. Zatrzymała się w całej swej długonogiej, wiotkiej, ciemnowłosej urodzie, po czym zmierzyła Savannah i mnie z góry do dołu. Najwyraźniej nie widząc zagrożenia (Savannah była wściekła), zwróciła się do Jacka, uśmiechnęła w sposób, który wyraźnie jak na dłoni mówił, że potrafiła być bardzo, bardzo niegrzeczna, a potem wzięła go pod ramię.

— Przepraszam, że tyle to trwało, kochanie. Kochanie?

— Mam nadzieję, że nie spóźniłam się na kolację.

Jack miał randkę? A ja właśnie się na niego rzuciłam? (Gdybym czuła pociąg do wykrzykników, tu bym ich użyła). Chwyciłam siostrę za ramię i pociągnęłam za sobą.

— Dzięki za pomoc, Jack — rzuciłam na odchodnym.

Kiedy dotarłam do końca korytarza, nie mogłam się powstrzymać i obejrzałam się za siebie. Wielki błąd, ponieważ Jack mi się przyglądał, podobnie jak ta kobieta.

Między nami mówiąc, żadne z nich nie wyglądało na uszczęśliwione (dobrze...), a dokładniej, on wyglądał, jakby się zastanawiał, co za idiotyzm i głupotę właśnie popełnił i to ze mną, znaną też jako pomiot szatana (nie za dobrze),

— Więc co się tam naprawdę stało? — zapytała Savannah, szczęśliwie przerywając moje niezbyt przyjemne myśli.

— Jak powiedziałam, nic. — Nic, jeśli uznamy za nic drżące kolana i zawroty głowy. Z tyłu za oczami czułam ucisk, jakby niewyplakane łzy. Chociaż właściwie z jakiego powodu miałabym się rozplakać, nie umiałam stwierdzić.

Savannah kompletnie nieświadoma zamętu w mojej głowie tylko się uśmiechnęła.

— Założę się, że to ona.

— Ona? Kto?

— Jego narzeczona. Racine Bertolli.

— Co?

Uśmiechnęła się tym szelmowskim uśmiechem.

— Jack jest zajęty, siostró moja. Zaręczony. Chwilę przed ślubem. Już nie jest wolny, co w Willow Creek w stanie Teksas oznacza „precz z łapami”.

Zostawiła mnie stojącą przy wejściu do jadalni z otwartą buzią. Jack zaręczony?

Gdybym miała pięćdziesiątkę, przysięgłabym, że przeżyłam pierwsze uderzenie gorąca. Biorąc pod uwagę, że miałam przed sobą dobre dwie dekady do czasu, gdy skończy mi się zapas hormonów, falę piekącego gorąca, która mnie załaziła, mogłam wyjaśnić tylko jako nieprzyjemny objaw wstrząsu. Dlaczego mi nie powiedział, że jest zaręczony? Jak mógł być zaręczony?

Gwałtownie zamknęłam usta, przypominając sobie ten przykry drobiazg, że też byłam zaręczona i jakoś nie wspomniałam o rzeczonych zaręczynach. Ale jednak...

Ruszyłam (marszem) z powrotem do stołu, mając przed sobą Savannah. Co prawda zostało już ustalone, że bezsprzecznie była piękna, jednak kiedy szła, rzucając cześć temu, machając do tamtego, z kącikami pełnych ust uniesionymi w zakłopotanym uśmiechu, z zarumienionymi policzkami i nieco potarganymi jasnymi włosami, nawet ja zauważyłam, że mężczyźni uważają ją za wspaniałą.

Moja matka wyglądała na zmieszaną, a także, przysięgam, trochę zazdrosną. Z początku nie mogłam w to uwierzyć, ale potem przypominałam sobie, że mama zawsze musiała być najpiękniejszą kobietą na sali. Nigdy nie przychyliła się do koncepcji, że celem rodziców jest pomóc dzieciom, by miały życie lepsze niż oni sami.

Jednak zmieszanie i zazdrość zmieniły się w coś gorszego, sądząc z wyrazu idealnej twarzy matki, kiedy krótko po żonie pojawił się Ben. Ten niezwykle poprawny człowiek też był zarumieniony i, przysięgam, spod niebieskiej marynarki wystawał mu kawałek koszuli, a krawat w niebieskie i złote paski wisiał krzywo na jego białym gorsie.

Ridgely się usztywniła, zmrużyła oczy. Ukradkiem rozejrzała się po sali, a potem uśmiechnęła z przymusem.

— Ben, mój drogi, proponuję, żebyś trochę się uporządkował, zanim zaszczycisz nas swoją obecnością.

Zauważył tę wystającą koszulę i spiekł raka. Ben. Spiekł raka. A Savannah się roześmiała.

Pokręciłam głową, chociaż sama nie wiem dlaczego, ponieważ gdy chodziło o mężczyzn, Savannah, jak mama, była skłonna popełnić każde szaleństwo, żeby dostać to, czego chciała. Kim jednak byłam, żeby rzucać kamieniem? Sama właśnie spoufaliłam się z wrogiem (zaręczonym wrogiem), nie zadawszy sobie trudu, by wspomnieć, że wzięłam sprawę matki. Nie byłam pewna, co zostałyby uznane za gorsze: nogi wokół jego talii czy brakująca informacja o mojej nowej pozycji wybranego przez matkę adwokata. A może to, że zaangażowałam się we wspomniane działania z jednym mężczyzną, podczas gdy byłam przyrzeczona innemu.

Zadzwoiła moja komórka. Gdy na wyświetlaczu zobaczyłam numer Philipa, wzdrygnęłam się, a potem pozwoliłam mu, żeby się nagrał.

Rozdział 11

Jak na dziewczynę, która nie była fanką wielozadaniowości, z pewnością miałam ręce ż III (XIII w.) pełne ż III (XIII w.) roboty ż IV (XII w.), biorąc pod uwagę, że: 1. unikałam mojego (bezsprzecznie wspaniałego) narzeczonego; 2. żonglowałam telefonami od mojej (wyjątkowo wytrwałej) asystentki z Bostonu; 3. planowałam (potencjalnie katastrofalny) bal; 4. byłam manipulowana przez (kompletnie rozpuszczoną) nastolatkę; 5. gromadziłam amunicję na rzecz (wyjątkowo kłopotliwego) rozwodu mojej matki; 6. pożałowałam (niefortunnie seksownego, nie wspominając, że całkowicie zaręczonego) Jacka Blaira.

Po stronie zysków należy zapisać, że zgromadziłam wymaganych osiem dziewcząt. Osiem, nie siedem, ponieważ jak się okazało, India zorganizowała nie tylko swoją świtę, ale kiedy dowiedziała się, że czas minął, a wciąż brakuje nam jednej dziewczyny, wzniosła oczy do nieba, powiedziała coś o tym, że wszystko musi robić sama, po czym zjawiała się z Betty Bennett. Betty mogła umrzeć z zakłopotania podczas własnego debiutu, ale zrobiłaby wszystko dla swojej idolki.

India z irytacją wzdychała z powodu jej lizusostwa, ale za daleko zaszła, żeby wszystko upadło przez brak jednej osoby.

Byłyśmy gotowe. Osiem dziewcząt, oświadczenie wydane, „The Willow Creek Times” puścił artykuł na pierwszej stronie w dziale towarzyskim. Janice niezbyt pomogła przy znajdowaniu uczestniczek, ale wysmażyła osiem krótkich biogramów, w których nasze debiutantki wyszły na prawdziwe brylanty, do tej pory po prostu jeszcze nieodkryte.

Moja matka przeczytała komunikat w gazecie (w łóżku, w którym leżała od chwili, gdy usłyszała, kto będzie debiutował) i stwierdziła:

— Nic dziwnego, że dostała Pulitzera.

Następnego dnia miałam bawialnię pełną osiemnastolatek

o nie do końca idealnych rodowodach oraz ich matek. W przypadku Indii była to babcia.

— Dziękuję wam za przybycie — powiedziałam, zajmując centralną pozycję.

W przeciwieństwie do Gertie Blair moja matka bezsprzecznie miała styl, urządzając stuletni dom w przygaszonych kolorach

i z niekwestionowaną klasą. Cenne rodzinne antyki zmieszała ze stylowymi tkaninami, by stworzyć pokój jednocześnie pełen godności i zapraszający.

Lupe podała kanapki bez skórki, z ogórkiem, i dużą kryształową wazę mrożonej herbaty. Na bocznym kredensie wach-larzowato ułożono małe lniane serwetki, każdy oprócz Indii miał coś do jedzenia lub picia.

Matki kręciły się nerwowo. Rozmawiały tylko dziewczęta ze świty, a te cicho chichotały z Bóg wie jakiego powodu, chociaż buraczkowy kolor twarzy Betty sugerował, że chodziło o nią. Konieczności wymyślenia, co z tym zrobić, oszczędziło mi wejście Janice i kogoś jeszcze. Przyjrzałam się uważnie.

— Morgan? — zapytałam.

Pozostałe dziewczęta się spięły, a India skrzywiła. Dzięki wyprawie do salonu fryzjerskiego będącej ukłonem w stronę Cindy Lauper włosy Morgan zostały zneutralizowane, uzyskując ostatecznie ciemnobrązowy kolor, taki sam jak u jej matki. W połączeniu z dużymi fiołkowymi oczami i kremową skórą była najładniejszą dziewczyną w pokoju. Kto by przypuszczał, że pod pomarańczem i czerwienią przyczaiła się piękność?

— Jesteś piękna — stwierdziłam.

Nie wyglądała na szczęśliwą, gdy marszowym krokiem podeszła do sofy. Proste ciemne włosy przesunęły się jak firanka, kiedy klapnęła na siedzenie i splotła ramiona na piersi.

— Wszystko jedno.

— Jeżeli nie podoba ci się nowy wygląd — odezwała się Janice — to zawsze możesz się wycofać i uniknąć wzięcia udziału w tej farsie.

— Daruj sobie, mamó. Zrobię to. Reszta grupy wymieniła spojrzenia.

— Farsa?

— Wycofać?

— Janice, sądzę — stwierdziłam sucho — że wysyłasz naszym paniom mylne sygnały.

Janice podobnie jak jej córka ruszyła marszowym krokiem, by stanąć obok mnie, i obdarzyła zebrane kompletnie sztucznym uśmiechem.

— Tak, tak, będzie wspaniale.

Czułam zbliżający się ból głowy, a nawet nie zdążyłam się przywitać. Przynajmniej miałam przed sobą wszystkie osiem debiutantek.

— Zaczynamy — powiedziałam. Stałam przy kominku, Janice obok mnie.

— W niespełna trzy miesiące każda z obecnych tu dziewcząt doświadczy czegoś, czego nie zapomni do końca życia.

Janice, którą znałam i której nie kochałam, prychnęła, co prawda cicho. Ale kto by ją winił? Z pewnością nie ja, skoro własnego debiutu, choć niezapomnianego, stanowczo nie zaliczyłabym do bezcennych chwil.

— Zaczniemy po kolei. Każda z was przedstawi siebie i swoją matkę... lub babcie.

Pierwsza ruszyła India z podniesionym czołem, dumna, w spódnicy, której większa część została w domu na chorobowym. Blond włosy miała niedbale spięte z tyłu masą spinek.

— Jestem India Blair, chociaż wszystkie to wiecie. A to moja babcia, Gertrude Blair. Mojej matki dziś tu nie ma, ale będzie na balu, bo totalnie mnie kocha.

Gertrude wydawała się zmartwiona, a cała reszta zakłopotana, prawdopodobnie z powodu pogłoski, jakoby matka Indii niezwykle dobitnie oświadczyła, że nie chce mieć nic wspólnego ze swym najstarszym dzieckiem. Przynajmniej tak głosiła plotka.

Niezręczny moment minął, kiedy wstała świta, obie dziewczyny ubrane równie skąpo jak pierwszego dnia, gdy zjawiły się z Indią, żeby zaklepać sobie miejsca na balu debiutantek.

— Nazywam się Tiki Beeker, a to moja mama Persy. Persy Beeker wyglądała na kobietę idealnie pozbieraną,

która poświęciła masę czasu i pieniędzy na to, by się pozbierać. Miała doskonały balejaż. Idealnie zrobione paznokcie. Strój kosztowny, lecz nie krzykliwy. Ponieważ każda z dziewcząt musiała urządzić przyjęcie, żywiłam wielkie nadzieje, że Persy Beeker dopilnuje, by impreza jej córki była w dobrym tonie. Chociaż z drugiej strony pozwoliła córce ubrać się tak, że ta wyglądała jak ulicznica.

Następna wstała Abby Bateman, podała swoje imię i — zanim usiadła — dodała tylko:

— Jestem najlepszą przyjaciółką Indii i Tiki, a to jest moja mama.

Wilma Bateman uśmiechnęła się, przedstawiła, ale nie wstała. W przeciwieństwie do Persy Beeker ubrała się praktycznie, grube nogi przyodziła w lśniące ciemne rajstopy wyszczuplające.

Dalej były Merrily Bennett i Betty. Potem poznałyśmy Ruth Smith, spełnienie snów Janice ze względu na status Ruth jako przewodniczącej grupy dyskusyjnej, stanowisko reporterki w gazetce szkoły średniej w Willow Creek i całą intelektualną otoczkę. Krótkie brązowe włosy dziewczyny lekko się kręciły, a piaskowe oczy były równie nieokreślone jak ciuchy. Jedyne,

co wyróżniało Ruth, to sznurowane Oksfordy. Nie byłam pewna, czy to staroświecka deklaracja indywidualizmu, czy nie widziała powodu, by zrezygnować z butów z podstawówki.

Jej matka miała na imię Olive. Wstała na chwilę, by opowiedzieć o swoim mężu Thomasie, właścicielu sieci sklepów monopolowych dla zmotoryzowanych w całym Teksasie, i obiecała każdej z nas zniżkę, gdybyśmy kiedykolwiek tam kupowały. Dość dziwne, ale nie takie złe, ponieważ Smithowie byli nowi w mieście i niewiele o nich wiedzieliśmy. Dostałam ich nazwisko od panny Montserat z filharmonii, która wspomniała, że Smithowie na prawo i lewo rozdają darowizny. Z mojego punktu widzenia byli w tamtym momencie dokładnie taką rodziną, jakiej potrzebowaliśmy. Mieli pieniądze, chcieli je wydać, sprawa zamknięta.

Nellie Kraft przyszła ze swoją matką June, obie naturalnie rude i z bladą skórą, która musiała sprawiać kłopoty w bezwzględny słońcu Teksasu. Kraftowie mieszkali w mieście jeszcze krócej niż Smithowie, ale odkąd się sprowadzili, June wyrobiła sobie nazwisko ciężką pracą na rzecz Junior League.

Gdy grupie mrukiwie przedstawiła się nowa olśniewająca Morgan, serię zakończyły Sasha Winthorpe i jej matka Waverly.

Sasha jako jedyna z dziewcząt zachowywała się jak dama. Założyła kremowy golf i kremową wełnianą spódnicę oraz kremowe buty na płaskim obcasie. Jasnobrązowe włosy miała przytrzymane opaską.

Kiedy skończyłyśmy prezentację, udzieliłam podstawowych instrukcji.

— Przed nami masa pracy — wyjaśniłam, a potem rozdałam broszurę, którą dostałam od Giseldy Montserat z filharmonii.

— Co to jest?

— „Poradnik etykiety dla dziewcząt” — odczytała Ruth.

— Chcę, żeby każda z was przeczytała to od deski do deski przed następnym spotkaniem.

— Praca domowa?!

— To nie takie długie. Dziewczęta pochrząkiwały. Nie ustąpiłam.

— Dziś chcę wyjaśnić podstawowe kwestie. Na noc debiutu każda z dziewcząt potrzebuje białej sukni balowej, białych giewzowych rękawiczek, białych butów i pojedynczego sznura pereł.

— Ja już mam suknię — oznajmiła India. — Ojciec, normalnie, zapłacił za nią majątek. Ale taki jest mój tata. Zawsze kupuje mi świetne rzeczy, samochody, wycieczki i biżuterię, bo totalnie mnie kocha, najbardziej na świecie. — Odrzuciła włosy. — I sprowadzi samolotem z Nowego Jorku fryzjera, żeby zrobił mi włosy na bal. A na przyjęcie będę miała tort tej

fantastycznej Sylvii Winstock! Wiecie, że „Instyle Magazine” nazwał ją „Leonardem da Vinci tortów”!!! Zamierzam zostać debiutantką roku.

— Ależ jesteśmy skromne — docięła Ruth.

— Zazdrosna, ty kujonko? — zrewanżowała się India. Właściwie wszystkie usta w pokoju pozostały otwarte, po czym dziewczęta jednocześnie zaczęły mówić, klócić się, oskarżać, szemrać. Matki wyglądały, jakby ktoś polał je wodą z hydrantu, zastygły w bolesnych, przyprowadzających o dreszcz grymasach. Spojrzały na mnie w oczekiwaniu pomocy.

— Dziewczęta — powiedziałam. Nic.

— Dziewczęta, proszę. Nic to nie pomogło.

— Cisza — warknęła Janice. Bardzo pomogło. Westchnęłam głęboko.

— Dziękuję — stwierdziłam uprzejmie. Janice przewróciła oczami.

— Gdzie byliśmy?

— Rękawiczki, perły, białe suknie — usłużnie podsunęła Sasha.

— Proszę bardzo. Panna Wiem Wszystko znów na czele — zachichotała Abby.

— Ponadto — brnęłam, modląc się, by moja matka nie zabłądziła nigdzie w pobliże bawialni

— każda z dziewcząt jest zobowiązana urządzić indywidualne przyjęcie, na które są zapraszane wszystkie pozostałe debiutantki plus dowolni goście, których pragnie podjąć rodzina gospodyni. Temat każdego przyjęcia pozostawiam do wyboru rodzinom, chociaż powinien być stosowny do waszego wieku i zgodny z regułami sezonu debiutantek.

Zanim dziewczęta zdążyły zacząć dyskusję na ten temat, przeleciałam przez resztę listy. Przeszłam do kawalerów, którzy mają im towarzyszyć, oraz potrzeby posiadania takowych, przypomniałam o zwyczaju pojawienia się w towarzystwie ojca. Wszystkie oprócz Indii wyglądały na przerażone tą nowiną.

— Czy są jakieś pytania?

Podniósł się las rąk, ale oczywiście nikt nie czekał na wezwanie. Zarzuciły mnie pytaniami wszystkie naraz.

— Kiedy mówi pani „temat przyjęcia”, co dokładnie ma pani na myśli?

— Białe rękawiczki, jak długie?

— Kawalerowie?

— To znaczy, faceci?

— Nikt nie wspominał o konieczności zaproszenia faceta.

— Oczywiście, że prosimy facetów o to, by nam towarzyszyli — kpiąco stwierdziła India. — To też radocha.

W tym momencie rozległ się chór jęków, także ze strony świty.

— Dziewczęta — powiedziałam — wiem, że teraz wydaje się to przytłaczające, ale wszystko będzie świetnie. Prawda, Janice?

Zapytana westchnęła.

— Jasne. No pewnie.

To tyle, jeśli chodzi o pomoc ze strony członków komitetu.

— Wszystko jest wypisane w broszurze wraz z pewnymi zasadami stosownego zachowania. Omówimy je podczas spotkania jutro po szkole. Na razie matki mogą was zostawić, jak sądzę, żebyście zaczęły ćwiczyć jeden z fundamentalnych elementów teksaskiego balu debutantek.

— Dyg! — wykrzyknęło radośnie kilka dziewcząt, pozostałe jednak wyglądały na przerażone. Nic dziwnego. Sama myśl o objaśnieniu zasad tego głębokiego (potencjalnie niebezpiecznego) ukłonu przyprawiała mnie o dreszcze. Jednak nie dało się tego uniknąć, a im dłużej dziewczęta będą ćwiczyć, tym lepiej wypadną.

— Czy któraś z was wie, jak wykonać dygnięcie? — zapytałam, gdy tylko matki wyszły, usiłując nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

Sasha Winthorpe jeszcze mocniej wyprostowała plecy.

— Jeśli pani chce, panno Cushing, to mogę to zademonstrować.

— Boże, Sasha. Nie nadymaj się tak, bo pęknieš — szyderczo stwierdziła India i spojrzała na mnie. — Zawsze wstawia takie gówno. Każdemu włazi w... Udaje, że jest taka niewinna.

— Przynajmniej, kiedy facet zaprasza mnie na randkę, wiem, że nie zakłada, że jestem łatwa. India zmrużyła oczy, potem wzruszyła ramionami.

— Przynajmniej faceci mnie zapraszają. A ty, Sasha, kiedy ostatnio miałaś randkę?

Czerwień wypłynęła na policzki dziewczyny.

— Dla twojej informacji: byłam w kinie z Tommym Brownem dwa weekendy z rzędu.

— Ooo, kino.

Zignorowałam tę wymianę zdań i stwierdziłam:

— Sasha, z przyjemnością popatrzę na twój pokaz. Sasha spojrzała na Indię z miażdżącą pogardą, potem wstała.

Z powodu moich przykrych doświadczeń z ukłonem przypuszczałam, że okaże nieco zdenerwowania, ale nie, stanęła na środku pokoju, odwróciła się do zebranych plecami, a potem rozłożyła ramiona.

— To będzie coś w tym rodzaju — powiedziała, potem wysunęła lewą nogę w tył i zaczęła się pochylać. Z początku ukłon wyglądał jak normalne dygnięcie, jednak kiedy doszła do punktu, w którym kończyła się norma, pochylała się dalej. Cal za cal, niżej, niżej.

Jedna po drugiej (z wyjątkiem Indii) dziewczęta wstrzymywały oddech, fala westchnień przemknęła przez gustownie urządzoną bawialnię mojej matki. Czuło się napięcie, strach (i nieco nadziei na twarzach jednej czy dwóch dziewcząt), że w tej niebezpiecznej pozycji Sasha straci równowagę.

Zatrzymała się z kolanem tuż nad podłogą, znieruchomiała w tej pozycji na czas, który wydawał się wiecznością, po czym zaczęła się wznosić jak Feniks. Widziałam, że nawet Janice była pod wrażeniem. Jednak one nie wiedziały, w przeciwieństwie do mnie, że wprawdzie Sasha wypadła efektownie, ale nawet nie zbliżyła czoła do punktu, w którym w czasie balu znajdują się fałdy balowej sukni. W każdym razie uznałam, że było nieźle.

Kiedy Sasha wstała, dumna i zadowolona z siebie, wydawało się, że cała grupa przyjęła nową religię.

— O rany! — zawołała Betty, impulsywnie wstając i zaczynając klaskać. Wszystkie poszły w jej ślady, nagradzając Sashę burzą oklasków i tłocząc się wokół niej. To znaczy wszystkie oprócz Indii, która się cofnęła. Nie umiałam rozpoznać, czy była zazdrosna, czy przerażona, a może jedno i drugie.

— Dziewczęta! — zawołałam. Zebrały się wokół mnie z pytaniami.

— My też musimy to zrobić?

— Tak nisko?

— Nie dam rady!

— Po prostu nie dam rady!

— Przewrócę się i zrobię z siebie idiotkę.

— Stanę się pośmiewiskiem roku! W tym momencie się skrzywiłam.

Zdobyłam się na nonszalanckie wzruszenie ramionami i powiedziałam:

— Nie musicie wykonywać ukłonu, jak sądzę, ale większość dziewcząt to robi.

To Ruth Smith, nasza intelektualistka, oznajmiła:

— Potrzeba tylko równowagi, spokoju i ćwiczeń. Dziewczęta z miejsca zaczęły wypróbować rozmaite

formy dygu, Sasha wciąż od nowa demonstrowała ukłon.

Jednak żadna z nich nie zbliżyła się do podłogi na więcej niż dwie stopy.

Morgan ryzykantka pokazała, na co naprawdę ją stać, kiedy pochylała się i pochylała, a wszystkie dziewczęta w pokoju zamarły. Mniej więcej na stopę przed podłogą zachwiała się, pisnęła i przewróciła na bok, rycząc ze śmiechu.

Po pierwszym upadku dziewczęta już się tak nie bały. Zaczęły pochylać się coraz niżej i każda zaprezentowała wariację na temat upadku zamiast ukłonu, aż prawie wszystkie leżały na podłodze bardzo przyzwoitej bawialni mojej matki, tarzając się ze śmiechu.

Morgan pogubiła buty i, chociaż zrezygnowała ze wszystkich zewnętrznych barwnych elementów, jeden rzut oka na paznokcie u nóg dziewczyny zdradzał jej prawdziwe oblicze. Pomalowała paznokcie w jaskraworóżowe i pomarańczowe paski.

— Niezłe — powiedziała Tiki — nigdy nie widziałam pasków.

Morgan wyglądała na zmieszaną, ale jednocześnie zadowoloną.

— Możesz mi pożyczyć oba lakiery? — zapytała Abby.

— Jasne, są na górze. Chodź.

Dziewczyny się zerwały i wybiegły z pokoju. India obserwowała wyjście swoich najlepszych przyjaciółek z Morgan. Jej nastoletnia twarz, szczerze mówiąc, wyglądała przerażająco.

Odwrociłam się, żeby powstrzymać dziewczęta przed wyjściem, i zobaczyłam stojącą w drzwiach matkę we własnej osobie. W porównaniu z wyrazem twarzy mojej matki straszna mina Indii wypadła blado, choć wątpię, by obie martwiły się z tego samego powodu.

— Witam, mamó.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego odwróciła się i bez słowa ruszyła na górę, bez wątpienia do łóżka.

Szybkim krokiem wyszłam za nią do holu.

— Mamó, nie jest tak źle. Stanęła plecami do schodów.

— Nie?

— Nie. Wszystko będzie w porządku. Ekscytujesz się bez powodu.

— Jesteśmy spadkobierczyniami jednej z pierwszych tek-saskich rodzin, nie wspominając już o angielskiej rodzinie królewskiej, a teraz czeka nas żałosna kompromitacja. Będę musiała się spakować i opuścić miasto.

Zawsze uważałam historie mojej matki za co najwyżej męczące, ale stojąc w holu, poczułam, że mam dość.

— Świetnie. Więc wszystko odwołujemy. Zacisnęła wymanikiurowane ręce na poręczy.

— Nie możemy. Z pewnością nie setny doroczny bal.

— Więc znajdź kogoś innego. Ja rezygnuję. Tobie zostawiam organizację całej imprezy, dalej ruszaj beze mnie.

— Zostawiasz mnie z tą katastrofą? Nie sędzę. Weszła Lupe.

— Panno Carlisle. Jest telefon. Senor Jack. Mówię mu, że pani zajęta, ale on mówi, że to ważne.

Przeniosłam spojrzenie z matki na pokój pełen debiutujących debiutantek. Tym razem Jack Blair wydał mi się najmniejszym z moich problemów.

— Dziękuję, Lupe. Porozmawiam w bibliotece.

Rozdział 12

— To ja, Carlisle Cushing.

— A, Panna Profesjonalistka — odezwał się Jack po drugiej stronie. — To mi się podoba. Nie tak bardzo jak frywolne rozmówki w korytarzu przed męską toaletą, ale z pewnością pozostawia pole dla wyobraźni.

— Nie pamiętam, gdzie kończyłeś prawo? Korespondencyjnie? Zostań prawnikiem w dziesięciu łatwych lekcjach?

Roześmiał się głośno.

— W tej samej szkole co ty, moja droga, nie pamiętasz? Tak. Pamiętam świetnie, dziękuję.

— A, rzeczywiście. Zdaje się, że coś mi się przypomina. Słuchawka zatrzęsała się od jego śmiechu.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — zapytałam tonem, który nawet w moich własnych uszach zabrzmiał szorstko.

— Plotki głoszą, że bierzesz sprawę swojej matki.

— Jeśli przez plotki rozumiesz oficjalne dokumenty, które wypełniłam z urzędnikiem sądowym, to tak, plotki są prawdziwe.

— Zabawne, że nie pofatygowałam się wspomnieć o tym podczas naszych trzech ostatnich spotkań.

— Tak jak ty nie pofatygowałeś się wspomnieć o swoich zaręczynach. — Stłumiłam poczucie winy, które mogłabym mieć z powodu pominięcia kwestii własnych zaręczyn.

— Więc słyszałaś?

— Tak, Savannah podzieliła się ze mną tą wieścią, kiedy przyłapała nas w korytarzu klubowym na... niestosownym zachowaniu.

W tym momencie wybuchnął szczerym śmiechem.

— Słuchaj no, laleczko, z tego, co pamiętam, to ty zaczęłaś... Nikt nie mógłby posądzać Jacka Blaira, że zachowuje się jak dżentelmen.

— ...ale masz rację, to nie powinno się zdarzyć i więcej się nie powtórzy.

— Dobrze. — Zawahałam się, a ponieważ mój umysł najwyraźniej uprawiał jakąś własną politykę, zapytałam: — Gdzie ją poznałeś?

— Jak na kogoś, kto poprzysiągł, że nie będzie się spoufalać, sięgasz dość głęboko.

— Jestem tylko uprzejma. — I wścibska. Ale tę myśl odsunęłam.

— W Dallas. Jest prawnikiem.

— Jest prawnikiem?

— Nie bądź taka zaskoczona, Cushing. Nie wszyscy prawnicy są sztywni i... O, przepraszam, zapomniałem o tym, jak rzuciłaś się na mnie w korytarzu.

Naczynia włosowate w moim mózgu gwałtownie się rozszerzyły, poczułam ucisk w klatce piersiowej i rozpaczliwie usiłowałam nabrać powietrza.

Jack jednak znów się roześmiał.

— Więc do zobaczenia na jutrzejszym przesłuchaniu.

— Przesłuchaniu! Jakim przesłuchaniu?

— Pewnie nie jesteś zbyt dobra w Pokera?

— Jakie przesłuchanie, Jack?

— Uwielbiam, gdy wymawiasz moje imię. Może mogłabyś wymówić je przeciągle, pojękując.

— Przepraszam, to niestosowne.

— Wybacz. Coś w tobie, Cushing, pobudza moje najgorsze instynkty.

— Mnie o to nie wiń. Byłeś wystarczająco zepsuty zanim się pojawiłam.

— Tu mnie masz.

— A teraz poważnie, jakie przesłuchanie? - ulegałam.

— Przesłuchanie o ósmej. Z sędzią Howardem.

Nawet ja słyszałam o sędzim Howardzie i nie miało to nic wspólnego z prawem, prawnikami i sądem. Moja matka kiedyś się z nim spotykała, choć na szczęście nigdy nie posunęła się do tego, aby za niego wyjść.

Dzięki Bogu Jack odłożył słuchawkę, zanim zdążyłam wydać wrzask, który podchodził mi do gardła i narobić wstydu. Rozłączyłam się, zamierzając dzwonić do sądu i sprawdzić, czy to prawda, ale zdałam sobie sprawę, że jest niedziela.

Weszła moja matka, podejrzywam, że przyczaiła się za drzwiami.

— Wiedziałaś, że jutro mamy posłuchanie? — Stanowczo zażądałam odpowiedzi.

— Tak.

— Czemu nie zadałaś sobie trudu, by o tym wspomnieć?

— Nie wspomniałam?

— Nie.

— Och, więc jutro mamy przesłuchanie. O ... - przesunęła kilka rzeczy na biurku. — Tu jest. Przesłuchanie. Ósma rano.

Jutro. Z tym uroczym sędzią Howardem. Mówiłam ci kiedyś, że mnie uwielbiał?

— Tak. Mówiłaś. Wiele razy. Oni wszyscy cię uwielbiają.

*

O ósmej rano następnego dnia stawiliśmy się w budynku przy Hildebrand Square.

Sala sądowa była zatłoczona, wokanda pełna. W ławach siedzieli ludzie wszelkiego autoramentu. Ponieważ Willow Creek było małym miastem, sędziowie prowadzili sprawy różnego rodzaju, więc moja idealnie ubrana matka musiała usiąść w ludzkiej masie.

— Wystarczający powód, żeby się nie rozwodzić — rzuciła cierpko, zmuszona zająć miejsce obok mężczyzny, który mierzył ją pożądlivym wzrokiem, gdy czekałyśmy, aż nasza sprawa zostanie wywołana.

Weszli Jack i Vincent.

— Panno Cushing. — Jack skinął głową. Vincent i moja matka udawali, że się nie widzą. Zważywszy na to, w jaki sposób Jack i ja odnawialiśmy znajomość, odkąd wróciłam do Willow Creek, czułam, że mądrze będzie nieco ułagodzić nasze kontakty.

— Przepraszam, że nie wspomniałam o wzięciu sprawy. — Już chciałam dodać, że naprawdę nie myślałam o kwestiach prawnych, kiedy rzuciłam się w jego ramiona. Uznałam jednak, że zrobi to jeszcze gorsze wrażenie, więc zamilkłam. — Chciałabym myśleć, że możemy... cóż, oczyścić atmosferę. Zacząć od nowa jako przyjaciele.

Jack uniósł ciemną brew.

— Przyjaciele?

— Tak, przyjaciele.

Nie jestem pewna, co by powiedział, Pewnie coś niezbyt miłego, sądząc po minie, ale przerwał mu urzędnik sądowy.

— Ogden kontra Ogden!

- Przedstawienie czas zacząć — mruknął Jack.

Podeszliśmy do miejsc dla adwokatów- Jack Przytrzymał dla nas bramkę niczym idealny dżentelmen,

Po dopełnieniu formalności mogłam wreszcie zwrócić się do sądu.

- Co to znaczy, że chce pani odroczenia? — warknął sędzia Howard.

Powiedziałam ledwie słowo, a on już był poirytowany. Spojrzałam na niego i na moją matkę. Uznałam, że nie kochał jej tak bardzo, jak przypuszczała.

Notatka: Poprosić nowego sędziego.

— Jestem zajęтым człowiekiem panno Cushing. Mój czas jest cenny. Nie wiem, CZy pani lub ktokolwiek z waszeJ rodziny zdaje sobie z tego sPrawę.

Podejrzanie potwierdzone. Zmiana notatki: Zażądać nowego sędziego.

- Tak, panie sędzo. Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak dopiero niedawno wróciłam do miasta i jestem w trakcie zapoznawania się z sytuacją.

Jack wstał, powoli rozciągając mięśnie, Wyczuwało się jego siłę. Znikł wszelki ślad po człowieku, który nazwał mnie laleczką.

— Wysoki Sądzie - zaczął, wyglądając krawat. — Mój klient wołałby załatwić sprawę rozwodu. Z trudem znosi stres.

Matka prychnęła.

Vincent rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Adwokat strony przeciwnej została powiadomiona o przesłuchaniu, Wysoki Sądzie - dodał Jack - Uczestniczyła też we wcześniejszym sPotkaniu dotyczącym sprawy...

Spotkaniu, które odbyło się tydzień temu — stwierdził jakby przepraszająco.

Policzyłam do dziesięciu. Sędzia Howard zwrócił się do mnie:

— Czy to prawda, panno Cushing? — zapytał surowo ostrym głosem.

— Wysoki Sądzie, pan...

— To prawda czy nie, młoda damo? Jakbym miała dziesięć lat.

— Prawda, Wysoki Sądzie, ale...

— Żadnych ale. Kontynuujemy postępowanie.

Stałam tam, gotując się ze złości. Jack wzruszeniem ramion przekazał mi nieszczerze przeprosiny. Kiedy spojrzałam na sędziego, wydawał się bardzo z siebie zadowolony. Czy im się to podobało, czy nie, potrzebowałam czasu. I zamierzałam go uzyskać.

— Wysoki Sądzie...

— Panno Cushing, nie zmienię zdania.

— Czy mogę podejść? Zaczął coś mówić szczepliwie.

— To ważne. Dla nas obojga.

Przyjrzał mi się spod krzaczastych brwi, które jakiś czas temu posiwiały.

— Lepiej, żeby to było coś ważnego, panno Cushing. Zbliżyłam się, Jack zerwał się, by pójść za mną.

— Wysoki Sądzie — mówiłam cicho, z godnością. — W związku z faktem, że Wysoki Sąd spotykał się kiedyś z moją matką...

Wyprostował się na krześle, krzaczaste siwe brwi jeździły w górę i w dół, jakbym do niego strzeliła.

— ...zwracam się z prośbą, żeby Wysoki Sąd wycofał się z przewodniczenia sprawie.

— Jest pani impertynencka, młoda damo. Pomiędzy pani matką a mną nie było nigdy niczego niestosownego czy nawet poważnego.

Posłałam mu spojrzenie zrezygnowanej niewinności, jakbym z przykrością przynosiła złe wieści,

— Nie mówię, że chodzi o coś niestosownego, ale — wzruszyłam ramionami — moja matka przysięga, że pan ją kochał. Jeśli będziemy kontynuowali sprawę pod pana przewodnictwem, będę zmuszona poznać stopień pańskiej zażyłości z moją matką, co może prowadzić do dokonania porównań pańskich związków z innymi kobietami... — Nie dokończyłam zdania, implikacja była jasna.

— Zaledwie raz się z nią umówiłem!

— Ale się pan umówił.

Rzucił mi gniewne spojrzenie, po czym walnął młotkiem.

— Sąd ogłasza przerwę — oznajmił podniesionym głosem. Pochylił się i dodał cicho: — Rozważę pani wniosek.

Pan uroczy wyparował i zabójczy Jack, którego tak dobrze znałam, pokazał swoje prawdziwe oblicze. Nie wydając głosu, poruszyłam ustami:

— Nie za dobra w pokera, hę?

Kiedy wychodziliśmy, tym razem ja przytrzymałam dla niego bramkę.

*

Tego popołudnia za piętnaście czwarta byłam gotowa, a przynajmniej gotowa, na ile to było możliwe, kiedy zjawily się dziewczęta. Weszły prosto do bawialni i rozsiadły się na sofach i wyściełanych krzesłach. India malowała paznokcie, świta bez przerwy gadała, pozostałe dziewczęta żuły gumę. Tylko Sasha siedziała oparta sztywno i wygładzała spódnice.

Gdy weszła Morgan, świta poprawiła się na siedzeniu i zamachała: - Morgan patrz!

Zaprezentowały pasiaste paznokcie u nóg.

India najwyraźniej przemyślała sprawę.

- Spadaj, Abby. Morgan, chodź, usiądź obok mnie.

Morgan spojrzała na nią podejrzliwie, a może po prostu była nieufna. W każdym razie oznaczało to inteligencję wyższą, niż można się spodziewać po kimś, kogo wyrzucano z każdej prywatnej szkoły w okolicach San Francisco. Choć może źle ją oceniłam, bo podeszła i usiadła obok Indii.

- Czego nauczyłyście się z broszury, którą wam dałam? _ zapytałam bez wstępów, mając u boku Janice.

India oglądała swoje dłonie.

- że Tommy Brown całuje najlepiej z całej szkoły. — Zaprezentowała paznokcie całej grupie. — Zrobiłam sobie z tej okazji francuski manicure. — Spojrzała na Sashę. - Czy to ten facet, z którym mówiłaś, że byłaś w kinie?

Sashu siedziała z otwartymi ustami.

- Wyjaśnij — wtrąciłam gładko, choć byłam spięta — co takiego przeczytałaś w wyznaczonej pracy domowej, co stosuje się do pocałunku z panem Brownem?

India spojrzała na mnie, jakbym zwariowała. Podobnie Janice.

Rozejrzałam się zebranych.

- Czy ktoś zna odpowiedź?

W górę wystrzeliła samotna ręka Panny Intelktualistki, - Ruth?

— Dama nie opowiada nikomu o prywatnych sprawach — oznajmiła dumą. — I pocałunek powinien pozostać nieujawniony.

— A tak po prostu — stwierdziła Abby, machając ręką w górze - "nie rozgaduj o całowaniu".

— Dokładnie — przyznałam. — Nawet slang może wyrastać z dobrych manier.

- Kogo obchodzą dobre maniery? — rzuciła India.

— Najwyraźniej nie ciebie — odparła Sasha. Myślałam, że India zerwie się z sofy, ale po chwili się

roześmiała.

- Zazdrosna?

— Debiutantkę obchodzą dobre maniery, a jak ostatnio słyszałam, Indio, chciałaś być debiutantką. Jednak jeśli zmieniłaś zdanie...

— Wszystko jedno — stwierdziła ze złością, potem parę razy gwałtownie odetchnęła, wreszcie uśmiechnęła się chytrze. — Kiedy Tommy i ja znów się spotkamy i totalnie się sobą zajmujemy w domku myśliwskim jego ojca, z pewnością o tym nie wspomnę.

Świta zaczęła świergotać z podnieceniem. Janice zwiesiła głowę. Sasha wyglądała, jakby miała się rozplakać. Pospiesznie wyciągnęłam zza fotela tablicę i ustawiłam na sztalugach.

— Musimy popracować nad pięcioma kwestiami. — Zapisałam kolejne punkty na tablicy. — A są to: 1. Chód; 2. Rozmowa; 3. Taniec; 4. Zachowanie przy stole; 5. Garderoba.

— Garderoba?

— Jak się ubrać.

India zmierzyła z góry na dół najpierw mnie, potem Janice.

— I wy dwie chcecie nam mówić, jak się ubierać?

— Zabawne. — Nie było takie i nie miało być. — Dziś zaczniemy od chodzenia.

Poprzedniej nocy długo nie spałam, ćwicząc, co powiem i jak to zademonstruję. Długo to trwało, bo musiałam poczekać, aż wszyscy pójdą się położyć i zyskam pewność, że zasnęli. Nie chciałam, by ktoś wiedział, że muszę poćwiczyć. Kiedy wreszcie trafiłam do łóżka, byłam z siebie dość zadowolona, ale stojąc przed ośmioma nastolatkami i bratową, która uważała całą sprawę za dno dna, czułam, że żołądek kurczy mi się ze zdenerwowania, jakbym sama była w szkole średniej.

Z determinacją umieściłam na czubku głowy encyklopedię i ruszyłam w stronę przeciwległej ściany.

— Z pewnością słyszałyście o nauce właściwego chodzenia, z książką, na głowie. — Koncentrowałam się, by rzeczona książka nie spadła na podłogę.

- Mamy tak chodzić? — zapytała Nellie. — Przepraszam, ale wygląda pani dość głupio.

Zatrzymałam się, książka spadła, na szczęście ją złapałam, a potem się odwróciłam.

Janice ukryła uśmiech. Kiedy spojrzałam na nią pytająco, skinęła głową.

— Tak, trochę dziwnie.

Wetknęłam książkę w jej rękę.

— Więc ty to zrób. Cofnęła się.

— O nie, nie ja.

Sasha wstała z perfekcyjnym uśmiechem i oznajmiła:

— Ja to zrobię.

India nie zamierzała jej pozwolić. Wyrwała mi książkę, zanim zdążyłam podać ją Sashy.

Uśmiechając się z wyższością, stanęła na końcu pokoju.

— Pokażę wam, jak chodzić.

Umieściła tom na czubku głowy i ruszyła. Biorąc pod uwagę czterocalowe obcasy i skąpy strój, poradziła sobie zaskakująco dobrze. Jak dziwka patrolująca meksykańską granicę.

— Trochę mniej ruchów biodrami — zasugerowałam. Prychnęła, ale zastosowała się do rady. Gdy skończyła drugie

okrążenie, publiczność urządziła jej owację. Zdjęła książkę z głowy, uśmiechnęła się i ukloniła. Zauważyłam jednak, że nie wykonała dygnięcia.

Wszystkie dziewczęta chciały spróbować i musiałam przynieść więcej książek. Przeniosłyśmy się do marmurowego holu i huk książek uderzających o podłogę stał się doprawdy ogłuszający. Nikogo więc nie zaskoczyło, gdy u szczytu schodów pojawiła się moja matka. Uśmiechnęłam się do niej w sposób, który mówił: „Widzisz, jak dobrze wszystko idzie?”.

Jako kolejna na scenę weszła Morgan, a ja zmówiłam cichą modlitwę.

Patrzyłyśmy, jak kładzie książkę na głowie i rusza przez hol, ale jakoś jej nie wychodziło.

— Eee — jęknęła. — Co za głupota. Janice uśmiechnęła się pogodnie.

— Nie musisz tego robić.

— Płyta ci się zacięła?

— Ja tylko próbuję pomóc.

— Jasne — ucięła Morgan.

— Ależ tak. Prawdę mówiąc, sugerowałabym, żebyś zdjęła te buciory, wtedy łatwiej byłoby ci chodzić.

Myślałam, że moja bratanica wybuchnie. India, jak zawsze podżegaczka, skinęła głową z chłodną wyższością i dołała oliwy do ognia

— Wojskowe buty są bardzo nie jazzy.

— I co ty na to, Morgan? — nalegała Janice.

Gdybym nie stała na środku pokoju, pomachałabym do bratowej pomarańczową flagą, jak obsługa techniczna ostrzegająca o wypadku. Nawet ja wiedziałam, że zapuściła się na niebezpieczne terytorium.

Moja bratanica rzuciła Indii gniewne spojrzenie, potem gwałtownie wykręciła się w stronę matki. Jej świeżo ufarbowane ciemne włosy sfrunęły z ramion, niebieskie oczy miała zmrużone.

— No co, mamó? Wolałabyś, żebym nosiła buty dla starszej pani jak Sasha? Czy czterocalowe szpile jak India? Jakiego rodzaju buty chciałabyś, żebym nosiła? — Chrzęknęła protekcjonalnie. — Ach, wiem, chcesz, żebym nosiła te hippisowskie sandały dla opóźnionych umysłowo, które uważasz za takie świetne. Uwaga, nowiny. One też są „bardzo nie jazzy”. Wychodzi na to, że obie jesteśmy dziwaczne!

Okręciła się na pięcie i wybiegła z pokoju, mijając moją matkę, która stała prawie skamieniała.

Zaczęłam coś mówić, nie wiem co, ale usłyszałam kolejny stłumiony okrzyk. Odwróciłam się w samą porę, by zobaczyć, że India zrzuca Sashy książkę z głowy i ciska na podłogę.

— Myślisz, że jesteś taka świetna — powiedziała India. — Nie jesteś. Jesteś nadętą suką, której nikt nie lubi.

— Lepsza nadęta suka niż dziwka!

Rzuciłam się i rozdzieliłam dziewczęta na chwilę przed tym, nim doszło do bójki, po czym zapędziłam je z powrotem do bawialni.

Mocno zacisnęłam powieki, a kiedy je otworzyłam, matka kręciła głową.

— Nie tylko filharmonia i nazwisko naszej rodziny ucierpią z powodu tego fiaska. Te dziewczęta staną się pośmiewiskiem Willow Creek i nigdy w życiu się z tego nie podniosą. Myślałam, że po własnym balu debutantek będziesz tego świadoma.

Spojrzała na mnie surowo, odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego pokoju.

Rozdział 13

Poszłam do kuchni, prosto w stronę dzbanka kawy, który Lupe zawsze trzymała w ciepłe. Potrzebowałam albo kawy, albo solidnego łyka czegoś wysokoprocentowego.

Lupe siedziała przy głównym blacie, polerując srebra. Matka miała przynajmniej cztery komplety srebrnych sztućców, które z dumą osobiście czyściła, jednak ostatnio jej przedłużające się pobyty w łóżku pozostawiły stołowe utensylia ich własnemu losowi.

Zadzwoił minutnik przy piekarniku i Lupe odłożyła szmatkę oraz srebro, zdjęła gumowe rękawice, po czym poszła wyjąć blachę ciasteczek. Choć nie jestem fanką sreber, jak reszta mojego klanu, miałam z nimi do czynienia od dziecka i potrafiłabym je polerować nawet przez sen. Uznałam, że w tym momencie to idealne zajęcie. Jak medytacja. Dawało czas, by oczyścić umysł i wymyślić, co robić dalej.

Prawda była taka, że w Willow Creek żadne pieniądze nie mogły sprawić, by człowiek został zaakceptowany w towarzystwie. Musiały im towarzyszyć gracia, rozum, styl i świadomość, że szlachectwo zobowiązuje. „Szlachectwo zobowiązuje” mogłam sobie darować przy pieniądzech, które rodziny dziewcząt przekażą na rzecz filharmonii, nie miałam jednak pola manewru w trzech pozostałych kategoriach.

Zadzwoiła moja komórka i zobaczyłam numer biura.

— Tak? — zapytałam.

— Carlisle, tu Pam.

Dokładnie brzmiało to jak „Car... tu...mm” z powodu kiepskiego połączenia.

— Pam, nie słyszę cię. Dodała coś o wielkich nowinach.

— Oddzwonię do ciebie na stacjonarny — powiedziałam. Zamknęłam komórkę i podeszłam do telefonu wiszącego

na kuchennej ścianie. Wykręciłam numer biura.

— Biuro panny Cushing.

— Pam, to ja.

— Co to jest Wainwright House?

— Co?

— Identyfikacja numeru, mówi Wainwright House.

— A, to... tu się zatrzymałam. Co mówiłaś przed chwilą?

— Nie uwierzysz! Mel Townsend, najbogatszy facet w Bostonie, dzwonił i chce z tobą rozmawiać o przeprowadzeniu rozwodu. Przysięgam, Carlisle, idziemy w górę! To znaczy, ty idziesz w górę. Musisz wrócić.

Przyznaję, że serce nieco mi zadrżało albo może nawet bardzo zadrżało. Jednak co miałam robić?

— Pam, nie mogę teraz wrócić. Jestem w środku rozwodu mojej matki.

— Ale mówimy o Melu Townsendzie! Jak możesz odmówić?

— Podaj mi jego numer, zadzwonię tam.

Zapisałam informacje kontaktowe, a potem się rozłączyłam. To się nazywa mieszane uczucia. Mel Townsend naprawdę mógł przypieczętować moją karierę, ale jak tu pozbyć się odpowiedzialności, którą przyjął.

Lupe krzątała się w kuchni, wzięłam więc rękawice, miękką szmatkę i zabrałam się do roboty. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałam czasu do namysłu. Sztuciec po sztuccu moje ręce odnajdywały rytm, aż w końcu gonitwa myśli ustała. Wyczyściłam połowę zestawu staroświeckich sreber, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. I wtedy zadzwonił telefon. Ledwie zwróciłam uwagę, bo Lupe odebrała. Kątem świadomości zanotowałam, że nie była zbyt uprzejma dla tego, kto miał pecha przeszkodzić jej w pracy.

— Nie jest wolna, mówię — westchnęła ze zniecierpliwieniem. — Pan zawraca głowę. Ja mówię. Ona pracuje. Poleruje srebra. Kto to? — Słuchała. — Filet?

To zwróciło moją uwagę. Filet? Zaczęłam się uśmiechać, a potem rzuciłam się do telefonu. Srebra ze szczękiem posypały się na podłogę.

— Philip!

Lupe prychnęła, a ja przycisnęłam słuchawkę do piersi.

— Odbiorę!

Wymamrotała coś, czego nie zrozumiałam.

— I niech informacja o tym telefonie zostanie między nami, dobrze, Lupe?

— Ba — mruknęła i odmaszerowała.

Zaczekałam, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu, potem wzięłam głęboki wdech.

— Philip — powtórzyłam, tym razem do słuchawki.

— Co się tam dzieje? — zapytał.

— Nic, nic. Po prostu poleruję srebra. Lupe nie chciała przerywać mi pracy.

— Czy Lupe to szefowa twojej matki?

— Aa...

- Czy wróciłaś do domu, żeby podjąć pracę służącej?

— Aa...

— Myślałam, że pracujesz nad sprawą rozwodową. Zabrakło mi odpowiedzi, więc postawiłam na dywersję

z I(XVII w.):

— Skąd masz ten numer?

— Od Pam. Właśnie powiedziała mi o układzie z Town-sendem.

— Nie powinna była tego robić.

— Czego? Dawać mi tego numeru? Czy mówić, że rozważasz rezygnację z fantastycznej sprawy?

Ani tego, ani tego?

— Philipie, nie rozważam żadnej rezygnacji, ale muszę tu skończyć, zanim zrobię cokolwiek innego.

Westchnął.

— Słuchaj, przygotowuję się do dużej sprawy i myślałem, że przedtem mógłbym przyjechać na weekend. Porozmawiamy, coś wymyślimy.

— Nie!

Prawie poczułam, jak Philip się spina.

— Bo wiesz, najbliższy weekend to kiepski pomysł. Mam tu pełne szaleństwo. — Zdałam mu szczegółową relację ze sprawy rozwodowej, by odwrócić jego uwagę.

— Sędzia umawiał się z twoją matką? — zapytał.

— Tak, właśnie! Więc siedzę w bagnie po uszy, ale obiecuję, gdy się tu trochę uspokoi, chcę, żebyś przyjechał.

W oddali rozległ się dzwonek do drzwi.

— Ale gdybym przyjechał teraz, moglibyśmy omówić strategię — upierał się przy swoim.

— To wspaniale, ale teraz muszę zebrać myśli.

— Cóż...

Usłyszałam, że Lupe otwiera, potem zbliżające się głosy. Drzwi zostały pchnięte i pojawił się Jack.

Zobaczył mnie w chwili, gdy tylko wszedł. Stał i przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami.

— Tęsknię za tobą, Carlisle.

— Co? — Z wysiłkiem skupiłam się na telefonicznej rozmowie.

— Powiedziałem, że za tobą tęsknię, Carlisle.

Pod spojrzeniem Jacka chyba się zarumieniłam. Nawet Lupe znieruchomiała i zaczęła mi się przyglądać. Co mogłam powiedzieć, mając taką publiczność?

— Doceniam to, Philipie.

Po raz kolejny nie udzieliłam odpowiedzi zapewniającej wygraną. Co to oznaczało? Że nie chciałam takiej nagrody?

Odsunęłam od siebie tę myśl, przywołując uspokajający obraz Philipa, jego miłych zielonych oczu, piaskowych włosów, tego, że potrafił mnie uspokoić bez względu na to, jak stresujący był dzień w sądzie. Tego dnia, gdy się oświadczył, zabrał mnie na przejażdżkę łódką w parku. Trawa była taka zielona, wierzby rosły na brzegu, wiekowe wieżowce otaczały park jak wartownicy. Kiedy poprosił, żebym za niego wyszła, odwrócił mnie twarzą do siebie na wąskim drewnianym siedzeniu i powiedział, jak dumny byłby, gdybym zgodziła się zostać jego żoną. Natychmiast się zgodziłam i wiedziałam, że to przeznaczenie. Kochałam go. Z tym mężczyzną przepelniała mnie miłość i nie czułam się, jakbym tonęła.

— Muszę kończyć — powiedziałam do telefonu. — Przyszedł ktoś w sprawie rozwodu. Później do ciebie zadzwonię.

Udałam, że nie słyszę, jak Philip coś mówi, gdy odkładałam słuchawkę na widełki.

— Panienska coś knuje — zauważyła Lupe.

— Jesteś bystrą kobietą, Lupe — stwierdził Jack. — Kim jest Philip?

— To nie twoja sprawa.

Lupe uniosła brew, Jack tylko się roześmiał.

Słuchawkę pokrywała pasta do srebra i zamiast patrzeć na Jacka, by doświadczać miękkości kolan, zdarłam gumowe rękawice i złapałam papierowy ręcznik.

Janice przepchnęła się przez drzwi. Zatrzymała się na widok naszej trójki.

— Co się dzieje?

— Nic — odparłam.

— Panna Carlisle rozmawia z filetem.

— Filetem?

— Lupe, prosiłam, żebyś zachowała to dla siebie. Tylko wzruszyła ramionami.

Zwróciłam się do bratowej:

— Nie wspominajmy o tym, dobrze?

— Jasne — ruszyła w stronę lodówki. Drzwi pchnięto po raz kolejny.

— Co się tu dzieje? — zapytała Savannah, wchodząc ze stukotem obcasików. Na widok Jacka przekrzywiła głowę zaskoczona, potem zrobiła kolejną żartobliwą uwagę o „prawniku wroga”, tym razem dodając „zaręczony” i „nieosiągalny”.

Janice zatrzymała się i spojrzała przez ramię.

— Carlisle robi coś z filetem przez telefon, cokolwiek to znaczy.

— Janice!

— Przepraszam — próbowała się usprawiedliwić. — Po prostu mi się wypnęło. Poza tym wiesz, jak trudno coś ukryć przed Savannah. Stanowi skrzyżowanie chińskiej tortury wodnej i hiszpańskiej inkwizycji. Lepiej od razu się przyznać i mieć to z głowy.

— Prawda. Ale ty, Janice? Poddajesz się? Zawsze myślałam, że jesteś silniejsza.

Wyglądała na szczerze rozczarowaną samą sobą.

Nagle przyszło mi do głowy, że cały sens egzystencji Janice została podany w wątpliwość. Przeprowadzka z powrotem do rodzinnego miasta, mąż, który stale pracuje, córka, która chce być debutantką, i sama Janice, która ciężko harowała, by impreza odniosła sukces i nie wyszła po amatorsku. Musiała zadawać sobie pytanie, czy wszystko, co osiągnęła po opuszczeniu Willow Creek, było realne.

Savannah uśmiechnęła się szelmowsko.

— A więc flirtujesz z filetem, jak rozumiem — oświadczyła.

— Boże, zlituj się — rzuciła moja matka, wchodząc do kuchni. — Cóż za rozmowę słyszę w moim własnym domu? — Potem zobaczyła Jacka. — Co to ma być? Spoufalamy się z wrogiem?

Savannah uśmiechnęła się złośliwie.

— Ostatnio to lubi.

Matka spojrzała na mnie ze złością.

— Pani Ogden — Jack powitał ją z uśmiechem, który mógł rywalizować z grymasem Savannah.

— Carlisle uprawia seks przez telefon — stwierdziła Savannah.

Matka, Savannah, Janice i Lupe przyjrzały mi się, potem przeniosły wzrok na Jacka, mierząc go z góry na dół. Podniósł ręce.

— Na mnie nie patrzcie, nie mam z tym nic wspólnego.

— Przestańcie! Wszyscy. Co tu robisz, Jack? — zapytałam. Zaciskałam szczęki i zaczynały mnie boleć.

— Właśnie dostałem wiadomość, że sędzia Howard zrezygnował ze sprawy.

Mama westchnęła.

— To był naprawdę miły człowiek.

— Został zastąpiony przez sędziego Theodore'a Westona.

— Och, Theo jest uroczy. Z nim też się spotykałam. Teraz wszyscy spojrzeli na moją matkę.

— Az kim się nie spotykałaś?

Roześmiała się i wyszła. Lupe, Janice i moja siostra poszły za nią. Jack się nie ruszył.

— Więc powiedz, co to za Philip?

Już się spieszyłam z wyznaniem. Chyba prychnęłam. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że Jack zatrzymałby dla siebie coś, co mu powiem. Prawdopodobnie użyłby tego przeciwko mnie w sądzie. I dla jasności, to, że nie wspomniałam o swoich zaręczynach, było czymś zupełnie innym niż fakt, że on mi nie powiedział, ponieważ moje zaręczyny stanowiły sekret. Nie można chyba oczekiwać, że powiem Jackowi o zaręczynach, zanim wyjawię to własnej matce?

— Nie twój interes — ucięłam.

— Daj spokój, Cushing. — Drażnił się ze mną. - Jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz? Mnie możesz powiedzieć.

Kolejna rzecz, w którą nie wierzyłam, wbrew temu, co wcześniej powiedziałam. Nie mogliśmy być przyjaciółmi. Próby już były.

W college'u, jak to już zostało powiedziane, chłopak mojej współlokatorki przesadnie długo przesiadywał w naszym domu, podobnie jego przyjaciele. Za każdym razem, kiedy wchodziłam do kuchni, było tak samo. A teraz ta zmiana atmosfery w pokoju, gdy Jack na mnie patrzył. Kompletnie zwariowane wrażenie.

Poza tym było między nami coś, co istniało od zawsze. Trzymałam ludzi, szczególnie facetów, na dystans. Nie byłam i nie zamierzałam być podobna do matki — myślę, że

wyraziłam się w tej sprawie zupełnie jasno. Jednak tego pierwszego dnia w szkole średniej, a potem w dniu, gdy uratował mnie przed Rogerem Dubacem, przełamał to, nawet jeśli zaledwie na chwilę. Choć usilnie się starałam trzymać go na dystans, jakoś mi się nie udawało, przynajmniej nie do końca.

Wszystko zmieniło się w dniu, gdy byłam sama w domku na kampusie, szykując kanapki z grillowanym serem. Jack stanął w drzwiach, motor zaparkował od frontu.

— Zostawiłem tu wczoraj książkę do ekonomii.

Taki właśnie był. Niegrzeczny chłopiec o wielkiej inteligencji. Jednak większość ludzi nie widziała nic poza jego dzikością na powierzchni.

Skrzywił się.

— Cholera, czy coś się pali?

Nikt nigdy nie twierdził, że jestem mistrzem patelni.

Jęknęłam, po czym zawróciłam do kuchni, ale Jack dotarł tam pierwszy. Ser z mojej kanapki ściekł na spiralę grzejną opiekacza i właśnie zaczynał się pożar. Zanim zdążyłam powiedzieć „o rany”, Jack wyrwał wtyczkę, chwycił opiekacz i wrzucił pieczony ser do zlewu. Ramię w ramię patrzyliśmy na zmarnowaną kanapkę. Potem Jack się odwrócił i oparł biodrem o blat.

— Chcesz iść do kina?

— Niespodziewany zwrot w rozmowie. Zapraszasz mnie na randkę?

— Chyba tak.

Przebiegł mnie dreszcz, który szybko stłumiłam.

— Przepraszam, nie mogę. Nie chodzę na randki. Przejechał ręką po włosach.

— Co to znaczy?

— A co tu jest niejasne?

— Bo kto nie umawia się na randki?

Jego ton sugerował, że dziwacy, ofiary losu, kretyni i tak dalej.

— Nie wszystkim szaleją hormony.

Nie dodałam, że nie mam czasu. Nie mogę dać się wciągnąć, nie zgadzam się być taka jak inne dziewczyny. Lista była długa.

Przez chwilę mu się przyglądałam, a potem nie zdołałam się opanować i wypaliłam:

— Chyba mogłabym się przyjaźnić.

Zachichotał ponuro i zmierzył mnie spojrzeniem tych ciemnych oczu. Mój umysł zaczął krzyczeć: uwaga, niebezpieczeństwo! Ale jedyne, co mogłam zrobić, to zrewanżować mu się uśmiechem.

— Przyjaciele, mówisz? — zapytał.

— Do licha, czemu nie.

— Lubimy żyć niebezpiecznie?

Coś w uśmiechu Jacka mówiło mi, że jego koncepcja niebezpiecznego życia znacząco różniła się od mojej. Przez kilka następných dni chodziliśmy do kina, księgami, biblioteki, za każdym razem jako przyjaciele. Wyglądało, że Jackowi pasuje ten układ, jeśli pominąć chwile, kiedy z roztargnieniem owijał kosmyk moich włosów wokół palca albo po prostu przestawał coś robić, żeby mi się przyglądać.

— Co? — chciałam wiedzieć.

Ale on tylko się uśmiechał i wracał do lektury. Przynajmniej tak to szło do czasu, gdy tamtej nocy wszedł do mojej sypialni i mnie obudził.

— Hej, Jack — powiedziałałam głosem zachrypniętym od snu. — Czy coś się stało?

Usiadł na brzegu materaca.

— Nie chcę być twoim przyjacielem, Carlisle.

Co miałam powiedzieć? Mój mózg nie działa zbyt sprawnie w środku fazy REM i naprawdę kiepsko sobie radził z Jackiem siedzącym na łóżku w oczekiwaniu, że zapomnę o wszystkim, czego byłam świadkiem, obserwując doświadczenia matki z mężczyznami.

Zaczęłam przyzwyczajać się do ciemności w pokoju i oparłam się o poduszki. Zamrugałam.

— O rany! Jesteś ranny!

— To nic.

— Nic?!

Wygramoliłam się z przeciwnej strony łóżka, zapominając, że założyłam do spania tylko T-shirt, i włączyłam lampę.

— O rany!

— Już to mówiłaś.

— Co ci się stało?

Lewe oko miał czerwone i opuchnięte, i z tego, co wiedziałam o czasie krzepnięcia krwi, do rana miało się zrobić czarno-granatowe. Jego knykcie wyglądały jak mielona wołowina.

Padł tyłem na materac, a ja pognałam do łazienki i zebrałam wszystko, co przypominało środki opatrunkowe. Zmoczyłam ręcznik wodą i chwyciłam butelkę spirytusu. Zabrałam się do roboty, oczyściłam oko, potem spirytusem poląłam dłoń.

Ledwie się wzdrygnął, ale zamknął oczy.

— Brat poprosił, żebym poszedł na prawo.

Nie umiałam wyobrazić sobie Jacka w żadnym związku z prawem, chyba że przy drzwiach do okręgowego więzienia.

— I?

— I, kurwa, mam u niego dług.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiłam się, jak by to było żyć w cieniu legendy kogoś formatu Huntera Blaira. Nikt nie musiał mi wyjaśniać, jak może na człowieka podziałać życie członka rodziny.

— Więc byłeś wściekły, że masz u niego dług i pobiłeś się z nim, żeby co...?

Spojrzał na mnie, jakbym oszalała.

— Nie walczyłem z bratem. — Położył się wygodniej. — Potem wyszedłem, jacyś faceci zaczęli pyskować... — Wzruszył ramionami, potem skrzywił się z bólu. — Tak to bywa.

Nic więcej nie powiedział, po prostu tak leżał, aż uznałam, że zasnął. Nie wiedząc, co robić, a jakoś nie umiałam go wyrzucić, przykryłam go kołdrą. Kiedy się odsunęłam, chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

O rany.

Pociągnął mnie na siebie. Choć bardzo chciałabym stwierdzić, że się wrywałam, zawsze miałam silną awersję do kłamstwa. Był w dotyku jednocześnie gorący i zimny, a ja czułam się mniej więcej tak samo. Powiedziałam sobie, że oboje zaraziliśmy się grypą. To pewnie epidemia. Dobra wiadomość była taka, że zachowałam dość rozsądku, by w to nie uwierzyć.

— Jack, to nie jest dobry pomysł.

— Najlepszy, jaki miałem przez całą noc.

— Może to dla ciebie bzdury, ale ja mam marzenia, cele. A kiedy dziewczyny się zakochują, to rozprasza ich uwagę. — W to wierzyłam całym moim drżącym sercem.

Ale Jacka to nie speszzyło. Przesunął opuszkami palców wzdłuż mego ramienia i moje ciało zaczęło wyczyniać dziwne rzeczy.

— To się nie może zdarzyć — zdołałam wydusić.

— Dlaczego?

Odchyliłam głowę do tyłu i spojrzałam na niego.

— Bo nigdy jeszcze się nie całowałam. To go zaskoczyło.

— Żartujesz. Jesteś w college'u.

— Byłam zajęta. — Prawie się uśmiechnęłam. — No wiesz, te cele.

Zwiesił głowę, potem zaśmiał się ponuro. Ale kiedy zaczął się odwracać, wplątałam palce w jego koszulę.

— Kurwa — wyszeptał, a potem mnie pocałował.

Ponieważ nigdy jeszcze się nie całowałam, nie było to takie łatwe, jak się wydaje.

— Otwórz usta, Carlisle — polecił miękko.

Jak wiadomo, potrafię doskonale korzystać z instrukcji, zwłaszcza tych o charakterze edukacyjnym.

Po dotknięciu jego języka moje ciało oszalało. Pocałunek był powolny i głęboki, namiętny. Odwzajemniłam się i sądząc z powolnego głębokiego jęku, który wydał, zasługiwałam na ocenę A. I nie tylko za dobre chęci. Jego ręce odkrywały to, co było do odkrycia, ja w tym czasie sama dokonałam pewnych badań. Poczułam ogień, kiedy podciągnął mi T-shirt. Owszem, od „nigdy się nie całowałam” jednym krokiem przeszłam do „pieszczot”. Najwyraźniej miałam z matki więcej, niż się spodziewałam.

Przetoczył się, tak że jego uda leżały na moich, i kiedy telefon zaczął dzwonić, ledwie go usłyszałam. Przykrył mnie swoim ciałem, już dawno bez koszuli, błędząc ustami po mojej skórze. Gdy tylko przesunęłam dłońmi po jego plecach, zdumiona dotykiem twardych mięśni, ze stojącej przy łóżku automatycznej sekretarki dobiegł głos matki.

— Gdzie jesteś, Carlisle? — płakała. — Bernard spotyka się z inną kobietą. Musisz mi pomóc tego dowieść. — Przełknęła łzy. — Podjedziemy ciężarówką Ernesta pod jego dom, żeby zobaczyć, z kim jest.

Usiadłam raptownie, rzuciłam się do sekretarki i przerwałam połączenie. Matka zawsze bardzo uważała, żeby nikt w Willow Creek nie dowiedział się o jej „niedopuszczalnych” przejażdżkach nocą i szpiegowaniu. Jack i ja patrzyliśmy na siebie i widziałam, że usiłuje zrozumieć, kto dzwonił.

— Lepiej już idź — powiedziałam, obciągając koszulkę.

— Carlisle...

— Naprawdę.

Widziałam, że chce zadać pytanie, ale co mogłam mu powiedzieć o mojej matce i jej niekończących się dramatach, które obracały się wokół mężczyzn?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wypchnęłam go z pokoju.

— Idź Jack, po prostu idź.

Zatrzasnęłam za nim drzwi, potem wzdrygnęłam się na myśl o matce. Ale co mogłam zrobić? Była moją matką.

W kuchni znalazłam kluczyki i wyruszyłam do Wainwright House. W ciemności podjechałyśmy pod apartamentowiec Bernarda, zaparkowałyśmy od frontu i czekałyśmy. Jedyne, co się zmieniło przez lata, to to, że nie musiałam już siedzieć na książce telefonicznej, gdy przyszedł czas odwiedzić mamę do domu.

Rozdział 14

— Sieroty?

Siedziałyśmy z Janice przy kuchennym stole, omawiając nasze postępy z bale, kiedy bratowa zapoznała mnie z najnowszym płodem swojego umysłu.

— Tak, sieroty — stwierdziła. — Dokładnie tego potrzebujemy na Setnym Dorocznym Balu Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego w Willow Creek.

Wpatrywałam się w Janice, w jej stanowiącym pamiątkę przeszłości hippisowskim organicznym stroju, i nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Ja, osoba, która usilnie starała się dowieść, że nie jest puchem marnym jak matka i siostra.

— Oszalałaś? — jęknęłam.

Tak, ja, chłodna spokojna i pozbierana pani adwokat, która nigdy nie jęczy.

Wzięłam głęboki wdech. Na swoją obronę chcę tylko powiedzieć, że spędziłyśmy na planowaniu większą część poranka. Wypiłam więcej kawy, niż zniósłby ważący trzysta pięćdziesiąt funtów facet, więc co mówić o mnie. Słyszałam szum, który wprawiał w drżenie moje końcówki nerwowe, i marzyłam o tym, żeby uciec się do przemocy.

— Co sieroty mają wspólnego z balami debiutantek?

— Nic. To właśnie usiłowałam ci wyjaśnić przez ostatnią godzinę. Bale debiutantek są bezwartościowe.

— Więc sprowadzenie sierot w jakiś sposób doda im wartości? Co chcesz zrobić, sprowadzić je, żeby mogły popatrzeć? Też ubrać je na biało? Zatrudnić jako paziów? Pomachać im przed nosem tym, czego nie mają?

Janice zastanowiła się, stukając ołówkiem w szczękę.

— No dobrze, więc sieroty to nie taki świetny pomysł. Nawet ja nie potrafię znaleźć sposobu, żeby powiązać je z tą imprezą. — Przechyliła głowę i zmrużyła oczy, po czym stwierdziła: — Mam!

Świetnie.

— Każda debiutantka będzie miała szarfę... - Jak Miss America?

— Tak — zachichotała drwiąco. — Ale zamiast nazwy stanu nasze szarfy będą wymieniać prawa człowieka.

Poprzestałam na spojrzeniu.

Wyraźnie biorąc moje milczenie za zachętę, zagłębiła się w szczegóły.

— Jedna dziewczyna założy szarfę z napisem „niewolnictwo”, kolejna „prawo wyborcze”. Możemy mieć „nędzę”, „bezdomność”... rozumiesz.

— Podejmę ryzyko powtórzenia się: oszalałaś? Janice myślała przez chwilę.

— Przesadziłam?

Szydercze „tak” wydostało się z moich ust jak bańka mydlana i pękło z hukiem.

— No dobrze, a co powiesz na to: każda dziewczyna przedstawi podstawy dobra. Pracę, dzieci...

— Janice, gadasz bez sensu. Organizujemy bal debutantek. Pamiętasz? Nie manife. Usiłujemy zebrać pieniądze, żeby wesprzeć filharmonię, a nie demonstrować poparcie.

— Ech. Cała ta koncepcja parady dziewcząt, by zebrać pieniądze, jest archaiczna. Śni mi się to po nocach. Mam koszmary, że Susan Sontag i Betty Friedan mnie potępiają.

Nie wytknęłam, że obie nie żyją, a nawet gdyby żyły, bal debutantek w Willow Creek w stanie Teksas prawdopodobnie nie zawędrowałby zbyt wysoko na ich liście spraw rozpaczliwie wymagających zaangażowania.

— Posłuchaj — oznajmiłam. — Nikt cię nie potępi... Chyba że poniesiemy większą klęskę niż w zeszłym roku. W takim wypadku twoje koszmary mogą być uzasadnione — i wszystkie będziemy je dzielić, ale tego nie powiedziałam. — Zastanówmy się więc i zrobmy tak, żeby się udało. A w tym celu musimy trzymać się zestawu ścisłych reguł, wypracowanych przez ostatnie sto lat.

Janice wyglądała na zirytowaną.

— Jasne, zasad, które przyczyniły mi niekończących się cierpień, kiedy tu dorastałam.

Po raz pierwszy Janice powiedziała coś, co zdradzało, że wcale nie zachwycił jej sukces ojca, osiągnięty dzięki sprzedaży nakrętek, śrub i metalowych drobiazgów, oraz fakt, że nie należała do towarzystwa.

— Podaruj sobie to spojrzenie pełne litości — rzuciła ostro. — Z moim dzieciństwem wszystko było w porządku. To przeszłość doprowadziła mnie tu, gdzie jestem dzisiaj. Dzięki niej stałam się twardą wojowniczką. Nie chciałam należeć do tego snobistycznego tłumu, ale gdybym okazała im brak szacunku, wyszłoby, że jestem zawistna. Kiedy brak szacunku okazujesz ty albo ktoś inny należący do grupy, wychodzi na to, że jesteście ponad. Mam świadomość tej różnicy.

Co mogłam odpowiedzieć? Że to prawda? Nic dziwnego, że zdobyłaś Pulitzera?

Na szczęście ktoś z rozmachem otworzył tylne drzwi, potem w sieni rozległy się szybkie kroki i do kuchni wpadła Savannah, mimo pochmurnego i parnego dnia ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy oraz okulary przeciwsłoneczne Jackie O.

Rozejrzała się szybko.

— Jest tu ktoś jeszcze? — wyszeptała.

— Tylko my — odparłam. Oczy miała rozszerzone.

— Jestem w ciąży — oświadczyła, rzucając na blat klucze i torbę.

Ani chwili nudy w Wainwright House.

— W ciąży? — zapytałam.

Janice wyglądała jednocześnie na uradowaną i powątpiewającą.

W razie gdyby ktoś kontrolował czas, minął zaledwie tydzień od wielkiej niestosownej sceny w Klubie Sportowym w Willow Creek. Nie żebym знаła się na ciąży, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, że można wiedzieć tak szybko.

— Nie wierzysz mi. — Uśmiechnęła się jak kot z Cheshire. — Tylko spójrz!

Zerwała z siebie okulary słoneczne i płaszcz, odsłaniając różową flanelową piżamę i różowe tenisówki. Rzuciła je na bok i grzebiąc w swojej wielkiej torbie, wyciągnęła plastikową siatkę. Spojrzała na nas podniecona i wyjęła test ciążowy.

— Voilà!

— Jest jeszcze zapakowany. Może jestem tupa, ale nie rozumiem, w jaki sposób to dowodzi, że jesteś w ciąży.

Savannah wyszła z kuchni.

— Niedługo będzie zapakowany. Zamierzam dowieść, że poczęłam dziecko.

Janice spojrzała na mnie, potem na wychodzącą Savannah, wreszcie podskoczyła.

— Muszę to zobaczyć.

Cóż, co miałam robić? Siedzieć tam? Zerwałam się i poszłam za nimi.

Rzędem niczym kaczki pognałyśmy na górę do sypialni mojej siostry i jej męża, urządzonej w gustownie neutralnych barwach, z dobrej jakości tkaninami oraz kwiatami idealnymi, jak z czasopisma. Gdy jednak Janice i ja chciałyśmy wejść od łazienki, Savannah zatrzęsnęła nam drzwi przed nosem.

Spojrzałyśmy na siebie i wzruszyłyśmy ramionami, potem zaczęłyśmy nerwowo przemierzać pokój.

— Pospiesz się tam — zawołała Janice.

— Siusiam najszybciej, jak mogę.

W końcu usłyszałyśmy spuszczenie wody, a po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Twarz Savannah była biała.

— Co jest? — zapytała Janice, marszcząc brwi. Savannah wskazała na coś i zobaczyłyśmy pałeczkę leżącą

na marmurowym blacie.

— Nie mogę spojrzeć.

Janice weszła energicznie, ja za nią, i krążyłyśmy obie wokół pałeczki jak naukowcy obserwujący przebieg eksperymentu. Moja siostra czekała.

— I co pokazuje? — zapytała.

— Jeszcze nic. To trwa dwie minuty — wyjaśniła Janice. Wtedy Savannah zaskoczyła mnie, wbiegając do środka

i chwytając nas za ręce.

— Życie mi szczęścia — wyszeptała.

Moją siostrę można było zranić? Wykluczone. Niezależnie od wszystkiego serce nagle zaczęło mi walić.

Jak za sprawą czarów na wczesnym teście ciążowym pojawiły się dwie różowe linie.

— Wiedziałam! — wrzasnęła. — Janice, jesteś cudotwórczynią! Wystarczyło, że uwiodłam męża i zaraz jestem w ciąży.

— Co to za hałasy?

Moja matka stała w drzwiach, ubrana w kolejny zestaw bielizny.

— Mamo, jestem w ciąży! Czy to nie cudownie? Ridgely wyglądała na skonsternowaną.

Chwilę później w drzwiach za nią stanął Ben, jak zwykle ubrany w niebieską marynarkę, białą koszulę, krawat w prążki i spodnie khaki. Na nosie miał okulary w rogowej oprawie i gdyby nie wyraźny teksaski akcent, można by go wziąć za mieszkańca Północnego Wschodu.

— Co się dzieje? — zapytał. Piaskowe włosy spadły mu na twarz.

Zanim moja siostra zdążyła przekazać mężowi wieści, mama oznajmiła:

— Twoja żona jest w ciąży. Cisza.

— Mamo! — jęknęła Savannah. — To moje zadanie. Ben stał nieruchomo, potem westchnął i odgarnął włosy.

— Ale Savannah, kochanie, lekarz powiedział...

— Sram na lekarzy. — Pociągnęła nosem. — Jestem w ciąży i tym razem wiem, że wszystko się uda.

— Tym razem? — zapytała Janice. — Mielście już wcześniej problemy?

Savannah tupnęła nogą.

— Macie natychmiast przestać! Przestańcie szukać dziury w całym. — Zadrżała jej dolna warga, potem moja siostra nagle uśmiechnęła się szeroko i klasnęła w dłoń. — Widzieliście? Zmiany nastroju. Mam zmiany nastroju, cudownie. W każdej książce o dzieciach, którą czytałam, twierdzą, że zmiany nastroju to znak potężnego skoku hormonów. Widzicie, wszystko będzie dobrze. Nastrój zmienia mi się co chwila! I poranne mdłości. Cały rano miałam mdłości!

Ben nie wyglądał na przekonanego.

— Ale rozmawialiśmy o adopcji.

Nastąpiła kolejna zmiana nastroju. Jeśli to rzeczywiście oznaczało, że wszystko jest w porządku, Savannah była na dobrej drodze, by urodzić najzdrowsze dziecko w historii Teksasu. Ja też doświadczałam zmian nastrojów, od podniecenia wywołanego kawą do troski, zachwytu, potem znów do troski, którą nie do końca pojmowałam.

— Po prostu przestań, Ben — poprosiła Savannah.

Łzy wezbrały w jej oczach, więc ustąpił. Mężczyzna, który zdaniem mojej siostry był dla niej idealny, zrobił krok w przód i wziął żonę w ramiona.

— Nie płacz — powiedział. Matka pokręciła głową i wyszła.

— Masz rację, wszystko będzie wspaniale. — Ben wymówił te słowa ze stanowczym skinieniem, potem nagle się uśmiechnął. — Masz rację — powtórzył, powoli się uspokajając.

— Wszystko będzie wspaniale.

Przez chwilę trwała w jego ramionach i widać było, jak się odpręża. Potem się wyrwała.

— O mój Boże, mam tyle do zrobienia. Muszę udekorować pokój dziecienny, muszę wybrać imiona...

Zadzwoiła komórka i odebrałam, zadowolona, że coś odwróciło moją uwagę.

— Carlisle Cushing — powiedziałam, nie zwracając sobie głowy sprawdzaniem numeru.

— Carlisle, słuchaj. — Od razu wiedziałam, że to Philip. — Morton Bagwell uważa, że żona go zdradza, ale nie zdołał tego udowodnić.

Podstawowy problem prawa rozwodowego.

— Potrzebuje detektywa, żeby ją śledzić.

— Miał detektywa, ale niczego nie znaleźli.

— Z których usług skorzystał?

— Trottera.

— Nic dziwnego, Trotter jest beużyteczny.

— Najlepszy w mieście.

— Tak, jeśli potrzebujesz przeszukania Internetu, informacji o wiarygodności kredytowej, danych z rejestrów publicznych, tego typu łatwizny. Ale kiedy kogoś śledzi, ludzie się orientują.

— Nie ma mowy.

— Jest mowa. To Rosjanin, który ma sześć stóp i cztery cale wzrostu. Wyróżnia się, Philipie.

— Świetnie. Więc kogo mam poradzić Mortonowi? — z niechęcią zapytał mój narzeczony.

— Becky Mumps.

— Tego głuptasa?

— Becky nie jest głuptasem. Prychnął szyderczo.

— Świetnie, dalej korzystaj z Trottera, ale mówię ci, że Becky jest najlepsza. Potrafi wmieszać się w tłum i nawet jeśli człowiek ją zauważy, to w następnej chwili o niej zapomina. Nie wygląda jak ktoś, kto mógłby cię śledzić.

Usłyszałam, że Philip stuka ołówkiem w biurko.

— Okay. Jaki ma telefon? Podałam mu numer z pamięci.

— Powiedz, że masz go ode mnie. Kolejna pauza.

— Tęsknię za tobą. Natychmiast się odprężyłam.

— Ja też za tobą tęsknię — powiedziałam. — Zacząłeś już swoją wielką sprawę?

— Jeszcze nie. Pozwól mi przyjechać, poznać twoją matkę, oczarować ją. — Wiedziałam, że się uśmiechnął.

— To nie jest dobry moment. — Nie było to kłamstwo. Zawahał się.

— Czy ty się mnie wstydzisz, Carlisle?

— O mój Boże, nie! — Poczułam się winna. — Wiem, że olśnisz moją matkę, ale po prostu bardzo bym nie chciała, żebyś przyjeżdżał, kiedy jest pochłonięta czym innym. Nie chcę, żebyście się poznali w takiej sytuacji. Ale już niedługo, Philipie. Obiecuję.

— Jesteś pewna?

— Na sto procent. Kocham cię, Philipie. Naprawdę.

Rozdział 15

System sądowniczy w Willow Creek potrzebował całego tygodnia, by znaleźć przedstawiciela jurysdykcji, który nie umawiał się z moją matką. Wszłam do sali sędziego Edwarda Meltona w chwili, gdy wydano polecenie: „Proszę wstać”.

Wszedł sędzia, dystyngowany w swojej czarnej todze, z siwymi włosami i lekko opalony, co dodaje urody starszym mężczyznom. Przeciwnie, powiedziałyby moja matka, kobietom w dowolnym wieku.

Ridgely najwyraźniej zauważyła, jak przystojny był ten przedstawiciel prawa, i stanęła prosto niczym struna, co dawno już się jej nie zdarzyło. Sędzia Melton przez chwilę patrzył mamie w oczy. Nawet ja spostrzegłam przelotny błysk, zanim chrząknął i gwałtownie odwrócił spojrzenie. Może się z nią nie umawiał, ale zdecydowanie o niej słyszał.

— Mamo — syknęłam.

— Co takiego się stało? Czy kobieta nie może okazać uznania przedstawicielowi rodzaju męskiego?

— Nie, nie w sądzie. — Nie mam pojęcia, czemu zawracałam sobie tym głowę. Do moich najwcześniejszych wspomnień należał widok matki flirtującej w całym szeregu niestosownych miejsc; w kościele episkopalnym św. Jamesa, w herbaciarni Brightlee, na pogrzebie starej panny Peter, zupełnie jak ćpun, który potrzebuje działki.

— Proszę siadać — polecił urzędnik. Sędzia otworzył akta.

— Wysoki Sądzie — powiedziałam, wstając.

— Panno Cushing, proszę usiąść — warknął. — Nie jestem w nastroju, żeby teraz pani wysłuchać.

— Coś podobnego — pociągnęła nosem moja matka. Sędzia się zaczerwienił, zanim zdołał się opanować. Potem ponownie chrząknął.

Wrócił do akt, poczytał, potem poczytał jeszcze chwilę. Można by się spodziewać, że przyjdzie przygotowany.

Podnosząc wzrok, zatrzasnął akta.

— A teraz, panno Cushing, czego pani chciała?

— To przesłuchanie jest stratą czasu Wysokiego Sądu. Jedna siwa brew podjechała do góry.

— Doprawdy? Myślałem, że ja mam to ocenić. Galeria zachichotała.

Jack uśmiechnął się i spuścił głowę.

— Niech mi wolno będzie zapytać, co doprowadziło panią do tej konkluzji, panno Cushing?

— Sporządzono intercyzę, Wysoki Sądzie. Nie widzę powodu, by mieszać sąd do tej sprawy.

Umowa przedmałżeńska bardzo dokładnie określa warunki rozwodu.

Jack wstał.

— Wysoki Sądzie, ośmielam się nie zgadzać z panną Cushing. Przesłuchanie zostało zaplanowane, by przedyskutować zasadność wspomnianej umowy przedmałżeńskiej w świetle zmian w sytuacji pana Ogdena od czasu poślubienia przez niego pani Ogden.

Mama prychnęła.

— Zmian na lepsze.

Jack nie spuszczał wzroku z sędziego.

— Zmian na gorsze, Wysoki Sądzie. Gdy mój klient podpisał intercyzę, pani Ogden zachęciła go, by zrezygnował z pracy na uniwersytecie, obiecując i zawierając umowę ustną, że się nim zajmie.

— Pański klient został zwolniony, panie Blair — stwierdziłam spokojnie. — Wcale nie zrezygnował. Wszelkie obietnice poczynione przez moją klientkę były tylko słowami kochającej i oddanej żony, która obiecała wspierać zwolnionego z pracy męża. Jednak pan Ogden to zmienił. Odszedł od niej, panie Blair. Nie odwrotnie. Choć to bez znaczenia, biorąc pod uwagę rzeczoną intercyzę.

— Nie odszedł, panno Cushing. Został zmuszony do odejścia, by ratować swoje zdrowie psychiczne.

Mniejsza o sędziego. Nachyliłam się do Jacka.

— Chyba żartujesz — powiedziałam z najśłodszy i najbardziej nieszczerym uśmiechem, na jaki zdołałam się zdobyć.

— Mówię poważnie.

— Wprowadzasz nieład — rzuciłam ostro.

— Już mówiłem, nieład jest dobry.

— Dobry...

— Moi państwo. — Sędzia przerwał nam uderzeniem młotka, w samą porę. — Proszę oddawać się tym rozrywkom w czasie wolnym. Na mojej sali będą państwo trzymać się tego, co ma związek ze sprawą, a to, co dzieje się między wami, takiego związku nie ma.

— Ma pan rację, Wysoki Sądzie — spokojnie potwierdził Jack. — Jedyne, co dziś wiąże się ze sprawą, to warunki rozwodu.

— Warunki? — zapytała mnie matka, dość głośno, by wszyscy słyszeli. — Omawialiśmy już warunki — zerknęła na sędziego. — A przypominam, że są absurdalne. Dobry Boże, on chce podziału majątku. Ależ on nie ma żadnego majątku. On chce mojego majątku. Spójrz na niego. Zapłaciłam za wszystko, co ma na grzbiecie. A możesz mi wierzyć, że ma kosztowne gusta. Spójrz tylko na te buty. Słyszałaś, żeby ktoś wydawał czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów na parę mokasynów?

Nawet ja zerknęłam na stopy Vincenta. Ozdobne monogramy zdradzały, że pochodzą z kolekcji znanego projektanta mody. Mężczyźni w designerskich butach nie byli dobrze widziani w tej części Teksasu, o czym świetnie wiedziała moja matka.

Galeria krytycznie odniosła się do wyboru obuwia powoda.

— Możesz mi wierzyć, zapłaciłem za wszystko, jeśli nie gotówką, to udręką! — szyderczo stwierdził Vincent. Jego słowa wywołały głośny śmiech. Każdy spośród zgromadzonych w sali sądowej wiedział lub słyszał, że Ridgely Wainwright potrafiła być trudna.

— Życie z tobą też nie było łatwe — stwierdziła Ridgely. Sędzia odchrząknął.

— Panno Cushing, proszę uspokoić swoją klientkę. Matka rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Mamo, proszę.

— Wysoki Sądzie — wtrącił Jack. — Ze względu na wstępny charakter tego przesłuchania proszę o pozwolenie przedłożenia poprawki do naszego pozwu.

— Nie możesz tego zrobić — oświadczyłam.

Sędzia wyglądał, jakby chciał się ze mną zgodzić. Ale Jack się nie zawahał.

— Wysoki Sądzie, uzyskaliśmy informacje, że pani Ogden nie ujawniła pełnych informacji o rozmiarach swojego majątku. Dotyczy to konkretnie Lucky Stars.

Matka była oburzona.

— Nie możesz dostać Lucky Stars! Lucky Stars to moja własność — zwróciła się do sędziego. — To szaleństwo sądzić, że ten człowiek zasługuje na choćby jedno źdźbło trawy z mojej ukochanej farmy.

— Panno Cushing — groźnie powiedział sędzia — proszę poinformować swoją klientkę, że kiedy zwraca się do mnie w tej sali sądowej, ma tytułować mnie „Wysoki Sądzie” albo przynajmniej „panie sędzio”. — Zwrócił się do Jacka. — Panie Blair, proszę pokazać mi swój wniosek.

Czytał szybko, przez chwilę się zastanawiał, potem spojrzał na moją matkę.

— Pani Ogden, pani mąż żąda pięćdziesięciu procent Lucky Stars, hodowli koni na Old Trail Road pięćset dwadzieścia cztery.

— Nie może tego dostać!

— Panno Cushing — ponownie ostrzegł mnie sędzia.

— Mamo, proszę — powiedziałam nieuważnie, myśląc o czym innym.

— Ale on nie może — wyszeptwała. — Mam to zastrzeżone w umowie przedmałżeńskiej.

Było to prawdą i nie wątpiłam, że Jack także o tym wiedział. Zerknęłam na niego. Nie żądałby czegoś, gdyby nie uważał, że ma szansę to dostać... Albo coś innego w zamian.

— Wysoki Sądzie, zgodnie z umową przedmażeńską — zaczęłam ostrożnie, podając datę podpisania intercyzy — hodowla podlega wykluczeniu jako własność ustanowiona skutecznie, zanim zainteresowane strony wstąpiły w związek małżeński. Ponadto, jak wiadomo, hodowla była własnością mojej klientki przed zamążpójściem, co zgodnie z teksaskim prawem nie podlega odwołaniu.

— Wysoki Sądzie — wtrącił Jack — panna Cushing nie wzięła pod uwagę przyczynienia się do powiększenia wartości.

Zmrużyłam oczy.

— Przyczynienia się do powiększenia wartości? Wartości czego? Wartości długów mojej matki? Powiększenia zysków koncernu BMW? — Nic nie poradzę, samo mi się wyrwało.

— Panno Cushing — oznajmił sędzia — jeżeli pan Blair potrafi dowieść przyczynienia się do powiększenia wartości majątku znanego jako Lucky Stars, to zmienia wszystko.

— Tego właśnie zamierzam dowieść, Wysoki Sądzie — oświadczył Jack. — Dowiedziemy ponad wszelką wątpliwość, że Vincent Ogden znacząco podniósł wartość Lucky Stars, odkąd zaczął tam pracować...

— Pracować? — wypaliła matka. — Z tego co wiem, włóczenia się po okolicy i obstawiania gonitw nie można uznać za pracę.

— Ciężko tam pracowałem — bronił się Vincent. — I zrezygnowałem z poszukiwań kolejnej nauczycielskiej posady, by poświęcić czas na pomoc farmie i by uczynić ją remontową.

Na sali zapanowało zakłopotanie.

— Remontową? — pytano.

Vincent spoglądał na prawo i lewo. Jack się skrzywił.

— Remontową? — zapytał sędzia.

Vincent spojrzał na Jacka, ale ten nie był głupcem i nie odważył się zaryzykować niczego, co można by wziąć za udzielanie wskazówek.

— Och! Rentowną — poprawił się w końcu Vincent.

— Wysoki Sądzie — powiedziałam — ten człowiek najwyraźniej nie ma pojęcia o tym, co zrobił lub czego nie zrobił.

— Zgadza się — oświadczyła moja matka. — W dodatku nigdy nawet nie próbował znaleźć innej pracy. Nigdy nawet nie wysłał CV ani nie wykonał choćby jednego telefonu, by znaleźć inne zatrudnienie! Jestem przekonana, że poślubiłeś mnie, żeby spędzać czas z końmi!

— To lepsze niż spędzanie czasu z tobą!

— Panno Cushing — wydusił sędzia. — Panie Blair. To moje ostatnie ostrzeżenie. Proszę kontrolować swoich klientów.

— Mamo — syknęłam.

— Vincent — dodał Jack, zanim ponownie zwrócił się do sądu. — Wysoki Sądzie, mimo słów pani Ogden mogę dowieść, że wkład Vincenta Ogdena. w Lucky Stars przyczynił się do zwiększenia wartości farmy i w efekcie jest on uprawniony do uzyskania pożytku ze swoich wysiłków.

— Świetnie, proszę to zrobić. Zanim pan tego dokona, ustanawiam czasowy zakaz przenoszenia praw własności lub sprzedaży jakichkolwiek nieruchomości aż do rozstrzygnięcia sprawy Ogden kontra Ogden. Na podstawie złożonych oświadczeń finansowych nakazuję pani Ogden wypłacanie alimentów w żądanej kwocie do czasu uzyskania porozumienia lub do dnia prezentacji materiału dowodowego, w zależności od tego, co nastąpi najpierw.

Matka była rozzłoszczona, ja wściekła.

— Jeśli nie dojdą państwo do porozumienia wcześniej — dodał sędzia — to sąd wznowi obrady w sprawie Ogden kontra Ogden pierwszego maja. Zamykam posiedzenie.

*

Podczas jazdy do domu mama nie zamilkła ani na chwilę. Ernesto chrząkał i rzucał mi groźne spojrzenia, jakby to z mojej winy była zdenerwowana. Miałam zaledwie półtora miesiąca na znalezienie dowodów i uporządkowanie wszystkiego. Pracowałam już jednak nad trudniejszymi sprawami, dysponując krótszym czasem. Nie martwiłam się bardzo. To bal debutantek budził mój lęk.

Mama nie zamilkła, gdy dojechaliśmy do domu. Frontowy podjazd zajmowały rozmaite pojazdy, o których wiedziałam, że należały do moich młodych debutantek.

Śmiały się i nie słyszały, kiedy weszłam. Z początku byłam zadowolona, że ktoś ma dobry humor, ale potem zauważyłam, że Betty Bennett była na granicy łez, jej usta drżały.

— Co się tu dzieje? — zapytałam swoim najlepszym adwokackim tonem.

Śmiech zamilkł niby ucięty nożem, równie gwałtownie jak gilotyna, która spadła na głowę Marii Antoniny. Śledziły mnie oczy pełne poczucia winy. Być może nie onieśmielałam Jacka Blaira, ale z dziewczętami szło mi świetnie. Wszystkimi oprócz Indii, oczywiście.

— Betty? Co się stało?

— Nie wiem — wyjąkała. Przypominająca głowę meduzy fryzura puszyła się i wiła wokół jej głowy. — Wszystkie się ze mnie śmieją.

Zmierzyłam dziewczęta groźnym spojrzeniem, a potem Betty się odwróciła i zobaczyłam kawałek kartki przyklejony do jej pleców.

„Włochata Betty”.

Być może mimowolnie się cofnęłam. Zdumiała mnie złośliwość tych dziewcząt. Gdybym urodziła się w męskiej skórze, może bym komuś przyłożyła, jednak choć usilnie starałam się nie być jak moja matka, miałam dwa chromosomy X i w tamtym momencie byłam po prostu wściekła, że dziewczyny nie wspierają się wzajemnie.

Z hukiem otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła Janice.

— Przepraszam za spóźnienie — oświadczyła — ale znalazłam idealną suknię.

Wydobyła pianę białej koronki i muślinu, wysoki kołnierz i jakiś tysiąc obciążanych koronką guziczków.

— Co powiesz?

Wszystkie nas zatkało.

— Co to jest? — chciała wiedzieć India.

— Indio — skarciłam ją, choć nie mogłam się nie zgodzić z jej pełnym niedowierzania pytaniem.

Morgan zerwała się na równe nogi.

— No właśnie mam, co to jest?

— O mój Boże! — rozpromieniła się Ruth. — Jest piękna. To wiele mówi o guście Ruth Smith.

Janice wydawała się zmieszana, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś może nie uznać piętrzącej się w jej ramionach piany za najpiękniejszą suknię świata.

Musiałam się zastanowić, czy Janice nie przeżywa od nowa własnej przeszłości, stwarzając Janice Reager, księżniczkę--aktywistkę. Ta długa suknia znacząco przypominała coś, co na początku dwudziestego wieku założyłaby sufrażystka na pikietę.

Bratowa przeniosła spojrzenie z Morgan na suknię, potem znów na Morgan.

— To twoja balowa suknia — wyjaśniła ze słabnącym entuzjazmem.

India w głos się roześmiała.

— Nie musimy się chyba martwić, że Morgan zostanie ogłoszona debiutantką roku. — India rozparła się na sofie i skrzyżowała nogi.

— Czy mówiłam już, że idziemy z mamą na zakupy, żeby znaleźć dla niej suknię na bal? Jest totalnie niesamowita. Była kiedyś słynna w Hollywood.

Nikt jej nie słuchał, a w tym momencie Janice zauważyła już łzy na twarzy Betty.

— Co się stało?

Betty nieco się odwróciła, tylko odrobinę, ale wystarczająco. Janice opadły ręce, kiedy zobaczyła kartkę. Zgniotła trzymaną suknię.

— Kto to zrobił?

Rzuciła sukienkę na bok, przypadkiem trafiając na beżowy jedwabny szezłąg, szybkim krokiem podeszła do Betty i zerwała len kawałek papieru.

Miałam zamiar dyskretnie go zdjąć, a potem posłać Betty do łazienki, żeby się umyła, i w tym czasie nakłnąć dziewczętom do głowy.

— Nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiliście! — stwierdziła Janice.

Betty jeszcze bardziej się rozplakała, kiedy zobaczyła napis. Jej twarz przybrała kolor jaskrawej czerwieni, potem dziewczyna pobiegła do łazienki.

Janice zmierzyła Morgan wściekłym wzrokiem.

— Nigdy bym nie uwierzyła, że moja córka może wziąć udział w czymś takim.

Morgan wcale nie wyglądała na skruszoną.

— Cóż, znasz mnie. Zawsze jestem nieprzewidywalna. — Ruszyła do wyjścia, potem się zatrzymała. — I żebyś wiedziała. Nie założę tej ohydnej szmaty, którą nazywasz suknią. — Po czym wybiegła z pokoju.

— Morgan! — zawołałam za nią. — Mamy masę pracy. Janice chwyciła suknię i ruszyła za córką.

— Janice! — zawołałam.

Jednak obie zniknęły, biegiem pokonały schody, wrzeszcząc na siebie, aż zatrzasnęły się za nimi drzwi gdzieś na dole, co ucięło hałas.

Jakbyśmy miały na to czas.

Zaniknęłam oczy i usiłowałam sobie przypomnieć, o czym miałam myśleć, żeby się uspokoić. O oceanie? O łące? O sali balowej wypełnionej pięcioma setkami najznamienitszych obywateli Willow Creek, którzy zjawili się, by towarzyszyć tym dziewczętom podczas oficjalnego przyjęcia do towarzystwa? Ostatnie najwyraźniej nie należało do listy uspokajających obrazów, bo skok ciśnienia sprawił, że dzwoniło mi w uszach.

Odwróciłam się do dziewcząt z silnym postanowieniem, że zachowam się jak dorosła — przynajmniej w sprawie Betty.

— Jak byście się czuły, gdyby wam ktoś przyczepił taką kartkę?

India uśmiechnęła się złośliwie.

— Niechby spróbował. Ale czy kogoś dziwi, że Betty to ofiara, kiedy ma taką matkę? Halo? Widziałyście te totalnie szalone warkocze, które owinęła sobie wokół głowy na spotkaniu wstępnym? Skąd ona się wzięła? Z planety Alps?

Tiki i Abby śmiały się, dopóki nie zmierzyłam ich groźnym wzrokiem.

— Och, przepraszam — powiedziała India bez śladu zawstydzienia. — Jeżeli naprawdę chcesz o tym porozmawiać, to powinnaś zadać to pytanie komuś, kto będzie znać odpowiedź. — Zwróciła się do Sashy. — Powiedz, jak się czujesz, kiedy ludzie mówią, że jesteś nadętą cnotką?

Sasha najpierw zbladła, potem poczerwieniała.

— Nie oszukuj się, Indio, gdybym była taką cnotką, Tommy Brown nie przyszedłby do mnie wczoraj wieczorem i nie błagał, żebym przyjęła go z powrotem.

I czerwień wypłynęła na twarz Indii. Nie doceniłam jednak tej dziewczyny.

— Co mnie obchodzi, że zejda się dwie ofiary? Jest totalnym idiotą i to mu powiedziałam.

Pulsowało mi w skroniach i poczułam wielką ulgę, gdy Betty wróciła.

— Zamknijcie się... zamilknijcie — poleciłam, wzdychając sfrustrowana. Nadal trzymałam przed sobą aktówkę. — Chyba powinniśmy zaczynać.

Przerwała mi India.

— Panno Cushing — rzuciła przebiegłe spojrzenie — słyszałam, że podczas debiutu upadła pani czy coś takiego? Co się stało?

Upuściłam teczkę na podłogę. Co miałam powiedzieć? Pomijając nieszczęśliwy wyjątek z fałszywym ja w Bostonie, naprawdę uważałam, że najlepiej sprawdza się szczerowość. Poza tym nie była to żadna tajemnica, niestety.

Uniosłam podbródek.

— Upadłam w czasie ukłonu. Dziewczyny jęknęły.

— O rany.

— Żartuje pani.

— To nic zabawnego.

India przyjrzała mi się ze wzgardą.

— Może powinniśmy oznaczyć panią „ofiara”. Siłą woli stłumiłam rumieniec zakłopotania.

— Jak pani upadła? — zapytała Ruth.

— Kiedy wykonywałam dygnięcie. India się roześmiała.

— Dość już o mnie, dziewczęta. Musimy poćwiczyć stosowne zachowanie.

Rozbawiłam Indię jeszcze bardziej.

— Na pewno ma pani odpowiednie kwalifikacje? Nie. Ale tego jej nie powiedziałam.

Chciałam być rzetelna, więc poszłam do biblioteki i wypełniłam swój czarny notes szczegółowymi notatkami na temat zasad zachowania, przystąpiłam zatem do wyjaśnień, jak wchodzić do pokoju, składować się wypowiadać i jakiego tonu używa dama. Bóg jeden wie, czemu traciłam na to czas.

— Czemu miałabym chcieć nie zostać zauważona? — dopytywała się India.

— Nie to powiedziałam. Chodzi o to, że nie należy domagać się uwagi wulgarnym zachowaniem czy strojem. Kobiety wyróżniają cicha pewność siebie i wewnętrzne piękno.

Okay, nawet dla mnie brzmiało to naiwnie.

— Litości — stwierdziła India. Ruth wzruszyła ramionami.

— Zgodzę się z Indią, panno Cushing. Nie jestem zwolenniczką robienia z siebie przedstawienia, ale wiem, że siedzenie pod ścianą jak trusia nie jest w dzisiejszych czasach zaletą. Może w pani czasach... — zastanowiła się. — Nie. Jest pani stara, ale nie dość stara, żeby pamiętać czasy, kiedy wielkim hitem była Betty Crocker. Nie, nawet pani powinna wiedzieć, że musimy nagłaśniać nasze sukcesy.

Gorączkowo szukałam stosownej odpowiedzi.

— To znaczy, że wulgarność jest w porządku? — zapytała Nellie, z zakłopotaniem wygładzając i tak gładką spódnicę.

— Wulgarne, skromne, kogo to obchodzi — ciągnęła Ruth, skupiając na sobie ich uwagę. — W każdym razie lepiej się postarać, żeby ludzie wiedzieli o wszystkich dobrych rzeczach, które robisz. A jeżeli nie robisz nic dobrego, to lepiej zacznij... Albo manipuluj, tak żeby dobrze wypaść.

Manipuluj? W szkole średniej myślały o manipulacji? Sasha mrugała jak szalona.

— Powinnyśmy kłamać? Ruth wzruszyła ramionami.

— Co to jest kłamstwo?

— Kłamstwo jest przeciwieństwem prawdy — stwierdziłam, ucinając rozmowę. — Nie jest moją rolą uczyć was moralności czy etyki. Chcę mieć tylko pewność, że przez jeden wieczór choć z grubsza zachowacie się jak dobrze urodzone damy.

— Staroświeckie damy.

— Świetnie. Staroświeckie damy. Nazwa nic mnie nie obchodzi. Proszę tylko, żebyście przez jeden wieczór postępowały zgodnie z zasadami. Tylko tyle. Potem znów możecie zadzierać spódnicę, nagłaśniać swoje osiągnięcia i nakładać makijaż grubości warstwy gipsu.

Nellie miała oczy wielkości spodków. Wzdrygnęłam się nagle.

— Przepraszam — powiedziałam. — Miałam długi dzień. Wróćmy do prezentacji jutro.

Rozdział 16

Janice przejawiała dziwną determinację, by jej córka założyła potworną sufrażystowską szatę. Jakby to miało dowieść, że Morgan nie jest bezbarwną konformistką. Savannah zaczęła obsesyjnie przygotowywać się do narodzin dziecka.

Benjamin Wainwright Carter, jeśli to będzie chłopiec.

Benita Wainwright Carter, jeśli dziewczynka.

Nie byłam zachwycona żadnym z imion, ale miałam dość rozumu, by zachować tę opinię dla siebie.

Pracowałam w małym gabinecie przy pokoju dzieciennym, przygotowując się do sprawy. Będąc tak blisko, nie mogłam zignorować kompletnego przemeblowania pomieszczenia, które, jak wiedziałam, całkowicie wyremontowano rok wcześniej, gdy ostatnim razem Savannah była w ciąży. Nie jestem pewna, ale nie sądzę, by Savannah weszła do tego pokoju od dnia poronienia. Nie miałam pojęcia, jakim sposobem Janice mogła o tym nie wiedzieć, chociaż przed niespodziewanym powrotem Henry rzadko przywoził rodzinę do Teksasu. Kiedy Savannah nie zajmowała się dekoracją wnętrza, słuchała Mozarta albo czytała na głos inspirujące opowieści, kierując to wszystko do wsego brzucha i rosnącego w nim dziecka. Kupowała dziecięce ciuszki, umieściła Benjamina/Benitę na listach oczekujących do wszystkich odpowiednich szkół, omawiała zalety pieluszek jednorazowych i wielorazowych oraz usługi firm dostarczających pieluszki. Jeśli kiedykolwiek istniała przygotowana matka, to była nią Savannah.

Późnym przedpołudniem zorientowałam się, że w domu wszystko ucichło. Wstałam od biurka i przeszłam kilka kroków do pokoju dzieciennego. Savannah zasnęła w bujanym fotelu, książeczka dla dzieci leżała na niewielkim pagórku jej brzucha. Zapomniałam, jaką mam śliczną siostrę. W dzieciństwie za każdym razem, kiedy zasypiała, myślałam o tym, jaka jest miła, i zawsze mnie zaskakiwało, gdy się budziła i wcale nie była miła.

Na palcach przeszłam po dywanie, delikatnie zdjęłam książkę i odłożyłam na białą komodę. Wpadł mi w oko zeszytek z kluczem na wstążce. Był to pamiętnik z rodzaju tych, które prowadzą małe dziewczynki.

Usłyszałam, że Savannah się poruszyła.

- Co robisz? — głos miała zachrypnięty od snu.

— Odkładałam książkę, żeby nie spadła. — Nie mogłam się opanować. — Nadal prowadzisz pamiętnik?

Wyciągnęła rękę i sprzątnęła mi go sprzed nosa.

— Tak. Przeszkadza ci to?

— No nie, jestem po prostu zaskoczona.

Chociaż właściwie nie powinnam. Savannah prowadziła dziennik, odkąd tylko pamiętałam. Następnego dnia UPS dostarczyło furę pudeł. Savannah wyciągnęła stamtąd najbardziej wymyślną dziecięcą pościel, jaką można sobie wyobrazić. Oszalaniająco piękne białe jedwabne powłoczki na poduszki, kołdry i narzuty.

— Wiesz — odezwałam się (coś w mojej głowie krzyczało, żebym przestała, póki jeszcze mogę) — mam wrażenie, że dziecięca pościel, którą trzeba czyścić chemicznie, nie jest zbyt praktyczna.

Zupełnie jakbym powiedziała, że urodzi brzydkie dziecko.

— Czemu nie możesz być po prostu po mojej stronie! — krzyknęła.

Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad tym samym. Co mnie obchodziło, że pościel była odpowiednia dla rozpieszczonej sześćdziesięciolatki, która podarowała już sobie seks (chyba że chodziło o moją matkę) i wszystko inne, co mogłoby zabrudzić jedwab.

— Przepraszam, Savannah. Jest piękna, naprawdę. Kiedy zesłam na dół, Janice była w kuchni. Siedziała przy stole z ponurą miną.

— Co się stało?

— Morgan nie podoba się suknia.

Świeżo po niepowodzeniu w kontaktach z siostrą, zdołałam się ugryźć w język przed wygłoszeniem co najmniej nieuprzejmego stwierdzenia: „Ta suknia nikomu się nie podoba”. Chyba że wziąć pod uwagę Ruth.

— Wiem, co myślisz — stwierdziła.

— Naprawdę?

— Tak, że jest piękna, ale nieodpowiednia dla Morgan i nie powinnam jej zmuszać, żeby coś nosiła, chociaż obie wiemy, jak fantastycznie wyglądałaby na takiej imprezie.

— Aha, coś w tym rodzaju.

— Nawet przy czwórce dzieci wciąż potrzebuję do nich instrukcji obsługi.

Na górze wybuchł jakiś hałas. Janice przez chwilę słuchała, potem zerwała się i pognęła do holu. Zakładając, że oznaczało to sytuację awaryjną, ruszyłam za nią i znalazłam Lupe mruczącą po hiszpańsku coś niepochlebnego. Ernesto powtarzał: „Ach, Dios”.

— Co się dzieje? — chciała wiedzieć Janice.

— Czy z mamą wszystko w porządku? — zapytałam.

— Pani mama tu nie ma.

Uprzytomniłam sobie, że było środowe południe, a odkąd wróciłam do domu, w środę w środku dnia matki nigdy nie było w domu.

— Gdzie jest Savannah? — zapytałam na próbę.

— Fijole. Panna Savannah na górze i nieszczęśliwa. Popędziłyśmy z Janice na górę, Lupe ruszyła za nami

w bardziej umiarkowanym tempie. Na piętrze w korytarzu zastałyśmy Cinca. Wyglądał jak zwykle, cały ubrudzony jedzeniem, jednak wydawał się nietypowo zestresowany. Księżniczka Priscilla tylko syknęła i zanuciła:

— Ktoś ma kłopoty.

Savannah na skraju załamania stała w drzwiach do pokoju dzieciennego.

— Jestem zrujnowana — płakała.

— Och, świetnie — mruknęła Janice, jak matka, która wie, że jedno z jej dzieci zrobiło coś złego.

Zobaczyłam, że Cinco cały jest pokryty plamami po soku winogronowym i zadrżałam na myśl o tym napoju w zestawieniu z całym tym białym jedwabiem.

Nic nie mogłam na to poradzić, weszłam za Janice do pokoju, spodziewając się nowych fioletowo-białych wzorów. Jednak to nie fiolet stanowił problem.

Dwuletni Robbie wślizgnął się do dziecięcego łóżeczka i twardo spał. Z tego, co widziałam, nigdzie nie było plam po soku ani żadnych zniszczeń. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na siostrę, i kiedy właśnie chciałam coś powiedzieć, mój umysł wreszcie zarejestrował zapach.

— Siusiu! — ze śmiechem krzyknęła mała księżniczka. — Robbie brzydko pachnie.

Po bliższej inspekcji biały jedwab pod małym aniołkiem okazał się wyraźnie żółty. Z dolnych rejonów Robbiego wysączyło się też nieco brązu.

Przyznaję, że trochę mnie zemdlilo.

— Jestem zrujnowana — ponownie rozplakała się Savannah. Reakcja Janice okazała się kompletnie zaskakująca. Bojowa

z niej była dziewczyna, bez dwóch zdań, jednak mimo szorstkiego „Uspokój się, Savannah” przysięgam, że twarz miała czerwoną ze wstydu.

Nasza bratowa pomaszzerowała do kołyski, pochyliła się, wyjęła swojego malucha, który nawet się nie obudził, i wyszła, a w ślad za nią ruszyli jej podkomendni.

— Zapłacę za zniszczenia — odezwała się z sypialni w głębi korytarza, gdzie przebierała Robbiego.

Savannah wpatrywała się w brązową plamę.

— Wszystko zrujnowane — wyszeptała.

— Zrujnowana jest tylko absurdalna dziecięca pościel. Dostaniesz nową.

— Ale on ją zniszczył.

— Savannah, to dziecko. Nie jestem w tej sprawie specjalistką, ale zdaje się, że to właśnie robią dzieci. Jesteś pewna, że chcesz je mieć?

Odwróciła się, żeby spojrzeć mi w twarz.

— Oczywiście, że chcę.

— Świetnie, więc jedź do Wall-Martu, Targetu albo starego dobrego Baby World i kup pościel, którą można prać. Jak już mówiłam, nie jestem specjalistką, ale zdaje się, że właśnie oddebrałaś pierwszą lekcję, co to znaczy być mamą.

Rozległ się dzwonek, ale Savannah i ja nawet nie drgnęłyśmy, patrzyłyśmy sobie w oczy. Tak, ja, panna Bezdzienna, odgrywałam rolę eksperta.

Dzwonek rozległ się ponownie.

— To będą dziewczęta ze swoimi kawalerami — powiedziałam — więc lepiej pójdę.

Na dole zastałam Janice, wciąż ze ssącym kciuk Robbiem, przyglądającą się naszym gościom w bawialni. Na ich widok pożałowałam, że nie urodziłam się w biednej rodzinie po niewłaściwej stronie torów, gdzie nigdy nie słyszano o balu debutantek. Jeśli znalazłyśmy dziewczęta drugiej klasy, to one zdołały sprowadzić chłopców klasy czwartej.

Weszła moja matka i zadrżała na ich widok. Buty zdarte i brudne, wciąż nakryte głowy. Ani jeden nie wstał, gdy panie weszły do pokoju.

— Jesteśmy skończone — mruknęła.

— Mamo. — Z powodu przenikliwego bólu z tyłu za oczami nie byłam w stanie nawet porządnie syknąć.

— Witam — powiedziałam do zebranych, wciąż nie tracąc nadziei.

Jeden z chłopców rozwalił się na sofie obok mojej bratanicy; szopa potarganych brązowych loków i najbardziej niebieskie oczy, jakie można sobie wyobrazić. Bez dwóch zdań był słodki w stylu: Jestem zły do szpiku kości i o tym wiem".

Gdy weszła Savannah, mimo różnicy wieku zmierzył ją wzrokiem z góry na dół i powiedział „cześć” tonem całkowicie niestosownym w kontaktach dziecka z dorosłym. Wiedziałam, że szykują się kłopoty, wśród których niebagatelną rolę odegra fakt, że Morgan zapadła na ciężki przypadek młodzieńczej miłości i wpatrywała się w swojego niegrzecznego chłopca z oczywistym uwielbieniem.

Spojrzałam na Janice.

— Nigdy wcześniej go nie widziałam — szepnęła przerażona.

— Zachowuj się przyzwoicie, młody człowieku — powiedziała Savannah głosem zupełnie przypominającym naszą matkę.

Przez twarz chłopaka przemknął dwuznaczny uśmiech, gdy założył nogę na nogę i położył ramię na oparciu sofy.

Savannah poszła dalej w stronę kuchni. Janice postawiła Robbiego, który podreptał w swoją stronę, po czym przejęła dowodzenie.

— Chcę, żeby każda z was przedstawiła swojego kawalera. Prowadziła spotkanie po raz pierwszy i z tonu jej głosu

wywnioskowałam, że robi to, by onieśmielić zebranych, a konkretnie zaskakującego towarzysza swojej córki.

Jedna po drugiej, wszystkie w pewnym stopniu zawstydzone, dziewczęta wstawały, przedstawiając chłopców.

Morgan uśmiechnęła się wstydliwie.

— To Cal Smith.

— No.

Następna była Nellie.

— To Markus Timber. Skinął głową.

— To jest Hank Deter. — India przyprowadziła najlepszego z tej bandy, który i tak się nie nadawał.

— Siema.

Świta przedstawiła bliźniaków. Ruth i Betty obie przyprowadziły kuzynów. Tylko Sasha wybrała tradycyjne rozwiązanie i zaprosiła brata.

Musiałam zgodzić się z matką. Klęska była nieunikniona. Potem jednak przyszło mi do głowy rozwiązanie.

Skróciłam spotkanie najbardziej, jak się dało, odesłałam wszystkich do domu, po czym usiadłam do telefonu. Następnego dnia rano byłam gotowa.

Zwołałam kolejne spotkanie dziewcząt z matkami, bez chłopców.

— Tak się złożyło — zaczęłam — że zapomniałam na początku wyjaśnić pewną sprawę związaną z kawalerami.

Wymieniły spojrzenia.

— W tym roku wszystkie dziewczęta pojawią się na balu w towarzystwie nie tylko ojców, ale też wojskowych, których wybrał komitet.

Wśród dziewcząt wybuchł pełen złości gwar, jednak widziałam, że matki odetchnęły z ulgą. Janice pokazała mi uniesione kciuki.

— Kocham komitet. Uśmiechnęłam się szeroko.

— To tradycyjne rozwiązanie na wielu balach debutantek i uznałam, że dobrze się wpisuje w tegoroczną imprezę.

— Ale obiecałam Markusowi, że będzie mi towarzyszył — jęknęła Nellie.

India prychnęła.

— Markus? Ten lawirant pewnie i tak by nawalił. I wiesz, że chciał to zrobić tylko z powodu darmowego żarcia.

Nellie wyglądała na załamana. Wróciłam do tematu.

— Skorzystałyśmy z możliwości wybrania dla każdej z was partnera z Akademii Wojskowej Willow Creek. Myślę, że będziecie zadowolone.

Jeden za drugim chłopcy weszli z idealną precyzją, wszyscy ubrani w mundury. Nie jestem głupia. Wybrałam tylko przystojnych kadetów.

Poprosiłam rektora o dołączenie do akt każdego młodzieńca informacji o wzroście i wadze oraz klasowego zdjęcia. Postarałam się, by każda para wyglądała na dobrze dobraną. Jasne, możecie się krzywić, ale z estetycznego punktu widzenia wysoki szczupły rudzielec nie wygląda specjalnie korzystnie z niskim pulchnym brunetem.

Dziewczęta były zachwycone, ale i speszone. Wszystkie, o dziwo, nawet India.

— Indio, chciałabym, żebyś poznała Gary'ego Makera.

Gary Maker sprawował funkcję przewodniczącego studenckiego samorządu ostatniego roku, miał średnią ocen cztery zero, był świetnym ąquarterbackiem, a wszystkie agencje modeli w Teksasie i Nowym Jorku rywalizowały o jego względy. Rozmawiając z nim, nie sposób było się tego domyślić. Uprzejmy i zabawny, nie miał ani trochę przewrócone w głowie.

Gdyby ktoś powiedział, że przypominał Jacka Blaira, uśmiechnęłabym się z wyższością — i to wiarygodnie, bo ćwiczyłam przed lustrem.

— Witaj, Indio — powiedział oficjalnie. I pomyśleć, że dyskredytuje się szkoły wojskowe.

— Cześć — odparła, a potem się zaczerwieniła.

Nie mogłam uwierzyć. Jak to możliwe, że ta pewna siebie dziewczyna, wychowana we współczesnym świecie równości, mogła poczuć się niepewnie, poznając chłopaka? Czy wmieszały się hormony i z ich powodu zapomniała, kim była? A może wszyscy jesteśmy tak przywiązani do charakterystycznych elementów tworzonego przez nas życia, na nich budując naszą pewność siebie? Kiedy India spotykała kogoś nowego, kogoś spoza jej świata, czy czuła się zagrożona?

Zaczęłam się nagle zastanawiać, co by się stało, gdyby zabrać matce jej bogactwo i urodę. Kim byłaby, gdyby zostawić tylko duszę?

Czy ja sama obawiałam się urody, bogactwa i mężczyzn w moim życiu? Czy towarzyszył mi strach, że ujawni się uśpiony gen, którego obecność czułam, kiedy jako młoda dziewczyna byłam z Jackiem, i że się zatracę? Za bardzo pachniało mi to samodoskonaleniem. Otrząsnęłam się z zamyślenia i skoncentrowałam na dziewczętach.

Pozostałe prezentacje wyglądały mniej więcej tak samo. Morgan podejrzliwie przyglądała się swojemu kawalerowi, jej matka podobnie, ale ciężko się napracowałam, by znaleźć chłopaka odpowiednio intrygującego dla bratanicy i do zaakceptowania przez bratową. Derek Clash był bardziej przystojny niż Gary, ale nie ładniutki. Redagował też gazetę wydawaną przez studentów Akademii.

Nie jestem tępa.

Poza Morgan jedyną dziewczyną, której partner wymagał poważnego namysłu, była Betty. Chciałam dobrać ich nie tylko fizycznie, chciałam, by przypadli sobie do gustu. Kiedy przedstawiłam Betty Thurmonda „Buda” Thomasa, oboje się zaczerwienili i nie mogli od siebie oderwać oczu.

— Dziękuję wam za przybycie. Mam nadzieję, że wszyscy otrzymaliście instrukcje, które przefaksowałam pułkownikowi Wintersowi.

— Tak jest, proszę pani — oświadczyli. Żadnego „No” i „Siema” w tej grupie.

— W takim razie wiadomo, że będziecie towarzyszyć dziewczętom w mundurach galowych.

— Tak jest, proszę pani.

— Będziemy dziś ćwiczyć prezentację i walca. Zaczniemy od walca.

Janice i ja ustawiłyśmy pary tak, by partnerzy stali naprzeciwko siebie, w jednej linii przez długość pokoju, w którym zwinięto dywany.

Objaśniłam podstawowy krok na trzy, potem chwyciłam Janice i oznajmiłam:

— Pokażmy im, jak się to robi. - Ja?

Bratowa wyglądała na przerażoną i zdałam sobie sprawę, że najpewniej nie umie tańczyć walca, bo trudno sobie wyobrazić, żeby czuła się stremowana.

— Janice — syknęłam, jednocześnie uśmiechając się tak szeroko, że matka byłaby ze mnie dumna.

Gwałtownie uniosła ramiona.

— No dobrze, teraz patrzcie.

Okazało się to wielkim błędem, ponieważ potrafiłyśmy tylko deptać sobie po palcach, co w końcu doprowadziło całą grupę do śmiechu.

— Co to ma być? — złośliwie uśmiechnęła się India. — Szkoła tańca dla wariatów?

Zabawne. Albo nie.

— Świetnie. — Nie dałam się zbić z tropu. — Chciałyśmy wszystkich rozluźnić. A teraz wasza kolej.

Śmiech z miejsca ucichł. Mimo przerażenia zrobili, co im polecono. Prawdę mówiąc, poradzili sobie nie lepiej niż ich instruktorki. Jediną parą, której udało się nie okaleczyć nawzajem, byli Betty i Budd. Kto by pomyślał?

— Nie idzie za dobrze — stwierdziła Janice. Niech mi wolno będzie dodać, że niepotrzebnie. I wtedy coś sobie przypomniałam.

— Zaraz wracam!

Wybiegłam z frontowego pokoju, pokonałam schody, potem następne w drodze na strych. Mieszanina zapachu cedrowych szaf, stęchłego powietrza i gorąca uderzyła mnie w twarz, ale nie traciłam nadziei, wiedząc, że matka nigdy niczego nie wyrzuca.

Szperałam, aż znalazłam to, czego szukałam. Popędziłam z powrotem na dół otoczona chmurą kurzu na tyle gęstą, by Lupe, która wyszła z kuchni, gdy dotarłam na parter, zaczęła gderać, że robię bałagan.

Zatrzymałam się na sekundę, pocałowałam ją w policzek i powiedziałam:

— Uczę ich tańczyć!

Pocałunek załatwił sprawę. Trochę ponarzekła, powiedziała coś niepochlebnego po hiszpańsku, ale tym razem uśmiechała się, przeganiając mnie z drogi.

— Voilà ! — oznajmiłam, rozkładając cienką gumową płachtę, dość podobną do maty do gry w twistera, ale znacznie mniejszą, prostokątną, a nie kwadratową, i z widocznymi dwoma kompletami odcisków stóp zamiast kolorowych kół. No dobrze, nie była taka podobna do maty do twistera. Mniejsza z tym...

Pozwoliłam płachcie opaść na ziemię, a wszyscy podeszli bliżej.

— To pokazuje kroki — stwierdziła Morgan.

— Super — dodała Tiki.

— Dokładnie. Dla dziewczyny i chłopaka. Kto chce spróbować pierwszy?

Normalnie India chciałaby się popisać, ale dziś trzymała się na uboczu.

— Morgan? — zapytałam.

— Jasne, czemu nie.

Chwyciła rękę swojego kawalera (najwyraźniej nie była zawstydzona) i stanęła na damskich śladach. Derek ustawił się naprzeciwko.

— A teraz spróbujcie — powiedziałam.

Spróbowali. W sumie nieźle im poszło, jeśli nie ma się nic przeciw temu, by oglądać dwie osoby tańczące jak roboty z pochylonymi głowami (nie w modlitwie, chociaż kto wie, ale by mieć pewność, że ich stopy podążają za wzorem).

— Krok, krok, razem — zachęcałam, klaszcząc na trzy. Kiedy to opanowali, powiedziałam:

— A teraz patrzcie na siebie.

Podnieśli wzrok, a potem prawie się pozabijali, kiedy poplątały im się nogi i padli na podłogę. Janice jęknęła. Na szczęście nasz kadet był zwinny i chociaż upadł na Morgan, nie zmiażdżył jej. I niech wolno mi będzie powiedzieć, że gdy ich spojrzenia się spotkały, świat zadrżał. No dobrze, może tylko pokój, ale jednak. W końcu była tam jej matka!

Morgan się zaczerwieniła, podobnie Derek, i pospiesznie się zerwali.

— Następni! — zawołałam.

Wszystkie pary ćwiczyły kolejno, aż wszyscy potrafili tańczyć bez zadawania partnerom ciężkich obrażeń.

— Musicie ćwiczyć na własną rękę. Morgan spojrzała na Dereka.

— Może dziś wieczorem? — zaproponował.

— Jasne — odparła bez tchu.

— Wspaniale! — entuzjastycznie stwierdziła Janice, choć było widać, że daleko jej do entuzjazmu. — Dziś wieczorem tutaj. Powiedzmy o siódmej. Czy wszystkim pasuje?

Morgan posłała matce ponure spojrzenie i gdyby nie publiczność, pewnie powiedziała by „mamo” z tą charakterystyczną dla nastolatek wzdychaniem.

Nikt inny nie mógł przyjść.

— Więc będzie tylko nasza trójka — stwierdziła Janice.

— Świetnie — mruknęła Morgan.

Janice otoczyła ramieniem chłopca w wykrochmalonym mundurze koloru khaki i wyprowadziła go z pokoju, ale i tak usłyszeliśmy początek przesłuchania.

— Najpierw powiedz mi, co sądzisz o dentystach.

— Dentystach? — zapytał.

— I zwierzętach domowych. Czułeś kiedyś potrzebę, by uderzyć, zranić lub zabić jakieś małe zwierzątko?

Wyglądał, jakby myślał, że to ona mogłaby uderzyć, zranić lub zabić.

— A twoi rodzice? Czy któreś z nich siedziało kiedyś w więzieniu? — Pchnęła kuchenne drzwi. — Lupe? Czy znajdzie się dla tego chłopca jakaś lemoniada?

Wymieniłyśmy z Morgan spojrzenia pod tytułem: „Czy ona oszalała?”. Morgan jednak nie była moją córką. Ergo nie była to moja sprawa. Jeżeli nie pozwalano jej jeszcze umawiać się

na randki (halo, Janice, ona ma osiemnaście lat), to nie powinnam tego oceniać. No i co mogłam powiedzieć o opóźnionym starciu w dorosłość? W dodatku pozostawała jeszcze kwestia wyrzucenia Morgan z tych wszystkich szkół. Być może jej matka wiedziała, co robi, trzymając córkę na krótkiej smyczy.

— Boże! — India stanęła obok Morgan i mnie. — Umarłabym, gdyby moi rodzice tak się zachowywali. — India spojrzała na moją bratanicę z ponurym współczuciem. — Pewnie strasznie ci głupio.

Morgan najwyraźniej nie wiedziała, co o tym myśleć.

— Dzięki Bogu mój tata nigdy by mnie tak nie upokorzył — dodała India, zmierzając do drzwi. — Dziewczyny! — zawołała do świty — na nas czas.

Rozdział 17

Następnego dnia obudziłam się w swoim dziewczęcym białym łóżku z siatki z baldachimem z paskudnym przypadkiem regresji ż I / (ok. 1600), co oznacza: 1. powrót do wcześniejszych wzorów zachowania; 2. zmianę statusu na gorszy lub mniej idealny; 3. gwałtowne przebudzenie bez tchu po śnie, w którym przegapiłam test z rachunku różniczkowego, ponieważ stałam w tym czasie w głównym szkolnym holu. Naga. I niech mi będzie wolno zauważyć, że robimy w rodzinie różne rzeczy, ale nie robieramy się publicznie do naga.

Powtarzałam sobie w kółko, że nie mam już szesnastu lat i nigdy nie zostałam przyłapana w żadnym holu, w każdym razie nie nago. Nie złagodziło to jednak strachu, że powoli się cofam i zmieniam w małą Carlisle Cushing z Willow Creek w stanie Teksas, córkę nieprzyzwoicie wspaniałej Ridgely Wainwright.

Przez ostatnie dni całe godziny poświęcałam sprawie mamy, odpowiadaniu na e-maile z biura w Bostonie i pracy z Philipem, któremu podawałam przez telefon szczegółowe instrukcje, jak mógłby pomóc Mortonowi z rozwodem. Becky Mumps dowiodła, że warto było ją wybrać, dostarczając Mortonowi wszelkich brudów, których potrzebował, by dowieść zdradę żony. Z zamkniętymi oczami prawie mogłam udawać, że wróciłam do Bostonu, Philip trzyma mnie za rękę, śmiejemy się przy wspólnie przygotowanej kolacji i omawiamy nasze najnowsze sprawy.

Wciąż oszołomiona snem przetoczyłam się przez łóżko i chwyciłam telefon. Wybrałam numer biura Philipa, bo chciałam usłyszeć jego głos.

Mimo wczesnej pory siedział już przy biurku. - Hej — powiedziałam, gdy odebrał. - Hej?

- Przepraszam, to taki teksaski styl. Dzień dobry. Jak nię masz?

Usłyszałam znajome skrzypienie krzesła, kiedy się w nim odchylił.

- Teraz, skoro zadzwoniłaś, dobrze. Z uśmiechem zwinęłam się na dziewczęcym łóżku.

- Zastanawiasz się czasem, czy wybrałaś w życiu właściwą drogę? Zawahał się.

— Skąd ci się to wzięło?

- Nie wiem. Zastanawiam się po prostu, czy postępuję właściwie, czy podejmuję słuszne decyzje.

— Carlisle, dobrze się czujesz?

Usłyszałam troskę w jego głosie i nagle całkowicie się odprężyłam, przypomniałam sobie, dlaczego chciałam za niego wyjść. Głęboko zaczerpnęłam powietrza, potem zrobiłam powolny wydech.

— Teraz tak — odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

— Na pewno?

— Tak. Po prostu miałam zły sen.

— Gdybyś tu była, mógłbym cię tulić, aż poczułabyś się lepiej.

— Byłoby miło — zamruczałam, wyobrażając sobie dotyk obejmujących mnie ramion, uścisk trwający całą noc, ilekroć chciałam poczuć, że nie jestem sama. Mógł się rano budzić ze ścierpniętą ręką, ale nigdy, ani razu, się ode mnie nie odsunął.

— Jeżeli jesteś pewna, to się cieszę. Powiedz mi, jest jakiś postęp w sprawie rozwodu twojej matki?

Z rozkoszą porozmawiałabym o sprawie rozwodowej mamy, ale on nadal nie wiedział o jej pieniądzach. Z tego powodu dyskusja na ten temat byłaby nieco utrudniona.

— Nie, nic nowego. — Poza tym że Jack próbował ją oskubać.

— Co to za hałas? — zapytał Philip.

Dotarło do mnie jakieś bębnienie, najwyraźniej wzmocnione przez telefon.

— Nie jestem pewna. I chociaż strasznie mi się nie chce, lepiej się ruszę. Mam dziś masę do zrobienia.

— Okay. W takim razie porozmawiamy później?

— Jasne. Philipie?

— Tak?

— Dzięki.

Nastąpiła krótka pauza, pozbawiona napięcia.

— Tworzymy dobry zespół, Carlisle.

— Tak, wiem.

Rozłączyłam się, po czym zsunęłam z łóżka. Nocne koszmary się rozproszyły. Szybko się zebrałam, po czym zesłam na dół.

— Kawa? — zapytałam w chwili, gdy Lupe wyciągnęła do mnie idealnie zaparzoną porcję.

— Niech cię Bóg błogosławi.

— Proszę.

Lupe zajęła się swoją pracą w kuchni.

— Kto tak hałasuje? — zagadnęłam.

— Cinco.

Zerknęłam przez okno.

— A co robi?

— Zaczyna biznes z czyszczeniem roweru. Znajduje płyn do mycia, szmaty, kubeł do zabrania po okolicy i czyszcze rowery. — Wyglądało na to, że jest pod wrażeniem. — Nakazuje ludziom zapłaci pięćdziesiąt centów za czysty rower.

— Kto zapłaci dziesięciolatkowi za czyszczenie roweru? Lupe zmierzyła mnie groźnym spojrzeniem.

— Ba. Nie masz wiary. Ludzie dobrzy. Ludzie zapłaci, żeby być miły dla chłopca.

Nawiasem mówiąc, nie dało się nie zauważyć, że Lupe znalazła w swym ostrożnym twardym sercu uczucie dla mojego małego bratanka.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedziałam, dolewając sobie kawy i ruszając na górę do pracy.

Jeżeli chodzi o bal debutantek, to zatrudniłam firmę cateringową, zaplanowałam menu, znalazłam organizatora imprez, który miał udekorować salę po kosztach w zamian za wzmiankę w oficjalnej broszurce. Mogłam odfajkować naukę walca (choć ćwiczenia nadal były konieczne). Wykreśliłam: „znaleźć kawalerów”.

Moja lista spraw do załatwienia przed balem zaczęła się skracać.

Następną ważną sprawą było znalezienie nowej sukni dla Morgan. Janice zaproponowała, żebyśmy w trójkę pojechały do Domu Ślubnego Michela przy Pine Avenue, sklepu nietypowo ulokowanego w uroczym budynku ze ścianami z białych desek, który kiedyś był domem mieszkalnym. Dziedziniec prezentował się idealnie, ciemnoniebieskie skrzynki na oknach pełne czerwonego geranium pasowały do ciemnoniebieskich markiz nad oknami i frontowych drzwi. Sklep zaopatrywał panny młode, druhny, debutantki, matki panien młodych i każdą kobietę, która potrzebowała sukni.

Morgan nie wyglądała na zadowoloną, kiedy podjechałyśmy, a uśmiech Janice był wymuszony. Weszłyśmy i przeglądałyśmy kolejne rzędy długich białych sukien na

wieszakach. Sprzedawczyni próbowała pomóc, ale widziała już wystarczająco dużo panien młodych i przyszłych debiutantek, żeby szybko się wycofać.

W odpowiedzi na każdą dopasowaną suknię, która zachwycała Morgan, Janice znajdowała jakąś staroświecką potworność. Ośmieliłam się rzucić jedną czy dwie sugestie, ale szybko zrozumiałam, że w ten sposób narażę się obu stronom. Uznawszy, że wolę status fajnej ciotki i nie najgorszej szwagierki, zostawiłam je, by rozstrzygnęły problem między sobą.

Właśnie usiadłam i wzięłam do ręki egzemplarz czasopisma „Insights” (do wyboru miałam jeszcze „Pannę Młodą”, ale naprawdę nie byłam w nastroju), kiedy aksamitne zasłony oddzielające zaplecze rozchyliły się i pojawił się stos ozdobnych pudeł, niesionych przez kogoś, kogo nie widziałam.

Pudła się zachwiały i skoczyłam, żeby pomóc.

— Dziękuję za ratunek. To była Ruth.

— Panna Cushing! — Dziewczyna upuściła wszystko na podłogę. — Co pani tu robi?

Stała jak wryta w swoim praktycznym stroju, który był jednak zakurzony i pognieciony. Otwierała i zamykała usta, ale nie mogła wykrztusić ani słowa.

— Czy coś się stało? — zapytałam.

— Ze mną? — Prychnęła z wyraźną przesadą. — Ależ skąd. Wszystko świetnie. Ja... właśnie wychodziłam. Na razie!

Rzuciła się do ucieczki, zostawiając rozrzucone pudła u moich stóp. Jednak nie skierowała się do frontowych drzwi. Zniknęła na zapleczu.

Wiedziona ciekawością, ruszyłam za nią i znalazłam dziewczynę chodzącą nerwowo po magazynie, który chyba sprzątała.

— Pracujesz tu, Ruth?

Rozsądna dziewczyna tak podziwiana przez Janice stanęła i widziałam, że intensywnie myśli. Po chwili stanowczo skinęła głową.

— Tak, rzeczywiście tu pracuję. Miałam trochę wolnego, a wiem, że podjęcie pracy dobrze wypadnie w moim podaniu do college'u.

Podejrzewałam, że o tej porze musiała już być przyjęta do jakiegoś college'u, a gdyby nawet nie, praca sprzątaczką w sklepie odzieżowym niewiele by pomogła.

— Ruth, jeżeli chcesz z kimś porozmawiać...

— Panno Cushing, nic mi nie jest. A teraz muszę wracać do pracy.

Pospiesznie sprzątnęła pudła, odłożyła miotłę i przybory do sprzątnięcia. Potem wyjęła kartę zegarową i ją podbiła.

— Umieram z głodu! — zawołała i wybiegła ze sklepu. Nie miałam czasu przetrwać tego, co się stało, ponieważ

zadzwoił dzwonek nad drzwiami i weszła Betty z matką.

— Carlisle! — wykrzyknęła Merrily, odziana w suknię przypominającą niebieski namiot. Opuchnięte stopy wepchnęła w niebieskie skórzane buty. — Co u ciebie, kochanie? Dobrze wyglądasz, naprawdę. Przyszłam z Betty. Zmusiła mnie, chociaż jej powiedziałam, że uszyję idealną suknię.

Nie byłam pewna, co powiedzieć, ale Merrily nie dała mi po temu okazji.

— Ale jednak się poddałam i oto jesteśmy — dodała. — Jeżeli znajdzie tu coś, co ją uszczęśliwi — wzruszyła ramionami — to co robić?

Ostatecznie poszłam z nimi do przymierzalni, gdy sprzedawczyni przyniosła kilka sukien dla Betty.

Obie, Betty i Morgan, przymierały suknię za suknią. Morgan każdą odrzucała, a w przypadku Betty suknie odrzucała Merrily.

Wyraźnie podekscytowana Betty wyszła z przymierzalni w kolejnej kreacji, jednak jej matka zmarszczyła brwi-

— Dobry Boże, dziecko, o czym ty myślisz? Nie pozwolę, żeby moja córka ubierała się jak... lafirynda.

Nawiasem mówiąc, Betty miała na sobie bezę z tafty i koronki, w której żadna kobieta nie miała szansy wyglądać prowokująco czy choćby ponętnie.

Betty miała przygnębioną minę.

— Ale, mamoo...

— Żadnych ale, panienko. Nie pozwolę ci się wpakować w pułapkę brania przykładu z tych dziewcząt bez śladu przyzwoitości. Paris, jak jej tam, i Jessiki Simpson. To hańba. Hańba, że pozwala się tak paradować tym dziewczynkom. A Simpsonówna jest córką kaznodziei.

— Mamo...

— Nie waż się pyskować, młoda damo. Już powiedziałam i wystarczy. Ładny jest ten, kto ładnie postępuje. Jesteś córką przyzwoitej bogobojnej rodziny i masz się zachowywać jak dziewczyna ceniąca wartości moralne. A teraz zdejmuj tę suknię, czas do domu. Zaczekam w samochodzie.

Janice patrzyła na wyjście drugiej matki, potem się odwróciła i z nową energią przystąpiła do przeszukiwania wieszaków. Betty tęsknie przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Długie rękawy i zabudowana góra z koronki przechodziły w taftową spódnicę tak obfita, że musiała mieć pod spodem obręcze i halki.

— Proszę — Janice zwróciła się do córki z determinacją aktywistki stojącej na czele pikiety.

— Zmierz tę.

Wydawało się, że Morgan jest na krawędzi buntu, ale zrobiła, co jej kazano.

Dzwonek przy drzwiach frontowych znów zabrzączał, dalej nastąpiła sekundowa cisza.

— Halo? Mam się obsłużyć sama? India.

Weszła do tylnej części sklepu ubrana w falbaniastą jaskrawą bluzkę, obcisłe markowe dżinsy, buty na platformach i z torbą od Gucciego. Morgan wyłoniła się z przymierzalni z zaciętą miną, chociaż nie była pewna, czy z powodu sukni, czy przyjscia Indii. Betty z kolei wyglądała na zachwyconą.

— Cześć, Indio! — Rozpromieniła się.

— Co jest, impreza? — zapytała India, obrzucając Morgan spojrzeniem. — Powiedz mi, że nie zamierzasz włożyć tej sukni?

— Indio... — zaczęłam.

— Przepraszam — wtrąciła Morgan, rozkładając ręce, by zaprezentować strój. — Ona ma rację. Ta suknia jest potworna.

India uśmiechnęła się złośliwie, po czym odeszła i zaczęła przeglądać wieszaki.

— Myślałam, że już masz suknię — odezwałam się do niej.

— Oczywiście. Tata zabrał mnie do Nowego Jorku, żeby ją kupić u Saksa przy Piątej Alei. Będę wyglądała zajebiście. A tu spotykam się z mamą, żeby znaleźć suknię dla niej.

— Naprawdę? — zapytałyśmy chórem.

— Tak — ucięła, po czym wróciła do wieszaków. Przesunęła kilka sukien, jej jaskraworóżowe paznokcie błyszczały w padającym z góry świetle, gdy wyciągnęła sukienkę z jedwabiu i koronki, z krótkimi rękawkami, ładną, ale z pewnością nieoszałamiającą. — Zobacz, Morgan — powiedziała. — W tym będziesz wyglądać świetnie.

Jednak Morgan sama coś znalazła.

— O mój Boże! — Uniosła suknię. — To jest to! Popędziła do przymierzalni i chwilę później wróciła.

— Jest idealna! Uwielbiam ją! Betty wciąż stała przed lustrem.

— O rany, Morgan. Niesamowita — przyznała.

Morgan stanęła na niewielkim podium, przed lustrem sięgającym od podłogi do sufitu, w naprawdę olśniewającej kreacji. Średnio znam się na modzie, ale moim zdaniem było to coś pomiędzy Oscarem de la Rentą a Vera Wang, w sumie przedziwnie spokojna kompozycja. Długie rękawy, wysoki kołnierz, dopasowana góra z białej jedwabnej satyny, która rozlewała

się w długą powłóczytą spódnicę. Suknia sprawiała, że Morgan wydawała się jednocześnie niewinna i wyrafinowana, wręcz seksowna, bez pokazywania nadmiaru ciała.

Morgan obracała się na boki, patrząc na swoje odbicie. Odniosłam wrażenie, że moja bratanica przestraszyła się tego, co zobaczyła, nie wiedząc, jak przyjąć tę nową Morgan.

Janice przycisnęła dłonie do ust.

— Och, kochanie — wyszeptwała. — Jest idealna.

Matka i córka, które poprzednio ledwie się do siebie odzywały, wymieniły szczere uśmiechy. Nieznaczące. Cóż, krok w dobrym kierunku.

Zadzwoił telefon Indii, wygrywając podejrzenie sentymentalną melodyjkę. Zerknęła na wyświetlacz i oczy się jej rozszerzyły.

— Mama? — niemal pisnęła. — Gdzie jesteś?

Twarz dziewczyny jaśniała. Brakowało jej tchu i z podnieceniem słuchała tego, co mówiła matka.

Wszystkie patrzyłyśmy, jakbyśmy oglądały sztukę, aż uśmiech Indii zaczął blednąć, a oczy, przysięgłabym, zalśniły od łez.

— Ale obiecałaś. — Odwróciła się do nas plecami. — Miałyśmy dzisiaj znaleźć dla ciebie sukienkę.

Janice zmarszczyła brwi. Poczułam w gardle dziwny ucisk. Spojrzenie Morgan wyrażało troskę.

- No dobrze, rozumiem. Ale obiecałaś, że będziesz na balu, tak?

Słuchała jeszcze przez chwilę, a potem skinęła głową. - W porządku.

Kiedy zamknęła komórkę, okręciła się wokół własnej osi, udając, że absorbuje ją wielość strojów. Dziwny ucisk, który czułam, jakoś nie minął, nawet kiedy India zmrużyła oczy, patrząc na Morgan, i wypaliła:

— Ta suknia jest o wiele za duża. Skupiłyśmy się na mojej bratanicy.

— Ta suknia — doprecyzowała India, wskazując Morgan — jest za duża o cały numer. Na balu będzie wyglądać okropnie.

— Naprawdę? — zapytałyśmy.

Kiedy uważniej się przyjrzałam, zauważyłam, że góra jest luźna, a ramiona za szerokie. Poszukałyśmy pomocy u sprzedawczyni.

— Tak — przyznała, zaniepokojona, że może nie dostać prowizji. — Powinna być bardziej dopasowana. Zaraz sprawdzę, czy znajdę mniejszy rozmiar.

Zniknęła w zasłoniętym storą przejściu i usłyszałyśmy, jak podnosi słuchawkę i wybiera numer.

Morgan wyglądała na zdruzgotaną i chociaż widziałam, że suknia naprawdę jest za duża, musiałam się zastanowić nad szczerością okazanej przez Indię troski.

— Może da się przerobić — podsunęłam.

— Przerabianie sukni o cały rozmiar to bezsens — oświadczyła India. — Będzie wyglądać jeszcze gorzej. I wiem, że trochę już tu wisi, więc wątpię, czy znajdziecie taką gdzie indziej.

— Znalazłam! — Sprzedawczyni wróciła pędem. — W tym rozmiarze jest tylko jedna i to w Dallas, ale znalazłam!

Przez chwilę wydawało mi się, że India jest wściekła, ale kiedy przyjrzałam się uważniej, po prostu się uśmiechała.

— Będzie idealna, Morgan!

Janice zapłaciła i zostawiła swój numer, żeby sprzedawczyni mogła ją zawiadomić, kiedy suknia zostanie sprowadzona. Gdy wychodziłyśmy, Janice objęła Morgan ramieniem. Niezręczny gest, bez dwóch zdań, ale zauważyłam emocje, które błysnęły w oczach Indii.

Czułam się jak węzeł pośrodku liny do przeciągania. W jednej chwili odpychała mnie podejrzliwość wobec Indii, a w następnej przyciągało współczucie dla niej.

— Muszę iść — stwierdziła szorstko.

Prawdę mówiąc, ucieszyłam się, bo moja lina zaczęła się strzępić. Nie chodziło tu o mnie, ale w końcu jednym z powodów, dla których uważałam się za wręcz stworzoną do zawodu prawnika, był fakt, że nie pozwalałam sobie na emocjonalne zaangażowanie w problemy innych. To uświadomiło mi, że odkąd przekroczyłam granice stanu, zajmowałam się głównie problemami innych.

Janice, Morgan i ja dojechałyśmy do domu w całkiem niezłym nastroju. W kuchni zmartwiona Lupe podawała zgnębionemu Cinco dużą szklankę mleka czekoladowego.

— Co się stało? — zapytałam.

— Panicz Cinco, on nie znaleźć praca. Janice podeszła i zmierzwiła mu włosy.

— Mówiłam ci, że nikt nie zechce płacić za czyszczenie roweru, kochanie.

Weszła Savannah w powiewnym szlafroku z brzegiem obszytym piórkami.

— Co się tu dzieje?

— Cinco przeszedł się po dzielnicy, usiłując zarobić pieniądze na czyszczeniu rowerów — wyjaśniła Janice.

— To śmieszne — oznajmiła Savannah. Świetnie. Sypanie soli na ranę.

Lupe rzuciła jej groźne spojrzenie, ale do tej pory zawsze był to próżny trud. Cinco z przygnębieniem pociągnął łyk mleka.

— W porządku. Nie obchodzi mnie to. Savannah marszowym krokiem ruszyła dalej.

— To śmieszne, bo nikt tu nie ma roweru. — Prychnęła. — Wszyscy są starzy.

Cinco podniósł wzrok, speszony.

— Powinieneś być przyjść do mnie. W szopie są trzy rowery, które potrzebują czyszczenia. — Spojrzała na malca. — Ale czy ktoś naprawdę uważa, że mam czas na czyszczenie roweru? Nie, nie, nie. Więc potrzebuję właśnie Czyściciela Rowerów.

— Naprawdę? — Cinco miał oczy jak spodki.

— Oczywiście. Chodź.

Wyszli, Cinco w szortach bojówkach, koszulce i czapce baseballowej, Savannah w różowych przezroczystościach i piórach. Gdybym nie widziała tej sceny na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzyła.

— Panienna Savannah. Bywając miła. — Lupe pokręciła głową i prychnęła. — Zawsze same niespodzianki.

Janice zamarła, patrząc na drzwi. I jeżeli uznamy, że godzinę tę zdominowało zaskoczenie, to uczucie towarzyszące powrotowi Savannah z pajęczynami we włosach można określić tylko jak czysty szok.

— Zainstalował się przed domem z rowerami — wyjaśniła. Stała, kiedy zauważyła, że wszyscy się na nią gapią.

— Co?

Ale nie zaczęła na odpowiedź. Opuściła kuchnię, zostawiając za sobą ślad z kurzu i pajęczyn. Ku zaskoczeniu wszystkich, kiedy czyszczenie zostało zakończone, Savannah wybuliła dolara pięćdziesiąt od roweru. Spośród mieszkańców Wainwright House jeden Cinco przyjął to spokojnie, jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego potwornie rozpuszczona ciotka primadonna mogłaby nie być miła.

Jeżeli jednak ktoś myślał, że atak uprzejmości, który przeżyła Savannah, potrwa dłużej, to musiał przeżyć smutne rozczarowanie.

— Gdzie są moje okulary przeciwsłoneczne? — zapytała gniewnie następnego dnia, wchodząc do kuchni. — Wziął je któryś z tych szkodników, wiem.

— Panienna Savannah wróciła — oznajmiła Lupe.

Rozdział 18

Zawsze, kiedy chciałam, by czas mijał szybko, minuty przelewały się jak melasa na mrozie, dni posuwały naprzód jak jeleń bojaźliwie wychylający się z lasu. Zawsze, gdy potrzebowałam na coś więcej czasu, chwile pomykały jak wskazówki zwariowanego zegara

w beczce śmiechu, a dni czmychały jak jeleń wypłoszony z zarośli w sezonie polowań. W miarę zbliżania się balu debutantek dni zaczęły mknąć z zawrotną szybkością. Czas indywidualnych przyjęć zaczął się nagle jak pora deszczowa w Kuala Lumpur, czyniąc szkody w żyznej glebie życia i ludzkich emocji i doprowadzając wszystkich do szaleństwa.

Nikt się nie zdziwił, gdy India się uparła się, żeby jej bal odbył się to pierwszy. Ekstrawaganckie zaproszenie z naturalnego lnu ze złotym grawerowaniem i atlasowym frędzlem nadeszło wymagane dwa tygodnie przed imprezą. Raczej czułam ulgę, niż byłam pod wrażeniem, że dobrze zaczęła. Trzymałam kciuki, żeby nie zobaczyć powtórki z mojego^o pierwszego doświadczenia z przyjmowaniem gości w stylu Blairów.

Zgodnie z oświadczeniem wygłoszonym pierwszego dnia, gdy przybyła do kuchni mamy z przyboczną świtą, zabierała wszystkie debutantki, ich rodziców i kilku innych wybranych VIP-ów na kolację na Manhattan — i nie chodzi tu o Manhattan w stanie Kansas.

— Na pewno nie pojedę do Nowego Jorku — oświadczyła matka z łóżka, odkładając na bok tacę ze śniadaniem na chińskiej porcelanie. — Absurdalny pomysł.

W kategorii Powodów Aby Nie Iść umieściłabym szereg wymówek z /// (XIV w.): 1. kto ma na to czas; 2. w kwietniu w Nowym Jorku nadal może być zimno; 3. przelot tam i z powrotem w ciągu jednego dnia sprawiłby więcej kłopotów, niż warto ich znieść. „Absurdalny pomysł” mojej matki wydawał się należeć raczej do grupy standardowych argumentów w stylu: „bo tak powiedziałam” lub był przykrywką dla: „na pewno nie i w żadnym wypadku nie jadę nigdzie z Indią Blair i jej rodziną”.

— Gdy nie pojedziesz — przymilałam się, gryząc kawałek jej croissanta grubo posmarowanego importowanymi konfiturami — wyjdzie na to, że tego nie pochwalasz.

— Nie pochwalam, z pewnością nie pochwalam wystawnej imprezy wydawanej przez dziewczynę, która jeszcze nic nie wie o byciu damą.

Odłożyłam pieczywo z powrotem na talerz.

— Nie o to chodzi. Nie o to, co czujesz albo czego nie czujesz w stosunku do tych dziewcząt. Tu chodzi o wsparcie dla Setnego Dorocznego Balu, zapoczątkowanego przez twoją rodzinę. Pozory, mamó. Coś, czego mnie uczyłaś, karmiąc piersią.

Machnęła ręką.

— Nie używaj takiego języka.

— Jakiego? Piers?

Potrząsnęła głową i się odwróciła. Moja matka — kobieta, która wychodziła za mąż więcej razy, niż odbyłam randek — świętoszka.

- No dobrze. Uczyłaś mnie pozorów od urodzenia. Lepiej? Spojrzała gniewnie.

- Dobrze, pojedę. Ale tylko ze względu na dobre imię rodziny.

Blairowie zapakowali do dwóch samolotów osiem dziewcząt z rodzicami, wszystkich ośmiu kawalerów, opiekuna z akademii wojskowej, wybranych gości, moją matkę i mnie. Jednym samolotem był Gulf Stream IV, drugim 732 z napisem BLAIR AIR na boku. Trzy i pół godziny później w eleganckich strojach wylądowaliśmy na małym lotnisku Teterboro w New Jersey, skąd luksusowy autobus krętą drogą przez Lincoln tunnel przewiózł nas na Manhattan. Zgodnie z obietnicą dotarliśmy do centrum o siódmej, zostaliśmy wywiezieni na najwyższe piętro Blair Tower i znaleźliśmy się w samym środku ekstrawaganckiej dekoracji, na którą składały się fontanny z szampana, lodowe rzeźby, jedzenie jak z fotografii w czasopiśmie i spektakl świateł miasta rozciągających się przed nami niby diamenty na czarnym aksamicie.

- Hmm — powiedziała moja matka.

- To znaczy pozytywnie czy wręcz przeciwnie? — zapytałam.

- Robi wrażenie — przyznała. — Chociaż to straszna rozrzutność dla nastolatki, która nie docenia niczego, co się jej daje.

Moja matka filozofująca?

Nikt nie zdążył jeszcze łyknąć szampana, gdy matka pociągnęła nosem. — Zdaje się, że gość honorowy ma humory.

W znaczeniu: awanturuje się, oczywiście. I nie kłam?

— Gdzie jest tort? — dopytywała się India. Wykonując drobną pracę detektywistyczną, dowiedziałam

się, że sławetne ciasto Sylvii Weinstock, o które India zrobiła tyle szumu, nie dojechało. Skonany organizator przyjęcia rozmawiał z nią przez komórkę.

— Ciasto jest gotowe, ale transport zawiódł. Jest gotowe, ale cały czas tam — wyjaśniał rozpaczliwie organizator, a twarz Indii z każdą sylabą bardziej czerwieniała.

— Pojadę po nie — powiedziałam, zadziwiając wszystkich łącznie z sobą samą.

Nie będąc osobą, która pozwoliłaby się rozmyślić darowanemu koniowi, organizator zapisał adres i wcisnął mi kartkę do ręki.

— Pojadę z tobą.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że za mną stoi Jack. Zadrzałam. Wyglądał świetnie. Wiem, wiem, zawsze wyglądał świetnie.

— Wujek Jacky! Przyjechałeś! — zawołała India i rzuciła się mu w ramiona.

Podniósł jej buzię i sprawił, że się uśmiechnęła. Typowe dla Jacka. Gdy już ci się wydawało, że go znasz, on nagle się zmieniał.

Po chwili złapał mnie za łokieć i poprowadził do windy. Gdy tylko się w niej znalazłam, nie mogłam przestać myśleć o wszystkich tych filmach ze scenami w windzie. Drzwi się zasuwały, mija chwila i dwoje nieznajomych wpada na siebie. My jednak nie byliśmy ani nieznajomymi, ani nie graliśmy w filmie.

Ponieważ całowanie się nie wchodziło w grę, skupiłam się na uprzejmej rozmowie.

— Nie widziałam cię na lotnisku.

Cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy, gdy na mnie spojrzał.

- Rozglądałaś się za mną, Cushing? - Ach. Nie. — Nie śmiać się, postanowiłam. — Ale przypuszczałam, że jako wujek Indii się pojawisz. - Przyjechałem wczoraj wieczorem. Dopiero kiedy zjechaliśmy na dół i przytrzymał mi drzwi taksówki, zapytałam od niechcienia:

- Gdzie twoja narzeczona? Racine, prawda? — Dokładnie w chwili wsiadania do samochodu.

Ledwo wypowiedziałam te słowa, usłyszeliśmy:

- Jack, kochanie. Już idę. Kobieta, w której natychmiast rozpoznałam Racine, wyszła przez drzwi obrotowe w swoich szpilkach tak lekko, jak tylko można to zrobić.

- Usłyszałam o nagłym wypadku i oczywiście biegnę na pomoc.

W połyskującym wieczorowym stroju, który powiewał na kwietniowym wietrze, wyminęła Jacka, wciąż jeszcze przytrzymującego dla mnie drzwi, i wślizgnęła się do wnętrza, zmuszając mnie, żebym się przesunęła.

- Jesteś Carlisle, prawda?

Jack wsiadł i zamknął drzwi. Przeczesał palcami włosy i podał adres kierowcy.

— Nie muszę jechać — powiedziałam, chociaż nie wcześniej, niż samochód ruszył, i jedynym sposobem, by pozostać na imprezie, było otwarcie drzwi i skok. Prawdopodobnie nie taki zły pomysł.

— Miło cię w końcu poznać — stwierdziła Racine, gdy w korku sobotniego wieczoru taksówka przesuwała się powoli Piątą Aleją. — Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówiła do ciebie Carlisle, prawda?

Z bliska była tak samo ładna jak z daleka. Spędziwszy całe życie na przygotowywaniu się do roli prawnika, od razu wiedziałam, że stanowiła dla Jacka idealną partię. Wysoka, z lśniącymi długimi włosami w kolorze brązu, perfekcyjną cerą i ciałem, za które można by umrzeć. Nie żebym poczuła się onieśmielona. No dobrze, może trochę, ale na swoją obronę muszę powiedzieć, że była wspaniała.

Mówiła z teksaskim akcentem osoby wykształconej, spokojnie taksowała mnie spojrzeniem ciemnozielonych oczu.

— Słyszałam tyle opowieści o Wspaniałej Carlisle Cushing. A to niespodzianka.

— Jesteś uważana w Willow Creek za żywą świętą.

— Racine — Jack upomniał ją sucho. Odwróciła się do niego.

— Słucham, kochanie? Nawet jeśli ty za nią nie przepadasz, to nie znaczy, że wszyscy inni jej nie lubią. — Odwróciła się z powrotem i poklepała mnie po nodze. — Przepraszam, nie chodzi mi o to, że Jack cię nie lubi. Jestem pewna, że tylko przez ten proces. Gdyby nie, na pewno razem z innymi piałby peany na twoją cześć.

Naturalnie nie była członkiem Junior League w Willow Creek i nie uczestniczyła w herbatce w Brightlee, gdzie zdecydowanie nie śpiewano pieśni pochwalnych na mój temat.

Racine odwróciła się do Jacka i po prostu na niego spojrzała. Nie widziałam jej miny, tylko jego twarz, ale gdy położyła mu rękę na przedramieniu, twarde rysy Jacka jakoś złagodniały. Uśmiechnął się do niej i wyglądali, jakby byli w tej małej przestrzeni zupełnie sami.

Odwróciłam wzrok, czując się niezręcznie.

Gdy w końcu Racine znowu zwróciła się do mnie, jej oczy lśniły jak dwa węgielki.

- Widziałas, jaki dał mi pierścionek? Wyciągnęła rękę udekorowaną starannie zrobionym francuskim manikiurem.

- Piękny, prawda? Na pewno piękny? Jeśli ktoś lubi diamenty wielkości piłek golfowych.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że Jack może być taki romantyczny, żeby zabrać mnie do rezydencji nad Turtle Creek w Dallas i tam się oświadczyć.

- Racine, jestem pewien, że Carlisle nie ma ochoty na szczegóły.

Uśmiechnęła się do mnie — należy dodać, że chłodno. - Kobiety uwielbiają takie historie. Prawda, Carlisle? No, chyba że kobieta jest zazdrosna. Słucham?

- Wiem jednak, że Carlisle zazdrosna nie jest. Nie mam racji? — Znowu klepięcie w nogę. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam, by samochody poruszały się szybciej. Zatrzymaliśmy się i znowu ruszaliśmy, a Racine snuła opowieść, począwszy od ich ślubnych planów („ślub, o jakim marzy każda mała dziewczynka”) poprzez dom, który budowali na zachód od Willow Creek („dwadzieścia akrów z najbardziej zachwycającym widokiem ze wszyStkich stron”), kończąc na planach na miesiąc miodowy. Tu uśmiechnęła się przebiegle. — Oczywiście te szczegóły zachowam dla siebie.

Nigdy tak się nie cieszyłam, że m^orę wysiąść z taksówki, jak wtedy, gdy podjechaliśmy pod budynek cukierni. A w drodze powrotnej, gdy ktoś musiał usiąść z przodu, aby tort umieścić z tyłu, wskoczyłam na miejsce obok kierowcy, nie dając Jackowi szansy, by zachował się jak dżentelmen.

Gdy wróciliśmy, impreza trwała w najlepsze. Ledwo organizator zdążył ustawić na miejscu tortowe szaleństwo w białym lukrze i marcepanowych różach, zjawił się reporter z fotografem.

— Spójrzcie, kto tu jest! — zagruchała India, biorąc reportera pod rękę. — „Texas Monthly”!

Fotograf pstryknął zdjęcie, łapiąc cały zestaw nieszczęśliwych, zazdrosnych i niezadowolonych debiutantek.

India kwitła. Miała na sobie krótką sukienkę z falującej srebrnej satyny z malutkimi powiewnymi rękawkami, które wyglądały jak skrzydła, wykończoną przy wyciętym dekolcie satynową kokardą.

— Nie uwierzycie, jak bardzo tato mnie kocha! — Chełpiła się znowu. — Przysięgam, że zrobiłby dla mnie wszystko.

Spojrzałam na jej ojca ubranego w ciemnoniebieski garnitur, ze sztywnymi włosami przylegającymi ściśle do czaszki, wciśniętego w kąt, zatopionego w rozmowie z grupą biznesmenów, zupełnie nieświadomego deklaracji córki. India też to zauważyła. Na ułamek sekundy ściągnęła usta, ale zaraz potem uśmiechnęła się i rozpoczęła monolog na temat wszystkich wspaniałych rzeczy, jakie zrobiła w Willow Creek.

— Zapewne słyszeliście o mojej pracy z małymi dziećmi.

— Na przykład? — zapytał reporter, trzymając przygotowany ołówek.

— Na przykład?

Wyraźnie nie spodziewała się tego pytania.

— Cóż, na przykład... pomagam wszystkim.

Musiała zdać sobie sprawę, że ponad czterdzieści osób, które przywiozła tu ze sobą z Teksasu, może rozwiać obraz, który usiłowała wyczarować, i zapytać po prostu: „Czy nie jesteś naćpana?”.

— Wie pan — usłyszałam, jak mówi konspiracyjnym szeptem, dotykając ramienia reportera i odciągając go od ciekawskich gości. — Mówi się, że teksaska prasa ma mnie obwołać Debiutantką Roku. — Skończyła z wychwalaniem się i przeszła w doskonale udawaną skromność. — Oczywiście czułabym się zaszczycona. Po prostu zaszczycona. Ale byłabym zachwycona, gdyby połączono moje nazwisko ze sprawą, która przyniosłaby pieniądze na poprawę życia w moim rodzinnym teksaskim mieście. Wie pan, mój ojciec wykupił cztery stoły na tym balu.

Można by się spodziewać, że reporter potrafi poznać się na jej miernych zdolnościach aktorskich i przejrzy oczywisty plan, z którego właśnie zdałam sobie sprawę, plan uzyskania tytułu Debiutantki Roku. Ale może jednak ją przejrzeni, ponieważ gdy Morgan weszła do sali, fotografowie wyprostowali się ze zdziwieniem i przenieśli obiektywy na moją bratanicę.

Morgan miała na sobie dopasowaną suknię bez rękawów z kwadratowym wycięciem przy szyi i szeroką szarfą w pasie, wszystko w kolorze bladej mięty. Z brązowymi rozpuszczonymi lekko falującymi włosami wyglądała jak nastoletnia gwiazda filmowa. Dokładnie ten typ uwielbiają fotografowie.

Pomimo koloru sukienki nie wyglądała już jak Cyndi Lauper, ale też nie jak własna matka. Morgan w przeciwieństwie do Indii była zdziwiona okazanym jej zainteresowaniem, lecz najwyraźniej udało się jej wyczuć cienką granicę, oddzielającą wojowniczość od nieśmiałości. Przeleciała mi przez głowę ulotna myśl, że ciekawie będzie zobaczyć, na kogo ona wyrośnie, kiedy wydorosłeje.

India wyglądała na jeszcze bardziej nieszczęśliwą niż zwykle z powodu zainteresowania, które wzbudziła Morgan, po czym wybiegła, nie odcinając się Sashy, gdy Panna Doskonałość rzuciła jakąś złośliwą uwagę na temat kłamstw opowiedzianych reporterom.

Jednak India nie oddaliła się za bardzo, gdyż ojciec złapał ją za rękę. Nie jestem pewna, co powiedział, ale nie wyglądał na zadowolonego. Skuliłam się na myśl, że mógł powiedzieć to samo, co Sasha.

Tak czy owak ojciec i córka zamienili kilka słów i nie wyglądało to na przyjacielską pogawędkę. Po jej zakończeniu India z grymasem niezadowolenia na twarzy skrzyła w przeciwną stronę. Tuż przed małą sceną babcia złapała ją za rękę. W przeciwieństwie do Huntera Gertruda przyciągnęła wnuczkę i ją uściskała. India najpierw zeszytniała w objęciach babci, ale potem zobaczyłam, że się rozluźniła. Rozpoznałam to uczucie, to samo, którego doświadczałam, gdy słyszałam troskę w głosie Philipa. Delikatność. Troskę. Przekonanie, że wszystko będzie dobrze.

— Halo! — zawołała po chwili do mikrofonu. Chwilę to trwało, ale wkrótce hałas ucichł.

— Dziękuję wszystkim za przybycie — pewnym głosem powiedziała India. — Wiem, że to wspaniałe przyjęcie, ale jak mogłoby być inaczej tu, w Nowym Jorku! I dziękuję wszystkim za to, co o mnie mówiliście, że jestem piękna, utalentowana i w ogóle.

Hunter się skrzywił. Jeżeli kazał jej podziękować gościom, najwyraźniej forma tego podziękowania nie była zgodna z jego życzeniem.

— Ale to wszystko dzięki mojemu wspaniałemu ojcu, który totalnie zrobił to wszystko dla mnie, bo, jak mówi, jestem tego warta! — dodała, potrząsając piąstką jak cheerleaderka.

Jeśli chciała, by wypadło to szczerze, to nie udało się, na sali rozległy się osądzające szepty. Hunter skrzywił się jeszcze bardziej. India zmarszczyła brwi i, przysięgam, tupnęła ze złością. Tylko babcia patrzyła na nią z blaskiem miłości w oczach. India westchnęła.

- Dziękuję, babciu — powiedziała miękko, a głos rozszedł się po sali. — Dziękuję, że we mnie wierzysz. — Następnie spojrzała na tłum. — Dziękuję wszystkim za pokonanie takiej długiej drogi, aby świętować wraz ze mną. Jestem zaszczycona, że to učiniliście.

Nie dałabym sobie uciąć za to ręki, ale przysięgam, tym razem jej głos brzmiał szczerze.

Skończyła, a tłum po chwili ciszy wybuchnął oklaskami. Hunter uniósł brodę i uważnie popatrzył na córkę, a potem uśmiechnął się do niej w sposób, który mówił, że wierzy, iż jeszcze nie wszystko stracone. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem India się uśmiechnęła. Aparaty fotograficzne oślepiały blaskiem fleszy.

India zamachała do kamer, zaczęła pozować jak Paris Hilton na wybiegu, wyginając się w jedną, potem w drugą stronę. Trwało to jakieś pięć minut, a potem zobaczyłam, że Hunter zbiera się do wyjścia. Dziewczyna musiała mieć dobry wzrok, skoro zobaczyła to poprzez blask fleszy. Nabrała powietrza, zeskoczyła ze sceny w swojej srebrnej sukience i rzuciła się przez tłum. Kiedy dogoniła ojca, byli oddaleni ode mnie najwyżej o kilka stóp.

— Tato, dokąd idziesz? Niecierpliwił się, żeby już wyjść.

— Mam interesy w Kuwejcie. Siedem trzy siedem zabierze wszystkich do domu.

— Ale tato...

— Co, Indio? Masz swoje przyjęcie. A ja teraz muszę coś załatwić.

Zostawił ją w drzwiach. Nie widziałam twarzy dziewczyny, ale napięte ramiona mówiły wszystko, czego nie chciałam wiedzieć.

Pod koniec wieczoru, gdy Blair Air 737 kierował się na południe (Jack i narzeczona wyjechali wcześniej do „swojego apartamentu w St. Regis”, jak powiedziała mi Racine z tajemniczo-triumfalnym uśmiechem), większość dziewcząt cierpiała z zazdrości albo rozpacz. Jak tu konkurować z takim przyjęciem? Jednak Betty, zawsze wierna, podjęła ryzyko i usiadła przy ponurej Indii. Zajęłam miejsce rząd przed nimi i usiłowałam zasnąć, bo nie chciałam się zastanawiać nad tym, że India przeżywa teraz zapewne huśtawkę nastrojów. Ledwie zdołała wykrzesać uśmiech u ojca, a on już ją wysyła do domu, gdy sam zostaje w Nowym Jorku.

Przez pierwszą godzinę trzyipółgodzinnego lotu nikt nie odezwał się do Indii, nawet jej świta. Dziewczyna była zajęta planowaniem Bóg wie czego z przodu samolotu, co pewnie wyjaśnia, dlaczego w ogóle zaczęła rozmawiać z Bertą, siedzącą w pobliżu.

— Cześć, India — powiedziała Berty.

— Czego chcesz?

— Och, przyjęcie było wspaniałe. Naprawdę tak uważam. India wzruszyła ramionami.

— Taaak, wspaniałe, prawda? Chociaż wszyscy teraz zazdroszczą.

— Pewnie, że zazdroszczą. Jakżeby inaczej. Zabrałaś wszystkich do Nowego Jorku. Uważam, że to fantastyczne!

India przesunęła się, robiąc odrobinę miejsca. Berty natychmiast usiadła obok niej.

— Chciałabym być taka fajna jak ty.

— Nie rób sobie nadziei. Zacisnęłam szczęki.

— No dobrze, nie aż taka fajna, ale przynajmniej na takim samym poziomie.

India nie odzywała się przez chwilę. - Mówiłaś, że gdzie kupujesz ciuchy? - Nie kupuję. Moja mama szyje.

A to dopiero! Musisz jej powiedzieć, że sukienki z Domku na prerii nie pasują do liceum w Willow Creek. Nie możesz być fajna, kiedy wyglądasz jak głupek.

Nawet mimo panującego w samolocie hałasu usłyszałam bolesne westchnienie Betty.

- Nie chciałam cię urazić i w ogóle - ciągnęła India z irytacją w głosie. — Tylko pomagam ci zrozumieć. Jak możesz myśleć, że będziesz fajna, jeżeli się tak ubierasz? Niemal poczułam, jak Betty się czerwieni.

- No i halo? Twoje włosy? Idź i zobacz się w lustrze. Gdybyś zrobiła coś z tymi wszystkimi sterczącymi włosami, mogłabyś wyglądać w połowie okay. Idź i sama sprawdź.

Betty poderwała się i poszła do toalety. Wstałam i spojrzałam na Indię.

- Co? — Wyglądała na wytrąconą z równowagi. — To prawda. Przynajmniej staram się jej pomóc.

Potrząsnęłam głową i ruszyłam za Betty. Kiedy wyszła z malutkiej toalety, miała czerwone oczy.

— Nie pokazuj się jej w takim stanie — powiedziałam. — Ona wie, że ci zależy, i tylko dlatego tak się zachowuje. Wie też, że może łatwo cię zranić.

— W porządku, panno Cushing. Nic mi nie jest. Ale jestem naprawdę zmęczona. Zobaczę, czy uda mi się trochę przespać.

Betty szybko wróciła na swoje miejsce. Ruszyłam do przodu, gdy nagle mnie zamurowało. Zobaczyłam Morgan, moją małą bratanicę, splecioną jak precelek ze swoim kawalerem.

— Morgan — odezwałam się cicho.

Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej. Z tyłu nadeszła Janice, zobaczyła, co się dzieje i, no cóż, dostała szału. Z definicji powszechnie znanej.

— Co robisz, młoda damo? — zapytała Janice głosem nieznoszącym sprzeciwu i w tym momencie całe porozumienie osiągnięte przez matkę i córkę przy okazji zakupów sukienki uleciało przez hermetycznie zamknięte okno gdzieś na południe od Nowego Jorku.

Morgan i młody kadet Derek odskoczyli od siebie, a właściwie to kadet Derek odskoczył. Morgan ledwie się poruszyła, tylko wyprostowała się z bezczelnie naburmuszoną miną.

— Proszę pani. Przepraszam... — zaczął kadet, ale mu przerwano.

— Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, młody człowieku — wycedziła Janice — to sugerowałabym, abyś wrócił na swoje miejsce.

Derek wygramolił się z fotela, bez wątpienia pamiętając przesłuchanie Janice na temat więzień i higieny jamy ustnej.

Morgan nadal po prostu siedziała ze skrzyżowanymi ramionami.

— Co masz zamiar zrobić, mamó? — zasyczała.

— Na początek masz szlaban — odparła Janice.

— Och, świetnie. Traktuj mnie jak małe dziecko. Halo, kiedy masz zamiar zaakceptować to, że mam osiemnaście lat? Jestem dorosła!

— A więc całowanie się w samolocie na oczach połowy Willow Creek jest przejawem dorosłości?

— Od kiedy to przejmujesz się tym, co sądzą inni?! Przełknęłam cisnący mi się na usta komentarz: touche!

— Przejmuję się tym, że moja córka robi z siebie tandeciare! Morgan się podniosła, na twarz wypłynął jej rumieniec.

— Może jestem tandetna! Tandetna i nie taka genialna jak ty, w porządku! Jestem po prostu sobą! Zwyczajną starą Morgan, która nie zdobyła żadnej głupiej Nagrody Pulitzera! I do twojej wiadomości — nie chcę jej zdobyć! Nie chcę być taka jak ty! Chcę być sobą. Więc musisz przeboleć, że nie masz za córkę Małej Miss Intelktu Wydającej Gazetkę Uniwersytecką!

Powiedzieć, że Janice stała tam zszokowana, byłoby eufemizmem. Całkiem szczerze, ja też byłam zszokowana, podobnie jak wszyscy w zasięgu wzroku.

Resztę drogi przelecieliśmy w ciszy, wylądowaliśmy na lotnisku w Willow Creek i dotarliśmy do prywatnego hangaru Blairów o szóstej rano. Ani Morgan, ani Janice nie poruszyły się od momentu, gdy Janice chwiejnym krokiem wróciła na swoje miejsce.

Kiedy silniki zostały wyłączone i załoga otworzyła drzwi, zobaczyliśmy dziennikarzy z Wiadomości i fotografów czekających na płycie lotniska. India przywołała uśmiech i popieszyła do przodu.

— Spróbujcie to przebić, dziewczyny — rzuciła, a potem podekscytowana zwróciła się w stronę komitetu powitalnego, który, przypuszczałam, sama zamówiła.

Rozdział 19

Nigdy nie widzieliście siedmiu dziewcząt (oraz ich matek), które z takim zacięciem walczą o prowadzenie. Tiki Beeker i Abby Bateman postąpiły niekonwencjonalnie i urządziły przyjęcie razem. Na ekstrawagancką imprezę przypominającą rozmachem serial Dallas autokarami przewiozły na rancho South Fork dwustu gości, w tym reporterów, fotografów, polityków, graczy w futbol z drużyny Dallas Cowboys (bez cheerleaderek, poco komu konkurencja). Przybył z nimi także teksaski gwiazdor filmowy Matthew McConaughey.

Kelnerzy w smokingach serwowali marynowane jaja przepiórcze, kielbaski havalina w pozłacanej folii i rozpływający się w ustach pasztet z dziczyzny na cienkich jak opłatek ciasteczkach serowych oraz najlepsze wino musujące z północnego Teksasu, Liano Estacado. Na kolację podano cielęcinę cordonleu grillowaną na ogniu z krzewów mesquite, zapiekanek ziemniaczaną i szparagi grubości ołówka. Po kolacji nastąpiły tańce P°d gwiazdami w stylu country&western oraz dekadenco słodkie ciasto czekoladowe. I alkohol. Mnóstwo wina, piwa, burbona oraz pięćdziesięcioletniej szkockiej Single Malt.

Tylko jedna osoba nie bawiła się tam dobrze, India. Była dość rozgarnięta, by wiedzieć, że Nowy Jork to jedno, ale dla Teksaszczyków, a szczególnie dla teksaskich mediów (tzn. ludzi, którzy będą wybierali Debiutantkę Roku), nic nie może się równać z wielką imprezą w teksaskim stylu. Teksaszczyki uwielbiają wszystko, co wielkie. Włosy, uśmiechy, przyjęcia pod wielkimi namiotami i pod niezmiernym teksaskim niebem pełnym niezliczonych gwiazd, błyszczących nocą.

India popełniła błąd i jej wygięte w podkówkę usta przez całą noc wyraźnie zdradzały, że miała tego świadomość. Pod koniec wieczoru podkówka zmieniła się w napad złości, kiedy Tiki i Abby zostały obfotografowane przez tłum dziennikarzy podczas prowadzenia loterii z młodym bykiem rasy Texas Longinom jako główną nagrodą, z której zyski miały wspomóc najstarszą muzyczną instytucję w Teksasie, filharmonię w Willow Creek.

Matka stała obok mnie, stosunkowo zadowolona z efektu i niewzruszona manifestacją bogactwa. Wśród posiadaczy starych teksaskich fortun liczył się fakt, że pieniędzy ma się mnóstwo bez podtykania ich ludziom pod nos. Lepiej subtelnie acz stale ucierać im nosa dyskretną władzą — władzą, którą moja matka rozpaczliwie starała się utrzymać.

Janice stała z otwartymi z powodu szoku ustami. Nie umiałam stwierdzić, czy raziła ją ostentacja, czy martwiła się, że nigdy nie sprostą takiemu wyzwaniu.

Obie z Morgan znów ze sobą nie rozmawiały, choć trzeba przyznać, że Janice próbowała. Byłam świadkiem jej usiłowań, by „porozmawiać z dzieckiem”, kiedy w odpowiedzi uzyskiwała najwyżej monosylabiczne pomruki. Jeden krok w przód, dwa kroki w tył, jak sądzę.

— Zamknij usta, moja droga — poleciała mama. — Niedobrze tak wyglądasz. Ponadto po tym, co dziś widziałam, czeka nas trochę planowania. Nie zamierzam pozwolić, by moja wnuczka urządziła przyjęcie niższej kategorii.

- Ridgely, to nie będzie przyjęcie niższej kategorii. Lunch, który ma na celu okazanie wsparcia dla kar zastępczych, plasuje się znacznie wyżej niż wysyłanie ludzi odrzutowcem do Nowego Jorku albo podawanie złoconej kiełbasy.

— Oczywiście — chłodno odparła matka. — I z pewnością wszyscy tak to odbiorą.

Oczywiście wróciłyśmy do Willow Creek i zaraz rano moja matka obudziła Janice, po czym zapędziła ją do kuchni jak generał planujący wojnę z niechętnym temu żołnierzem. Całe szczęście, że mama spędzała teraz więcej czasu poza łóżkiem niż w łóżku, ale jakoś nie mogłam uwierzyć, aby bywalczyni salonów i radykalna feministka zdołały wymyślić przyjęcie, które obie zadowolą.

W każdym razie zostawiłam im przeplanowanie imprezy, a sama siadłam do pracy. Zbieranie materiałów do sprawy szło mi świetnie, miałam aż nadto dowodów, że Vincent w Lucky Stats głównie się objął i w żaden sposób nie przyczynił się do Końcowych wyników. W duchu zaczęłam już kalkulować, na ile zaszkodzę tym sprawie Jacka.

Byłam zadowolona i nie mogłam się doczekać, żeby zadzwonić do Philipa. Odebrał po pierwszym dzwonku.

— Czy to najwspanialszy mężczyzna na świecie? — zapytałam uroczystym tonem.

Prawie poczułam jego uśmiech przez słuchawkę.

— Masz dziś znacznie lepszy głos. Rozumiem, że sprawa dobrze idzie.

To prawda, nie ma jak sprawnie posuwająca się praca, żeby cały świat wydawał się taki, jak należy.

- Mam nadzieję zapiąć to na ostatni guzik raczej prędzej niż później — powiedziałam. — A jak idzie z rozwodem Mortona?

- Świetnie — z jego głosu było zadowolenie. — Codziennie po południu wpada do mnie do biura, żeby być na bieżąco. Jakbyśmy zostali najlepszymi przyjaciółmi teraz, kiedy urato-

wałem mu tyłek po wygrzebaniu brudów na temat jego żony. Usłyszałam, że siada wygodniej. — Dzięki za to.

- Dla ciebie wszystko.

- Czy „wszystko” obejmuje także ustalenie daty ślubu? — zapytał.

Zapisał mój telefon. Zerknęłam na wyświetlacz. - Mam biuro na drugiej linii. - Lepiej odbierz. Ale mówię poważnie. Ustal datę. - Ustalę. Obiecuję. Prawdę mówiąc, myślałam o ślubie jesienią. — A potem się rozłączyłam.

Moja asystentka znów rozmawiała z Melem Townsendem, który tym razem praktycznie jej groził, żeby mu podała numer mojej komórki, ponieważ do niego nie oddzwoniłam. Dla pozorów zaprezentowałam irytację. W duchu cieszył mnie jego upór, choć nie chodziło o dumę. Byłam po prostu zadowolona z potwierdzenia, że powrót do Bostonu nie będzie oznaczał stagnacji dla mnie.

Ktoś zapukał do drzwi dokładnie w chwili, gdy rozłączyłam się z asystentką.

— Panno Wainwright?

Do mojej prowizorycznej kwatery dowodzenia weszła Betty. Słońce lało się przez okna, odbijając się w jej grubych okularach. Miała na sobie niebieską dżinsową bluzę na zapinanej na guziki białej koszulowej bluzce i czarno-białe oksfordy, co nadawało jej wygląd przerośniętej pierwszoklasistki. Skręcona dzika czupryna sterczała na wszystkie strony.

— Cześć, Betty. Co u ciebie?

— Dobrze. Świetnie. Nieźle. — Skrzywienie ust. — Okay. Nie za dobrze. Gorzej niż źle.

— Trenujesz do olimpiady wyrazów bliskoznacznych? — Uśmiechnęłam się uprzejmie.

— Co?

— Nic. Powiedz mi, co się stało.

— Nie słyszała pani nowin?

— Jakich nowin?

— India nie rozmawia z Tiki i Abby. Strasznie się pokłóciły. India mówi, że Tiki i Abby wbiły jej nóż w plecy.

— Jakim sposobem?

— Bo nie wtajemniczały jej w plany swojej imprezy. Myślałam, że może ja powinnam ją zaprosić czy coś. Jak pani myśli?

— Czemu chcesz się zaprzyjaźnić z Indią?

— Bo jest miła. Chce mi pomóc. Pokręciłam głową i westchnęłam.

— Betty, moim zdaniem ona wcale nie próbuje ci pomóc. India ma własne problemy.

— Nie ma mowy, żeby India miała problemy.

— Oczywiście, że ma. Po prostu ich nie znamy. — Właściwie mogłabym zgadywać. Całe życie usiłowałam dogrzebać się prawdziwych znaczeń na podstawie słowa lub gestu, przekonana, że wiedza o tym, co ktoś naprawdę myśli, pomoże mi lepiej omijać potencjalne katastrofy. Nie można powiedzieć, żeby to działało, i z pewnością taki sposób funkcjonowania sprawiał, że człowiek (dokładnie rzecz biorąc ja) martwił się częściej, niż przewidywała średnia. Nawyki jednak trudno zmienić i doszłam do wniosku, że maska Indii ze słów i uśmiechów skrywa zagubioną dziewczynkę. Dokładniej mówiąc mogłam się domyślać, że pragnęła więcej uwagi ze strony ojca i przechwalała się, aby dzięki temu wszyscy uwierzyli w uwielbienie człowieka, który bardzo niewiele czasu spędzał w domu.

- A z jakiego innego powodu mogłaby wszystkich tak paskudnie traktować? — zapytałam.

- Ale ona nie jest wredna. Słyszała pani, jak usiłowała mi pomóc wtedy w samolocie. Ja po prostu byłam przeczulona.

- Betty, nie byłaś przeczulona. Twój wewnętrzny radar ostrzegł: uwaga, uciekaj, nie pozwól się jej atakować wrednymi zniewagami, ukrytymi pod słodkim śmiechem i zapewnieniami, że robi to tylko dla twojego dobra. To gówniana gadka, Betty. Nie wyglądała na przekonaną.

- Proszę tylko, żebyś to przemyślała. Wyglądała na tak przygnębioną, że zapragnęłam ją rozweselić.

Jak ci idzie planowanie przyjęcia?

— Wciąż nie jest zaplanowane.

Termin masz wyznaczony na koniec miesiąca. Jeżeli się pospieszysz, to zdążysz. Papiernia Pearla na Willow Creek Sipiare może przygotować zaproszenia w dwadzieścia cztery godziny.

- Ale nie możemy z mamą nic ustalić. Ona chce urządzić potańcówkę z ludowymi tańcami na podwórzu. Potańcówkę! Powiedziałam jej, że India nie popiera potańcówek. I wtedy mama naprawdę strasznie się wściekła i powiedziała, że nie obchodzi jej, co uważa India. Trudno ją winić.

— Zresztą wszystko jedno — ciągnęła. — Nie chcę potańcówki. Tylko kujony i oferny tańczą ludowe tańce.

— Nie denerwuj się. Na pewno wymyślicie z mamą coś innego.

— Ale co?!

— Niech pomyślę. No dobrze, gdybyś mogła zrobić wszystko, co chcesz, jakie przyjęcie byś urządziła?

Spodziewałam się, że wspomni o wielkiej krzykliwej imprezie w stylu Indii albo o ekstrawagancji w stylu Tiki i Abby. Przecież moja matka i Janice w tym właśnie momencie planowały zmiany!

Betty złożyła ręce jak Dorotka w krainie Oz i wyznała:

— Chciałabym urządzić elegancką herbatkę, coś takiego, co zrobiliby w Anglii. Stosownego i uroczego. Z klasą. — Opuściła dłonie. — Ale moja mama nie ma pojęcia o klasie. Ani o tym, co stosowne i urocze.

Chciałam powiedzieć coś sensownego, jednak umiejętne postępowanie z rodzicem nigdy nie należało do moich mocnych stron, szczególnie w przypadku matki o silnej osobowości.

— Wiesz, powiedz swojej mamie, czego byś chciała. Powiedz jej, co czujesz. — Odpowiedź wydawała się właściwa i w sumie mogłam być z siebie zadowolona, czułam się inteligentna i świetnie zsynchronizowana z potrzebami młodych dziewcząt. — Z pewnością pomoże ci zrealizować to, czego pragniesz, jeżeli dowie się, co to takiego. Mogłabyś skorzystać z herbaciarni w Brightlee. Albo z klubu.

— Tak pani myśli?

— Oczywiście. — Poza tym herbatka idealnie przysłużyłaby się tegorocznemu sezonowi debiutantek, zapewniając tak potrzebny wdzięk, smak i styl. — Biegnij do domu i porozmawiaj z mamą. Gdybyś potrzebowała pomocy, by ją przekonać, po prostu daj mi znać.

*

Kolejne dwa tygodnie upłynęły wśród nawału zaproszeń, przyjęć i ostatnich przygotowań. Mimo całego stresu wywołane go ciągłą zonglerką, ktoreg^os ranka obudziłam się i zrozumiałam, że dobrze się bawię. Byłam zbyt zajęta, żeby przejmować się ewentualną porażką. Po prostu mi się to podobało.

Następne przyjęcie wydała Sasha Winthorpe. Uroczysty lunch w Brightlee dla dziewcząt ich matek.

Ruth Smith urządziła śniadanie w Bibliotece Publicznej w Willow Creek. Zaskoczyła nas, ponieważ wszyscy goście przyszli, a po gospodyni nie było śladu.

Dziesięć minut po rozpoczęciu przyjęcia Ruth wpadła do biblioteki w zwykłej sukience, która wyglądała, jakby zakładano ją w samochodzie.

- Halo! Przepraszam za spóźnienie. Dziękuję wszystkim za przybycie.

Gdy goście zostali usadzeni z herbatą, zabrałam ją na stronę. - Czy na pewno wszystko w porządku?

— Oczywiście! — stwierdziła z szerokim uśmiechem. A odkąd poznałam Ruth Smith, nigdy nie widziałam jej z taką miną.

— Ruth?

Szeroki uśmiech zniknął Dez śladu-

— Może jestem lekko skonana. I może jest trochę krucho z pieniędzmi. Ale wszystko będzie świetnie. Wzięłam dwie prace, żeby zapłacić za suknię.

— Ruth, skoro pieniądze stanowią problem, czemu twoi rodzice zgodzili się, żebyś została debiutantką?

Zmarszczyła nos, rozejrzała się- dookoła i bliżej nachyliła.

— Mój tata robi to z powodów biznesowych, stwierdził, że nawiąże w ten sposób masę kontaktów. Do tego mama ma fioła na punkcie życia towarzyskiego, a pod tym względem nigdy nie miała ze mnie pożytku.

Po tych słowach moje serce lekko podskoczyło. Świetnie znałam to uczucie.

— No i się zgodziliśmy, ale potem wszystko okazało się

o wiele droższe, niż się spodziewaliśmy. Więc robię, co mogę, żeby pomóc. To przyjęcie — ogarnęła gestem bibliotekę — jest praktycznie za darmo. A mama i ja nie spałyśmy całą noc, aby przygotować jedzenie. — Uśmiechnęła się. — Nieźle, co?

— Wspaniale, Ruth. Słuchaj, może pozwolisz, żebym pomogła ci przynajmniej z suknią.

— Nie ma mowy! Dam radę. I proszę, proszę nikomu o tym nie mówić. Rodzice by mnie zabili.

Co miałam zrobić?

— Proszę, panno Cushing. Sama się tym zajmę.

W następnym tygodniu Nellie Morgan zaskoczyła nas zorganizowaniem razem z Saks Fifth Avenue pokazu mody pod tytułem: „Co każda dziewczyna powinna mieć w szafie” w San Antonio.

Kiedy przyszła kolej Morgan, myślałam, że matka, Janice

i ona nigdy nie dojdą do porozumienia, ale w końcu urządziły w klubie (ustępstwo na rzecz mojej matki) bal kostiumowy (ustępstwo na rzecz Morgan), na który każdy gość musiał przynieść puszkowaną żywność przeznaczoną dla potrzebujących (ustępstwo na rzecz Janice). Przyjęcie okazało się zaskakująco udane zdaniem zarówno gości, jak i mediów. Gdy wychodziłyśmy z klubu, mama nachyliła się do mnie i powiedziała:

— Myślę, że Morgan ma szansę zostać Debiutantką Roku.

— Co takiego? — zapytała Janice, marszcząc brwi. Wymieniłyśmy z matką spojrzenia.

— Myślę, że Morgan dotrzymuje wszystkim kroku — wykręciła się mama.

Janice coś zamruczała, potem skrzyła, żeby dołączyć do Henry'ego.

— „Myślę, że Morgan dotrzymuje wszystkim kroku”? — powtórzyłam z niedowierzaniem.

— Sama nic nie wymyśliłaś. Tu miała rację.

Przyjęcie kończące serię odbyło się w ostatnią sobotę miesiąca. Betty rzeczywiście urzędowała herbatkę, ale zamiast skorzystać z Brightlee albo klubu, jak sugerowałam, wybrała dom Bennettów.

Mama zerknęła na zaproszenie ponad moim ramieniem.

— Oficjalna herbatka z krasnalami?

— Mamo — odezwałam się ostrzegawczym tonem.

— Strasznie jesteś opiekuńcza w stosunku do małej Betty Bennett.

Rzeczywiście byłam opiekuńcza, może dlatego, że gdybym nie zdołała zapewnić sobie ochrony, siedząc z nosem w książkach, stałabym się Betty Bennett. Spragnioną uwagi ofiarą kpin. Łatwym celem dla wrednych dziewczyn i plotek. Ale czy cena, którą zapłaciłam, odcinając się od innych dzieciaków, była niższa niż ta, którą płaciła ona?

W dzień przyjęcia obudził mnie widok pięknego błękitu teksaskiego nieba. Idealny dzień na herbatkę.

Ubrałam się tak starannie, jakby chodziło o moje własne przyjęcie. Denerwowałam się z powodu Betty. Kiedy zesłam na dół, Janice i mama czekały na mnie w kuchni.

Matka oceniła moje pożyczone beże i skinieniem głowy wyraziła aprobatę. Dotknęła muślinów Janice i westchnęła z rezygnacją.

— Przynajmniej jest w beżu — stwierdziła. — A teraz chodźcie, dziewczynki. Jeżeli muszę brać udział w kolejnej farsie, wolę to mieć za sobą.

W towarzystwie ponurej Morgan przybyliśmy do Bennettów jako pierwsze. Wystrój podwórza się nie zmienił, ale mama o mało nie dostała ataku serca, kiedy Morgan oznajmiła:

— Zobaczcie, jakie to słodkie. Krasnale są przebrane. W smokingi.

Ruszyliśmy ścieżką, a potem po trzech drewnianych stopniach weszliśmy na obiegającą dom werandę. Jakiś mężczyzna otworzył frontowe drzwi. On też miał smoking.

— Witam — wyrecytował głębokim głosem. Był wysoki, królewski i nie umiałam sobie wyobrazić, gdzie oni znaleźli takiego lokaja.

— O rany — wyszeptła podniecona Morgan. — To ten facet z reklamy nabiału!

— Mogę wziąć okrycia pań? — zapytał, sięgając po sweter mojej matki.

Uderzyła go w dłoń.

— Absolutnie nie! — Oddaliła się pospiesznie, a my za nią. Merrily Bennett i Betty formalnie powitały nas w holu

dużego domu. Tak jak wtedy, gdy poprzednio tam byłam, wszystko wyglądało równie zwyczajnie, ale teraz (podobnie jak krasnale) meble, zegary, obrazy i rodzinne fotografie zostały fantazyjnie przystrojone. Srebrne dzwonki, srebrne bibułkowe girlandy, owijające balustradę, srebrne świeczniki ze świecami płonącymi mimo południowej pory. Szklane wazy wypełnione eleganckimi białymi kwiatami stały wśród domowych bibelotów. W dodatku obie, Merrily i Betty, miały na sobie eleganckie stroje wiktoriańskich dam.

— Jak się panie mają? — zapytała Merrily, jakby naoglądała się za dużo Teatru Telewizji.

Betty sprawiała wrażenie na wpół przerażonej, na wpół przepelnionej nadzieją, że ten wystrój może robić wrażenie. Nie potrafiłam wyobrazić sobie rozmowy, która do tego doprowadziła, ale domyślałam się, że Betty powiedziała coś w stylu: „Mamo, proszę, choć raz zachowaj się z klasą i elegancko”, co zaowocowało przedziwnym widowiskiem, mającym uchodzić za eleganckie i z klasą.

- Co pani o tym myśli? — z nadzieją zapytała Betty. Co myślałam? Im dalej wchodziłyśmy, tym mocniej, na granicy ataku paniki, waliło mi serce.

- Zdumiewające. To było prawdą.

No bo co mogłam powiedzieć? Twoje przyjęcie z daleka pachnie katastrofą?

— Och, dobrze. — Betty westchnęła z ulgą. Potem się wyprostowała i wygładziła spódnice.

— Witam w moim domu — powiedziała oficjalnie. — Przekąski i napoje znajdują panie w salonie.

Mama spojrzała na mnie, unosząc brew.

— Zdumiewające?

Zignorowałam ją z nadzieją, że napoje zawierają alkohol.

W salonie zastałam babkę Betty. Drobna staruszka mnie nie zauważyła, bo brała jedno za drugim kolejne ciasteczka (uznałam, że domowej roboty ze względu na ich rozmiar, większy niż normalnie, i nie do końca idealny wygląd) i szturchała je od spodu, jak dziecko, które próbuje określić smak zakrytego czekoladą wnętrza przed zjedzeniem.

— Witam, pani Bennett.

Upuściła na tacę pokryte różowym lukrem ciastko z limon-kowozieloną ozdobą i okręciła się w miejscu, by na mnie spojrzeć. Na ustach miała okruchy. Usiłowała ukradkiem je wytrzeć. Kiedy za mną weszła mama, pani Bennett szeroko otworzyła oczy i wybiegła z pokoju.

— Rozumiem, że nie jesteście w przyjaznych stosunkach — powiedziałam.

— Nigdy w życiu nie rozmawiałam z tą kobietą.

— Mamo. Jak to możliwe, że od wieków mieszkasz naprzeciwko i nigdy ze sobą nie rozmawiałyście?

— Jest kompletnie szalona. Zawsze była. O czym tu mówić? Zjawiała się reszta dziewcząt z matkami, a India z babcią.

Nasza nastoletnia diwa weszła z pogardliwą miną. Miała na sobie różową drapowaną bluzkę z organzyny z eleganckim marszczeniem przy szyi, jednak efekt psuł pomarańczowy stanik push-up, dzinsy z rozdarciami i fioletowe szpilki. Wkroczyła zamasyście i jej spojrzenie rozjarzało się złością na widok Tiki i Abby. Potem India podeszła do Nellie.

— Nie mogę w to uwierzyć — prychnęła. — Widziałas te stuknięte trolle na podwórzu? Nic dziwnego, że Betty ma przesrane. Pochodzi z rodziny świrów.

— Indio — wtrąciłam — nie możesz być po prostu miła?

— Och, świetnie. — Spojrzała na Nellie i wywróciła oczami. — Panna Przełożona znów urządzi mi kazanie. Wszystko jedno.

— Przepraszam, panno Cushing — odezwała się Nellie.

— Masz powodzenie, co? — zażartowała mama, stając za mną.

Podczas następnej godziny przyjęcie nabrało surrealistycznego klimatu, napięcie między Indią, Tiki oraz Abby sięgało zenitu. Wszystko odbywało się bardzo subtelnie, prawie bez słów, i dorośli pozostali nieświadomi rosnącego ciśnienia, które przecinało pokój jak uskok dno oceanu. Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na nadchodzące tsunami.

Dziewczęta stały po przeciwnych stronach pokoju, Ruth i Nellie z Indią, Sasha z Tiki i Abby. Betty biegała od grupy do grupy, nieustannie zmuszona wyjmować z rąk babki ciasteczka, które odkładała z powrotem na srebrną tacę. Morgan jako jedyna siedziała i obserwowała.

Podeszłam do bratanicy.

- Powiedz mi coś — zaczęłam z nonszalancją, której nie czułam. — Słyszałam plotki. Morgan zerknęła na mnie. - O czym?

- Że, no, India... poszła na całość. Morgan przewróciła oczami.

- „Poszła na całość”? Co się dzieje, jesteś ze średnio-wieczna?

- Okay. Słyszałam, że uprawiała seks. Tym razem Morgan skrzywiła się szyderczo.

- Po pierwsze, ma osiemnastkę, więc co z tego. To chyba miało znaczyć: oczywiście, że uprawiała seks. - A po drugie, słyszałam, że sama puściła tę plotkę i tak naprawdę nikt nawet jej nie obmacywał. Ona mówi o stukniętych trollach. Halo. Sama jest stuknięta. - Co się dzieje? — zapytała Janice. Wymieniłyśmy z Morgan spojrzenia.

- Nic — odparłyśmy unisono. Janice zmrużyła oczy.

- Drogi Indii, Tiki i Abby się rozeszły — ze znudzeniem, niecierpliwie odpowiedziała Morgan. — India twierdzi, że wszystkie musimy stanąć po czyjejś stronie. Cała trójka prowadzi coś w rodzaju kampanii.

- A ty po czyjej jesteś stronie? — chciała wiedzieć Janice. Dziewczyna wydała pogardliwy dźwięk.

- Halo. Niczyjej. Nie jestem głupia.

Janice wyglądała na tak uszczęśliwioną, jakby Morgan przykuła się do frontowej bramy Białego Domu podczas demonstracji przeciw światowej nędzy. Jednak kiedy próbowała uściskać córkę, Morgan się skrzywiła i uciekła.

Weszła Merrily, zaczęła poprawiać kwiaty ścięte we własnym ogrodzie i udawać, że dom nie wypełnił się dymem na chwilę przed tym, gdy służąca podała porcelanowy talerz spalonych grzanek z ogórkiem i kapką majonezu. Betty rozpaczliwie usiłowała rozładować napięcie narastające między dziewczętami, ale przyjęcie zakończyło się zgrzytem w chwili, gdy India ugryzła spore ciasteczko i nagle się zakrztusiła.

— O mój Boże! — wymamrotała dramatycznie pełnymi ustami, dławiąc się i prychając. Pochyliła się, długie gęste blond włosy pofrunęły w przód, na dłoń wypłuła ciasto i lukier. — Aaa! — krzyknęła wstrząśnięta, podnosząc fragment pokrytej lukrem i ciastem, lecz bezspornie rozpoznawalnej sztucznej szczęki.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Babcia Bennett podbiegła, mrużąc coś, czego nie dało się zrozumieć. Potem chwyciła swoje zęby i wepchnęła je do kieszeni.

— Dziękuję, moja droga — uśmiechnęła się do zszokowanej Indii, ukazując bezzębne dziąsła.

— O mój Boże! — krzyknęła babcia Indii.

— Boże, zmiłuj się — dodała moja matka.

— Do licha — odezwała się Merrily Bennett. Przysięgłabym że zdusiła śmiech.

Ja byłam po prostu zadowolona, że przyjęcie się zakończyło.

Rozdział 20

W trakcie następnego tygodnia byłam zaskoczona, gdy zarówno Philip, jak i biuro zaczęli dzwonić znacznie rzadziej. Nawet do Mela Townsenda dotarła wreszcie moja odmowa i przestał się odzywać.

Powiedziałam sobie, że wrażenie, jakby wywracał mi się żołądek, nie miało nic wspólnego z troską, że traciłam kontakt ze swoim życiem w Bostonie. Przypomniałam sobie, jak Philip

powiedział, że stworzyliśmy dobry zespół. I ponieważ nigdy nie tracę ducha oraz by wykluczyć możliwość potencjalnej dezercji Philipa, uznałam, że muszę opracować plan przedstawienia narzeczonego rodzinie oraz zawiadomienia go, że nie do końca byłam tym, za kogo mnie uważał.

Na szczęście, dzięki zamieszaniu z przyjęciami dziewcząt, staraniom, by one i ich towarzysze byli w formie tego wielkiego wieczoru, oraz pracy nad sprawą, dni miałam wypełnione do ostatniej minuty. Zresztą, kto potrzebuje czasu na rozmyślanie?

Ponadto przy tych okazjach, gdy musiałam mieć do czynienia z adwokatem strony przeciwnej, zdołałam się na niego nie rzucić. Z przykrością jednak przyznaję, że było to trudniejsze, niż powinno, i jestem przekonana, że jedynym, co pomogło mi stłumić potrzebę uprawiania z nim seksu na stole w sali konferencyjnej, było jego nieustanne drażnienie, polegające na powtarzaniu żądań większych sum dla klienta. Prawdziwy odstraszcacz. Dzięki Bogu. Poza tym był zaręczony. Ja byłam zaręczona. I chociaż niezbyt chętnie ujawniałam współpracownikom w Bostonie informacje z własnej przeszłości, nie należałam do kobiet sypiających z innymi facetami niż narzeczony.

Po stronie plusów należy też zanotować to, że ciągle nawracanie przez Jacka do sprawy wartości netto majątku matki pomogło mi skryształizować poglądy na własną linię argumentacji, a mianowicie dlaczego nie ma mowy, żeby mama oddała złamanego centa ponad to, co zapisano w umowie przedmałżeńskiej. Zamierzałam podporządkować się literze prawa, bez dwóch zdań, ale nie wykluczało to skąpego wydzielenia informacji tak, jak mi to pasowało.

Spędziłam w Teksasie prawie trzy miesiące, dni stały się cieplejsze i poza dziwnym wyjątkiem, jakim były środy w południe, mama nadal spędzała w łóżku przesadnie dużo czasu. Wypytałabym ją o te środy, gdybym nie czuła takiej ulgi, że ma potem lepszy nastrój.

Savannah z dnia na dzień robiła się większa, najbardziej chyba z powodu determinacji, by jeść za dwoje. Dla mojej zawsze drobnej, obsesyjnie dbającej o wygląd siostry nagle liczyło się tylko dziecko, które miała urodzić. Ben, zawsze czujny, pilnował jej, jakby miał jakiś wpływ na to, czy jego bezcennej żonie nie przydarzy się nic złego. Było to równie wzruszające, co przesłodzone.

Janice i Morgan egzystowały w stanie warunkowej równowagi i modliłam się, żeby tak zostało do zakończenia balu. Potem niech robią, co chcą. Uciekają z domu. Wysyłają córki do szkół z internatem. Wszystko jedno. Byle nie spieprzyć mojego balu.

Seria przyjęć się zakończyła (krasnale nie trafiły na pierwsze strony) i czułam narastające podniecenie n I (1600 z dokładnością do kilku lat), wywołane przekonaniem, że: 1. umowa przedmałżeńska powinna się okazać niepodważalna; 2. brak wkładu Vincenta w jakiegokolwiek

zyski farmy Lucky Stars nie będzie trudny do udowodnienia; 3. robię postępy w przemianie dziewcząt w damy. Niedługo osiągnę to wszystko, a potem będę mogła wrócić z czystym sumieniem do własnego życia.

Siedziałam na werandzie, żeby uciec przed narastającym w domu żarem popołudnia z notatkami do sprawy na kolanach i uczuciem, że wszystko jest, jak należy, kiedy na frontowy podjazd zajechał Jack.

— Musimy porozmawiać — stwierdził, wysiadając z czarnego suburbana.

— O czym?

— O sprawie.

— Mów.

— Nie tutaj. Gdzieś na osobności.

— Jack Głębokie Gardło. Jeżeli chcesz, to znajdziemy jakiś piętrowy garaż, chociaż może to wymagać jazdy do San Antonio.

— Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia, czy nie? — Wielkimi krokami wszedł na werandę.

Zadzwoiła leżąca obok komórka. Oboje spojrzeliśmy na identyfikację numeru. Massachusetts. Z miejsca wiedziałam, czyj to numer. Oo.

— Philip, jak rozumiem — zauważył Jack. Wykrzywiłam się na te słowa.

— Nie. A co.

Zignorowałam telefon. Nie chciałam powtórki poprzedniej rozmowy z Philipem pod okiem Jacka.

— Wejźmy porozmawiać w kuchni. Lupe pojechała na zakupy. Moja matka jest na górze, w łóżku. Henry w pracy. Savannah w Willow Creek Collegiate domaga się miejsca dla swego przyszłego dziecka. Nie dam głowy za to, gdzie się podziała Janice, ale dzieci są na górze i robią Bóg wie co. Zasadniczo właśnie na tyle spokoju, ciszy i prywatności możemy tu liczyć. Wstałam i weszłam do środka, nie czekając na odpowiedź.

W kuchni nalałam dwie szklanki mrożonej herbaty, żeby odgonić upał. Tylne drzwi zastaliśmy otwarte na oścież, okna podobnie. Mimo zam^ożności mama zdecydowanie odmawiała włączania klimatyzacji przed pierwszym maja bez względu na temperaturę. Taka była zasada, coś jak zwyczaj noszenia białych butów dopiero po Wielkanocy.

— Co jest? — zapytałam, wskazując mu miejsce za stołem.

— Chciałbym porozmawiać o ugodzie.

Ciekawe. Wydawało się, że na rozmowy o ugodzie jest jednocześnie za późno i za wcześnie.

— Możesz mówić, z przyjemnością posłucham. Podeszedł do stołu- Miał na sobie białą koszulę zapinaną na

guziki, wykrochmaloną na dość sztywno, by stała bez niczyjej pomocy, wetkniętą w wyprasowane wranglery, kowbojki i sportową marynarkę. Typowy strój Teksasczyka.

Siadając po przeciwnej stronie, wyciągnął z kieszeni kawałek papieru. Żadnej aktówki, żadnej teczki, nic. Tylko złożony kawałek papieru w kieszeni - Rozprostował go i wygładził.

— Widzę to następująco — zaczął. — Mogę bez śladu wątpliwości dowieść, że sytuacja Lucky Stars znacząco się poprawiła, odkąd Vincent zaczął tam spędzać czas...

— Uprawiając hazard.

— Nie w tym rzecz.

— A w czym?

- W pozytywnej zmianie. Lucky Stars miało kłopoty. Teraz zarabia.

- Nie dzięki Vincentowi.

- Vincent był tam podczas zmiany na lepsze.

- Jak powiedziałam, uprawiając hazard.

- Ja twierdzę, że tam pracował.

- Nie ma na to absolutnie żadnego dowodu.

- Istnieje dowód pośredni.

- Na przykład?

Był tam i wtedy farma zaczęła więcej zarabiać. Znacznie więcej, z tego, co widzę. A skoro już rozmawiamy, zaczynam mieć dość twojej metody kapania informacjami po kropli.

- Ja? Kapię po kropli?

- To nie jest zabawne.

- Nie miało być.

Wybuchł hałas, oczywiście w górnych rejonach domu. Łomot, po którym nastąpiły krzyki, wrzaski i klótnia. - Boże, co znowu? — jęknęłam. Cinco wszedł do kuchni, waląc drzwiami.

- Na górze jest dom wariatów — oznajmił, a potem uważnie przyjrzał się Jackowi. — Kto ty jesteś? - Jestem Jack. — Wyciągnął rękę. Cinco uściśnął podaną dłoń. Jack uśmiechnął się krzywo, sięgnął po serwetkę i wytarł z palców czekoladę.

- Hej, chcesz zagrać ze mną w pokera? — zapytał Cinco. Nie czekał na odpowiedź, popędził, bębniąc butami o podłogę, po czym wrócił z kartami i pudełkiem żetonów do pokera.

- Cinco, pan Blair przyszedł tu służbowo. Jack wzruszył ramionami.

— Mógłbym zagrać partyjkę albo dwie.

W kilka chwil obaj byli pochłonięci grą. Cinco zaopatrzył ich obu w czekoladowe cygara, a Jack zaskoczył mnie, przyjmując jedno. Kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem niepotrzebna czy niechciana, a temperatura w pomieszczeniu rosła z każdą sekundą, wyszłam. Zdumiewające, ale gra trwała i to na całego, kiedy wróciłam godzinę później. Zmieniło się tylko jedno. Każdy z graczy miał obok siebie kilka pustych celofanowych opakowań, a czekolada pokrywała dokładnie wszystko w całej kuchni.

Wzdrygnęłam się na myśl o tym, co powiedzą Lupe na temat bałaganu, Janice o spożyciu cukru i moja matka o plamach na obrusie. Jack podniósł wzrok.

— Hej — powiedział.

— Hej.

Podeszłam do stołu.

— Na waszym miejscu posprzątałabym tu, zanim ktoś was nakryje.

— Za chwilę. — Jack dorzucił trochę więcej żetonów.

— No, za chwilę — zawtórował mu Cinco, dorzucając własne żetony.

Gracze oparli się wygodnie i mierzyli wzrokiem.

— Czy ja bleruję? — drażnił partnera Jack.

Cinco przyglądał się mu z powagą generała. Powoli obrócił rozpuszczające się cygareto, dokładniej pokrywając palce czekoladą. Potem pchnął na środek wszystko, co miał przed sobą.

— Sprawdzam.

Mały rozłożył karty jak czekoladowy wachlarz. Jack chwilę się namyślał, a potem stwierdził:

— Dopadłeś mnie.

Oczy Cinca zrobiły się wielkie jak spodki, a potem się zerwał.

— Wygrałem! Wygrałem!

Jack złożył trzymane w dłoni karty, nie pokazując ich, ale Cinco najwyraźniej był tak nabuzowany od nadmiaru cukru, że nie zauważył. Zgarnął stosik żetonów i wybiegł z kuchni.

Spojrzałam na Jacka, a potem, zanim zdołał mnie powstrzymać, podniosłam jego karty.

— Poker. Hmm, to chyba nowa wersja, skoro bije go para asów.

I w tym momencie poczułam do Jacka coś innego. Innego niż chęć uprawiania z nim seksu na stole konferencyjnym albo uduszenia go ze złości. Innego niż chęć ucieczki ze strachu, że ten jeden mężczyzna mógłby zmienić mnie w moją matkę.

Poczułam coś ciepłego i miękkiego, co, jak podejrzewam, nosi nazwę emocji ż / (1660 r.), czyli: 1. stymulacji sensorycznej; 2. podmiotowej reakcji doświadczanej w odpowiedzi na Klan uczuć; 3. czegoś, co nie leży w zakresie moich wrażeń.

Złożyłam karty, położyłam je na stole.

— Kto by pomyślał, że Jack Blair, dawniej niegrzeczny chłopiec, obecnie bezwzględny ostry prawnik, może być miły dla dziecka?

Odsunął się z krzesłem i wstał. Podszedł tak blisko, że serce zaczęło mi walić o żebra. Wystarczająco trudno było stać obok niego, kiedy najbardziej pragnęłam fizycznego kontaktu, ale teraz, z niefortunnymi uczuciami zalewającymi mnie jak hormony zalewają trzynastolatkę, czułam się, cóż, jak trzynastolatka.

Wpatrywał się we mnie. Nie umiałam zgadnąć, o czym myślał, ale spokojnie mogłam stwierdzić, że powrócił ten mroczny niepokojący Jack.

Miałam dreszcze.

Skoncentruj się, Carlisle, powiedziałam sobie.

Z wysiłkiem zdołałam się odwrócić i wyjąć płyn oraz papierowe ręczniki. Nakazałam sobie sprzątać. Czekolada była wszędzie. Lupe i mama wystartowałyby jak rakieta, gdyby weszły i zastały ten bałagan.

— Dlaczego to do nas ciągle wraca? — zapytał Jack, jakby próbował zrozumieć. Niespecjalnie spodobała mi się podsunęta przez mózg odpowiedź.

Byłam wściekła, że zastanawiałam się nad tym samym. Rok po roku, spotkanie po spotkaniu, choćbym nie wiem jak starała się wyrzucić z myśli Jacka Blaira, zawsze wracał.

— Jestem szczęśliwy. Mam wspaniałe życie. Zachwyca mnie myśl o spędzeniu reszty tego życia z Racine. — Westchnął sfrustrowany. — Nie zamierzam tego spieprzyć.

Tyle razy udawało mi się wymknąć o włos. Nieodmiennie wstrzymywałam oddech ze strachu, że rzucę się w związek z Jackiem Blairem z głową w dół. I stało się to trzy lata wcześniej, kiedy wreszcie zanurkowałam, a raczej skoczyłam jak z mostu, modląc się, żeby lina do bungee była przymocowana. Niestety, nie była.

Siedziałam w bibliotece uniwersyteckiej w zachodniej Karolinie, gdzie wkuwałam do egzaminu adwokackiego. Miałam pierwszą lokatę w grupie, ale to mnie nie powstrzymało przed obsesyjnym zdenerwowaniem z powodu egzaminu.

Skoncentrowana w dzwoniącej w uszach ciszy biblioteki nie zauważyłam podchodzącego Jacka, aż usiadł przy moim stole. Szuranie drewnianych nóg krzesła o podłogę wywołało echo w tej cichej przestrzeni.

Podniosłam głowę przestraszona.

— Hej — powiedział, krzyżując ramiona na ciężkim drewnianym stole. Wygięta w łuk lampa z zielonym kloszem rzucała światło na stos moich książek i papierów.

— Hej — zdołałam wydusić.

— Jak leci?

— Wspaniale. Świetnie. Lepiej niż świetnie.

Moja matka nie mogła zrozumieć (i nie bez powodu), że ktoś tak nieskomplikowany seksualnie jak ja mógł być owocem jej lędźwi. I przysięgam, że używa słowa „lędźwie”.

- A tobie? — zapytałam.

Poza tym że widziałam Jacka kilka razy, będąc na pierwszym roku (on na trzecim), udało mi się zachować między nami bezpieczny dystans.

Chwycił mój podręcznik. Odwrócił go i przeczytał pytanie ze strony, nad którą pracowałam, odpowiedział na nie, uśmiechnął się z arogancką dumą która tylko dodawała mu uroku, po czym stwierdził:

— Wyglądasz na kogoś, kto powinien zjeść hamburgera u Moego.

Zamknął książkę i zaczął wstawać. Przechyliłam się przez stół i chwyciłam podręcznik.

— Nie mogę. Muszę się uczyć.

Staliśmy po przeciwnych stronach stołu w ogłuszającej ciszy biblioteki, połączeni przez wielki skrypt, który oboje trzymaliśmy.

— No chodź — nęcił Jack. Byłam twarda.

— Coś ci powiem — stwierdził. — Pójdziemy do Moego, usiądziemy z tyłu i cię przepytam.

— Mówię poważnie, Jack. Nie. — Mocno pociągnęłam książkę i wtedy puścił. — Nie mogę iść do Moego.

A potem niemal gorączkowo, bo bardzo chciałam mieć wszystko w nosie, wszystko, co wiedziałam o mężczyznach i kobietach, a zwłaszcza mężczyznach takich jak on i o tym, jak takie historie się kończą, zebrałam stos książek i fruujące dookoła papiery. Upuściłam ołówek, który ze stukotem uderzył w granitową podłogę. Nie zatrzymując się, żeby go podnieść, pożegnałam się i pospiesznie wyszłam z biblioteki.

Była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Pragnęłam go. Od pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłam. I sądząc z wyrazu jego oczu, on też mnie pragnął. Nadal.

Ratując się ucieczką, powiedziałam sobie, że nie wolno mi. Naprawdę.

Nie mogło się nam udać.

Nie byłam w stanie poradzić sobie z potrzebą posiadania mężczyzny taką, jaka rządziła życiem mojej matki — potrzebą utrudniającą oddychanie, kiedy poczucie własnej wartości zostało przytłoczone wszystkimi tymi: „kocham cię”.

Walnęłam ciężkimi drewnianymi drzwiami biblioteki prawniczej, zbiegłam po szerokich kamiennych stopniach, trzymając w ręku książki. Zmysły miałam wyczulone, zapach kwitnącego kapryfolium uderzył mnie w twarz. Za mną otworzyły się drzwi.

— Carlisle!

Nie zatrzymałam się.

— Carlisle, daj spokój.

Mimo że mój mózg protestował z wrzaskiem, stopy, kierując się własną wolą, stanęły. Przez chwilę uciskałam oczy i powiedziałam sobie: nie. Ale jednak się odwróciłam. Żałosne, doprawdy, jak słabo nad sobą panowałam przy tym facecie.

Jack podszedł do mnie wielkimi krokami, na twarzy miał krzywy uśmiech. Kiedy zatrzymał się przede mną, wstrzymałam oddech.

— Zapomniałaś czegoś — powiedział, podając mi ołówek. Wpatrywałam się w niego przez moment, a potem upuściłam

stos książek i pokonałam dzielącą nas odległość. Przysięgam.

Przez lata starałam się właśnie tego uniknąć, po czym przed biblioteką uniwersytecką znalazłam się w jego ramionach. Tego dnia zadzwoniła moja komórka, na wyświetlaczu pojawił się numer matki, jakby potrafiła nieomylnie mnie znaleźć, gdy zamierzałam poddać się urokowi Jacka Blaira. Inaczej niż do tej pory zbagatelizowałam dzwonicie, postanowiłam nie odsłuchiwać żadnych wiadomości. Wyłączyłam telefon i pozwoliłam, by Jack wziął mnie za rękę i zawiózł na harleyu do swojego mieszkania. Obejmowałam jego plecy w czarnej skórzanej kurtce.

Przez jeden niesamowity miesiąc poddałam się temu. Kochaliśmy się na stole, na kuchennej podłodze, w łożu z tyłu Baru i Grilla Pete'a. Gnałam przez Willow Creek na siedzeniu jego motoru, nie zwracając uwagi na spojrzenia i gadanie. Poddałam się temu, co czułam do Jacka Blaira.

Zignorowałam matkę i jej najnowsze małżeństwo z przystojnym poetą o połowę od niej młodszym, który w takim samym stopniu bawił ją, jak i doprowadzał do łez. Udawałam, że urodziła mnie kobieta, która przejawiała choćby niewielkie zrozumienie dla normalnego stabilnego małżeństwa. Zachowywałam się, jakbym o normalnych związkach wiedziała wszystko. Przynajmniej do chwili, gdy pewnego ranka obudziłam się w łóżku Jacka wśród zmiętych prześcieradeł, by uświadomić sobie, że to dzień egzaminu.

W panice wyskoczyłam z pościeli. Kiedy Jack się obudził i usiłował mnie wciągnąć z powrotem do łóżka, odtrąciłam jego rękę.

— Muszę iść! Jestem spóźniona! Przegapię egzamin adwokacki.

Tylko uśmiechnął się tym krzywym uśmieszkiem i chciał mnie schwytać.

— Zdasz później.

Jakby to było takie proste. Egzamin urządzano tylko dwa razy w roku. Żeby zdawać w innym terminie, musiałabym czekać sześć miesięcy.

— To nie do przyjęcia. Ty jesteś nieodpowiedzialny i robisz, co ci pasuje, ja taka nie jestem — stwierdziłam, wrzucając na siebie ciuchy i skacząc na jednej nodze przy wkładaniu butów na obcasie na gołe stopy, bo nie mogłam znaleźć rajstop.

Potem, chybocząc się na obcasach, popędziłam na uniwersytet, gdzie odbywał się egzamin. Spóźniłam się dwadzieścia minut, drzwi były już zamknięte. Tkwiłam przed salą egzaminacyjną, hiperwentylowałam się i pomiędzy gwałtownymi wdechami błagałam, żeby mnie wpuszczono. Bez efektu.

Tamtego dnia, gdy stałam przed zamkniętymi dębowymi drzwiami sali egzaminacyjnej, nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam. Moje plany, rozłożenie wszystkiego w czasie — przepadły. I kiedy matka zadzwoniła, by powiedzieć, że rozwodzi się z poetą, przez łyzy żądając, żebym kolejny raz pogrążyła się w kolejnych kłopotach z wyciąganiem jej z katastrofy, w którą sama się wpakowała, załamalam się całkowicie. Zaczęłam płakać, ja, rozsądna Carlisle Cushing, płakałam na oczach strażnika pilnującego drzwi.

Dla świata moja matka była niesamowita — pełna zapału i entuzjazmu — piękna jak cudo z porcelany. I wydawało się, że nikt, nawet moja siostra, nie rozumie, że mama rzeczywiście była jak porcelana — połamana i to wiele razy, a potem naprawiona tak fachowo, że tylko ja widziałam ślady pęknięć. Zrozumiałam, że szczęście mojej matki i jej poczucie wartości brały się z bycia kochaną przez mężczyznę. Kiedy mężczyzna miał w końcu dosyć i odchodził, rysa na porcelanie robiła się trochę dłuższa.

Stojąc tam przed drzwiami, które oddzielały mnie od celu, poczułam, że pęknięcie przebiega także przeze mnie, nie dlatego, żebym szukała potwierdzenia swojej wartości w mężczyźnie, ale pod wpływem nacisku życia, z którym, co wreszcie przyznałam, nie umiałam sobie poradzić.

Pogrążyłam się w Jacku i życiu matki, braku odpowiedzialności i niechcianych zobowiązaniach. Jak cementowe buty, ciągnęło mnie to w dół. Zrobiłam więc jedyną rzecz, którą mogła zrobić rozsądna dziewczyna. W gabinecie Wainwright House otworzyłam wielki atlas na mapie Ameryki Północnej, zamknęłam oczy i puknęłam palcem w stronę. Wylądował w Oceanie Atlantyckim, ale w rozsądnej odległości od Nowej Szkocji, Maine i Bostonu. Resztę znacie.

Opuściłam Willow Creek, nie żegnając się z nikim, nawet z Jackiem i moją matką.

Gdy patrzę wstecz, wydaje się to absurdalne. Nie jestem dumna z tego, że nie miałam dość odwagi, by przemyśleć wszystko przed wjazdem w zdrowszą, jak się wydawało, strefę

klimatyczną. I może, ale tylko może, wróciłam do Teksasu naprawić ten błąd — nie żeby zostać, ale odpokutować za porzucenie matki w trudnej sytuacji, dopuszczenie do tego, że jej ostami rozwód na stałe obciążył domowe księgi rachunkowe rodziny Wainwrightów. I za opuszczenie Jacka bez słowa wyjaśnienia. Może należałoby pójść naprzód i wreszcie ustalić datę poślubienia Philipa?

— Kurwa — powiedział Jack i tym razem było to zwyczajowe przekleństwo w czasie teraźniejszym.

Wpatrywaliśmy się w siebie w kuchni mojej matki, nie chcąc tych uczuć, które jednak w nas były, nie wiedzieliśmy, jak przerwać to, co nas łączyło.

— Ciociu Carlisle!

Małe nóżki pędziły korytarzem w stronę kuchni, bardzo nie w porę, po czym małe rączki pchnęły wahadłowe drzwi, otwierając je na oścież.

— Ciociu Carlisle! — Priscilla krzyczała, mimo że znajdowałam się niespełna trzy stopy dalej. — Masz towarzystwo!

Jack i ja spojrzeliśmy na drzwi, które ponownie się otworzyły.

— Carlisle?

— Philip! — zdołałam wydusić i upuściłam płyn do czyszczenia na podłogę.

Rozdział 21

— Carlisle? — powtórzył Philip, zerkając ponad moim ramieniem na Jacka.

Myśli zaczęły mi wirować i nie tylko dlatego, że sytuacja była wyjątkowo niezręczna.

— Philip? Co tu robisz?

— Przyjechałem zobaczyć się z narzeczoną — oznajmił, nie spuszczać wzroku z Jacka.

— Narzeczoną? — Jack uniósł brew.

Stwierdzić, że Jack nie miał zadowolonej miny, byłoby niedomówieniem. Aby opisać wyraz jego twarzy, trzeba użyć określenia „niebezpieczna furia”. Ale to zbyt melodramatyczne, więc poprzestanę na „niezadowolonej minie”.

Myśl ta przerwała mój paraliż. Przez krótką chwilę usiłowałam wymyślić, w jaki sposób wyplątać się z tego bałaganu, ale poczułam, że wreszcie nadszedł moment rozliczenia. I nawet ja wiedziałam, że kiedy nie jesteś w stanie płynąć pod prąd, płyn z prądem i staraj się jak najlepiej wykorzystać sytuację.

Podniosłam zwodzone mosty moich wewnętrznych fortyfikacji, po czym podeszłam i wzięłam Philipa pod rękę..

- Jack, poznaj mojego narzeczonego, Philipa Grangera. Dwaj mężczyźni stanowiący całkowite przeciwieństwa mie-rzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie

podczas ostatecznej rozgrywki. Do chwili, gdy groźba malująca się na twarzy Jacka ustąpiła miejsca czemuś, co można nazwać tylko uśmiechem rozbawienia. Może nawet ulgi.

- Miło poznać. — Jack wyciągnął rękę. Po chwili Philip uściśnął podaną dłoń, a potem skrzywił się, kiedy zobaczył pokrywającą mu palce czekoladę.

- Przepraszam, stary — powiedział Jack bez śladu żalu.

- Jack właśnie wychodził.

- Zgadza się - przyznał, ale nawet nie drgnął. Pchnęłam go w kierunku drzwi, ale tuż przed nimi on odwrócił się gwałtownie (o mało nie upadłam) i stwierdził:

- Najpierw naprawdę muszę się wyczyścić. Nie chcę mieć całego suburbana w czekoladzie. — Wielkimi krokami podszedł do zlewu. — Więc powiedz mi, Phil...

- Philip.

- Jasne. Jak to się stało, że zaręczyłeś się z Carlisle? — Facet, o którym zaczynałam myśleć jako o „królu podziemia”, zachichotał. — Słyszeliśmy o tobie, oczywiście. W jakiś sposób. Ale znamy niewiele szczegółów. Rzuciłam mu złe spojrzenie.

- I nie trzeba ich znać. Zwłaszcza że naprawdę musisz iść. Philip wyglądał na zagubionego.

Jack uniósł w górę brudne ręce i spojrzał na mnie groźnie.

— Idę. Daj mi tylko chwilę.

Przeszłam przez kuchnię do blatu, w drodze mierząc Jacka zabójczymi spojrzeniami, chwyciłam lnianą ścierkę i wręczając ją narzeczonemu, zmusiłam się do uśmiechu.

— Czekolada — wyjaśniłam.

Philip spojrzał na swoje ręce, o których kompletnie zapomniał.

— A, tak.

Wiedziałam, i nic się z tym nie dało zrobić, że nie mogę dłużej czekać ze sprzątnięciem czekolady, nawet w obliczu szykującej się katastrofy. Lupe i/lub moja matka mogły tu wejść w jednej chwili. Nie potrzebowałam wiszącej nad głową kuchennej katastrofy wtedy, gdy wreszcie chciałam wyjaśnić matce sprawę mojego narzeczeństwa. A poza tym nie byłam taka głupia, by myśleć, że jakkolwiek nacisk, przymus lub naleganie usuną stąd Jacka Blaira choć chwilę wcześniej, niż on sam postanowi wyjść.

Znalazłam i założyłam fartuch, podniosłam z podłogi płyn do czyszczenia, zmoczyłam papierowe ręczniki i zabrałam się do roboty.

Philip przyglądał mi się, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

— Carlisle? Nie mogę uwierzyć, że przy całej robocie, którą tu wykonujesz, każą ci też sprzątać. Co za pracodawca zatrudnia twoją matkę?

Jack przestał wycierać ręce, przechylił głowę

— O co chodzi? Pracodawca?

— Jack, naprawdę — powiedziała głosem napiętym z determinacji — wiem, że masz masę roboty.

— Przeciwnie. — Rzucił ręcznik na bok, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o blat. — Nie mam nic lepszego do roboty, niż zostać i poznać twojego narzeczonego. — Obrzucił wzrokiem mnie i pokrytą czekoladą kuchnię. — A ty lepiej się zwijaj, zanim zjawi się twoja pracodawczyni. Odwrócił się ode mnie. — Hej, Phil, zdaje się, że masz plamę na krawacie. Philip opuścił głowę i faktycznie, czekolada pociekła na jego ulubiony krawat od Hermesa. Gwałtownie się poderwał.

— Kim jesteś? — zapytał Jacka nadal zagubiony.

— Myśl o mnie po prostu jako o... przyjacielu. Starym przyjacielu. No, siadaj. — Podeszedł, klepnął Philipa w plecy, I następnie zaprowadził do krzesła i jednym pchnięciem usadził.

Diabeł uruchomił swój wdzięk i niedługo to trwało, by mój „stary przyjaciel” nakłonił Philipa do przedstawienia mu najważniejszych elementów naszego życia w Bostonie. Zdusiłam jęk, kiedy Philip pociągnął wątek, jak wszyscy powinni być ze mnie dumni, że mimo trudnych warunków odniosłam sukces

— Trudnych warunków? — Jack zwrócił się do mnie, powtarzając tę frazę i przesadnie akcentując sylaby. — Ależ z ciebie mądrała, z takiej biedy wyszłaś na plus. Matka musi być z ciebie dumna.

— Jack, naprawdę musisz iść.

— Słusznie. Pewnie powinienem wracać.

Wstał, ale zanim dokądkolwiek zaszedł, tylne drzwi się otworzyły i weszła Lupe w wyjściowym stroju (rzeczy po mojej matce: liczba dziesięć lat sukienka od Ralphi Laurena, buty od Cole Haaa i pasująca torebka) z zakupami w objęciach i kluczykami od volvo wiszącymi na palcu.

Stała jak wryta nie na widok mnie, nie Jacka, ani nawet obcego mężczyzny, ale wymazanej czekoladą kuchni.

— Co to jest! — wrzasnęła. — Co za bałagan wy robi? Philip zerwał się z oczyma jak spodki.

— Przepraszam. To moja wina, że jeszcze nie jest posprzątane.

— Tak — radośnie wtrącił Jack. — Jako pracodawczyni Carlisle pani Hernandez dzierży ster w Wainwright House twardą ręką.

Lupe spojrzała na niego, jakby postradał rozum. I żeby jeszcze pogorszyć sytuację, właśnie wtedy weszła moja matka.

— Carlisle? Kto tu jest?

Mama miała na sobie prostą podomkę i pantofle, jakby właśnie zerwano ją z łóżka. Kiedy zobaczyła Jacka, skrzywiła się, po czym grymas zmienił się w ciekawość, gdy zauważyła Philipa.

Rozważałam, czy mogę się gdzieś ukryć.

— Pani Ogden — dostojnie oznajmił Jack — z pewnością poznała już pani narzeczonego córki, Phila.

Mama najwyraźniej zamarła. Philip wyciągnął rękę.

— Miło mi poznać matkę Carlisle.

— Narzeczonego? — zapytała.

— Owszem — odparł z uroczystą dumą. — Udało mi się przekonać pani córkę, żeby zgodziła się zostać moją żoną.

Spojrzała na mnie, potem znów na niego.

— Narzeczonego? — powtórzyła. — Oczywiście — zgodziła się ostrożnie.

Jack znów pozwolił sobie na szelmowski uśmiech.

— Wiem, że z rozkoszą usłyszysz pani o dokonaniach córki.

— Jack, przestań.

— No, no, Carlisle, nie bądź taka skromna.

Po czym uraczył moją matkę wszystkimi nieszczęsnymi detalami mojego „fałszywego” życia. Mama przenosiła wzrok pomiędzy nami, przyciskając pięknie wymanikiowaną dłoń do piersi.

— Ja? Skromną służącą?

Jęknęłam. Po całym życiu spędzonym z mamą z całkowitą pewnością wiedziałam, co nastąpi, kiedy zwróciła na mnie swoje fiołkowe oczy.

Ale byłam w błędzie.

— Carlisle, ty przebiegła kocico. Zawsze niespodzianki. Nie pochwalilaś się takimi osiągnięciami. — Potem uśmiechnęła się figlarnie. — Najlepiej chyba wrócę do swoich obowiązków, zanim dostanę wymówienie za byle jaką pracę.

Powrócił przypominający dźgnięcie nożem ból za okiem.

Lupe zaczęła coś mówić, ale mama jej przerwała.

- Ależ pani Hernandez, jestem tu, by służyć, kochana. W zamian proszę tylko o skromne wynagrodzenie i trochę chleba i wody.

Przesadzała. Dzięki temu jednak poczułam się lepiej, bo gdyby mama naprawdę się zdenerwowała, popędziłaby do swojego pokoju, trzaskając drzwiami, i wyciągnęła z toaletki

tajną butelkę niebieskiego Johnnie Walkera. Ona tymczasem weszła w rolę służącej z entuzjazmem aktorki ze szkoły Stanisławskiego.

Stałam zaszokowana, gdy mama zawiązała w pasie fartuch, następnie wygładziła go tymi idealnymi dłońmi. Uśmiechnęła się swoim dziewczęcym uśmiechem.

Napiłby się pan herbaty, panie... ee...

Granger — podsunął.

Panie Granger. Ładnie brzmiące nazwisko, Zamaszyście zabrała się do przygotowania herbaty w kuchni (służbie nie wolno przyjmować swoich gości w bawialni, poinformowała nas).

- Choć bardzo pragnąłbym zostać do końca przedstawienia - powiedział Jack — naprawdę muszę iść. — wyciągnął rękę. Phil, miło było cię poznać.

- Wzajemnie — odparł Philip, chociaż wyglądał na oszołomionego.

- A teraz usiądźmy — oświadczyła mama, po czym nachyliła się i dodała szeptem: — Chociaż tak naprawdę mamy tylko chwilę, zanim ta stara raszpła Hernandez zacznie strzelać z bata.

Lupe zaczęła namiętą diatrybę, na szczęście po hiszpańsku więc Philip nie miał pojęcia, co zostało powiedziane. Ból nabrał mocy i byłam pewna, że głowa mi eksploduje.

— Mamo — zaczęłam ostrzegawczo.

— Panno Lupe, niech mi pani pozwoli na tę herbatę, żebym miała szansę poznać swojego przyszłego zięcia. Boże, zlituj się, narzeczony! — Popatrzyła na Philipa. — Pani Hernandez i ja tworzymy właściwie rodzinę.

— Dość tego! — oświadczyłam.

— Ależ kochana, czy tak się mówi do matki?

— Tak, Carlisle, naprawdę nie powinnaś być niegrzeczna dla matki.

Mama uśmiechnęła się złośliwie, a potem zakaszła, podając herbatę. Nie wypadło to szczególnie dobrze, bo lodowata mrożona herbata chlusnęła z dzbanka na kolana Philipa.

Odkoczył, zrywając się z krzesła. Lupe zamruczała coś po hiszpańsku, chwyciła ścierkę i zaczęła wycierać intymne miejsca naszego gościa. Z początku Philip był zbyt zszokowany, żeby zareagować, ale wreszcie odzyskał rozum i przytrzymał Lupe za nadgarstek.

— Nic mi nie jest, pani Hernandez, naprawdę.

W kuchni zapadła cisza. Mama ledwie hamowała śmiech, Lupe była czerwona jak burak, nie myślałam, że taki kolor w ogóle istnieje.

— Mamo, skończ tę zabawę.

— Jaką zabawę, kochanie? — zapytała, prostując się ze srebrną tacą w rękach. — Po prostu jestem miła dla tego uroczego człowieka, który przyjechał aż z Bostonu, żeby zrobić ci niespodziankę. I chyba potrafisz zrozumieć, jaka jestem dumna z córki, która mimo urodzenia się w biednej rodzinie bez korzeni została jednym z najlepszych prawników w swojej dziedzinie. — Uśmiechnęła się do mnie szelmowsko. — Chyba sobie wyobrażasz, co czuje matka w takiej chwili.

Biorąc pod uwagę sądowe doświadczenia Philipa, wydawał się zaskakująco nieświadomy farsy odgrywanej przez moją matkę. Wziął jej uśmiech za dobrą monetą, słodkie słówka uznał za prawdę, a fartuch za codzienny strój.

— Philipie, muszę ci coś powiedzieć. Tym razem Lupe jęknęła.

— A właśnie się rozkręcało. Mama miała kpiącą minę.

Obrzuciłam obie groźnym spojrzeniem, a potem zwróciłam się do narzeczonego.

— Moja matka nie jest służącą. Westchnęła, rozczarowana, że to koniec zabawy.

— Ale uważam, że fantastycznie sobie poradziłam, odgrywając służącą. Nie uważasz, Lupe? Lupe wzniosła oczy do nieba i coś wymamrotała.

— A ty lepiej odegrałaś panią domu? Dobry Boże, obmacałaś tego człowieka.

— Co?

— Słyszałaś, co powiedziałam!

— Przestańcie — zażądałam. Odwróciłam się znów do narzeczonego, który patrzył osłupiały, jak matka i jej służąca się kłóca. — Philipie, nie jestem biedna. — Tak po prostu.

Zmarszczył brwi.

— Moja matka nie jest naprawdę służącą.

— Nie rozumiem.

— Dobry Boże — wtrąciła mama — czego tu można nie rozumieć? Ona nie jest biedna. Ja nie jestem biedna, a Lupe tak naprawdę jest służącą. Jestem panią tego domu, Carlisie zaś moją córką.

Philip odwracał głowę to w moją, to w ich stronę.

— To prawda? Nie jesteś biedna? Wzdrygnęłam się.

— Nie.

— Jesteś bogata?

— Cóż, bogactwo to pojęcie względne.

— Jesteś Wainwright z rodziny Wainwrightów?

— Tak. Ale na swoją obronę dodam, że nigdy nie mówiłam, że jestem biedna.

Wykrztusił jakieś słowa bez sensu.

— Po prostu nie sprostowałam tego nieporozumienia — pospieszyłam z wyjaśnieniem.

Mama prychnęła.

— Jakby to poprawiało sytuację. Nie mogę uwierzyć, że udawałaś biedaczkę przed tymi wszystkimi Jankesami. Co ty sobie myślałaś, Carlisle?

— No właśnie, Carlisle, co ty sobie myślałaś? — Ton Philipa był złowieszczy.

Ponownie się wzdrygnęłam.

— A co byś powiedział na „nie myślałam”? Nikomu nie spodobała się moja odpowiedź.

Philip wpatrywał się we mnie, zamykając i otwierając usta, z których nie padały żadne słowa.

Wreszcie stwierdził:

— Przepraszam, naprawdę muszę iść.

Spojrzał na mnie po raz ostatni, pokręcił głową i zniknął za wahadłowymi drzwiami.

Rozdział 22

Świetnie. Po prostu świetnie.

Przez resztę dnia Philip nie odbierał komórki i tego wieczoru wsiadłam do półciężarówki Ernesta i objechałam wszystkie lepsze i średniej klasy hotele w Willow Creek. Nie był zameldowany w żadnym z nich.

Kiedy stanęłam na podjeździe Wainwright House, zaciskając niewymanikiowane palce na kierownicy, byłam w szoku. I nie tylko z powodu niespodziewanego pojawienia się, a potem zniknięcia Philipa. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie spędziłam całe godziny, robiąc dokładnie to, co całe życie robiła moja matka. Jeździłam po nocy w poszukiwaniu mężczyzny. Świadomość ta spadła na mnie z mocą bilardowej kuli białej do luzu w zadymionym klubie bilardowym.

Byłam przerażona tym, co zrobiłam, ale w równym stopniu martwiłam się, że to koniec związku z Philipem. A co, jeżeli nie przebaczy mi, że mam pieniądze? Była to tak dziwna myśl wśród dziwnej nocy w dziwnej sytuacji, że nie mogłam zrozumieć, jak się w to wpakowałam.

Ale potem pomyślałam o Philipie, moim Philipie, mężczyźnie, którego znałam z bostońskiego życia. I nie umiałabym wyjaśnić skąd, ale wiedziałam (głos w mojej głowie śmiał się i powtarzał: „zaprzeczenie”), że on nie był taki jak wszyscy ci mężczyźni, którzy przewinęli się przez życie mojej matki.

Następnego dnia, w czwartkowy poranek pierwszego maja, znalazłam w kuchni stos gazet z całego Teksasu. Nikt nie musiał mi wyjaśniać, że zaczął się Wiosenny Sezon Debiutów i mama śledzi jego przebieg.

W Dallas:

MARATON BIG D ZBIEGA SIĘ Z ROZPOCZĘCIEM SEZONU DEBIUTANTEK

W Austin:

DEBIUTANTKI W ŚWIETNEJ FORMIE ZBIERAJĄ FUNDUSZE NA SZLACHETNE CELE

W Fort Worth:

NAJLEPSZE RODZINY I ICH KWITNĄCE CÓRKI

Było ich więcej i jestem pewna, że gdyby Janice rzuciła na nie okiem, jęczałyby z powodu absurdalnych nagłówków. Ale mama z pewnością widziała tylko, że tamtejsze debiuty odniosły olśniewający sukces. Nasz wciąż jeszcze pozostawał niepewny.

Odsunęłam gazety i ponownie zadzwoniłam na komórkę Philipa. Nadal nie miałam ani słowa od narzeczonego, a powinnyśmy być z mamą w sądzie o dziewiątej.

Na szczęście wyliczyłam, że będę mogła wrócić do poszukiwań raczej prędzej niż później, bo najwyżej godzina albo dwie wystarczą, by dowieść w obecności sędziego, że Vincent w żaden sposób nie wpłynął na wyniki finansowe Lucky Stars (chyba że w kategorii straty netto) oraz nie podpisał umowy przedmażeńskiej pod przymusem. Mama nigdy niczego nie wyrzucała, zachowała szczegółową rozpiskę z informacjami i terminami, kiedy Vincentowi przedstawiono ten dokument, zanotowała daty licznych spotkań poświęconych tej sprawie oraz dane znakomitego adwokata, który go reprezentował. Żaden sędzia na świecie nie mógłby unieważnić umowy w tej sprawie.

— Cisza! — zawołał urzędnik sądowy. — Sąd Powszechny hrabstwa Willow Creek rozpoczyna posiedzenie, przewodniczy sędzia Edward Melton.

Wstaliśmy na wejście sędziego, Jack nawet na mnie nie spojrział.

— No dobrze — zaczął sędzia bez wstępów. — Na czym stoimy, moi państwo? Skoro się tu spotykamy, strony najwyraźniej nie doszły do porozumienia z tym bałaganem.

— Zgadza się, Wysoki Sądzie — stwierdziliśmy z Jackiem jednogłośnie.

Byłam prawie pewna, że sędzia mruknął: Błąd.

Świetnie, w takim razie zaczynamy. Panie Blair, które sprawy nadal pozostają nierozwiązane?

Jack wyglądał ponuro, jego brązowe oczy były mroczne i bezlitosne. Mogłam się założyć, że wszelkie ślady humoru, który dotychczas zachowywał, zniknęły.

— Nic nie zostało rozwiązane, Wysoki Sądzie — powiedział. — W tym momencie nie mamy żadnych uzgodnień.

— Panno Cushing?

— Wysoki Sądzie, jak szczegółowo przedstawiłam w aktach dostarczonych przed przesłuchaniem, nie ma żadnych dowodów, które mogłyby wesprzeć twierdzenie mecenasa, że jego klient został zmuszony do podpisania umowy przedmałżeńskiej.

Ponadto zarówno sądowi, jak mecenasowi przedstawiłam liczne dowody, które poświadczają twierdzenie o braku ekonomicznego wkładu pana Ogdena w farmę Lucky Stars. Nie widzę powodu, by dalej marnować czas Wysokiego Sądu.

Jack skinął głową z księżowską powagą, jakby poważnie rozważał moje słowa, po czym oznajmił:

— Niestety, Wysoki Sądzie, ani kwestia nacisku, ani rachunku zysków nie mają już znaczenia w tej materii. Wnoszę, aby intercyza zawarta pomiędzy panią Ridgely Ogden a panem Vincentem Ogdenem, datowana na luty zeszłego roku, została natychmiast unieważniona.

Miałam wrażenie, że Jack stracił rozum. Pomruk przeleciał przez salę jak fala. Sędzia nie zadał sobie trudu, by postukać młotkiem.

— Jeżeli nie z powodu wywierania nacisku ani wkładu ekonomicznego, to na jakiej podstawie?

Jack nie patrzył w moją stronę.

— Zdrady małżeńskiej, Wysoki Sądzie.

W sali zawrzało. Sędzia Melton jednak użył młotka.

— Dobry Boże wszechmogący, panie Blair — warknął sędzia. — Co pan powiedział?

— Z powodu zdrady małżeńskiej, Wysoki Sądzie — powtórzył Jack głosem chłodnym jak zimowy wiatr w moim ukochanym Bostonie.

— Zdrady małżeńskiej? — praktycznie pisnęłam. — To śmieszne. — A może nie?

— Panno Cushing — rozkazał sędzia — proszę siadać. Siedziałam zupełnie nieruchomo, ściskając w palcach ołówek.

Nagle zdałam sobie sprawę, że Jack chce wygrać — i to bardzo — z powodów, które nie miały nic wspólnego z pomocą klientowi. Czy było możliwe, że wziął się na mamę, żeby dobrać się do mnie?

— Wysoki Sądzie — ciągnął — wszedłem w posiadanie nowej informacji zaledwie wczoraj.

— Proszę wyjaśnić, mecenasie.

— W południe zostałem telefonicznie poproszony o złożenie wizyty przyjacielowi panny Cushing, który zatrzymał się w motelu Lazy 6. Właśnie tam posiadałem wiedzę na temat wzmiankowanej zdrady małżeńskiej.

Sprawy przyjmowały fatalny obrót. Wiedziałam, że wczoraj była środa, a mama popadła w podejrzenie nawyk znikania co środę w południe.

Zerwałam się, zgłaszając sprzeciw, ale jednocześnie dotarło do mnie, że moim przyjacielem mógł być tylko Philip, który zatrzymał się w bardziej niż skromnym i zupełnie nie w jego stylu motelu Lazy 6, po czym zadzwonił do Jacka, nie do mnie, żeby porozmawiać.

Rozzłoszczony sędzia odwołał nas z Jackiem do kancelarii, gdzie zostaliśmy upomnieni za niewłaściwe zachowanie (halo, ja nic nie zrobiłam). Potem polecono nam przedstawienie dowodów pod koniec przyszłego tygodnia. Szczerze mówiąc, uważałam, że zdrada zasługuje na więcej niż tydzień, ale sędzia najwyraźniej miał dość poszerzania powództwa, opóźnień i odraczania. Może lepiej by nam poszło z jednym z tych sędziów, którzy spotykali się z moją matką.

Opadłam na siedzenie samochodu, którym Ernesto odwoził nas do domu. Z zamkniętymi oczyma zapytałam:

— Mamo, czy zamierzasz mi wyjaśnić, co się tu dzieje? Ridgely poprawiła szminkę, korzystając z lusterka w pudernicze, z aprobatą obejrzała kolor, po czym z trzaskiem zamknęła opakowanie.

— Vincent nie jest dżentelmenem.

— Mamo, bądź poważna. Grozi ci utrata znacznej części majątku, jeżeli intercyza zostanie anulowana. Mam wrażenie, że powinnaś być zainteresowana wyjaśnieniem mi, dlaczego, na Boga, Jack miałby oskarżać cię o zdradę?

— Jest zdesperowany.

— Mamo, o Jacku można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie jest zdesperowany.

— Nie bądź naiwna, Carlisle. Wszyscy mężczyźni są.

— Mamo, tym razem sprawa jest poważna.

— Jestem poważna. Ale nawet gdybym miała romans, którego nie mam, to nie znaczy, że Vincent powinien dostać choćby jedno źdźbło trawy z farmy.

— Gdybyś zadała sobie trud przeczytania własnej umowy przedmałżeńskiej, wiedziałabyś, że jedynym, co może ją unieważnić, jest twój romans.

— Co?

— To, co słyszałaś. To był jedyny warunek, na który się zgodziłyśmy przy sporządzaniu umowy.

— O mój Boże.' W takim razie musisz coś z tym zrobić. Znowu.

Wjechaliśmy podjazdem do tylnych drzwi i stanęliśmy. Lupe wybiegła nam na spotkanie i z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że już słyszała nowiny. Myliłam się jednak.

— Panienko Ridgely, panienko Ridgely, pan Ben zabrany Savannah do szpitala.

Zapomniałam o Vincencie, zdradzie, Jacku i nawet potrzebie wyśledzenia Philipa w motelu Lazy 6. Weszliśmy do szpitala Memorial najwyżej pięć minut później. Lekarz Savannah spotkał się z nami przed jej pokojem, na wyłożonym płytkami linoleum korytarzu o białych ścianach.

— Co się stało? — Matka żądała odpowiedzi od młodego rezydenta.

— Powinna pani zapytać pacjentkę — odparł.

— Pan chyba nie wie, kim jestem.

— Szanowna pani, jeżeli nie jest pani dla tej kobiety najbliższą osobą, to nie ma znaczenia, kim pani jest. To sprawa tajemnicy lekarskiej. A ten formularz wymienia Bena Cartera.

— Doktorze — zerknęłam na plakietkę z nazwiskiem — Pressman. Jestem Carlisle Cushing, siostra Savannah. To nasza matka.

Lekarzowi się upiekło, bo z pokoju wyszedł Ben. Krawat miał poluzowany, oczy przekrwione. Wyglądał na załamane i znacznie starszego niż rocznikowa czterdziestka.

— Poroniła — powiedział bez wstępów. — Znowu. Potem ruszył korytarzem do wyjścia ze szpitala.

Moja siostra miała za sobą trzy wcześniejsze poronienia, ale nigdy nie przestała wierzyć, że będzie miała dziecko. Tak to jest z zaprzeczeniem. Trudno wyczuć różnicę między okłamywaniem się a rezygnacją z marzenia, które wymaga tylko wytrwałości.

Weszliśmy do szpitalnego pokoju Savannah i jak zwykle powitała nas z wyższością primadonny, ale pewność siebie, która normalnie błyszczała w jej oczach, gdzieś znikła.

— Najwyższy czas, żebyście się tu pokazały — docięła. Mama podeszła i wzięła ją za rękę.

— Mówiłam ci, że nie wyjdzie z tego nic dobrego. — Westchnęła. — Ben mówił to samo.

W niebieskich oczach Savannah mignęło coś mrocznego, potem zwróciła się do mnie.

— Jestem zdziwiona, że w ogóle przyszedłaś.

Musiałam sobie przypomnieć, że tylko tak mówi, złościwością maskuje ból.

— Oczywiście, że przyszedłam.

Po dłuższej rozmowie z lekarzem i uzyskaniu informacji, że Savannah nic się nie stanie, zostałam jeszcze trochę, aż mama przegoniła mnie, żebym zajęła się rozwodem. W przeciwieństwie do matki Savannah, mając kłopoty, nigdy nie szukała mojej pomocy.

Ernesto podwiózł mnie do domu. Weszłam tylnymi drzwiami, odstawiłam aktówkę i zajrzałam do lodówki. Otwierając oranżadę, wiedziałam, że powinnam zacząć coś robić w sprawie kłopotliwej sytuacji mamy, ale z ulgą powitałam przeszkodę w postaci dzwonka do drzwi.

Otworzyłam. Na werandzie stał Philip z miną jednocześnie zrozpaczoną i wrogą.

— Philip!

Po prostu tam stał i wpatrywał się we mnie, blond włosy miał niedokładnie przeczesane, zawsze idealny strój wymięty, oczy zaczerwienione z braku snu.

— Och, Philipie. Tak mi przykro. Miałam ci powiedzieć, chciałam, ale jedno jakoś ciągnęło za sobą drugie...

— Wybaczam ci — oznajmił.

Tak po prostu. Naprawdę, tak po prostu. Nie byłam specjalnie zachwycona.

— Przetrywamy to — ciągnął. Ten głos niezliczone razy słyszałam w sądzie: opanowany, pozbawiony emocji. — Wrócimy do Bostonu, weźmiemy ślub i wszystko będzie jak zawsze. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Philip zawsze przejmował się tym, co ludzie pomyślą, bardziej, niż skłonna byłam to zaakceptować. Ale wszyscy mamy jakieś wady, więc bagatelizowałam to. Tym razem przyszło mi to z trudem.

— Philipie — zaczęłam ostrożnie — czemu chcesz się ze mną ożenić?

Pytanie jakimś sposobem pojawiło się znikąd, przynajmniej w moim odczuciu, bo nigdy nie przyszło mi do głowy się nad tym zastanawiać. Philip był zaskoczony.

— Ponieważ jesteś... ładna, inteligentna, zrównoważona i robisz karierę w firmie. Jesteś taka jak ja. — Potem się skrzywił. — Chyba niezupełnie jak ja, biorąc pod uwagę twoje pieniądze. Ale za dużo w siebie zainwestowaliśmy, żeby teraz z tego zrezygnować. Jak powiedziałem, mogę wybaczyć ci kłamstwo. W końcu zapomnę i będziemy mieli idealne życie, które zawsze planowaliśmy.

I wtedy, stojąc w wejściowym holu w domu matki, zdałam sobie sprawę, że nie kochałam Philipa. A przynajmniej nie byłam w nim zakochana i dopiero jego ton, przeznaczony do spraw biznesowych, oraz brak emocji pozwoliły mi wyrwać się z kokonu, w którym z taką rozkoszą egzystowałam. Właśnie tym był nasz związek. Kokonem. Bezpiecznym ciepłym miejscem, zapewniającym wygodę.

Przypomniałam sobie, jak porównałam luz, który czułam przy Philipie, do tego, co łączyło Indię i jej babcie. To chyba nie najlepsza rekomendacja dla małżeństwa.

Gniew minął mi równie szybko, jak się pojawił, kiedy zdałam sobie sprawę, że sama jestem temu winna, chociaż nie dlatego, że nie wyjaśniłam sprawy pieniędzy. To była najmniejsza z moich zbrodni. Philip pozwalał mi żyć w bezpiecznym miejscu, pozbawionym żywszych uczuć i tak naprawdę byłam winna, trwając w przekonaniu, że w ten sposób możemy żyć w pełni — ja i Philip.

„Nieład jest dobry”. Słowa Jacka.

Nie żebym nagle w to uwierzyła, ale stwierdziłam, że życie pozbawione emocji było do niczego. Pocieszyłam się, że to zupełnie coś innego niż uznanie nieładu za ideał.

— Och, Philipie — stwierdziłam. — Przyznaj. Nie jesteście zakochani.

Zmieszany mrużył oczy. Nie było po nim widać zdenerwowania ani złości, tylko niepewność, jakby miłość nie miała tu nic do rzeczy.

— Ale tworzymy dobry zespół.

— I tu się mylisz. Nie tworzymy. Dwoje ludzi musi się kochać i szanować, żeby tworzyć dobry zespół, przynajmniej w małżeństwie. Muszą być bezgranicznie oddani sobie nawzajem, żeby przetrwać życiowe upadki i wzloty.

— Co chcesz powiedzieć?

— Że nie ma powodu, żebyśmy się pobierali.

— Carlisle — stwierdził surowo. — Jesteś prawnikiem. Dobrym prawnikiem. I oboje wiemy, że sukces nie zostawia miejsca na poetyckie klimaty i poddawanie się emocjom. Dlatego jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Nie jestem dzieckiem, które możesz upomnieć, ani sprawą do wygrania. Poza tym wierzę, że gdzieś tam istnieje idealna dla ciebie kobieta, której nie będziesz musiał wybaczać tego, kim jest albo kim sądzisz, że jest.

Wyglądał na zmieszanego.

— Okay, przepraszam. Przesadziłem. — Poczul przyływ paniki, potknął się o chodnik leżący w holu, kiedy zrobił krok w moją stronę. — Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Przepraszam, że się zirytowałem — mówił prosząco. — Po prostu jakby... coś mi odbiło.

— Philipie...

— Daj mi dokończyć. — Wziął mnie za rękę i wpatrywał się w nie z uwagą. — Byłem zazdrosny, więc odszukałem twojego przyjaciela Jacka. Chciałem zrozumieć. Może chciałem też zobaczyć, co to za człowiek.

Zmrużyłam oczy.

— Nie powiedział mi zbyt wiele, ale zorientowałem się, że nic między wami nie ma. — Wyrwało mu się coś w rodzaju prychnięcia. — No wiesz, żadnej utraconej miłości.

Wiedziałam o tym i nic mnie to nie obchodziło, ale można sądzić, że Jack zachował pewną słabość do mnie, odrobinę, która wystarczyła, by uśmiechnął się do Philipa i pogratulował mu zdobycia mojej ręki.

— Carlisle, kocham...

— Philipie. — Uniosłam dłoń. — Dziękuję, że przyjechałeś dla mnie do Teksasu. To znaczy więcej, niż sobie wyobrazasz. Ale między nami koniec.

Przez jego twarz przebiegły emocje, jakby wskazówka w kole fortuny przeskakiwała na kolejne pola — złość, frustracja, zmieszanie, niedowierzanie, zatrzymanie na oznaczeniu: „zrezygnowana akceptacja”. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale nie zmieniałam zdania, i kiedy wreszcie wyszedł, poczułam narastającą ulgę.

Gdy tylko usłyszałam chrzęst opon na żwirze podjazdu, wpadłam na pomysł, co zrobię w sprawie rozwodu. Mama trzymała wszystko na poddaszu. Nie licząc wyprawy po schemat kroków tańca, starannie unikałam górnych rejonów domu, ale teraz nie było rady i pokonałam dwie kondygnacje.

Pod spadzistym dachem stuletniego domu znajdował się dobytek kilku pokoleń. Książki, kufry, które, jak wiedziałam, pełne były starych ciuchów, starych zabawek. Gdziekolwiek spojrzałam, otaczały mnie rodzinne historie i wspomnienia. Dokładnie to, co zostawiłam za sobą.

Nie dałam się wciągnąć, otworzyłam szufladę z aktami dotyczącymi zobowiązań mojej matki, jej zasobów i wszystkich wcześniejszych spraw sądowych, w tym umów przedmażeńskich i rozwodów. Nie byłam pewna, czego szukam, ale zatrzymałam się przy dokumentach farmy Lucky Stars.

Siedząc na starym bujanym fotelu przy oknie, przeczytałam zawartość teczki, a potem znalazłam niewidziane wcześniej zdjęcia moich rodziców na plaży, na łódce na jeziorze, mamy z rozpuszczonymi powiewającymi na wietrze włosami, obojga rodziców świętujących otwarcie nowej stajni na farmie, fotografie z gazety, na których mama przecinała czerwoną wstążkę pod okiem ojca, ojca niesamowicie przystojnego, wpatzonego w swoją bardzo młodą żonę. Nigdy nie widziałam matki tak szczęśliwej. Nie dało się dostrzec żadnych pęknięć.

Byłam mała, kiedy ojciec zmarł, i ledwie go pamiętam. Umiem się postarać, by przywołać go, ale tylko w kontekście matki i tego, jaka wydawała się szczęśliwa, zanim zmarł. Cała reszta moich wiadomości na jego temat pochodzi z fantastycznych opowieści o człowieku, który żył dobrze i kochał moją matkę wielką namiętnością rodem z powieści. Zawsze odrzucałam te historie, ale teraz, patrząc na te zdjęcia, pomyślałam, że mogły być prawdziwe.

Kiedy odkładałam albumy, natknęłam się na pamiętniki mojej siostry.

Nie dotykać!

Nie ruszać!

Nie waż się otworzyć!

Odręczne pismo Savannah na całym pudle.

Nie umiem wyjaśnić, dlaczego rozsądna Carlisle otworzyła zameczek pierwszego pamiętnika.

Kochany Pamiętniku!

Miałam niesamowity dzień! Uwielbiam gimnazjum! Założyłam mój ulubiony różowy sweter, dostałam tony komplementów (jak zwykle) i Betsey Tanner była strasznie zazdrosna, bo wszyscy lubią mnie bardziej od niej. Przynajmniej wszyscy oprócz pani Finkel. Ona mnie NIENAWIDZI. Poważnie, naprawdę odrabiam wszystkie lekcje. Może nie mam najlepszych stopni, ale jestem najładniejsza w całej klasie. Powinnam być jej ulubienicą!!!!!!!

Mama znów ma jeden ze swoich @&%S humorów, więc staram się ignorować ten dramat z jej ostatnim chłopakiem. Rany! Odkąd matki mają chłopaków!!!! Co za okropny WSTYD! Oczywiście udaję, że super jest mieć taką piękną matkę i że każdy facet dookoła się za nią ugania. Ale co bym dała, żeby mieć NORMALNĄ rodzinę.

Henry jest tak samo stuknięty jak Mama, ale Carlisle chyba może być normalna. Zresztą nieważne. Taka jest mądra i spokojna, że nawet nie zauważa, że ma starszą siostrę, u której powinna szukać porady! Strasznie bym chciała mieć siostrę, z którą mogłabym porozmawiać. Przytulić się w nocy w łóżku i opowiadać sekrety. Mogłabym jej wtedy opowiedzieć o tym niesamowitym chłopaku, Nickym, który jest we mnie śmiertelnie zakochany.

No cóż.

Muszę kończyć. Założę chyba jutro granatową mini. Muszę sprawdzić, czy mam ją w szafie!

Całuję.

Savannah

Sięgając po następny zeszyt, czułam dziwny ucisk w gardle. Kochany Pamiętniku!

Byłam w domu u Cindy Henley i jej mama właśnie urodziła słodkie maleństwo. Wiem, że jestem o wiele za młoda, żeby myśleć o dzieciach, ale kiedy dorosnę, będę najlepszą matką w historii. Nie tak jak niektóre matki znane z tego domu!!!!

W każdym razie dziwnie było patrzeć na kogoś, kto sam zajmuje się dzieckiem. Naprawdę, trzymała ją na rękach!!! I żadnej służącej w pobliżu. Taką matką będę. Przysięgam.

Na dodatek wczoraj do klubu założyłam bikini w kropki i oczywiście wszyscy chłopcy się na mnie gapili. Jestem jakąś boginią albo coś takiego. Dziewczyny były opryskliwe, jak zwykle.

Po prostu je ignoruję.

Poznałam takiego nowego chłopaka, Franka Wintersa. Jest taki słodki i przysięgam, kompletnie mnie kocha, ale się nie ślini jak reszta. Ma trochę godności. A do tego należy do drużyny futbolowej! Postanowiłam, że zostanę cheerleaderką. Główną cheerleaderką. Zaczęłam opowiadać o moim planie Carlisle, bo oczywiście Mamy nigdzie nie było, ale C. była zajęta jakimś durnym projektem na fizykę i kompletnie nie słuchała.

Wszystko jedno.

Więcej napiszę później...

Całuję.

Savannah

Większość wpisów wyglądała tak samo. Wzmianki o tym, jaka była wspaniała, o najnowszym chłopaku, który się w niej zakochał, o ciuchach, uwielbianych i będących powodem do wielkiej zazdrości. I o żalu, że nie jesteśmy sobie bliższe.

Nie byłabym bardziej zaskoczona, gdyby napisała pamiętnik krwią i gadała o szatanie. I kompletnie się nie spodziewałam, że moja siostra była równie samotna i sfrustrowana z powodu mamy jak ja.

Godzinę później wróciłam do szpitala. Drzwi do pokoju siostry zastałam uchylone. Była sama, wyglądała przez okno, w oczach miała łzy, których się nie spodziewałam. Primadonna zniknęła i pierwszy raz widziałam córkę podobną do mnie, zdominowaną przez rodzica, do którego jakoś nie mogłyśmy się przystosować. Rodzica, który potrzebował pociechy i który nigdy nie pocieszał. Zapewne nie wiedział jak. Zawsze widziałam siostrę jako dziewczynkę, a potem kobietę, która zdobywała to czego chciała, ponieważ była piękna. Delikatne kości policzkowe i łuki brwi ukoronowane przeświadczeniem, że wszystko się jej należy. Wtedy zrozumiałam, że uroda tworzyła parę z bólem, a nie przekonaniem o własnej ważności, że to partnerzy w wymuszonym tańcu.

Weszłam do sterylnego białego pokoju z opuszczonymi metalowymi żaluzjami, których listewki ustawiono tak, by wpuścić światło.

- Hej — powiedziałam. Szybko przetarła oczy i kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłam, że maska wróciła na miejsce, ból został zepchnięty na skraj parkietu do tańca, a arogancja wciągnięta jak kamizelka ratunkowa.

- Myślałam, że pojechałaś do domu?

Tak — wzruszyłam ramionami — ale teraz wróciłam.

— Wyglądasz okropnie. Roześmiałam się.

- Dzięki.

- Czemu się uśmiechasz?

— Bo mam ochotę.

Prychnęła, ale dźwięk urwał się gwałtownie, kiedy podeszłam do brzegu łóżka, a potem ostrożnie wspięłam się na górę.

— Dobry Boże, Carlisle! Co ty, na miłość boską, wyprawiasz?

Uważałam na wenflon w jej ramieniu, kiedy wyciągałam się obola opierając głowę na dłoni.

— Po prostu chcę być ze swoją siostrą.

Prawdę mówiąc, miała w oczach panikę, jakby znalazła się w łóżku z wariatką. I może byłam szalona. Może było za późno, żeby być jej siostrą, a przynajmniej za późno na to, czego pragnęła, kiedy byliśmy małe.

— Pomyślałam, że mogłybyśmy pozapłatać sobie włosy, porozmawiać o chłopakach, zwykle dziewczynskie sprawy. — Wzruszyłam ramionami. — Potem może mogłabyś mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby nie spieprzyć sobie życia.

Na jej idealnej twarzy podejrzliwość mieszała się z niepewnością.

— Zdaje się, że przydałoby mi się jakieś mądre słowo. A kto może lepiej poradzić — dodałam miękko — niż siostra.

Oczy Savannah napęłniły się łzami, ale widziałam, że z nimi walczy.

Przetoczyłam się na plecy i zapatrzyłam w sufit, bo naprawdę nie chciałam, żeby więcej płakała.

— A potem może mogłybyśmy pozwierać się sobie z sekretów — zakończyłam i to mój głos się załamał. — Jak prawdziwe siostry.

Ze zduszonym jękiem zaniechała obrony.

— Och, Carlisle. Moja malutka.

Nigdy nie widziałam, żeby kobieta z mojej rodziny tak płakała, przynajmniej nie w świetle dnia, gwałtownie, drżąc na całym ciele.

Nie miałam nic do powiedzenia, więc objęłam ją za szyję, przyciągnęłam do siebie i trzymałam, kiedy płakała.

— Co ja teraz zrobię? — zapytała przez łzy.

— Możesz zrobić masę rzeczy. Zakrztusiła się szlochem.

— Nie skończyłam prawa jak ty, w ogóle niczego nie skończyłam. Jestem tylko ładna.

Ostatnie słowa wyszeptała jak na spowiedzi w katolickim kościele w południowej części miasta. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

— Jeżeli nie mogę mieć dzieci, co ze mnie za pożytek? Moja matka i siostra torowały sobie drogę przez życie

blaskiem blond włosów, niebieskich oczu, fizycznej urody.

ZAWSZE uważałam, że wybrały łatwą drogę. Teraz zaczęłam się zastanawiać. Ostatecznie uroda nieodwołalnie musiała zawieść.

- Och, Savannah. — Zmarszczyłam nos i usiłowałam znaleźć coś właściwego do powiedzenia. — Jest z ciebie masa pożytku i możesz być, kim zechcesz. Poza tym wierzę, że któregoś dnia będziesz miała dziecko. Spięła się w moich ramionach.

- Nie mów tak.

Głupie to było, wiem. Ale coś we mnie wyrwało się na wolność i nie chciało się dać odepchnąć.

- Zawsze w siebie wierzyłaś i nigdy nie bałaś się trzymać wyznaczonego planu. — Chciałam wierzyć, że w tym przypadku upór nie oznaczał wyparcia. — I to samo musisz robić teraz.

Odchyliła się i spojrzała na mnie.

- Po prostu się nie poddawaj. I nie wyrzucaj Bena ze swojego życia. Pamiętasz, powiedziałaś, że warto się go

trzymać. Poradzicie sobie z tym razem.

W jej spojrzeniu była taka żalosna nadzieja, że poczułam się strasznie kiepsko.

Szpitalne drzwi zostały popchnięte od zewnątrz i weszła Janice.

— Co robicie? Zerknęłam na Savannah.

— Zachowujemy się jak siostry.

Janice zmarszczyła brwi i wyraźnie poczuła się skrępowana, nie na miejscu i jednocześnie jakby nadąsana. Pierwszy raz w życiu spędziłam z bratową dość czasu, by mieć niejakie pojęcie o tym, co czuje. Westchnęłam, a potem otworzyłam dla niej ramiona.

Oczy wojowniczej Janice się rozszerzyły, a chwilę potem pędziła już przez pokój i wspinała się na łóżko Savannah od drugiej strony. Poważnie.

— Strasznie mi przykro z powodu dziecka — wyszeptała z oczyma pełnymi łez. — Czuję się odpowiedzialna.

Savannah przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce.

— Oczywiście, że nie jesteś odpowiedzialna, Janice. Byłaś tylko pomysłowa.

Śmiałyśmy się, aż drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem weszła Morgan.

W przeciwieństwie do swojej matki nie wyglądała na melancholijną.

— Boże, nie możecie już być dziwniejsze?

Na wypadek, gdybym była w błędzie, wyciągnęłam do niej rękę. Savannah i Janice zrobiły to samo. Morgan cofnęła się o krok.

— Nie ma mowy. Chociaż kicha z tym dzieckiem, ciociu Savannah.

Savannah znów miała mokre oczy i Morgan wyglądała na zmartwioną.

— Przepraszam. Pójdę już. Chciałam tylko powiedzieć mamie, że poszłam odebrać suknię i sprzedawczyni powiedziała, że zniknęła.

— Co? — Zażądałyśmy informacji.

Bez zapowiedzi łzy pojawiły się oczach Morgan, otarła je ze złością.

— Wyobrażacie sobie? Moja suknia. Zniknęła.

— Ale dopiero co dzwonili i mówili, że tam jest.

— Wiem. Poszłam do sklepu ją odebrać, jak mówiłyśmy, ale kiedy tam dotarłam, nie mogli jej znaleźć.

Drzwi ponownie się otworzyły i zjawiała się moja matka.

— Co się tu dzieje, na Boga? — chciała wiedzieć. Ridgely i jej wnuczka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

— Nie patrz na mnie — oznajmiła mojej matce Morgan. — To raczej ty jesteś za nie odpowiedzialna.

Savannah, Janice i ja znów wybuchnęłyśmy śmiechem.

- Możecie się śmiać — ostro rzuciła matka. — Kiedy jednak będziesz miała wolną chwilę, Carlisle, może zechcesz rzucić na to okiem. Twoje debiutantki doczekały się pierwszego nagłówka.

Krzywiąc usta, przeturlałam się do pozycji siedzącej i wzięłam popołudniową gazetę, wręczoną mi przez matkę. Na pierwszej stronie działu „Style” w „Willow Creek Times” zobaczyłam:

NOWE DEBIUTANTKI TO WIDOK, KTÓREGO WARTO SOBIE OSZCZĘDZIĆ

Artykuł pod tym tytułem był co najmniej niepochebny dla dziewcząt, mojej matki i mnie. Savannah i Janice czytały mi przez ramię.

— Wolne żarty — stwierdziła Janice.

— O rany — powiedziała Savannah.

— O rany, w rzeczy samej — podsumowała mama. — Powiedziałam ci, że zaszkodziś filharmonii, naszej rodzinie i debiutantkom. Co masz zamiar z tym zrobić? Z jakim genialnym pomysłem teraz wyskoczysz?

Nie miałam pojęcia

— Coś wymyślę, mamó.

— Świetnie. A w tym czasie zrób wszystko, co konieczne, żeby załatwić ugodę z Vincentem. Nie mam zamiaru wracać na salę sądową.

Rozdział 23

Pękać ndk I (1603) oznacza: 1. rozłazić się w szwach; 2. nie zachowywać zimnej krwi; 3. to, co właśnie działo się ze mną i do tego w szalonym tempie.

Nie przesadzam, bo nagle:

- nie byłam już zaręczona;
- Savannah poroniła;
- moje debiutantki lada chwila mogły stać się pośmiewiskiem całego Willow Creek;
- ukochanemu przez moją babcię balowi debiutantek stowarzyszenia symfonicznego (nie wspominając o finansowej stabilności samej instytucji) groziła klapa.

Jakby to nie wystarczyło:

- Jack postanowił iść na noże;
- nie byłam pewna, czy zdołam z nim wygrać;
- to co wyżej prowadzi nas do kwestii reputacji mojej matki (nie wspominając nawet o jej finansowej stabilności), która lada chwila mogła pójść się gonić.

Och, i jeszcze jedno. Zaczęłam się zastanawiać, kim właściwie jestem. Tak, ja. A czego się spodziewaliście? Moje idealnie uporządkowane życie wybuchło jak bomba i wiedziałam, że jeśli dopuszczę, by dziewczyny stały się pożywką dla lokalnych plotkarzy, jak kiedyś ja, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Siedziałam przy swoim białym dziecięcym biurku ze złoce-niami. Przede mną na blacie leżał list babci. Po raz chyba setny przeczytałam jej słowa, trzymając pamiątkowe perły jak paciorki różańca. Nadal nie mogłam się zdobyć na ich założenie. Powiedzieć, że przeceniła moje możliwości, byłoby niedopowiedzeniem. Kiedy wreszcie poczułam się pewnie, kiedy wszystko zaczęło się układać, bum, całość się rozsypała.

Kiepsko się z tym wszystkim czułam, co przypomniało mi, czemu zrezygnowałam z emocji. Szczerze mówiąc, tylko przeszkadzały, i dlatego właśnie zawsze wyśmiewałam stwierdzenie, że „nieład jest dobry”. Na pewno nie. Gdybym należała to ludzi ulegających wspomnianym emocjom, poszłabym do taniego kina w śródmieściu i przez całe popołudnie oglądała filmy klasy B, napychając się starym popcornem. Ponieważ jednak byłam sobą, uznałam, że to najlepszy moment, by załatwić ugodę, co pozwoliłoby mi zbagatelizować wspomniane wrażenie bezbronności.

Wzięłam volvo i pojechałam do domu Jacka. Nie wiedziałam, czy nadal tam mieszka, dopóki nie podjechałam i nie zobaczy-lum suburbana oraz harleya. Stojąc na frontowym podjeździe z palcami zaplecionymi na kierownicy, czułam, że serce wali mi z podwójną szybkością.

Mówiłam sobie, że pod żadnym pozorem i w żaden sposób go nie dotknę. Był zaręczony, nawet jeśli ja już nie.

To przypomniało mi o jego narzeczonej. Czy było możliwe, że nawet w Willow Creek w stanie Teksas mieszkali razem?

Wiedziałam, że Jack jeździł suburbanem, i wątpiłam, aby Szczupła Panna Długowłosa używała harela, więc albo nie mieszkali razem, albo nie było jej w domu.

Miejsce zamieszkania Jacka, mały wiejski domek, został zbudowany w latach dwudziestych. Idealnie utrzymany kamienny budynek miał brązowy metalowy dach i brukowany kolisty podjazd. Wiedziałam, że mógł sobie pozwolić na coś lepszego, ale z jakiegoś powodu został w miejscu, które kupił, gdy zaczął sam za siebie płacić. Nie zmieniło go ani bogactwo brata, ani świeższej daty osobisty sukces w roli prawnika w jednej z najbardziej wziętych firm prawniczych w centralnym Teksasie. Pozostał dziki. Odważny. Wydawało się, że nadal nie dba o to, co myślą o nim inni.

Pukając, odwróciłam się i spojrzałam na podwórko i ulicę. Dom stał na wzniesieniu, faliste wzgórza ciągnęły się po horyzont. Zapomniałam, jaka była moc tego widoku — wielkiego teksaskiego nieba w niemal boleśnie niebieskim kolorze, przesłoniętego tylko poskręcanyimi gałęziami dębów.

Nie słyszałam otwierania drzwi, ale nie przestraszyłam się, kiedy stanął za mną i powiedział:
— Carlisle?

Zrobiłam zwrot w tył i po raz kolejny poczułam ucisk w piersi. Serio, trzeba było go widzieć. Wranglery, robocze buty, poplamiona od potu koszulka, jakby zajmował się jakąś pracą fizyczną.

— Co cię sprowadza? — zapytał. Minę miał ponurą i zdecydowanie odpychającą.

Byłoby mi miło usłyszeć „cześć”. Wystarczyłoby nawet powitalne mruknięcie, a tak oskarżycielskie pytanie wywołało rumieniec na mojej twarzy. Pospiesznie odchrząknęłam.

— Chciałabym jednak przedyskutować ugodę. Przyglądał mi się przez całe wieki i mogłabym przysiąc, że

przez chwilę zamierzał mnie odprawić. Ostatecznie jednak kiwnął głową.

— Dobrze. Musisz tylko chwilę poczekać. Jestem zajęty. Przez głowę w szalonym pędzie przemknęły mi myśli o tym,

czym i z kim mógł być zajęty, a w czym nie chciałabym brać udziału.

— Jest u ciebie Racine? Jack przewrócił oczyma.

— Podaruj sobie te nieczyste myśli.

— Tylko pytam — odparłam i weszłam.

W środku dom wyglądał tak samo, jak podczas mojej poprzedniej wizyty (na podłodze, na stole w jadalni, na kuchennym blacie) trzy lata wcześniej, bez śladu damskiej ręki. Jeżeli Racine tam mieszkała, w wyborze mebli i ubrań miała męski gust. A to oznaczało, że naprawdę byliśmy sami. Walczyłam z podnieceniem i kolejnym rumieńcem, przypominając sobie, jaki mam cel. Ugoda. Nie seks. Nie uprawiam seksu z cudzymi narzeczonymi.

Wnętrze utrzymano w ciepłych kolorach ziemi z motywem rustykalnym, który na szczęście nie wyglądał, jakby Jack usiłował stworzyć wiejską chatkę w środku miasta. Tapicerowane skórzane sofy z rzuconymi na nie poduszkami z grubej wełny, pokryte wełnianą tkaniną krzesła po obu stronach sosnowego stołu. Ściany w kolorze terakoty, sufit kremowy z grubo ciosanymi belkami.

Kiedy przestałam się rozglądać, zauważyłam, że Jack zniknął. Po chwili go usłyszałam i z powodu hałasu, który nagle wybuchł za domem, bez trudu się zorientowałam, że zajmował się czymś, co wiązało się z użyciem elektrycznych narzędzi.

Podążając za hałasem, przeszłam krótkim korytarzem do kuchni z ciepłego granitu i drewna, a potem przez osłoniętą werandę, znów z prostymi zwykłymi meblami i wentylatorem pod sufitem. Zobaczyłam Jacka na podwórzu na tyłach domu pracującego piłą mechaniczną.

Na ziemi leżał stos gałęzi, drugi, porządniejszy, z gałęzi już pociętych, obok niego. Za rosnącą stertą stał masywny grill wymurowany z cegły, ze stalowymi rusztami i jakimś urządzeniem z krążkami.

Gdy tylko wyłączył piłę, podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

— Drewno mesquite — wyjaśnił.

— Zauważyłam.

— Do grillowania.

Mówcie o mnie, co chcecie, ale z pewnością potrafię docenić dobry posiłek. I wszyscy w Teksasie wiedzą, że cokolwiek ugrilluje się na drewnie mesquite, jest pyszne. W Bostonie tego nie dają. Poczułam, że na samą myśl cieknie mi ślinka.

— Wyglądasz jak lew, który zobaczył zebkę. — Tym razem dla odmiany się uśmiechnął. — Mam w lodówce ogony homarów i steki. Chcesz zostać na kolację?

— Ja? Zapraszasz mnie? Kobieta, której byłemu narzeczonemu tak dosadnie powiedziałaś, że nie było między nami miłości?

— Byłemu, hę?

— Tak.

— I chyba dobrze. Nie wyglądał mi na kogoś w twoim typie. Najwyraźniej nie zamierzał ubiegać się o nagrodę za wrażliwość.

— Co to ma znaczyć?

— Tylko to, co powiedziałem.

— A Racine, jak sądzę, jest dokładnie w twoim typie. Znów ten uśmiech.

— Zazdrosna, Cushing? Prychnęłam.

— Zostajesz na kolację czy nie?

Cóż, dlaczego nie miałabym z grzeczności przyjąć tak uprzejmego zaproszenia? Poza tym uśmiechnął się do mnie.

— Nie chcę robić kłopotu — oznajmiłam ze śmiertelną powagą.

— Jasne.

— Czy... Racine się do nas przyłączy?

— Nie, jest w Dallas. — Uruchomił piłę, powietrze wypełniło się ogłuszającym rykiem.

Nie wiedziałam, co robić, i chciałam uniknąć fruujących drzazg, więc wróciłam do środka. Bez namysłu zajrzałam do lodówki i znalazłam wszystko, co było potrzebne na idealną kolację.

Podwinęłam rękawy i wzięłam się do roboty. Przygotowałam sałatkę rzymską z suszonymi żurawinami, pomidorami, orzechami włoskimi i sos z oliwy oraz fety, który odstawiłam na bok, do późniejszego dodania.

Następnie wyszukałam składniki potrzebne do przygotowania zapiekanki ziemniaczanej według słynnego przepisu mojej matki, przy którym każdy inny wypadł blado. Potrzeba było do niej wręcz w nadmiarze masła, sera, śmietany i nawet płatków kukurydzianych, żeby wierzch wyszedł chrupki. Może zestaw wygląda dziwnie, ale wystarczy jeden kęs i wszystkie serca zdobyte.

Znalazłam idealnie wycięte steki ze Slim's House of Meat. Doprawiłam je z obu stron, odłożyłam na talerz i z powrotem do lodówki. Potem przyszła kolej na homara. Cztery ogony — idealne do grillowania.

Ponieważ ziemniaki musiały się piec przez czterdzieści pięć minut, przygotowałam ciasto na szybkie biszkopty, znalazłam też słoik domowej marmolady, którą na pewno zrobiła matka Jacka.

Wiedziałam, że po tym wszystkim w połączeniu ze stekiem i homarem będę musiała głodzić się przez tydzień. I prawdopodobnie pobiegać, czego nie robiłam od lat. I to w upale — coś pomiędzy ćwiczeniem a karą.

Nie chciałam jednak o tym myśleć w tamtej chwili. Uśmiechał się do mnie fantastyczny posiłek i nie zamierzałam dać się zniechęcić potencjalnym (gwarantowanym) przybraniem kilku funtów.

W chwili, gdy skończyłam mieszać ciasto na biszkopty, przez tylne drzwi wszedł Jack. Bez koszulki. Otarł pot z piersi ręcznikiem.

Rozejrzał się dokoła.

— Chyba się napracowałam. Co mogłam odpowiedzieć?

— Choć tyle mogłam zrobić.

— Wezmę prysznic, póki grill się rozgrzewa. — Wrzucił ręcznik do pralni, otworzył butelkę czerwonego wina i nalał dwa kieliszki. Podał mi jeden i spojrzał na mnie w sposób, który sprawił, że zamarzyłam o zaproszeniu pod prysznic. Przysięgam, prawie je wypowiedział, ale w sumie tylko zaklął, a potem zniknął.

Można by pomyśleć, że powinien już dojść do siebie po tym, kiedy zostawiłam go bez słowa i nie wspomniałam o zaręczynach. Halo. A potem wymierzyłam sobie mentalny policzek.

Żadnego seksu, powtórzyłam sobie, dodając „zaręczony”, „poza zasięgiem” i „nawet o tym nie myśl”.

Kiedy wrócił z pustym kieliszkiem i mokrymi włosami, miał na sobie czysty czarny T-shirt włożony w pięćsetjedyńki. A wiadomo, co sędzę o pięćsetjedyńkach. Przynajmniej noszonych przez Jacka Blaira.

Ponownie nalał nam obojgu wina i chociaż mój mózg znów ogłosił stan zagrożenia pierwszego stopnia, przyjęłam kieliszek i dałam się zaprowadzić na zewnątrz.

Sialiśmy na tylnej werandzie, słońce zniknęło za horyzontem, barwiąc niebo różnymi odcieniami purpury. Gdy spojrzałam na Jacka, przypomniałam sobie wszystkie te absurdalne uczucia z przeszłości, wielką miłość i cóż, gorącą namiętność. Kiedy popatrzyłam na jego dłonie, myślałam tylko o tym, w jaki sposób dotykały mojego ciała.

- A więc do sprawy — zarządziłam, przerywając ciąg krnąbrnych myśli i przybierając najbardziej profesjonalną minę.

— Najpierw kolacja.

W powietrzu unosił się zapach drewna mesquite i doprawdy okazałabym brak wychowania, nie oddając sprawiedliwości ogonom homarów.

Raz-dwa mieliśmy wszystko na stole. Jack usiadł naprzeciw i przez chwilę po prostu na mnie patrzył. Przysięgam, było, jakby te trzy lata nie istniały. - Jack...

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem, przerywając mi w pół słowa.

- Kochanie? Jack nawet nie drgnął.

— Jack, kochanie, gdzie jesteś?

— Racine? — zapytałam.

— Racine — potwierdził.

— Mogę się schować, jeżeli chcesz — powiedziałam ze złośliwym uśmiechem godnym Savannah, co było odruchową reakcją na to, jak silne czułam rozczarowanie.

— Nie będziesz się chować. — Wstał. — Jesteśmy tutaj, Racine.

Jego narzeczona weszła do kuchni i stanęła. Na ramieniu miała wielką torbę.

— No, no, kogo my tu mamy — powiedziała. Potem odwróciła się do Jacka. — Niegrzeczny z ciebie chłopiec.

Próbujesz oczarować Carlisle w nadziei, że wygrasz sprawę dzidki stekom i homarowi?

Podeszła bliżej i obdarzyła Jacka przeciągłym głębokim pocałunkiem.

— Wcześniej wróciłam, zostawiłam rzeczy, a potem postanowiłam zrobić ci niespodziankę. Nie wiedziałam, że będziesz tu z Carlisle.

Roześmiała się i miałam wrażenie, że w ogóle nie wzruszył jej fakt mojej obecności w domu Jacka na kolacji, jakby nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłabym stanowić zagrożenie.

Poczułam się niemal obrażona. Mam w końcu poczucie damskiej godności.

Racine opowiadała o podróży do Dallas, wyciągając dodatkowe nakrycie i kieliszek, a potem usiadła przy stole.

— Wygląda genialnie. Carlisle, ty to wszystko przygotowałaś?

Nie czekała na odpowiedź, tylko zaczęła mówić o czymś innym. Rozmawialiśmy na błahe tematy, aż Racine oparła się wygodnie i zmierzyła mnie wzrokiem.

— Powiedz, naprawdę podoba ci się Boston?

— Jasne.

Jack przyglądał mi się uważnie, powoli przesuwając kieliszek po obrusie.

— Nie umiem sobie tego wyobrazić — oznajmiła, ocierając usta. — Chociaż Jack opowiadał mi o twoim narzeczonym. Philip, tak? Z opowieści wynika, że tworzycie świetną parę, więc może się mylę co do ciebie i Bostonu. On też tam mieszka, prawda?

Jack nadal przyglądał mi się z namysłem i poczułam się niezręcznie.

— Prawdę mówiąc, Philip i ja nie jesteśmy już zaręczeni. Nagle Racine nie wyglądała już na tak pewną siebie jak przed chwilą.

— Nie? — zapytała. — Co się stało?

— Trudno powiedzieć. Chyba po prostu do siebie nie pasowaliśmy.

— Och. — Między jej oczami pojawiła się głęboka zmarszczka. — Przykro mi to słyszeć.

— Nie chcę wam dłużej przeszkadzać. Jack, naprawdę musimy porozmawiać o sprawie.

Obserwował mnie, potem skinął głową.

— Racine, możesz dać nam parę minut? Przeniosła spojrzenie z niego na mnie.

— Oczywiście. Pójdę się odświeżyć. — Ale zanim wyszła, spojrzała Jackowi w oczy, a ja poczułam się zawstydzona siłą emocji, która między nimi przepłynęła. Miętko pocałowała go w usta. — Tęskniłam za tobą — powiedziała, a potem wyszła, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem przez ramię.

— Wal — poprosił, kiedy wyszła.

— Jak wspominałam, chciałybyśmy zawrzeć ugodę. Pociągnął łyk wina, przyglądając mi się nad brzegiem

kieliszka.

— Kiedy chcieliśmy ugody, powiedziałaś nie.

— Zmieniłyśmy zdanie.

Wyłuszczyłam mu szczegóły, ale tym razem udzielił mi odpowiedzi odmownej. Zapominając o tym, że wprawia moje serce w dygot, odsunęłam wino na bok. Przekonywałam, składałam hojne oferty, posunęłam się nawet do trzepotania rzęsami.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Daj spokój, Cushing, stać cię na więcej. Najwyraźniej się mylił.

— Świetnie. Lepiej pójdę. — Odsunęłam się od stołu, ale mnie powstrzymał, bez śladu uśmiechu łapiąc za ramię.

Z wyrazu jego twarzy nie umiałam wyczytać, czego chciał. Wszystkiego? Niczego? Raczej to drugie, skoro Racine znajdowała się za ścianą.

Kiedy się odezwał, głos miał głęboki i chropawy. Nie spodziewałam się tego.

— Dlaczego nie pożegnałaś się przed wyjazdem?

— Wyjazdem?

Błysk zniecierpliwienia.

— Z Teksasu.

Wszystko we mnie zamarło, organy wewnętrzne zaprzestały pracy, serce stanęło. Nie miałam Pojęcia, jak odpowiedzieć ani czy w ogóle chciałam odpowiadać. Po namyśle uznałam, że przynajmniej tyle jestem mu Winna. Uniosłam podbródek i spojrzałam Jackowi w oczy.

— Chcesz znać prawdę?

— Oczywiście.

— Bałam się, że jeśli byś poprosił, żebym została, to nie potrafiłabym wyjechać.

Zaczął się uśmiechać i nie był to miły uśmiech. Wtedy jednak, zanim zdołałam się powstrzymać, wyrwała mi się cała prawda.

— A może bałam się, że byś nie poprosił.

Miałam pełną świadomość dotyku silnych palców obejmujących moje ramię. Pełną świadomość, że Racine mogła wejść w każdej chwili. Pełną świadomość, że stał tylko kilka cali ode mnie i strasznie chciałam, żeby mnie pocałował. Jak w budynku Foleya. Albo w klubie. Z jego narzeczoną w zasięgu głosu. Porzuciłam rozsądek. Wiem, wim!

Po chwili, która wydawała się trwać wieczność, po prostu skinął głową i mnie puścił. Odwrócił się ode mnie.

Dotarł do drzwi, kiedy go zatrzymałam,

— Teraz moja kolej.

Spojrzał nieufnie.

- Dlaczego nie próbowałaś mnie odszukać?

Błękitne oczy Jacka błysnęły jak ekran filmowy w mroku, rysy jego twarzy stwardniały.

— Jack, kochany! Skończyliście już? — zawołała z oddali Kacine. — Mam dla ciebie niespodziankę.

Mroczne spojrzenie znikło i zobaczyłam, że się odprężył, jakby zrobił głęboki wdech. Odprężenie, poczucie słuszności. To właśnie widziałam między nimi, zanim Racine wyszła. Zrozumiałam, czemu Jack z nią był. Dawała mu uczucie spokoju, którego my nie potrafiliśmy sobie dać. Zrozumiałam że się z nią ożeni, tak jak ja sama byłam zdecydowana poślubić Philipa. Z tą różnicą, że Jack nie zaczął życia z tą kobietą od kłamstwa. Nie musieli sobie niczego wybaczać.

Uśmiechnął się swym krzywym uśmiechem, od którego topniało mi serce.

- Jak sama powiedziałaś, nie jesteś taka jak ja, nieodpowiedzialna, nie robisz czegoś tylko dlatego, że tak ci pasuje. Powiedzmy, że nie pasowało mi cię szukać i na tym poprzestańmy.

Zostawił mnie samą i wrócił do Racine. Nie jestem pewna, CZY bardziej byłam zaskoczona, że pamiętał, co powiedziałam mu trzy lata wcześniej, czy zraniona tym lekceważącym sprawę uśmiechem, którym przebił mi serce niczym oszczepem.

Rozdział 24

Zupełnie jakby moja psychika nie miała dość po kolacji z Jackiem... i Racine, następnego dnia Janice zaciągnęła mnie do salonu Michela, żebym przekonywała, składała hojne oferty i trzepotała rzęsami w nadziei na zwrot zaginionej sukni.

Przy manewrze z rzęsami Michel dziwnie na mnie spojrzał i zapytał, czy nie chciałabym usiąść. Dalej nie było lepiej.

Czego bym nie robiła, wynik był taki sam. Suknia zniknęła, ale nie mieli dowodu sprzedaży poza tym znajdującym się w rękach Janice. A ona nie miała sukni.

— Nie wiem, gdzie jest — stwierdził Michel. — Nigdzie nie możemy jej znaleźć.

— Ależ musi tu być — przekonywała Janice.

Do sklepu weszła starsza kobieta ze zwisającą z nadgarstka torebką, ta sama, która nas obsługiwała.

— Och, witam! Przyszłyście pewnie po suknię.

— Ma ją pani?

— Oczywiście. Proszę mi tylko pozwolić to odłożyć. — Wrzuciła torebkę do dolnej szuflady i otworzyła boczną szafę.

Przerzuciła suknie, potem przerzuciła je ponownie. — MoMomencik. — Odwróciła się. — Musiałam ją wynieść na zaplecze.

-Proszę się nie kłopotać, pani Montoya — powiedział Michel. — Szukaliśmy wszędzie. Suknia zniknęła.

— Ale to niemożliwe. Kto mógłby ją wziąć? - India! — wypaliła Janice.

Sprzedawczyni wyglądała na zaskoczoną. Szczerze mówiąc, ja też.

— India Blair? — zapytała.

Chciałam zapytać dokładnie o to samo. Dlaczego India miałaby zabierać sukienkę? Michel skrzywił się gniewnie.

— Czy zna pani tę Indię, pani Montoya? - Cóż, tak. To taka urocza dziewczyna.

Do opisanie Indii użyłabym wielu przymiotników, ale „urocza” z pewnością by do nich nie należał. Z drugiej strony nie nazwałabym jej też złodziejką.

— Przychodziła odwiedzać małą Ruth. Naprawdę dziwna z nich para — zamyśliła się na krótko. — Ruth bardzo sumiennie pracuje. Chociaż przedwczoraj też India pomogła mi rozpakować pudła. Powiedziałabym, że w dzisiejszych czasach to dość nietypowe zachowanie jak na dziewczynę w jej wieku. — Zmarszczyła brwi. — Właściwie od tamtej pory się nie pokazała. — Przyłożyła rękę do piersi. — Naprawdę pani uważa, że mogła zabrać suknię?

Ponieważ nie mogliśmy udzielić jednoznacznej odpowiedzi, Janice zapytała o sukienkę, która była za duża. Niestety, została sprzedana studentce, która latem wychodziła za mąż.

Kiedy Michel urządził już wielkie przedstawienie, że zrobiłby wszystko, by nam pomóc (poza zdobyciem sukni oraz wykonaniem telefonu do najbogatszego człowieka w Willow Creek z pytaniem, czy ma u siebie w domu zaginiony strój), wyszliśmy. Co mogliśmy zrobić? Nie miałyśmy dowodu.

W rosnącym upale stanęliśmy z Janice na chodniku przed sklepem.

— Czemu uważasz, że India ją wzięła? — zapytałam.

— Znam ten typ. Musi mieć wszystko najlepsze, także najefektowniejszą sukienkę. A suknia Morgan była niesamowita. Więc India poszła do sklepu i zabrała ją, zanim zdążyliśmy same to zrobić.

— Wiem, że dziewczynki lubią ze sobą rywalizować, ale...

— Carlisle, jesteś prawnikiem rozwodowym. Nie bądź naiwna. — Ruszyła do samochodu. — Chodź, pójdziemy rozmówić się z jej ojcem.

— My? — zapytałam.

I rzeczywiście, udałyśmy się na Osiedle Wierzbowe, gdzie szczęśliwie udało się nam zastać Huntera Blaira w domu, a w dodatku nas wpuścił. Czekał w gabinecie.

— Czym mogę paniom służyć?

— Panie Blair — zaczęła Janice. — Mam wrażenie, że India omyłkowo zabrała balową suknię mojej córki. — Nawet Janice nie ośmieliła się otwarcie oskarżyć córki Blaira o kradzież.

Hunter, który nie wstał, gdy weszłyśmy do wielkiego gabinetu, pełnego masywnych mebli i grubych aksamitnych draperii, przyjrzał się nam uważnie. Po chwili warknął:

— India!

Nastolatka zjawiła się dopiero, gdy posłano po nią służącą.

— Co, tato?

— Te panie mówią, że zabrałaś suknię, która była przeznaczona dla innej dziewczyny.

— Przez pomyłkę — zrejterowała Janice. Hunter puścił tę uwagę mimo uszu.

— Czy to prawda? India prychnęła.

- Nie wiem, o czym one mówią, tatusiu. - O sukience zabranej pomyłkowo od Michela w zeszłym tygodniu — wyjaśniła Janice. India wykrzywiła się jak typowa nastolatka.

— Halo, ja już mam sukienkę. Tę, którą tata kupił mi w Nowym Jorku.

Hunter zamyślony zakołysał się na krześle.

— Jestem pewna, że India się myli — oświadczyła Janice.

— Krąży tu straszna masa pomyłek.

— Może mogłybyśmy zajrzeć do jej szafy — zasugerowała moja bratowa.

— Tato! To nie fair! Hunter wstał.

— Zajrzyjmy.

— One kłamią!

Urządziła wielkie przedstawienie, że się jej nie ufa. Oczy miała zwężone ze złości. Nie powstrzymało to jednak jej ojca. Cała nasza czwórka weszła do pokoju Indii, gdzie dziewczyna nie przestawała mówić i płakała, chociaż nie byłam pewna dlaczego.

— Wiem, że mnie nienawidzisz! — krzyknęła do ojca.

— Przestań się zachowywać jak twoja matka. W tym momencie wszyscy zamarliśmy. India nagle się zacięła, a jej łzy obeschły.

— Gdybym zachowała się jak matka, uciekłabym i nigdy bym nie wróciła, dokładnie jak ona. Wpatrywali się w siebie, zaangażowani w wojnę, która, zdałam sobie sprawę, musiała toczyć się od lat.

Hunter przewrócił szafę córki do góry nogami. Nawiasem mówiąc, w południowym Willow Creek są całe domy mniejsze niż szafa Indii. Rzędy butów, szklane szuflady pełne biżuterii i wieszaki z większą liczbą ciuchów, niż ich zgromadziłam przez całe życie. Gdyby przedmioty mogły uszczęśliwiać, India Blair powinna być pijana ze szczęścia.

— Nic tu nie ma — oznajmił napastliwym tonem, po czym odwrócił się i wyszedł.

— Indio... — zaczęłam.

— Po prostu się zamknij. — Wybiegła i zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki.

Spojrzałyśmy na siebie z Janice.

— Chodź — powiedziała bratowa. — Wynośmy się stąd. Zmierzałyśmy do volvo, kiedy zauważyłam jeepa Indii.

— Obejrzyjmy jej wóz. Zajrzałyśmy do środka.

— Ani śladu. — Janice była zrozpaczona.

— Zaczekaj. Spójrz. — Wyciągnęłam wielką firmową torbę Michela, w której nie było jednak ani śladu sukni.

India z łomotem otworzyła drzwi frontowe.

— Co robicie?! — wrzasnęła. Uniosłam torbę.

— I co?

— Co tu robi ta wielka torba od Michela? — zapytałam. Przez twarz dziewczyny przeleciał rumieniec.

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie Tiki albo Abby ją zostawiły.

— Doprawdy? — przeszłam do kontrofensywy. — Myślałam, że ze sobą nie rozmawiacie.

— Co to jest, inkwizycja? Nie mam tej głupiej sukni, więc zostawcie mnie w spokoju!

— Nie mogę w to uwierzyć! — powiedziała Janice, gdy opuszczaliśmy osiedle. — India ma suknię, jestem pewna, ale kto wie gdzie. Morgan będzie załamana. — Westchnęła. — Chociaż sądzę, że w którymś momencie każda dziewczyna musi poznać życiowe realia, a realia są takie, że ludzie robią obmierzłe rzeczy. I czy nie jest moim zadaniem przygotowanie córki na spotkanie ze światem, w który zaraz wejdzie, światem, w który podobno je wprowadzamy?

Czy naprawdę pytała? A może było to jedno z tych podchwytliwych pytań retorycznych, na które człowiek nie oczekuje odpowiedzi, a prawdę mówiąc, wcale jej nie chce.

Zaryzykowałam.

— Moim zdaniem twoją rolą jako matki jest pomóc córce, by uwierzyła w siebie.

Janice odezwała się bardzo, bardzo sztywno.

— Co sugerujesz?

— Nic. To było stwierdzenie retoryczne. — Jeśli coś takiego istnieje.

Wróciłyśmy do Wainwright House. Po wejściu zastałyśmy zwolnioną ze szpitala Savannah usadowioną na szeszlunku na werandzie między pulchnymi poduszkami i — z powodu rosnącego upału — pod bawełnianym, a nie wełnianym przykryciem. Miotła nią burza hormonów, przeżycie ciężkie nawet dla mojej zaprawionej w bojach siostry. Przypomniałam sobie o Savannah z pamiętników i uzbroiłam w cierpliwość, żeby znieść, cokolwiek mnie spotka.

Mama wyszła z kuchni.

— Tu jesteście. — Była zirytowana. — Co tu robisz? — zwróciła się do Savannah. — Powinnaś być w łóżku, odpoczywać. Nabierać sił. — Potem skupiła się na Janice. — A czemu ty tylko stoisz? Twoje dzieci są na górze i zachowują się jak... twoje dzieci.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź. Humor mamy się pogarszał i martwiłam się, że lada chwila mogą ujawnić się pęknięcia.

Janice była jednocześnie wściekła i przygnębiona.

— Ta kobieta jest najbardziej nieczułą matką, jaką widziałam — oświadczyła. — Jedyne, co ją interesuje, to żeby córki, a nawet ja, postępowały zgodnie z jej zasadami!

Wymieniłyśmy z Savannah spojrzenia i uśmiechy. Brwi Janice zetknęły się na czole, po czym oczy gwałtownie się powiększyły.

— Nie jestem jak wasza matka!

— Nie trzeba koniecznie nosić kaszmiru i pereł, żeby oczekiwać, by córka była dokładnie taka jak ty.

Można pomyśleć, że ją postrzeliliśmy, taką miała zbolałą minę, chociaż jestem pewna, że pamiętała tę niezbyt przyjemną dyskusyjkę, którą odbyła z Morgan w samolocie.

Savannah mocniej otuliła się pledem.

— Znalazłyście suknię?

— Nie — odparłam. — Uważamy, że India ją zabrała. Savannah przewróciła oczyma.

— Oczywiście, że ją wzięła. A kto inny? Poszłyście do niej do domu?

— Tak, ale sukni nie było w pokoju Indii ani w samochodzie.

— W takim razie ma ją w szkolnej szafce — zawyrokowała moja siostra.

Janice zamrugwała.

— W szkole? Jeżeli chce mieć tę suknię, to po co miałyby upychać ją w szkolnej szafce?

— Daj spokój, Janice. India nie chce sukni dla siebie. Ona nie chce, żeby Morgan ją włożyła.

— Skrzyżowała ręce na kocu. — Słuchaj. Debiutantki są do siebie podobne. Masz dziewczyny, które chcą tylko przetrwać, masz takie, które chcą się dobrze bawić. Są takie, które to robią dla rodziców. I takie, które chcą wygrać i z tego powodu zrobią wszystko. India chce wygrać.

— Wygrać?

— Tytuł Debiutantki Roku.

— Grrr—warknęła Janice. — Mam powyżej uszu słuchania o Debiutantce Roku!

Savannah przepraszająco wzruszyła ramionami.

— Więc co mam robić? — zapytała matka pozbawionej stroju nastolatki.

— Pójść do szkoły, oczywiście — oświadczyła Savannah. Janice chwilę się namyślała.

— Okay. — Kiwnęła głową. — Nie okażę się nieczułą matką. — Rzuciła mi zabójcze spojrzenie. — Pójdę i porozmawiam z dyrektorem, zmuszę go, żeby otworzył szafkę.

— Chcesz zażądać niezgodnego z prawem przeszukania i przejęcia? — zapytałam. — Rodzina ma już dość kłopotów.

Janice wygięła plecy w łuk i ryknęła, dając upust frustracji.

— Masz rację. To co mam zrobić?

Niestety, nie cierpiałam na nadmiar dobrych pomysłów.

Rozdział 25

Mimo oświadczenia mojej matki, że jej noga nie postanie już w sali sądowej (i mimo moich nieoczekiwanych trudności z oddychaniem), w kolejny czwartek znalazłyśmy się właśnie w sądzie.

W czasie przesłuchań ślęczałam nad dowodami Jacka i zeznaniami świadków. Jack dysponował licznymi zdjęciami mojej matki w Lazy 6 z niezidentyfikowanym mężczyzną, także zdjęciami jej samochodu na parkingu, nie wspominając już o fotografii, na której znika w jednym z pokoi. W końcu mogłam tylko powiedzieć:

— Mamo, jeżeli nie dasz mi czegoś, czegokolwiek, co dowiedzie, że nie miałaś romansu, to już po tobie.

Uparcie pozostała niekomunikatywna, a poziom mojej frustracji stale rósł, rosły też kłopoty z oddychaniem.

— Mamo, nie masz możliwości dowieść, że nie miałaś romansu.

— Mam swoje słowo.

— Niestety — w moim głosie mogła znaleźć się odrobina sarkazmu — w sądzie nie na wiele się to przyda. Chcesz zaryzykować i czekać, w co uwierzy sędzia? Obie widziałyśmy Twoje zdjęcia z Lazy 6.

Spojrzała na mnie w sposób, który komuś mniej odważnemu zmroziłby krew w żyłach.

- Podobno jesteś takim wspaniałym prawnikiem. Teraz masz szansę tego dowieść. To twoim zadaniem jest sprawić, by sędzia mi uwierzył — dodała. — Z pewnością, jeśli jesteś tak dobra, jak twierdzą, to możesz zrobić przynajmniej tyle. - Proszę wstać! — zawołał urzędnik sądowy. Rozpoczęliśmy nasz dzień w sądzie z galerią wypełnioną lepszym towarzystwem z Willow Creek. Miałam na sobie czarny kostium od Calvina Kleina i białą satynową bluzkę ze stójką, którą znalazłam w San Antonio. Z włosami ściągniętymi z tyłu w gładki kok dodałam sobie jeszcze powagi okularami w czarnej oprawce.

Czynności wstępne, w tym flirciarski uśmiech mojej matki do sędziego Meltona, zostały szybko zakończone, po czym Jack wstał.

- Wysoki Sądzie, wzywam Oscara Hemmela. Wysoki chudy mężczyzna o piaskowych włosach, nieokreślonego koloru oczach, ubrany w źle dopasowaną koszulę i krawat zajął miejsce dla świadków, przysiągł mówić prawdę, i potem opadł na krzesło.

— Panie Hemmel — zaczął Jack — proszę powiedzieć sądowi, gdzie jest pan zatrudniony.

— Pracuję w motelu Lazy 6 — dumnie oświadczył Hemmel. — Jestem kierownikiem recepcji — dodał z poczuciem własnej ważności.

— Czy w czasie pracy widział pan kiedyś tę kobietę? — zapytał Jack, wskazując na moją matkę.

Ridgely jeszcze bardziej się wyprostowała i uniosła głowę, bez wątpienia, by zlikwidować wszelki ślad podwójnego podbródka, i się uśmiechnęła.

Hemmel jakby do niej kiwnął.

— Oczywiście proszę pana, widywałem ją już wcześniej. Co środę w południe.

Jack wziął ze swego stołu fotografię i wyciągnął jedną w stronę świadka.

— Co widzi pan na dowodzie rzeczowym numer 1, panie Hemmel?

Mężczyzna przyjrzał się uważnie.

— To ona — powiedział, wskazując moją matkę. — Idzie do pokoju pięć, jak zawsze, żeby poromansować.

— Sprzeciw! — oświadczyłam. — Wysoki Sądzie, to czysta spekulacja.

Na sali zawrzało.

— Zdjęcie to nie dowodzi istnienia romansu. Pan Hemmel protekcyjnie odchrząknął.

— W pracy sporo widzę i umiem rozpoznać romans, kiedy się na niego natknę. Powiedziałbym, że jestem swego rodzaju ekspertem. Zgadza się, panie Blair?

— Wysoki Sądzie — rzuciłam Jackowi groźne spojrzenie, z miejsca widząc, że adwokat strony przeciwnej bez słów sugeruje uznanie Hemmela za eksperta. — Proszę o wykreślenie stwierdzenia świadka. Stanowisko motelowego recepcjonisty to szacowny zawód, wiemy jednak, że nie ma ekspertów w zakresie romansów.

— Zgadzam się, wykreślić to — polecił sędzia protokolantce.

Jednak prawda była taka, że raz rzuconego słowa „ekspert” nie dało się cofnąć.

Sędzia zwrócił się do Jacka.

— Sprzeciw podtrzymany. Panie Blair, proszę poinformować swojego klienta, że ma odpowiadać tylko, kiedy zostanie zapytany.

- Tak, Wysoki Sądzie. Zaważyłam jednak, że lekko uśmiechnął się z satysfakcją.

Proszę kontynuować. Jack wyciągnął kolejne zdjęcie, tym razem mojej matki w drzwiach z niezidentyfikowanym mężczyzną.

- Mamo — syknęłam — czemu nie powiesz mi, kto to jest? Gdybyśmy mogły go znaleźć, mógłby zeznawać na twoją korzyść, że nie mieliście romansu.

Po dniu, kiedy Jack widział moją matkę z tym mężczyzną, nieznajomy zniknął, nikt, nawet Jack, nie zdołał go znaleźć.

- Jeśli nie ma go w tym motelu — oświadczyła matka — to jak już powiedziałam, nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Wciąż nie byłam pewna, czy powinnam jej wierzyć. - Carlisle, nie ma potrzeby go szukać. To nikt. - Panie Hemmel — powiedział Jack. -N_ Czy jako doświadczony kierownik recepcji w motelu Lazy 6 — czyli ekspert — który wynajmuje pokoje na godziny, z łatwością mógłby pan na podstawie tego zdjęcia określić, że pani Ogden nawiązała romans? Opadła mi szczęka.

- Sprzeciw — nie umiałam sobie wyobrazić, jakim cudem Jack spodziewa się, że tego rodzaju pytanie ujdzie mu na sucho.

- Na jakiej podstawie, panno Cushing? Zamrugałam z niedowierzaniem, słysząc sędziego.

- Naprowadzanie — oświadczyłam tonem stosownym do rozmowy z psychicznie upośledzonym pierwszoklasistą.

— Sprzeciw podtrzymany. Panie Blair, proszę przeformułować pytanie.

— Oczywiście, Wysoki Sądzie. Panie Hemmel, co pańskim zdaniem dzieje się na tym zdjęciu?

— Ta dwójka ma romans.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie — oświadczyłam stanowczo. — To ponownie spekulacja.

Sędzia się zastanowił.

— Raczej opinia świadka. Ale proszę zachować ostrożność, panie Blair.

Zacisnęłam zęby i znów zobaczyłam ten pełen zadowolona uśmiech na twarzy Jacka. Przegrywałam na całego. A co gorsza, nie umiałabym wskazać dlaczego.

— Panie Hemmel — ciągnął — jakie inne dowody doprowadziły pana do wniosku, że pani Ogden nawiązała romans?

Wzruszył ramionami.

— No, takie ich zachowania. — Wskazał na zdjęcia, na których matka całowała mężczyznę w policzek. — No i za każdym razem, kiedy wychodziła, prześcieradła były potargane.

Na galerii rozległy się podniecone głosy.

— Nie mam więcej pytań — oznajmił Jack.

— Panno Cushing?

Wstałam i podeszłam do świadka, a w głowie wirowały mi bezużyteczne myśli. Ja. Kobieta wspomniana w kilku czasopismach prawniczych jako osoba, której nie należy lekceważyć.

— Panie Hemmel — zaczęłam, usiłując się uspokoić. — Skąd pan wie, że prześcieradła były zmięte po wyjściu pani Ogden z motelu?

— Pokojówka, Hortensja, mi powiedziała. Jack się skrzywił.

Nareszcie. Nie pozwoliłam, żeby wymknął mi się uśmiech.

— Więc w rzeczywistości nigdy nie widział pan tych prześcieradeł.

— No nie. Ale Horty nie ma powodu kłamać.

— Nikogo nie oskarżam o kłamstwo, panie Hemmel. Wskazuję tylko sądowi, że w rzeczywistości nie widział pan rzekomego bałaganu. To zeznanie jest oparte na pogłoskach — podkreśliłam. — Nie mam więcej pytań.

Jack nie zamierzał się poddać. Wstał i wezwał na świadka Hortensję Murtado.

Panna Hortensja Murtado rozwodziła się o przystojnym mężczyźnie i pięknej kobiecie oraz ich wielkiej miłości. Sąd, a także galeria, obejrzeli kolejne zdjęcia mojej matki z tym samym niezidentyfikowanym i podejrzenie nieosiągalnym mężczyzną, gdy całowała go przy wejściu do motelowego pokoju, zdjęcia jej samochodu zaparkowanego przy drzwiach i tablic rejestracyjnych, a także kolejne fotografie, na których opuszczała pokój, poprawiając włosy. Nie byłam pewna, kiedy Jack znalazł chwilę na rozmowę z Philipem, tyle czasu musiał

spędzić w samochodzie, pstrykając zdjęcia aparatem, który z pewnością trzymał w schowku na rękawiczki, dokładnie na taką okazję. Bez względu na wszystko zgłaszałam sprzeciw z każdego w miarę sensownego powodu, a także z paru bezsensownych, chciałam bowiem przełamać hipnotyczny urok, który zdołał rzucić na mnie Jack. Żaden ze wspomnianych sprzeciwów nie doprowadził mnie do niczego poza coraz surowszymi spojrzeniami sędziego.

— Panno Cushing, czy ma pani jakieś pytania do panny Murtado? — zapytał sędzia.

— Tak, panie sędzio.

Oparłam się lekko o brzeg stołu, zanim wstałam i podeszłam do miejsca dla świadków.

— Panno Murtado? — zaczęłam z miłym uśmiechem. Przeniosła rozmarzone spojrzenie ze mnie na Jacka. — Tutaj — powiedziałam, kiwając palcami.

Odwróciła się, marszcząc brwi.

— Panno Murtado. Czy to możliwe, żeby prześcieradła już były zmięte, zanim pani Ogden przybyła do motelu?

Pokojówka się wyprostowała.

— Słam łóżka każde rano. Robie moja praca. Ja dobra w moja praca. Ty nie mówić inaczej. Ta kobieta—powiedziała, wskazując na moją matkę. — przyjsć do motel i zbałaganić prześcieradła Ja zmieniać każdy raz, kiedy oni robić ich zła miłość!

Stłumiłam jęk. Teraz była też pokojówka, która sugerowała, że moja matka miała romans.

Serce waliło mi o żebra i poczułam perlący się na czole gorący pot.

Zmuszając się do uśmiechu, skupiłam się na świadku.

— Panno Murtado, czy widziała pani panią Ogden i tego mężczyznę podczas... intymnego stosunku?

— Co?

— Uprawiających seks.

Znów nerwowe rozmowy na galerii.

— Nie, ja właściwie nie widzieć, ale ja wiem, co wiem. — Pociągnęła nosem.

— Oczywiście, ale ich pani nie widziała, zgadza się? Założyła to pani z powodu zmiętych prześcieradeł? Panno Murtado, proszę odpowiedzieć.

— Nie, ja nie widzieć.

— Dziękuję. Skończyłam z tym świadkiem, Wysoki Sądzie.

— Jest pani wolna.

Jack wstał, ale nie wrócił już do pokojówki.

— Wysoki Sądzie, wzywam Bertrama Wickera. Motelowy konserwator ruszył w stronę miejsca dla świadków

spokojnym krokiem, mimo upału miał na sobie kraciatą flanelową koszulę.

— Panie Wicker — odezwał się Jack — stwierdził pan, że jest przekonany, iż pani Ogden miała romans z mężczyzną, który wynajął pokój numer pięć w motelu Lazy 6.

— Tak jest.

Czy faktycznie widział pan panią Ogden i tego mężczyznę podczas seksualnego stosunku?

- Nie, proszę pana, nie widziałem. Galeria zamarła, a ja nadstawiłam uszu.

Jak w takim razie doszedł pan do wniosku, że relacja pani Ogden i tego mężczyzny ma charakter seksualny? - No bo proszę pana, słyszałem ich na własne uszy. Najspokojniej, jak mogłam, przejrzałam notatki. Żadnej wzmianki o kimkolwiek, kto coś by słyszał.

— Jak to się stało, że pan ich słyszał? — zapytał Jack.

— Mamy w Lazy 6 problem z nietoperzami i używałem jednego z tych urządzeń do podsłuchu i nagrywania przy ścianie pokoju numer cztery, żeby znaleźć ich kolonię. — Zachichotał. — Nietoperzy nie słyszałem, ale usłyszałem, co nią działo w pokoju pięć.

W tym momencie Jack zaskoczył nas wszystkich, włączając przenośny magnetofon. W wysoko sklepionej sali sądowej rozległy się kobiece jęki.

Zerwałam się tak gwałtownie, że przesunęłam drewniany stół o dobre trzy cale.

— Sprzeciw!

— Panie Blair, proszę wyłączyć to cholerstwo.

— Wysoki Sądzie — powiedziała, gdy głos z magnetofonu gwałtownie umilkł. — Nie uprzedzono mnie o istnieniu tej taśmy. Pan Blair wyraźnie pogwałcił zasady etyki. Domagam się unieważnienia postępowania.

Sędzia Melton nie był zachwycony, ale zanim zdążył podjąć decyzję, Jack wygłosił mowę godną Oscara.

— Wysoki Sądzie, przepraszam pozwaną i sąd za moją nietypową metodę.

Nietypową metodę? Być może prychnęłam, na pewno prychnęłam, bo wszyscy odwrócili się, żeby na mnie spojrzeć.

— Jednak pani Ogden i jej dwokat bardzo niechętnie udzielają informacji, do których posiadania jest uprawniony mój klient. Uważam, że stanowiło okoliczność łagodzącą i jestem zmuszony działać w najlepszym interesie mojego klienta.

Sędzia rzucił mi groźne spojrzenie, po czym powiedział:

— Chcę usłyszeć resztę nagrania z tej taśmy. Nie mogłam uwierzyć. Znów wstałam.

— Wysoki...

— Proszę się nie trudzić, panno Cushing.

— Wysoki...

Jack nie był głupi. Nie czekał, włączył magnetofon i jęki znów się zaczęły.

— „O tak — powiedziała kobieta — Chcę jeszcze”.

— Wysoki Sądzie — wymamrotali- — Nie sposób określić, kto został nagrany.

— „Cierpliwości, Ridgely”.

Jęknęłam, a potem chciałam zapaść się pod ziemię, kiedy przez salę przetoczył się orgazmiczny krzyk: „O mój Boże, jesteś wspaniały!”.

Matka ze stoickim spokojem siedziała prosta jak świeca, mimo nieciekawej sytuacji nie tracąc dumnej miny. Pospiesznie notowałam, z jakich powodów należy się nam unieważnienie procesu. Nie mogłam sobie wyobrazić że coś mogłoby pójść gorzej, ale oczywiście poszło. Wszedł jakiś mężczyzna i podsunął Jackowi kartkę.

Pan adwokat ją przeczytał, potem spojrzał na mnie, następnie zwrócił się do sędziego.

— Wysoki Sądzie, właśnie się dowiedziałem, że zlokalizowaliśmy nieznanego z nazwiska mężczyznę z fotografii. Chciałbym prosić o czas na przesłuchanie niejakiego Martina Pendera, który właśnie przybył do sądu. — Drzwi z tyłu sali otworzyły się z głośnym hukiem i wszyscy się odwrócili, by spojrzeć na człowieka mniej więcej podobnego do rozmazanej postaci ze zdjęć.

— Martin? — Moja matka gwałtownie nabrała tchu.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje, i zgłosiłabym sprzeciw, choć nie wiem na jakiej podstawie, ale w tym momencie moja matka przeszła samą siebie. Gdy wezwany wszedł w przejście między rzędami, wyszeptła:

— Ojej — i zemdlą.

Rozdział 26

Nigdy w życiu nie byłam matce bardziej wdzięczna za jej teatralne zachowanie.

Podbiegł do niej urzędnik sądowy, nawet Vincent ruszył w jej stronę, chociaż Jack go przytrzymał.

— Wysoki Sądzie... — zaczęłam, ale nie musiałam.

— Sąd wznowi posiedzenie jutro rano. — Sędzia Melton kiwnął palcem, żebym podeszła.

Kiedy przed nim stanęłam, Jack dopiero pospiesznie zmierzał w naszą stronę. Sędzia powiedział:

— Nie będę tolerować na sali występów pani matki. Potem wstał i wyszedł dokładnie w chwili, gdy Jack stanął obok.

— O co chodziło?

— Och, o nic.

Kto lepiej niż ja wiedział, że „występów mojej matki” nie można kontrolować, a przynajmniej ja nie mogłam.

— Wiesz, jak mężczyźni reagują na moją matkę. Martwił się o jej zdrowie, to wszystko.

Jack zaklął, czoło przecięła mu zmarszczka niepokoju.

Powinien się być niepokoić. Wiedział równie dobrze jak ja, że tego dnia naraził się bardziej, niż powinien. A sędzia Melton był znany z tego, że zmieniał zdanie. Bez względu na to, jakie powody sprawiły, że Jack chciał dopaść mamę, musiał uważać, by nie przesadzić i sobie tym nie zaszkodzić.

Uśmiechnęłam się do siebie, a potem ruszyłam w stronę mamy, którą właśnie wyprowadzano z sali.

W samochodzie Ridgely wygładziła spódnice.

— Byłam niezła, prawda?

— Średnio, skoro sędzia się zorientował. Jeżeli jeszcze raz coś takiego zrobisz, to wsadzi cię do więzienia za obrazę.

— Nie może tego zrobić!

— Może i zrobi.

Podjechałyśmy pod dom i mama wypędziła mnie z samochodu, po czym poleciała Ernestowi, by dał jej kluczyki.

— Muszę się z kimś zobaczyć.

— Mamo, nie waż się z nikim rozmawiać o sprawie!

— Ktoś musi coś zrobić.

Mogłam położyć się przed mercedesem, tylko taki miałam pomysł na jej powstrzymanie. A szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy nawet zablokowanie drogi skończyłoby się czymś poza śladami opon na moich plecach.

Wróciła godzinę później, bardzo z siebie zadowolona. Nawet poprosiła Lupe o kieliszek sherry.

— Mamo, musimy porozmawiać o Martinie Penderze, bez alkoholu.

Lekceważąco machnęła ręką. - Nie ma o czym rozmawiać. - Co chcesz powiedzieć?

— Martin Pender nie stawia się jutro w sądzie.

Zatkało mnie.

— Mamo, co zrobiłaś?

Uśmiechnęła się tym szczególnym pełnym zadowolenia uśmiechem i pociągnęła kolejny łyk.

— Zabiłaś go! Westchnęła z rozdrażnieniem.

— Dobry Boże, Carlisle. Nie bądź śmieszna. — Uśmiech powrócił. — Po prostu, przekonałam go, że opłaca mu się opuścić miasto.

Zakryłam uszy dłońmi.

— Nie chcę tego słyszeć. — Bo jaki miałam wybór? Donieść na matkę, że manipuluje świadkiem? Udawać, że jej nie słyszałam? Wybrałam to ostatnie, bo czemu nie. Nie tylko ja w tej sprawie zapomniałam, jak powinien postępować prawnik.

Wyszłam, zastanawiając się, jakim sposobem wplątałam się w tę awanturę z szaloną matką, zwariowanym sędzią i adwokatem strony przeciwnej, który tak swobodnie naginał zasady.

*

Ze względu na rozkład rozpraw byłam zmuszona przenieść zajęcia szkoły tańca dla debiutantek na wieczory. Podczas spotkań z dziewczętami nie traciłam czasu. Musiały zmienić się w stosownie zachowujące się, poruszające się z gracją młode damy, choćbym miała umrzeć.

Musztrowałam je niby sierżant piechoty morskiej, powtarzając z nimi kroki jak na poligonie. Chodziłyśmy, rozmawiałyśmy, ćwiczyłyśmy wymianę uprzejmości. I wykonałyśmy więcej dygnień niż dworzanie w obecności królowej. Niestety, dziewczęta nie robiły żadnych postępów. Tiki i Abby nawet nie próbowały zdobyć się na coś poza ruchem głowy. Sasha większość czasu spędzała na rozmowach przez komórkę ze swoim chłopakiem, a ja wciąż się denerwowałam, że Ruth nadal martwi się pieniędzmi.

Smithowie wzięli tylko jeden stół, choć niepisana reguła mówiła o przynajmniej dwóch, i płacili za niego w ratach — co, podejrzewałam, zdarzyło się po raz pierwszy w historii balu debiutantek w Willow Creek. Gdy zapytałam Ruth o suknię, odpowiedziała wymijająco, wykrzykując, że będzie wspaniała. To jej radosny uśmiech niepokoił mnie najbardziej.

W sądzie galeria była jeszcze bardziej zapchana. Savannah mnie przed tym ostrzegła, wspominając przy śniadaniu, że każdy, kto się liczył w mieście, dyskutował o moich tragicznych debiutantkach i ekscytującym przebiegu procesu. Wainwrightowie stali się najlepszą w mieście rozrywką.

Słyszac to, matka wystroiła się w oszalamiający granatowy kostium, który podkreślał kolor jej oczu, blond włosy i delikatną skórę, olśniewającą nawet w kiepsko oświetlonej sali sądowej. W uszach i na szyi miała perły i gdy przyszłyśmy, witała ludzi, jakbyśmy zjawiły się na przyjęciu na jej cześć, a nie na przesłuchaniu, które mogło ją pogrzyść.

- Nigdy nie pozwól im zobaczyć, że tracisz rezon — wyszeptała do- mnie w świetle fleszy gazetowych fotografów. Wysoki Sądzie, wzywam Martina Pendera — oznajmił Jack.

Mama uśmiechnęła się spokojnie,

Jack jednak spojrział na mnie, unosząc brwi, jakby wiedział, co zrobiła moja matka. Potem kiwnął głową w kierunku wewnętrznych drzwi, a te się otworzyły, ukazując Martina Pendera prowadzonego przez dwóch urzędników sądowych.

Uśmiech mamy zgasł i zorientowałam się, że zaraz zemdleje, tym razem naprawdę.

- Nie waż się — syknęłam.

Martin Pender był wysoki, przystojny, miał przepastne brązowe oczy, a skóra w kolorze kawy z mlekiem zdradzała jego hiszpańskie pochodzenie.

Zmarszczyłam brwi. Coś było nie tak. Pender stanął przed urzędnikiem sądowym, niechętnie kładąc rękę na Biblii.

— Czy przysięga pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

Wzruszył ramionami.

— Czym jest prawda?

Sędzia Melton spojrział groźnie i zaczął coś mówić, z pewnością coś niemilego i pachnącego kolejną nocą w areszcie.

— No dobrze, powiem prawdę. A prawda jest taka, że jestem tu wbrew własnej woli — oświadczył, zwracając się do mojej matki bardziej niż do kogokolwiek innego.

— Wysoki Sądzie — włączył się Jack. — Chciałbym, aby sąd uznał pana Pendera za wrogo nastawionego świadka.

— Zanotowano. Jack odchrząknął.

— Panie Pender, proszę podać do akt swoje nazwisko. Podał nazwisko niechętnie, z wahaniem, ale plugawe szczegóły „rzekomo” łączącego go z matką romansu — przeciwnie.

— Spotkałem ją w kawiarni na River Walk w San Antonio. Wiedziała, że mama uwielbiała River Walk i często tam bywała.

— Flirtowała ze mną.

Oczywiście. Flirtowała ze wszystkimi mężczyznami.

— Potem spotkałem ją ponownie w następnym tygodniu w tej samej kawiarni. Zaczęliśmy rozmawiać.

Jack nie dawał mu spokoju, zadawał pytania, bezlitośnie przyciskając świadka i przechodząc od początkowych niewinnych flirtów do ukradkowych randek, a potem do pierwszego fizycznego kontaktu. A wszystko to działo się w San Antonio, aż ustalili regularne spotkania w motelu Lazy 6.

Gdy Pender się rozgrzał, uraczył publiczność opowieścią o pomysłowym seksie, tak że wszyscy zaciskali kolana, nawet jeśli z rumieńcem zakłopotania na twarzy. Rzucił słowami w rodzaju „naga” i „rozpalona”, „spocona skóra” i „wsuwać” z taką swobodą, jakbyśmy trafili do porno--shopu.

Tylko Jack zniósł to ze spokojem wojownika, który przywykł do widoku krwi. I kiedy skończył zadawać pytania, w sali zrobiło się o wiele za gorąco i dość wstrętnie. Jednak z powodu szczegółowego opisu nikt nie miał wątpliwości, że matka rzeczywiście miała romans z Martinem Penderem. Nawet ja nie przypuszczałam, że mógłby zmyślić tak soczystą opowieść.

— Sąd wznowi posiedzenie jutro o dziesiątej — oznajmił Sędzia, podrywając się tak gwałtownie, że jego skórzane krzesło uderzyło o ścianę i urzędnik sądowy musiał przez nie przejść, żeby otworzyć sędziemu drzwi.

W samochodzie w drodze do domu obie z matką milczałyśmy. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć. Nie wiedziałam też, jak spojrzeć jej w oczy po tym, co usłyszałam w sądzie. Jakby czytając w moich myślach, prychnęła i wyjrzała przez okno. Za oknem przesuwiała się panorama Willow Creek, a ja wpatrywałam się w jej profil.

— Co ma przeciw tobie Jack Blair? Gwałtownie odwróciła głowę w moją stronę.

— O czym ty mówisz?

— Szczerze? Nie wiem. Z początku myślałam, że chodzi o mnie, ale teraz nie jestem już pewna. Gdybym miała żyłkę do hazardu, obstawiałabym, że chce dopaść ciebie. —

Bezwiędnie się wzdrygnęłam. — Boże, mamo, z nim też uprawiałaś seks?

— Carlisle! Absolutnie nie.

Słusznie czy nie, ale jej uwierzyłam.

— Więc dlaczego? — nalegałam. Westchnęła.

— Kto wie. Kiedy chodzi o takich Bennettów czy Blairów, nigdy nie zachowywali się szczególnie przyjaźnie.

Prawdę mówiąc, ona też nigdy nie była dla nich szczególnie miła.

— O cokolwiek by chodziło — ciągnęła — nigdy nie spotkałam tak grubiańskiego zachowania.

— Mamo, prawnicy nie mają obowiązku zważać na maniery.

— Carlisle, wszyscy powinni zważać na maniery, bez względu na stanowiska.

Moja matka — arbiter etykiety.

Milczaliśmy, napięcie urosło między nami do rozmiarów nieproszonego trzeciego pasażera.

— Marnie to wygląda — oświadczyła w końcu.

— Dobra rada?

— Przestań zachowywać się jak dziecko.

— Nie jestem dzieckiem. Chyba tupnęłam nogą.

Uwaga: jesteś dorosła, odnosisz sukcesy, jesteś uznanym prawnikiem.

— Nie rozumiem — stwierdziłam. — Odkąd wróciłam do domu, tylko mnie krytykujesz.

Czemu chciałaś, żebym zajęła się twoim rozwodem, skoro nie masz zaufania do moich umiejętności i nie zamierzasz mi pomóc?

— Dobry Boże, Carlisle, co w ciebie wstąpiło? Gwałtownie się wyprostowałam.

— Co we mnie wstąpiło? Czemu dla odmiany nie spojrzysz w lustro i nie po to, by podziwiać swoją urodę?

Strasznie ucichła, zły znak, ale za bardzo mnie poniosło, żebym na to zważała.

— Przez całe moje życie pakujesz się w kłopoty i oczekujesz, że cię z nich wyciągnę, co już jest kiepskie — powiedziałam. — W dodatku nigdy, przenigdy nie jesteś zadowolona z tego, jak to robię. Czemu nie przestaniesz pakować się w kłopoty? Czemu nie przestaniesz domagać się ciągłej uwagi? Czemu nie możesz być taka jak każda inna normalna matka?

Spodziewałam się choćby odrobiny skruchy. Niepotrzebnie.

— Ponieważ, moja droga, skromne panienki, o które każdy może sobie wytrzeć buty, do niczego w życiu nie dochodzą — oświadczyła zimno. Zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół. — A poza tym co jest złego w pragnieniu bycia zauważoną?

— Pewnie nic, jeżeli będziesz aktorką, śpiewaczką operową, politykiem... wszystko jedno. Ale nie matką na spotkaniu komitetu rodzicielskiego w szkole podstawowej albo na moich przyjęciach urodzinowych, albo kiedy córka dostaje się do finału konkursu dyskusyjnego. Nie ty miałaś być wtedy zauważona. Byłaś dorosła, byłaś matką, nie jednym z dzieci. Ale nie, nigdy nie mogłaś zachować się jak zwykła mama. Żadnego fartucha, żadnych ciasteczek, żadnych prostych pytań w rodzaju: „Jak ci poszło w szkole, kochanie?”.

Wbiłam obcasy w podłogę zaskoczona, że wszystko to z siebie wylałam.

Ernesto rzucił nerwowe spojrzenie w lusterko wsteczne. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę niepisaną zasadę Wainwrightów, Aby za wszelką cenę unikać konfrontacji.

Obie z matką milczałyśmy, kontakt został zerwany. Resztę drogi przejechaliśmy w milczeniu. Gdy dotarliśmy na długi ceglany podjazd, byłam sfrustrowana i zagubiona. Chciałam już iść, ale mama chwyciła mnie za ramię i poleciła Ernestowi, żeby nas zostawił.

Podczas gdy ja czułam się rozbita, mama miała dziwny, niemal melancholijny wyraz twarzy. Siedziała tak całą wieczność, nie pozwalając mi wysiąść, nic też nie mówiła. Wreszcie zapytała:

— Chcesz znać sekret?

Nie byłam pewna. Mogło chodzić o serię wskazówek, których nie miałam zamiaru stosować.

— Nigdy nie uważałam się za piękną.

Zmrużyłam oczy. Moja matka, wielka admiratorka własnej urody, nigdy nie uważała się za piękną?

— Kiedy byłam młoda, nie byłam ładna — ciągnęła, wygładzając idealne fałdy spódnicy. — W miarę gdy dorastałam, wyrosłam z tego, ale byłam zaskoczona, że ludzie zaczęli nazywać mnie piękną. I wiesz, jedno prowadzi do drugiego, wkrótce zaczęłam się starać wyglądać jeszcze piękniej. Ludzie traktowali mnie zupełnie inaczej, gdy już uznali mnie za idealną piękną. Wprawiało mnie to w zakłopotanie, szczególnie że nigdy nie uważałam się za idealną. Byłam wręcz pewna, że nim nie jestem. Nauczyłam się jednak, że jeśli nie pozwolę nikomu poznać żadnej mojej słabości, wtedy ludzie uwierzą w fasadę.

Czy właśnie to ją załamało?

— Co jest złego w tym, że chciałam się czuć piękna? Jak miałam na to odpowiedzieć? Czy w ogóle istniała

odpowiedź? I czy kłopot polegał na tym, że wciąż godziła się na kompromisy, by skupić na sobie uwagę?

— Czy pamiętasz, że kiedy byłaś mała—mówiła i słyszałam w jej głosie ślad uśmiechu — wyciągałaś z bielizniarki czerwony plażowy ręcznik i zakładałaś go jak pelerynę? Całymi godzinami z wielką powagą czymś się zajmowałaś. To było słodkie, ale zawsze uważałam, że szkoda, że nie pobiegasz sobie w tej pelerynie po podwórku, nie pobawisz się po prostu.

Wiesz, odpuścisz. Ale ty zakładałaś ją tylko do pracy, nawet mając cztery latka.

Poczułam żar na policzkach i nie ośmieliłam się jej powiedzieć, że chociaż czerwony ręcznik już dawno zaginął, wciąż jeszcze myślałam o pelerynie jako czymś w rodzaju zabezpieczającej przed sztormem kotwicy.

— Jeszcze tylko ten jeden raz wyciągnij swoją pelerynę i znajdź sposób, by wszystko naprawić, Carlisle. — Nawet jak na siebie ciągnęła z wysoką nutą. — A obiecuję, że już nigdy nie będę ci zawracać głowy balem debutantek czy rozwodem.

Rozdział 27

Siedziałam w samochodzie jeszcze długo po tym, kiedy mama weszła do domu. Nie potrafiłam określić, co czułam. Brakowało mi wprawy w ocenie emocji i nie umiałam się w tym wszystkim rozeznać.

Gdy weszłam do środka, jako pierwszą zobaczyłam Janice i wtedy zrozumiałam, co zrobię.

— Chodź. — Chwyciłam ją za rękaw i wyciągnęłam z pokoju.

— Dokąd idziemy?

— Do szkoły.

Bratowa spojrzała na mnie z niepokojem.

— Po co?

— Po suknię.

— Żartujesz.

— Zaskakujące, ale nie. Jeżeli India rzeczywiście wzięła suknię, nie może jej to ująć na sucho.

— To szaleństwo. Nie możemy wejść do szkoły. Spojrzałam na nią twardo.

— Chcesz tę sukienkę, prawda?

— Tak, ale dzwonię, gdzie się da. Na pewno ktoś w stanie Teksas ma tę suknię.

— I jak ci idzie? Jęknęła.

— Nie mogą znaleźć drugiej takiej.

— Więc co z tym zrobisz, mamuśko?

— O rany — mruknęła, ale pozwoliła zaciągnąć się na górę, a tam zwerbowałam do pomocy Savannah.

— Zrób z nas nastolatki.

— Dobry Boże, mam talent, ale nie jestem cudotwórczy-nią. — Savannah obrzuciła sylwetkę ubranej w gazę i muślin trzydziestosiedmioletniej Janice szybkim spojrzeniem.

Mimo wszystko uważam, że świetnie sobie poradziła dzięki makijażowi, ciuchom bez pozwolenia pożyczonym z szafy Morgan oraz starym kostiumom z Halloween.

Zrobione na „nastolatki” zabrałyśmy z Janice volvo i ruszyłyśmy do miasta z ryczącym radiem.

— Żeby wprawić się w odpowiedni nastrój — wyjaśniłam, włączając lokalną stację TOP 40. Czułam się młoda i beztraska, co prawdopodobnie nie jest najlepszym nastawieniem przy okazji planu włamania i nieuprawnionego wejścia do liceum w środkowym Teksasie.

— Jak właściwie zdobędziemy tę suknię? — nerwowo zapytała Janice, gdy podjeżdżałyśmy na szkolny parking, żując gumę, na którą się uparłam, uznając ją za kluczowy akcent przebrania. Z wielkiej płóciennej torby szkolnej, którą znalazłam, wyciągnęłam pilnik do paznokci.

— Co? — W głosie Janice zabrzmiała panika.—Włamiemy się do szafki Indii? Nie możemy.

— I ty uważasz się za dziennikarkę śledczą?

— To ty opowiadałaś o bezprawnym przeszukaniu i przejęciu.

— To było, zanim wyciągnęłam swoją czerwoną pelerynę.

— O czym ty mówisz?

— Nieważne, musimy się pospieszyć.

Wysiadłam z samochodu, ciamkając gumą i ciągnąc za sobą torbę, po czym potknęłam się z powodu masywnych obcasów, na które z kolei uparła się Savannah.

— Musimy dostać się do środka, kiedy dzieiaki będą zmieniać klasy, żeby, zobaczyć, gdzie jest szafka Indii.

Janice jakoś nie mogła wysiąść z samochodu. Pobiegłam dookoła i otworzyłam jej drzwi.

— Czy to nie ty twierdziłaś, że chcesz być oddaną matką?

— Tak, oddaną, a nie odsiadującą osiem do dziesięciu lat. Roześmiałam się szeroko.

— No chodź, Janice. Głęboko westchnęła i wysiadła.

— Wiesz, że to szaleństwo?

— Jasne — powiedziałam i pociągnęłam ją za sobą. Na szczęście po jardzie czy dwóch Janice weszła w rolę. — Wmieszamy się w tłum — oświadczyła, chociaż nie byłam pewna, kogo właściwie usiłuje przekonać.

Po cementowych schodach podeszłyśmy do drzwi po zachodniej stronie, wślizgnęłyśmy się do środka i pospiesznie ruszyłyśmy jednym, potem następnym korytarzem, przedzierając się przez szkolny labirynt.

Im dalej wchodziłyśmy, tym bardziej Janice wczuwała się w rolę. Kiedy zadzwonił dzwonek i uczniowie wylali się na korytarze, moja współpracownica w zbrodni bratała się już z masami.

— Co, stary?

— Super — powiedział jakiś chłopak. — Człowieku, co te babcie robią w szkole?

To tyle, jeśli chodzi o wtapienie się w tłum.

— Opuść głowę — poleciłam.

Tuż przed dzwonkiem na piątą lekcję zobaczyłyśmy Indię przy szafce. Oczywiście ledwie ją otworzyła, szybko wrzuciła książki do środka i wyciągnęła inne, po czym z trzaskiem

zamknęła drzwi i odeszła. Gdy tylko zadzwonił dzwonek, ruszyliśmy galopem. Poraziła mnie nagła, niemal ogluszająca cisza, gdy dzieciaki wróciły do klas.

— To ta. — Rzuciłam torbę i wyciągnęłam pilnik. Rozejrzałam się po szerokim opustoszałym korytarzu, po

którego obu stronach stały szafki. Duży okrągły zegar wskazywał pierwszą trzydzieści dwie.

Wsunęłam pilnik do zamka i zabrałam się do pracy, ale jakkolwiek bym go wsadzała, zatrask nie chciał puścić.

— Szybko.

— Pracuję najszybciej, jak umiem.

— Daj, ja spróbuję. Przejęła pilnik, ale bez efektu.

- Ktoś idzie — wydyszałam, gdy nagle usłyszałam odległy stukot rozsądnej wysokości obcasów, odbijający się echem od ścian korytarza.

Chwyciłam pilnik i wetknęłam między zewnętrzne metalowe obramowanie a drzwi, posłużyłam się nim jak łomem (niewątpliwie z pomocą adrenaliny) i zatrask odskoczył. Cofnęliśmy się zaskoczone, gdy wypadła suknia. Ledwo ją złapałam, żeby nie spadła na podłogę.

— Mamy ją! — pisnęła Janice. Kroki stały się głośniejsze.

— O rany, musimy się pospieszyć! — wyszeptała dramatycznie.

Jak wariatki wpychałyśmy falującą satynę, tiul i organzynę do torby, w pośpiechu o mało nie przycinając sobie palców zamkiem błyskawicznym. Następnie rzuciłyśmy się w stronę przeciwną niż kroki i pognałyśmy przez korytarze. Obie skończyłyśmy to właśnie liceum i znałyśmy drogę na pamięć mimo lat, które upłynęły.

W prawo, potem w lewo, na masywnych obcasach ślizgałyśmy się po lśniącem linoleum jak dzieciaki z filmu *Breakfast Club*.

— Jeszcze jeden korytarz i jesteśmy wolne — wysapała Janice.

Skręciłyśmy w korytarz, który zaprowadził nas z powrotem do bocznych drzwi. A tam na samym środku stał pan Sisk od niepamiętnych czasów sprawujący funkcję zastępcy dyrektora.

— Co, do licha, robicie poza klasą, dziewczynki?

Rozdział 28

Uciekać ndk V c (1425) oznacza: 1. umykać; 2. uniknąć uwięzienia; 3. uniknąć kompletnie i stuprocentowo kłopotliwej sytuacji schwywania w liceum, które niezbyt się lubiło, gdy należało do niego chodzić, i w którym zdecydowanie pragnie się uniknąć repety w tak niepomysłnych okolicznościach.

Ale może to tylko moje zdanie.

Mogę tylko stwierdzić, że dzięki Bogu pan Sisk miał ze sto lat i w przeciwieństwie do prawdziwych uczniów nie potrafił utwierdzić, że „dziewczynki”, na które się natknął, były znacznie starsze niż pozostające pod jego opieką uczennice. Myślę, że kwestia wieku naprawdę jest relatywna.

— Pan Sisk! — wyjąkałam.

— Co się tu dzieje, młode damy?

— Eee... —• Eee...

Zdobywczyni Pulitzera i znakomita prawniczka, a nie zdobyłyśmy się na nic lepszego niż dwa „Eee”.

— Proszę za mną—warknął.

Wiedziałam, że to się nie może dobrze skończyć. Po pierwsze, nie zamierzałam w tak zaawansowanym wieku zostawać za karę po lekcjach, po drugie, kara oznaczałoby prawdopodobnie okręgowe więzienie w Willow Creek za nieuprawnione wejście na teren szkoły, włamanie i wtargnięcie na teren prywatnej posiadłości oraz, cóż, kradzież.

Owszem, zajmowałam się właśnie ratowaniem uświęconej rodzinnej spuścizny, owszem, wyciągnęłam z lamusa pelerynę, ale prawda była taka, że epizod z dyrygentem Rinaldim byłby drobiazgiem w porównaniu z obecną sytuacją.

Można było zrobić tylko jedno.

Za plecami Siska zerknęłam na Janice.

— Uciekamy — powiedziałam bezgłośnie.

— Co?

— Uciekamy.

Tak właśnie rozwiązałyśmy naszą niepewną sytuację. Zwiałyśmy.

— Hej! — ryknął za nami. — Wracać.

Jasne, jak powiedziałyby nasze młode debiutantki.

Całkowicie popieram stałą kontrolę bezpieczeństwa w szkołach, dziękowałam jednak naszej szczęśliwej gwiazdce, że liceum w Willow Creek nie musiało się jeszcze uciec do tej praktyki. Przez boczne drzwi wypadłyśmy na parking, wskoczyłyśmy do samochodu i odjechałyśmy, zanim biedny pan Sisk dodarł na chodnik. Z pewnością jego układ krążenia od lat nie musiał tak ciężko pracować.

— Kiepsko się czuję — powiedziałam Janice, gdy odjechałyśmy dość daleko. Serce biło mi tak szybko, że bałam się, żeby nie zemdleć.

— Tak, ja też.

— Po głosie nie da się tego rozpoznać. Spojrzała na mnie, potem się uśmiechnęła.

— Mamy suknię, mamy tę suknię!

Nasza pewność siebie zniknęła jednak, gdy dotarliśmy do domu i wyciągnęliśmy wieczorowy strój z torby. Rozradowana mina Janice stężała.

— Co się z nią stało? O rany.

Po chwili wrzasnęła:

— Kurwa! Jest zrujnowana!

Nie przesadzała. Biała balowa suknia była wygnieciona i brudna, jakby India wyniosła ją na parking przed szkołą i po niej skakała.

Lupe weszła energicznym krokiem, rzuciła tylko okiem na Huknie i cmoknęła.

— Ja naprawiam. — Chwyliła ją z rąk Janice i zniknęła. Bratowa zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

— Po tym wszystkim suknia jest do niczego!

— Nie doceniasz mocy Lupe.

Zostawiłam Janice podczas wędrówki po pokoju, poszłam do swojego zaimprovizowanego gabinetu i zabrałam się do pracy. Czas mijał i zanim się zorientowałam, usłyszałam Morgan wracającą ze szkoły z resztą dzieci, potem Robbie obudził się z drzemki i przypomniał wszystkim, że on też tu jest.

Kiedy zesłam na dół, zjawiłam się w samą porę, by zobaczyć Lupe wychodzącą z pralni z białą balową suknią pięknie zawieszoną na wieszaku.

— To dla panienki Morgan. Morgan zabrakło tchu.

— O do licha! Skąd ją wzięłaś, Lupe?

— Twoja mama wziąć ją dla ciebie. Morgan zwróciła się do matki.

— Żartujesz? Jak?

— Cóż...

Najwyraźniej Janice nie przygotowała odpowiedzi na to pytanie.

— Znalazłam ją — rzuciła na próbę. Uniosłam brwi.

— Okay, znalazłam ją w szkolnej szafce Indii — wyznała. Morgan wybałuszyła oczy.

— Żartujesz! To ty byłaś tą babcia, która krążyła po szkole!!! O rany!

Janice wyglądała raczej na spanikowaną niż szczęśliwą, ale Morgan popędziła przez kuchnię i zarzuciła matce ramiona na szyję.

— Mamo, rządysz — stwierdziła.

Tego wieczoru jednak wszystkie nasze uśmiechy i dobre samopoczucie zniknęły, gdy w drzwiach stanął niezapowiedziany Hunter Blair. Pierwszy raz w życiu uznałam, że mieszkanie w chronionych osiedlach ma sens.

— Co się tu dzieje, do cholery? — chciał wiedzieć.

Nie był zachwycony, ale jakoś nie miałam pewności dlaczego. Można by uznać, że chronił córkę, jednak przede wszystkim robił wrażenie skrępowanego.

— Nie wiem, o czym pan mówi — oświadczyła mama. — I proszę nie podnosić na mnie głosu.

Zdumiewające, ale twardy strażak z pól naftowych wyglądał na zakłopotanego.

— Kiedy wróciłem z pracy do domu — wyjaśnił już spokojniej — India miauczała coś o kradzieży balowej sukni.

India stała tuż za nim i tym razem zwykle arogancka nastolatka niepewnie przestępowała z nogi na nogę.

— Tato, daj spokój, to nic wielkiego. Daruj sobie.

— Doprawdy? — zapytała moja matka. — Jakiej sukni?

— Jej sukni na bal debutantek.

— Ma pan na myśli tę, którą, jak nam opowiedziała, kupił pan dla niej w Nowym Jorku? Tę, która jest boska, niezwykle droga, i której włożenia nie może się doczekać?

— Tej właśnie.

— Tato, naprawdę sobie daruj. Niech mają tę suknię.

— Pieniądze nie rosną na drzewach, młoda damo, wbrew temu, co sądzisz. Kupiłem ci tę suknię i nie zamierzam spokojnie patrzeć, gdy ktoś ją kradnie. — Zwrócił się do mojej matki.

— Przyszedłem po suknię, która została skradziona ze szkolnej szafki mojej córki.

Mama przyjrzała się nam wszystkim.

— Nie jestem pewna, o co tu chodzi. Wiem tylko, że mamy jedną balową suknię, na którą posiadamy rachunek, i żadnej innej. Morgan, idź po nią.

W oczach Indii zobaczyłam panikę i zrozumiałam, że musiała poskarżyć się ojcu, zanim zdała sobie sprawę, na co właściwie się skarży, a kiedy sprawa ruszyła, nie było odwrotu.

Morgan wróciła z sukienką.

— Czy za ten strój pan zapłacił, panie Blair? — zapytała mama.

Jako mężczyzna zapewne nie potrafiłby odróżnić jednej sukni od drugiej, wiedziałam jednak, że tę należącą do Indii ozdobiły ręcznie naszywane paciorki. Na sukni Morgan nie znajdował się ani jeden paciorek.

— To nie jest suknia, którą ci kupiłem. — Poorana bruzdami twarz Blaira okryła się czerwienią.

— Sądzę — ciągnęła moja matka — że kiedy wróci pan do domu i zajrzy do szafy córki, suknia tam będzie.

Hunter zwrócił się do Indii, mrużąc oczy.

— To jej szukały ostatnio te panie? — próbował wysondować.

— Mogę to wyjaśnić, tato.

— Z całą pewnością.

Mocno trzymając córkę za ramię, Hunter Blair życzył nam dobrej nocy. Dziewczynie należało się co nieco za przestępstwa, których się dopuściła, ale nie zazdrościłam jej tego, co czekało ją ze strony ojca.

Mama zamknęła drzwi. Janice, Morgan i ja stałyśmy jak trójka dzieci czekająca na reprimendę. Savannah stała obok rozbawiona.

— Co? — zapytała mama. — Naprawdę myślicie, że nie wiem o każdym drobiazgu, który ma miejsce pod moim dachem? — Przygładziła włosy. — Sądzę, że czas na kolację.

Poszła do jadalni. W tym momencie wymknęłam się przez drzwi frontowe i zatrzymałam Indię w chwili, gdy wsiadała do samochodu ojca.

Hunter nie miał zadowolonej miny.

— Czego pani jeszcze chce, panno Cushing?

— Tylko chwili rozmowy z pańską córką.

India zabiła mnie wzrokiem, ale nie opierała się, kiedy odciągnęłam ją na bok.

— Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale... — Mój mózg stanął. Co ja wyprawiałam? A jednak czułam, że India bierze się w garść. — Robisz różne dziwne rzeczy, ale nie sądzę, żebyś naprawdę chciała być podła.

Sądząc z wyrazu jej twarzy, musiałam chyba postradać rozum, ale z drugiej strony nie przerwała mi.

— Myślę, że robisz to, bo nie wierzysz, że zasługujesz na coś dobrego, ale zasługujesz. Zasługujesz, żeby ojciec i matka cię kochali. I może jeżeli przestaniesz odpychać ludzi i pozwolisz im się pokochać, to cię pokochają.

Nareszcie zaangażowałam się naprawdę, zamiast robić wszystko, co możliwe, by stać z boku. Nie stałam z boku, patrząc, jak ludziom dzieje się krzywda i z całej siły starając się w to nie mieszać. Zakręciło mi się w głowie od własnej przenikliwości i dobroci.

Dziewczyna stała przede mną sztywna, jej idealną skórę, pokrywał rumieniec, oczy miała szkliste. Przysięgam, że była na skraju łez. Potem się otrząsnęła.

— Niech pani spojrzy prawdzie w oczy, panno Cushing. Jestem suką, bo chcę być suką. Nie ma tu żadnego drugiego dna, jasne?

Wsiadła do samochodu i walnęła drzwiami, zostawiając mnie na podjeździe z na wpół otwartymi ustami.

Rozdział 29

Następnego ranka przeszłam obok nowej partii teksaskich gazet, które moja matka rozłożyła na kuchennym blacie. Kroniki towarzyskie informowały o balach odbywających się w całym stanie. Choć nawet ja nie mogłabym nie zauważyć słów takich jak „wspaniały” czy „ośniewający”, zakreśliła je na czerwono. Tak jakbym potrzebowała przypomnienia, że nasz bal miał się odbyć już za chwilę i cały Teksas będzie się przyglądał również nam.

Pojechałam do sądu sama, ponieważ chciałam dotrzeć tam wcześniej. Moja rodzina przysparzała najlepszej w mieście rozrywki, zanim jeszcze Martin Pender złożył swoje plugawe zeznania, jednak teraz stawaliśmy się atrakcją także na skalę kraju, z czego zdałam sobie sprawę, gdy zobaczyłam przed sądem ekipę Wiadomości właśnie rozstawiającą się na parkingu.

Nawet to nie mogło jednak stłumić głupiej dumy z odzyskania sukienki Morgan i to mimo zastosowania kretyńskiej taktyki. Teraz musiałam sprostać tej teksaskiej sali sądowej.

Wewnątrz obiegrałam wzrokiem panele ścienne z ciemnego drewna, marmurową posadzkę i powiedziałam sobie, że dam radę. Gdy galeria wypełniła się do tego stopnia, że ludzie ledwie mogli oddychać, miałam za sobą wszystko, od wizualizacji po autosugestię, że znajdę sposób, aby przekonać sędziego, że moja matka nie dopuściła się zdrady.

Bałam się, że puszcza mi nerwy, bo prawda była taka, że spędziłam całą poprzednią noc na pisaniu niezliczonych notatek, szczegółowych pytań, planu przebiegu tego dnia w sądzie. Nad ranem wiedziałam jednak, że mój plan nigdzie mnie nie doprowadzi. Było coś, co przegapiłam, coś, czego potrzebowałam, żeby sprawić cud. I nie miałam pojęcia co.

Wszedł Jack i skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie zdziwiła mnie obecność Racine uwieszanej na jego ramieniu. Posadził ją w pierwszym rzędzie, a ona go pocałowała.

— Carlisle — przywitał mnie sucho, bez złowieszczonego spojrzenia czy prowokacyjnego uśmiešku.

— Jack — odpowiedziałam chłodno.

Nasi klienci przepychali się na czoło tłumy, a Vincent pomagał mojej matce.

— Dziękuję, Vin — powiedziała, patrząc mu w oczy. Oboje z Jackiem przyglądaliśmy się uważnie. Nie mogliśmy

zrozumieć, jak Vincent mógł z nią rozmawiać po wczorajszych zeznaniach.

— Cieszę się, że mogę pomóc, Ridgely — zapewnił ją solennie. — Nie wszyscy tu wiedzą, jak zachowuje się džentelmen.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, dotknęła jego przedramienia i usiadła obok mnie.

— Panno Cushing — zaczął sędzia Melton po zakończeniu formalności.

Moja kolej.

Wzięłam głęboki oddech i wstałam.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. Ponownie wzywam Martina Pendera.

— Czy jest pan świadom tego, że cały czas zeznaje pod przysięgą? — zapytał urzędnik sądowy.

— Tak — odpowiedział krótko. Podeszłam do miejsca dla świadka.

— Panie Pender — zaczęłam i usłyszałam wahanie we własnym głosie.

— Tak?

Czułam się jak zamrożona. Halo, obudź się. Teraz albo nigdy, jeśli chcesz coś osiągnąć. Napomnienie nic nie dało.

— Panno Cushing — odezwał się sędzia. — Czekamy.

— Oczywiście. — Kiwnęłam głową. — Panie Pender, proszę podać swoje imię i nazwisko.

Jack wstał z rękami wzdłuż tułowia, dłonie miał odwrócone wewnętrzną stroną do góry.

— Wysoki Sądzie, to już mamy za sobą.

Serce biło mi wystarczająco szybko, by uruchomić dzwonki alarmowe na OIOM-ie.

— Świadek nie podał pełnego imienia i nazwiska — wyjaśniłam. Jakby to miało jakieś znaczenie. Jednak byłam dziwnie przekonana, że miało.

— Dobrze. Proszę kontynuować, panno Cushing.

— Proszę pana, proszę podać nazwisko.

— Martin Pender.

— A nie ma pan drugiego imienia?

— Och, ach. Tak. Oczywiście. Wilbur. Martin Wilbur Pender.

Widzowie przyglądali się ze zmarszczonymi brwiami, z wyrazem zniecierpliwienia i wzgardy, przygotowani na kolejną porcję ekscytujących zeznań. Zaczęły mi się pocić dłonie, ale byłam pewna, że matka nie miała romansu z tym człowiekiem.

Musi być sposób, aby przekonać o tym sędziego. Niestety, nic nie przychodziło mi do głowy.

- Dziękuję, panie Pender. Zawahałam się przez chwilę.

- Czy to wszystko? — zapytał świadek. Kiedy nie odpowiedziałam, zaczął się podnosić.

- Gdzie się pan urodził? — rzuciłam pospiesznie. Zatrzymał się w pół drogi.

- Proszę usiąść, panie Pender — poinstruował go sędzia. Mężczyzna ze złością wrócił na krzesło. Na jego górnej wardze pojawił się pot.

- Wszystko, co mam do powiedzenia, powiedziałem wczoraj. Miałem romans z Ridgely Ogden. To jedyny powód, dla którego tu jestem.

Sędzia Melton pochylił się w jego kierunku.

- Panie Pender, proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Dobrze — powiedział Pender. — Urodziłem się w Stanach Zjednoczonych.

- Gdzie dokładnie? Oczy mu się zwęziły. - W San Antonio. - W jakim szpitalu?

- Sprzeciw — odezwał się zmęczony i znudzony Jack. — Związek ze sprawą?

- Panno Cushing, muszę się tu zgodzić z panem Blairem. Nie widzę żadnego związku z czymkolwiek.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. — Ręka drżała mi dostrzegalnie.

- Pani adwokat, czy dobrze się pani czuje? — Sędzia mi się przyglądał.

Uśmiechnęłam się krzywo.

- Wszystko w porządku. Przez całą noc pracowałam nad sprawą, a jak pan zapewne słyszał, jestem również odpowiedzialna za tegoroczny bal debutantek. Dowód niech stanowią worki pod oczami.

Galeria zachichotała. Nawet Pender się uśmiechnął, wyraźnie uspokojony tym, że jestem taka nieskuteczna. Na ten widok mój mózg się uspokoił. Coś było nie tak, ale nie mogłam uzmysłwić sobie co. I wtedy mnie oświeciło.

Nie miałam czasu, żeby wszystko przemyśleć, ale czy sędzia nie wprowadził swoistej atmosfery wyrozumiałości, której nie mógł teraz zaprzeczyć?

Nie wiedząc, czy w basenie w ogóle jest woda, skoczyłam na główkę.

— Wysoki Sądzie, czy słyszał pan kawał o studencie A&M*, który poraniony i poobcierany wszedł do gabinetu lekarskiego?

Sędzia i wszyscy pozostali zamrugali ze zdziwieniem.

— No wie pan — ciągnęłam szybko — ten, w którym lekarz pyta studenta, co mu się stało, a student odpowiada: „wie pan, brałem udział w gonitwie konnej i mój koń mnie zrzucił. A potem zaczął po mnie skakać”.

Sędzia uśmiechnął się, tak jak obstawiałam. Był studentem i absolwentem Uniwersytetu Teksaskiego w Austin. Licencjat, magisterka i potem jeszcze Wydział Prawa. Typ faceta,

który nie mógł się oprzeć kawałowi o studencie z A&M, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdował.

Jack się zerwał.

— Wysoki Sądzie. Melton podniósł rękę.

— Panie Blair, odrobina humoru jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Jack był rozdrażniony.

** Texas A&M University w San Antonio*

Na wypadek, gdyby sędzia miał zmienić zdanie, spieszyłam się tak, jak Jack poprzedniego dnia.

— Więc lekarz zbadał go i mówi: „To musiało być straszne!”. A student na to: „Wiem, mogłem stracić życie, gdyby sprzedawca z supermarketu nie wyłączył maszyny”.

Dziecinny kawał, ale rozbroił salę sądową, a przynajmniej każdego, kto nie pochodził z San Antonio. Martin Pender stamtąd nie pochodził. Chichotał razem z całą resztą.

— No dobrze, wystarczy panno Cushing — powiedział sędzia, rozbawiony.

— Przepraszam, Wysoki Sądzie. — Staralam się wyglądać na skruszoną. Serce mi waliło, tym razem z powodu oszołomienia.

Nie patrzyłam na tyle uważnie, aby zobaczyć prawdę, nie widziałam tego, co miałam tuż przed nosem. Oszukiwałam się, uważając, że sama inteligencja wystarczy za siłę, a tak naprawdę to nie wystarczało. Trzeba było dużo więcej. W Bostonie mogłam stworzyć sobie życie, dzięki któremu czułam się twarda. Ale żeby być naprawdę silną, musiałam odnieść sukces, nieważne gdzie, nieważne, jakie byłyby przeciwności.

— Panie Pender, w jakim szpitalu się pan urodził?

— Wysoki Sądzie, nie, znowu? — jęknął Jack.

— Mam powód, Wysoki Sądzie.

— Lepiej, żeby tak było — ostrzegł sędzia, ale cień uśmiechu ciągle błakał mu się po twarzy.

— W jakim szpitalu, panie Pender?

— Nie pamiętam.

— Doprawdy? Przez ten cały czas, jaki spędził pan w San Antonio, mógł pan poznać nazwę szpitala, w którym się pan urodził. Ale dobrze, więc nie pamięta pan.

Oparł się, ale pozostał czujny.

— Czy prowadzi pan interesy w Meksyku?

— Nie! Nie prowadzę!

— Doktorze Pender?

— Co? — warknął.

Wciągnęłam powietrze, a oczy sędziego się zwężyły. Trafiłam, miałam odpowiedź. Wiedziałam, że był lekarzem.

Zanim zdążyła mnie przepelnić euforia, całe podniecenie wyparowało wraz ze świadomością, co zrobię matce, jeśli wyjaśnię w sądzie, jakiego rodzaju lekarzem był ten człowiek.

Na sali huczało od spekulacji. Gapiłam się na faceta

o zaróżowionej błyszczącej skórze, ze śladami nakłuć wokół oczu, wypełnionymi zmarszczkami mimicznymi wokół ust

i z zastygłą twarzą, nieruchomą nawet, gdy się śmiał. To był sekret mojej matki, dlatego wyglądała tak młodo. Nie dobre geny, nie wspaniałe kremy nawilżające, jak twierdziła. Nawet nie wymagający pełnego poświęcenia reżim oczyszczania, którym chwaliła się z wyższością osoby bardziej świętej od biskupa. To raczej dzięki temu mężczyźnie i temu, co oferował w ramach kuracji: nielegalnym ludzkim hormonom wzrostu, terapiom odmładzającym, żelom z łożysk i mieszaninom zawierającym cały alfabet suplementów hormonalnych. Zrozumiałam, że nurzała się w tym wszystkim, skoro nawet ja wiedziałam, że nie chodzi się na botoks raz w tygodniu.

Odwracając się, napotkałam wzrok matki. Teraz, gdy byłam o krok od obalenia zarzutów, nie mogłam tego powiedzieć i jej zdradzić. Wiedziałam, że całą swoją tożsamość opierała na urodzie, urodzie, w którą do końca nie wierzyła. Owinęła się nią tak szczelnie, że gotowa była zaryzykować podejrzenie o romans i raczej stracić sporą część majątku, niż przyznać, że ta sławetna uroda była sztucznie wspomagana.

Siedziała w sali sądowej, za piecami miała panie z towarzystwa, a w oczach przerażenie.

Bez przesady powiem, że nie mogłam oddychać. Kręciło mi się w głowie i aby utrzymać równowagę, musiałam oprzeć się o stół.

— Panno Cushing — zapytał sędzia. — Czy dobrze się pani czuje?

— Wysoki Sądzie — wykrztusiłam. — Poproszę o przerwę. Musiałam wyglądać tak samo źle, jak się czułam, ponieważ sędzia zmarszczył brwi z prawdziwą troską.

— Trzydzieści minut — ogłosił i stuknął młotkiem.

— Carlisle — odezwała się matka ostrym tonem.

Nie zareagowałam. Zostawiłam akta, torebkę i całą resztę. Szłam przez środek tak spokojnie, jak tylko byłam w stanie. Gdy wypadłam przez drzwi, zaczęłam biec. Nie miałam pojęcia

dokąd, nie mogłam zmusić mózgu, by pracował na tyle zbornie, żeby wyjść myślą poza fakt, że matka znów mną manipulowała. „Jeszcze ten jeden raz. Załóż czerwoną pelerynę i spróbuj to naprawić”. Dowiedź, że nie miała romansu, a jednocześnie nie dopuść, aby ktoś się dowiedział, że jej doskonała uroda jest tak sztuczna jak sztuczne są plastikowe choinki, którymi pogardzała.

Nie zdawałam sobie sprawy, że nie jestem sama, dopóty, dopóki ktoś mnie nie zatrzymał. Okręcając się na pięcie, spodziewałam się zobaczyć matkę. Ale to był Jack.

— Co się dzieje? — zapytał.

Pytania tego nie zadał zniecierpliwiony bezwzględny adwokat strony przeciwnej, który mnie nie lubił. Poczulałam troskę tego Jacka, którego znałam łąta temu. Z powodów, których nie mogłam zrozumieć, poczułam piekące łzy i się nimi zachłysnęłam.

Reszką przytomności zauważyłam, że ludzie zaczęli zwracać na mnie uwagę. Jack też musiał to spostrzec, ponieważ rzucił przekleństwem, rozejrzał się dookoła, znowu zaklął i wciągnął mnie w pierwsze z brzegu drzwi. Nie wiedziałam, dokąd mnie zabiera, aż zobaczyłam pisuar i kompletnie zaskoczonygo pechowca stojącego przed nim.

— Wychodź — rozkazał Jack.

W mgnieniu oka człowiek zapiął rozporek i wybiegł. Byłam tak wdzięczna, że wyszedł, że przełknęłam odruchową uwagę o umyciu rąk.

Gdy zostaliśmy sami, Jack zasunął zasuwkę w drzwiach.

— Co się dzieje, Carlisle? — zapytał.

I znowu ta delikatność i troska spowodowały, że się zupełnie rozkleiłam. Pierwsze łzy zmieniły się w niepohamowany szloch.

Przez chwilę chodził tam i z powrotem, znowu przeklinając i mamrocząc coś o prawdziwych upierdliwcach, potem przestał i zmusił mnie, abym na niego spojrzała.

— O co chodzi?

— Ona się nigdy nie zmieni — wykrztusiłam.

— Kto?

— W głębi serca chyba zawsze miałam nadzieję, że będzie między nami inaczej. Że nawiążemy prawdziwą relację.

— Kto z kim, Carlisle?

Nie mogłam mu zdradzić, co wiedziałam o mojej matce, był przecież adwokatem drugiej strony. Na tyle jeszcze byłam przytomna. A jednak emocje targały mną jak wściekłym bykiem w końcu wypuszczonym z zagrody.

— Jestem zmęczona — wykrztusiłam, zaskakując nas oboje. Ale gdy staliśmy tam z Jackiem w męskiej toalecie, prawda ścisnęła mi trzewia. — Jestem zmęczona staraniem, by się dowiedzieć, kim naprawdę jest moja matka. Zmęczona staraniami, by zaakceptowała mnie taką, jaka jestem. Zmęczona tym, że zawsze ją rozczarowuję, bo nie dbam o to, żeby wspaniale wypaść czy wziąć się w garść, nie obchodzą mnie tańce ani zdobywanie facetów. Wiedziałam, że to brzmi, jakbym się nad sobą użalała, ale przepraszam bardzo, tak właśnie było.

— Jestem zmęczona...

Słowa uwięzły mi w gardle, bo nie mogłam powiedzieć nic więcej ani jemu, ani nikomu innemu. Nigdy nie mogłabym powiedzieć głośno, że moja matka była samolubna i płytka i domagała się uwagi w taki sposób, że żadne starania nie były dla niej wystarczające.

Świadomość tego uderzyła mnie jak światło nagle wypełniające ciemny pokój. Z bólu zmrużyłam oczy. I właśnie wtedy przestało mnie obchodzić, czy moja matka wygra, czy przegra sprawę, chciałam tylko wyjść.

— Jestem zmęczona poczuciem bezpieczeństwa — wyszeptałam.

Wpatrywał się we mnie bez słowa, aż w końcu wyszeptał:

— Pieprzyć to. — Potem przyciągnął mnie do siebie.

Rozdział 30

Jakkolwiek by na to patrzeć, zawsze są w życiu rzeczy, które można by zrobić inaczej. Istnieją dwa podejścia do tej sprawy. Kto jest mądry, ten niczego nie żałuje. Kto nie jest, cóż, ten zadreżca się myślami o tym, co mogłoby się zdarzyć, i żyje w świecie Co By Było Gdyby. Mnie nie podobała się żadna z tych dwóch możliwości, więc jako osoba zaradna wymyśliłam trzecią. Naprawianie błędów. I w danych okolicznościach to właśnie wydawało się jedynym sensownym wyjściem. Kiedy więc Jack przyciągnął mnie do siebie ruchem wyrażającym, tak tylko mogę to określić, głód konieczności, poddałam się temu.

Zwarliśmy się, z hukiem uderzając w ściankę kabiny, ręce ciągnęły za ubranie, szukały skóry, całkiem zapominając o tym, gdzie byliśmy i kto siedział w pierwszym rzędzie na sali sądowej. Całowaliśmy się z desperacją rodem z telewizyjnego filmu, aż odsunęliśmy się od siebie. Patrzył na mnie i miałam uczucie, jakby widział mnie po raz pierwszy. Do mojej świadomości dotarło kapanie wody z kranu w umywalce odbijające się echem od kafli na podłodze i ścianach, panika mieszała się z kłującym podnieceniem.

Westchnęłam z drżeniem, kiedy przesunął kciukiem wzdłuż moich ust.

- Pocałuj mnie — powiedział.

Doprawdy, cóż miałam robić?

Wspięłam się na palce, cała drżąca, i przycisnęłam usta do jego ust. Resztki jego cierpliwości się wyczerpały i z powrotem przyciągnął mnie do siebie. Przywarliśmy do siebie, jakbyśmy chcieli przekroczyć barierę ciała i skóry. W ciasnej kabinie pociągnął mi bluzkę, całując nagą skórę, aż dotarł do ramienia i przerwał.

— Co to jest? — zapytał. Próbowałam nadciągnąć materiał.

— Po prostu blizna — powiedziałam, z nienawiścią myśląc o pamiętce po tym, jak z płaczem wybiegając z budynku, w którym odbywał się egzamin adwokacki, na wpół przytomna potknęłam się o dziurę w chodniku. Pofrunęłam z rękami zaplątanymi w książki, nie zdążyłam się uwolnić na tyle szybko, żeby zamortyzować upadek. Upadłam na ramię z całym impetem, luźna cieniutka bluzka z poprzedniego wieczoru, kiedy wyszłam z Jackiem i siedzieliśmy do późna, zdarła się razem ze skórą. Nikt od tamtej pory nie widział tej cętkowanej skóry, nawet Philip w Bostonie.

— Przestań — powiedział Jack, odpychając moją rękę, całując bliznę w sposób, od którego przeszył mnie dreszcz będący czymś więcej niż pożądaniem.

Potem zapomniałam o bliznach, chodniku i o tym, że zobaczył całe mnóstwo mojej nagiej skóry. Zerwał mi pończochy ruchem całkowicie neandertalskim (ale niesamowicie seksownym), podniósł mnie w górę. Plecy miałam przyciśnięte do metalowej ścianki. Jego pocałunek był mocny, Jack podciągnął moje kolana do góry i zaplótł wokół własnych bioder, obejmując, muszę przyznać, bardzo krągłą nagość. Zadrżałam i tak, jęknęłam. Chciałam tego, co miało się stać w najgorszy możliwy sposób.

— To naprawdę bardzo zły pomysł — wymamrotał prosto w moją szyję. A kiedy podniósł mnie nieco w górę i opuścił w dół, na siebie, cóż, oboje krzyknęliśmy.

Była to jedna z tych chwil w życiu, o których się słyszy, że czas staje w miejscu, rzeczywistość zostaje zawieszona, jakby poza małą metalową kabiną świat nie istniał. Poruszaliśmy się razem, dotykając się, całując, szepcząc, odcięci od świata. A kiedy oboje skończyliśmy, wszystko jakby się zatrzymało, czułam drgające mięśnie pleców Jacka, które po chwili się rozluźniły, gdy się na mnie osunął.

Staliśmy tak spleceni, oparci o metal, serce waliło mu w piersi. Czułam, jak jego oddech na mojej szyi zwalnia. Potem chrapliwie wyszeptał:

— Twoja matka jest z ciebie dumna, nie powinnaś dawać za wygraną.

— Co?

Nie tego rodzaju postkoitalnej rozmowy człowiek się spodziewa, zwłaszcza gdy słowa padają z ust prawnika, który za dziesięć minut znów zasiądzie po przeciwnej stronie sali sądowej.

Spróbowałam odepchnąć Jacka chociaż na tyle, żeby widzieć jego twarz. Chwilę potem powiedział:

— Tamtej nocy zapytałaś mnie, dlaczego cię nie szukałem i nie znalazłem, kiedy odeszłaś.

— Tak — powiedziałam ostrożnie. — I powiedziałeś mi coś w rodzaju, że nie pasowało ci mnie znaleźć.

— Tak, to prawda, ale jedno pominąłem. Próbowałem cię znaleźć.

Poczułam zimny metal dotykający moich pleców.

Kiedy nie wróciłaś i nie znalazłem cię w domu, pojechałem do twojej matki i zapytałem, dokąd pojechałaś. Nie chciała mi powiedzieć.

— Co? Nie chciała ci powiedzieć? — Nie mogłam w to uwierzyć i wykonałam całą serię sapnięć i westchnień.

— Uspokój się — powiedział.

— Jestem spokojna! — Albo i nie. Prawda była taka, że zaraz po przyjeździe do Bostonu zdałam sobie sprawę, że zareagowałam zbyt gwałtownie. Zadzwoiłam do matki, porozmawiałam z nią i ten jeden raz w życiu poprosiłam o radę, powiedziałam, co czuję. I całymi tygodniami miałam tę wariacką pewność, że Jack za mną przyjedzie. Jednak nie przyjechał.

— Nie mogę uwierzyć, że ci nie powiedziała.

— Tak naprawdę powiedziała coś w stylu, że jesteś pierwszą kobietą w rodzinie Wainwrightów, która będzie w życiu polegać na czymś więcej niż urodzie i majątku, że urodziłaś się, by dokonać „wspaniałych” czynów. I że cię rozpraszam.

— Tak powiedziała? O mnie? — Byłam szczerze zdumiona. Potem się otrząsnęłam. — Ale tę decyzję powinnam podjąć ja, nie ona.

— Chcę ci tylko powiedzieć, że jest z ciebie dumna. Powstrzymaj się przed samozniszczeniem na sali tylko dlatego, że twoja matka nie jest taka, jak byś chciała.

Hola, wstawcie tu kozetkę, dajcie pudełko chusteczek higienicznych i faceta w rogowych okularach z krótko przyciętą brodą.

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Najpierw idziesz na noże, a teraz próbujesz pomóc mi wygrać?

Wyprostował koszulę i poprawił krawat, ponownie stając się sobą.

— Nie oszukuj się, Carlisle. Zdecydowanie mam zamiar wygrać. Ale nie dlatego, że oddałaś sprawę walkowerem.

Ktoś zastukał do drzwi. Mocno. I jeszcze mocniej.

— Otwierać!

Albo bardzo chciał siusiu, albo wykryli nas pracownicy ochrony. W każdym razie był to bardzo nieodpowiedni moment.

— Cholera — mruknął Jack. — To Bart.

Bart, czyli były tajny pracownik operacyjny CIA, który aktualnie zajmował stanowisko szefa ochrony sądu. Pięknie.

Wyskoczyliśmy z kabiny, poprawiając ubrania. Przypadkiem spojrzełam w lustro i powstrzymałam oddech. Jedno spojrzenie i dokładnie by wiedział, co robiłam w męskiej toalecie.

— Ja z nim porozmawiam — powiedział Jack, kiedy w miarę się ogarnęliśmy.

Co dziwne, skorzystał z komórki. Usłyszałam dzwonek po drugiej stronie drzwi.

— Bart, cześć stary. — Pauza. — Wiem, że jesteś zajęty, ale chciałem, żebyś wiedział, że to ja siedzę w łazience.

Słyszałam przekleństwa płynące ze słuchawki z niewielkim opóźnieniem w stosunku do tego, co było słyhać przez drzwi.

— Wiem, wiem. Ale pamiętaj, że jesteś mi coś winien. Dalsze przekleństwa.

— Bart, rozumiem. Jeżeli mi teraz pomożesz, to będziemy kwita.

Znowu przekleństwa, ale tym razem o mniejszym natężeniu. W końcu Jack zamknął telefon, dokładnie w chwili, gdy Bart zaczął opróżniać korytarz.

— Tak, cóż. — Zapięłam bluzkę i wygładziłam spódnice. — Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, co właśnie zaszło? Wiesz, o tej części z seksem? I o twojej narzeczonej na galerii? — I o tym, że czułam się idiotycznie i miałam potworne poczucie winy?

Przyjrzał mi się uważnie z ponurą miną.

— Powiedziałbym, że dosyć się nagadaliśmy jak na jeden dzień.

Bart dwa razy mocno zastukał w drzwi.

— Pora iść — stwierdził Jack.

Odsunął zasuwkę. Kiedy sprawdził, że teren jest czysty, podziękował szefowi ochrony, a następnie wyciągnął mnie z męskiej toalety. Gdy niezauważeni przez nikogo oprócz Barta wyszliśmy, stanął.

— Wejdz pierwsza.

— Bart, daj nam minutkę. Jack, nie możemy tak tego zostawić.

— Carlisle, jesteście już spóźnieni.

Cóż, byliśmy, ale miałam wrażenie, że powinniśmy coś powiedzieć, choćby nawet wyświechtane: „Zadzwoń”. Najwyraźniej jednak Jack skończył już z gadaniem.

*

Na sali sądowej Racine wyglądała na bardzo niezadowoloną i raczej nie dlatego, by zazdrościła mi nowej fryzury „po swawolach w toalecie”. W każdym razie miałam dość problemów i bez narzeczonej Jacka.

Mama przez cały czas nie ruszyła się z miejsca i teraz, kiedy zdążyła zastanowić się nad tym, w jakim kierunku zmierzała sprawa, wydawała się jeszcze bardziej zaniepokojona. Dla porządku, ja zastanawiałam się nad tym samym.

Spojrzałam na nią, zastanawiając się, czemu tak naprawdę nie powiedziała Jackowi, dokąd pojechałam. Bo się o mnie martwiła? A może chodziło raczej o Jacka i jego rodzinę? Matka ledwie tolerowała Indię — i wyłącznie z rozpaczy. Jakkolwiek by było, wiedziałam, że muszę to naprawić.

Mając cel przed oczami, rozważyłam dostępne opcje. We własnym odczuciu miałam do wyboru dwie:

1. wykończyć matkę, wykazując, że jej uroda była dziełem ludzkich rąk, a konkretnie rąk pana Pendera, który ordynował jej nielegalne terapie hormonalne, a nie uprawiał z nią pozamałżeńskiego seksu w każdą środę w południe; albo
2. wykończyć matkę, zapominając o panu Penderze i pozwalając, aby sędzia uwierzył, że miała romans, co unieważniłoby intercyzę i tym samym zdeintegrowało połowę jej majątku.

Raczej skromna paleta opcji.

Spojrzałam na Jacka i wytrąciło mnie to z równowagi, że patrzył na moje ramię, jakby wspominał. Co? Bliznę? Jak bardzo mnie nienawdził? Nas razem? Mnie nago?

Poderwało mnie, bo nagle doznałam olśnienia.

Siedząc w sądzie na oczach Jacka, nagle coś zrozumiałam. Ledwo się powstrzymałam, żeby nie podskoczyć i nie wrzasnąć pełnym głosem: „Jest trzecia opcja!”.

Szybko nabazgrałam notatkę i podałam Bartowi, który wszedł za nami do sali.

Przeczytał ją, po czym spojrzał na mnie drwiąco.

— Proszę cię, Bart, zrób to dla mnie. — Zatrzepotałam rzęsami i tym razem uzyskałam pożądaną skutek. A może po prostu słusznie założyłam, że pod skorupą oschłości Bart był człowiekiem życzliwym. W końcu oszczędził mi kompletnego upokorzenia na sądowym korytarzu, prawda?

Co prawda najpierw wymamrotał kilka uwag, których nie warto tu przytaczać, ale dość powiedzieć, że pognał głównym przejściem i wyszedł.

Jack już na mnie nie spoglądał. Wpatrywał się w zamknięte drzwi, potem odwrócił się do mnie z pytaniem w oczach.

Wzruszyłam szybko ramionami, po czym podziękowałam szczęśliwemu trafowi, bo urzędnik sądowy właśnie poprosił o ciszę na sali.

- Panno Cushing? — zwrócił się do mnie sędzia.

Serce kołatało mi się w piersi jak samochodzik na torze w wesołym miasteczku.

— Dziękuję, Wysoki Sądzie — powiedziałam. — Chciałabym wezwać na świadka — zaczerpnęłam powietrza — ee... panią Murtado.

Jack zerwał się z miejsca.

— Sprzeciw — oświadczył. — Wysoki Sądzie, zeznanie pani Murtado omówiliśmy już z najdrobniejszymi szczegółami.

Czy to miało jakieś znaczenie? Halo? Nieważne, że nie miałam jej o co pytać. Potrzebowałam zyskać na czasie, żeby Bart mógł przyprowadzić wskazaną przeze mnie „zwierzynę”.

Miałam rację, tak jak sądziłam, umożliwiono mi rozmowę z pokojówką. Potem jednak musiałam porozmawiać z recepcjonistą i majstrem, ponieważ Bart się nie zjawiał. Zadałam już wszystkie możliwe pytania, a Barta nadal nie było, uznałam, że nie mam innego wyjścia, i miałam właśnie poprosić matkę, by zemdląła, dostała ataku czy zrobiła jakąś scenę, gdy wreszcie szef ochrony wszedł na salę, a za nim trzech mężczyzn.

Na ich widok moja matka wstrzymała oddech. Vincent zmarszczył brwi. Ja się uśmiechnęłam i pomachałam, gdy Bart prowadził ich na miejsca dla publiczności.

Odwracając się do sędziego, poprosiłam:

— Wysoki Sądzie, chciałabym jeszcze raz wezwać na świadka Martina Penderà.

Urzędnik sądowy ponownie wprowadził świadka i kiedy wszystko ucichło, zapytałam:

— Panie Pender, czy ma pan tytuł doktora?

— To śmieszne. Nazywam się Martin Pender. Pan Martin Pender.

— Czyli mówi pan, że nie używał tytułu doktora? Aby nie było wątpliwości, chcę przypomnieć, że nadal zeznaje pan pod przysięgą i kłamstwo może pana zaprowadzić do więzienia.

Mężczyzna poczerwieniał ze złości i zacisnął usta.

— Panie Pender! — ponaglił sędzia. Martin wybuchnął, skoczył na równe nogi.

— To śmieszne. Już powiedziałem, że mam romans z Rid-gely Ogden — wrzasnął spanikowany. I cóż w tym dziwnego? Nielegalny handel ludzkimi hormonami wzrostu w celu poprawy wyników sportowych lub do stosowania w terapiach odmładzających stanowił przestępstwo federalne.

— Panie Pender—warknął sędzia. — Niech się pan uspokoi. Niepewnie usiadł na krześle, mięśnie mu drgały.

— A więc seks — kontynuowałam nieustępliwie. Pomruk zakłopotania (ale i podniecenia) przeszedł przez salę. Pender wyglądał jak zwierzę zamknięte w klatce.

— Co z seksem?

— Powiedział pan, że uprawiał dziki seks z moją matką. — Nie z moją klientką. Nie z panią Ogden. Z moją matką. Nadałam sprawie wydźwięk osobisty.

— Tak!

— Czyżby?

— Tak. — Tym razem jednak z mniejszym przekonaniem.

— I jest pan pewien, że mówimy tu o szalonym gorącym seksie w każdą środę w motelu Lazy 6?

Na galerii zaszumiało. Mama znajdowała się na skraju omdlenia, tym razem prawdziwego. Vincent wyglądał, jakby lada chwila miał kogoś zamordować, a konkretnie mnie.

Jack — na bardziej zaniepokojonego tykaniem sądowego zegara. Dobrze. Pender ściągnął usta.

- Panie Pender, mówił pan o tym, co zeznał na temat sek-SU - podsunęłam.

- Nie pamiętam, co dokładnie powiedziałem.

— Doprawdy? Czy może dlatego, że pan kłamał?

— Nie kłamałem! Mówię tylko, że nie pamiętam dokładnie, jakimi słowami!

— Pomogę panu. — Zwróciłam się do protokolantki. — Czy mogłaby pani odczytać zeznanie świadka?

Jack jęknął.

— Wysoki Sądzie, sprzeciw. Jaki to może mieć sens? Nie wydaje mi się, żeby istniała potrzeba dręczenia sądu dalszą dyskusją na temat seksu.

— Wysoki Sądzie — wtrąciłam przymilnie. Może jestem okropna, ale zaczynało mi się to podobać. — Krótka rozmowa o seksie jeszcze nikomu nie zaszkodziła. — Odwróciłam się do Jacka. — W gruncie rzeczy uważam, że drobna dyskusja po fakcie jest jak najbardziej wskazana. Pomaga to wszystkim zrozumieć, co się stało, dlaczego się stało, a przede wszystkim, co dalej.

Twarz Jacka stężała. Sędzia wydawał się zagubiony. Moja matka wyglądała na zniecierpliwioną. Racine natomiast, jakby lada chwila miała przeskoczyć barierkę i powalić mnie na ziemię.

— Panno Cushing — odezwał się sędzia — proszę się pospieszyć.

— Oczywiście, Wysoki Sądzie. — Skinęłam na protokolantkę, która znalazła już odpowiedni fragment zeznania.

Suchym monotonnym głosem odczytała:

— Co śróde uprawialiśmy wyuzdany gorący seks, Ridgely Ogden naga i spocona ciągle prosiła o więcej.

Rozległo się przeciągle „Oooooo” z galerii.

— Dziękuję — powiedziała niewzruszona. — Panie Pen-der, czy to prawda? A może coś pan pomylił?

— Niczego nie pomyliłem!

— Dobrze. To wszystko. Teraz chciałabym powołać na świadka Wendella Jamesona, Wysoki Sądzie.

Jack znowu wstał.

— Wysoki Sądzie, Wendella Jamesona nie ma na liście świadków.

— Zgadza się, Wysoki Sądzie. Jednak mam pełne prawo podać w wątpliwość zeznanie pana Pendera. I planuję dokonać tego przy pomocy trzech byłych mężów mojej matki.

Galeria oszalała, a Martin Pender wstał i zaczął się miotać na miejscu dla świadków.

— Nie dam się zdyskredytować! Nic mnie nie obchodzi, co kto powie. Każdą śróde spędzałem z pani matką, kochając się z nią w szale namiętności!

Sędzia Melton stuknął młotkiem, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Patrzyłyśmy na siebie z mamą, która zrozumiała teraz, że znalazłam inne rozwiązanie jej dylematu.

Opcja trzecia: udowodnić, że Ridgely Wainwright Cushing Jameson Lackley Harper Ogden nie angażuje się w nic gorącego, a już na pewno nie nago. Zamierzałam powołać Wendella Jamesona, Altona Lackleya i Lionela Harpera na świadków, by tego dowieść. My, kobiety z rodu Wainwrightów, potrafimy zadać sobie wiele trudu, żeby nie robić niczego nago.

Przysięgam, że w uśmiechu, który przemknął przez usta matki, było widać zaskoczenie i dumę. Następnie wzniosła oczy do nieba i wstała, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

— Daj spokój, Umberto — odezwała się mama. — To koniec. — Odwróciła się do sędziego.

— To doktor Umberto

Velasquez. Znany też jako Źródło Młodości z Meksyku. — Odwróciła się i stanęła na wprost zaskoczonego tłumu, w którym tu i ówdzie dał się słyszeć chichot. — Tak, ciężko pracuję, żeby tak wyglądać. Ale przynajmniej coś robię, zamiast się zpuścić — rzuciła w stronę kilku kobiet ze skórą spaloną przez słońce, które natychmiast zamilkły, wydymając pomarszczone usta.

Umberto był najwyraźniej na skraju niekontrolowanego ataku paniki.

— Czy pan to Umberto Velasquez — sędzia domagał się odpowiedzi — meksykański lekarz poszukiwany za prowadzenie praktyki lekarskiej na podstawie fałszywej licencji?

Urzędnik sądowy wpisał coś do komputera.

— To on, Wysoki Sądzie. Jest poszukiwany przez Urząd Skarbowy, FBI, nawet przez Urząd Imigracyjny.

Świeżo zdekonspirowany Umberto nie był zainteresowany odpowiadaniem napytania ani oczekiwaniem na dalszy rozwój wypadków. Rzucił się do ucieczki, przeskoczył barierkę i próbował wmieszać się w tłum.

— Zatrzymać go! — zawołał sędzia.

Na szczęście urzędnik sądowy, pan Medina, grał dawniej na pozycji pomocnika w lidze WCU i złapał uciekającego fałszywego lekarza, zanim ten minął furtkę. Medina założył mu kajdanki i wyprowadził przy wtórze śmiechów zaskoczonych galerii.

Moja matka zwróciła się do Vincenta z wyniosłym wyrazem na swojej idealnej twarzy.

— Teraz już wiesz. Cały czas miałaś rację. Nie jestem tak ładna, jak udawałam, a na pewno nie taka młoda. — Wszyscy umilkli, a jej twarz złagodniała. — Ale nie mogłam znieść, że mógłbyś pomyśleć, że byłam kimś gorszym niż kobieta, w której się zakochałeś.

Nie mogłam uwierzyć: moja matka okazująca słabość i to w obecności praktycznie wszystkich nadzianych, dobrze ustawionych osób w mieście. A byłam prawie pewna, że mówi szczerze.

Vincent wstał z miejsca i podszedł do mamy.

— Ridgely. Bardzo przepraszam, że cię na to wszystko naraziłem.

— Vincent — powiedział Jack. — Jeszcze nie skończyliśmy.

— Owszem, skończyliśmy — odparł jego klient. — Wycofuję pozew o rozwód. To znaczy, jeśli przyjmiesz mnie z powrotem, Ridgely.

— Och Vin, wiesz, że to nie ja chciałam rozvodu.

W chwili gdy matka padła Vincentowi w ramiona, tłum oszalał, jednocześnie rozczarowany i zachwycony.

Formalności zostały szybko załatwione i sala sądowa opustoszała, moja matka i Vincent wyszli razem z resztą, zostaliśmy tylko Jack i ja.

— A więc — posłałam w jego stronę krzywy uśmiech — wygląda na to, że nawrócona Jankeska jednak wygrała.

Nie uśmiechnął się, tylko skinął głową. Racine czekała na niego z tyłu sali.

— Gratuluję, Carlisle — powiedział i ani słowa więcej.

— Cóż, dziękuję.

Nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. Nie miało to nic wspólnego z wygraną czy przegraną, w ogóle ze sprawą. Myślą wróciłam do tego, co powiedział mi w męskiej toalecie.

Zmrużyłam oczy, wyobrażając sobie scenę pojawienia się Jacka w Wainwright House na rozmowę z moją matką, która niechętnie wpuszcza go ubranego w standardowe dzinsy i skórzaną kurtkę. Wątpię, czy poprosiła, by usiadł, a tym bardziej zaproponowała szklankę mrożonej herbaty — sztywna, oficjalna, obnosząca się z dziedzictwem Wainwrightów jak z koroną przed niegrzecznym chłopakiem ze złej dzielnicy, i mniejsza o to, co osiągnął jego brat.

Za tą myślą przyszła następna. O tym, jak wszedł do domu mojej matki, samym swym wyglądem zapowiadając kłopoty, a ona powiedziała mu coś więcej niż to, że odciąga mnie od nauki.

Jack zatrzasnął neseser, gotów do wyjścia.

— Teraz rozumiem — stwierdziłam. — Oznajmiła ci, że jesteś dla mnie nie dość dobry. Dlatego zagrałeś przeciwko niej.

— Co?

— Moja matka i to, co ci powiedziała, żeby cię ode mnie odsunąć. Biorąc tę sprawę, mogłeś jej odpłacić.

Zawahał się, po czym twarz wykrzywił mu grymas.

— Nie myśl o mnie tak źle. To była po prostu sprawa. Niezła sprawa. Nic więcej. Poza tym oboje wiemy, że twoja matka tylko głośno powiedziała to, co wszyscy mówili za moimi plecami. Nigdy do siebie nie pasowaliśmy. Ja nigdy nie przejmowałem się regułami, nawet wtedy ich nie szanowałem, chociaż byłem już prawnikiem. A ty, Carlisle, cała składasz się z reguł.

Wziął neseser i wyszedł z sali sądowej z Racine. Masywne dębowe drzwi otworzyły się z trzaskiem, a ja stałam z ustami otwartymi szeroko jak te drzwi.

Rozdział 31

Trudno mi było sobie wyobrazić, że przesłuchanie matki się skończyło, a intercyza nie została obalona. Wszystko to nie miało znaczenia, skoro Ogdenowie radośnie się pogodzili. Plotka głosiła również, że Jack i Racine nadal są razem. Albo mu przebaczyła, albo nie zadawała pytań, przymykając oczy na to, czego nie chciała wiedzieć.

Dla mnie ważniejsze było jednak, że mogę być dumna z matki, bo zdumiała mnie, zdobywając się na powiedzenie prawdy. Chciałam z nią porozmawiać, ale nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Poza tym nadal byłam pod presją.

Co prawda odzyskałam suknię Morgan i dowiedziałam, że matka nie dopuściła się zdrady małżeńskiej, ale wciąż jeszcze musiałam uporać się z balem debutantek, który, szczerze mówiąc, miał dla mieszkańców Willow Creek większą, choć nieznacznie, wagę niż prawda o urodzie mojej matki. Jeżeli wielka gala okazałaby się porażką, to żadnej więcej dziewczyny nie udałoby się przekonać do debiutu podczas balu Towarzystwa Symfonicznego Willow Creek — co znaczy, że zniknęłyby fundusze. Jednak, co ważniejsze, nie chciałam, żeby moich osiem dziewcząt niekorzystnie opisano w teksaskiej prasie.

Wainwright House był już zatłoczony, ale po powrocie Vincenta, kiedy on i matka zachowywali się jak para nastolatków w czasie burzy hormonów, miało się wrażenie, że dom pęka w szwach.

Setny Doroczny Bal Debiutantek Towarzystwa Symfonicznego miał się odbyć za niespełna tydzień i następnych sześć i pół dnia poświęciłam debutantkom. O każdej porze dnia i nocy odbierałam telefony od szalonych matek, dopinałam przygotowania na ostatni guzik, pomagałam dziewczętom ćwiczyć schodzenie ze schodów w balowych sukniach i dyganie. Jednak dzień przed wielkim wydarzeniem byłam kompletnie nieprzygotowana, gdy India zadzwoniła, żeby powiedzieć o swojej rezygnacji.

— O czym ty mówisz?

— Nie idę, bo to głupie, idiotyczne i nie chcę być de-biutantką.

Wtedy usłyszałam pociągnięcie nosem.

— Indio — zaczęłam łagodnie, opanowując narastającą panikę — co się stało? Coś się wydarzyło?

— Nic. — Jednak jej głos się załamał.

— Nie ruszaj się, zaraz tam będę.

— Co?

Rozłączyłam się i popędziłam na Osiedle Wierzbowe, zagroziłam strażnikowi, że go zamorduję, jeżeli zaraz mnie nie wpuści, i w parę minut stałam przed drzwiami Indii, Otworzyła mi i oczy miała czerwone.

— Co się stało? — zapytałam.

— Nie idę!

— Hej — powiedziałam miękko — wszystko w porządku. Może sprawił to łagodny głos, a może po prostu myśl, że

kogoś to obchodzi. Kto wie, w każdym razie India zaczęła płakać.

— Moja mama nie przyjdzie na bal. Zadzwoniła i powiedziała, że jest za bardzo zajęta. — Drwiąco uśmiechnęła się przez łzy. — Woli iść na zakupy, niż być ze mną.

Przez chwilę się opierała, kiedy wzięłam ją w objęcia, potem zmięła. Gdy się uspokoiła, odsunęłam ją na długość ramienia.

— Chcesz do niej pojechać i porozmawiać? Pojadę z tobą. Dziewczyna wyglądała na rozdartą.

— I co miałabym jej powiedzieć?

— Że naprawdę chcesz, żeby przyszła.

— A co, jeżeli i tak odmówi?

— Możesz tylko spróbować.

India miała adres domu w południowej części Willow Creek, ale nigdy tam nie była. Wszystkie spotkania z matką odbywały się na neutralnym gruncie w mieście. Gdy jechałyśmy wskazaną ulicą, wstrząs, który przeżyła w związku z odkryciem nowego życia matki, był wyczuwalny.

Ponieważ chodziło o południową część Willow Creek, India założyła, że życie matki to klęska. Zastaliśmy jednak bielony domek z czarnymi wykończeniami, okiennicami w tym samym kolorze i frontowymi drzwiami barwy pogodnej wiśniowej czerwieni. Trawniczek idealnie utrzymany, kwiatowe grządki eksplodujące wiosenną barwą. Bez wątplenia włożono w ten dom wiele miłości i starania. Otworzyły się frontowe drzwi i wyszła kobieta, której podobieństwo do Indii było widać nawet z tej odległości. Przy tej klasycznej urodzie bez trudu dostałaby rolę w Ozzie i Harriet. Oczywiście Ozzie i Harriet wieki temu wypadli z programu, co może wyjaśniać, czemu matka Indii zrezygnowała z aktorstwa.

Zeszła po schodkach, założyła słomkowy kapelusz od słońca i zabrała się za pracę w ogrodzie. Przechodzący listonosz wręczył jej pocztę. Przez chwilę rozmawiali, potem pomachała mu na do widzenia.

— Jest szczęśliwa — wyszeptała India. Tłumaczenie: jest szczęśliwa beze mnie.

— Ma swoje wspaniałe nowe życie i mnie w nim nie chce — powiedziała zduszonym głosem.

— Tego nie wiesz, Indio.

— Daj spokój. Po prostu wracajmy do domu.

— Miałam cię za osobę, która niechętnie się poddaje. Skrzywiła się rozdrażniona.

— Dobra, chodźmy.

Wysiadła z samochodu, zanim zdążyłam ostatecznie zaparkować. Musiałam się spieszyć, żeby ją dogonić.

Kobieta odwróciła się na trzask naszych drzwi. Po chwili zawołała:

— India! Co za niespodzianka.

Renata Blair, obecnie Renata Frazier, z bliska wyglądała na starszą, wokół jej zielonych oczu rysowały się delikatne zmarszczki. Czuło się, że jest szczęśliwa.

— Cześć, mamó.

Pogoda matki jakoś przeniosła się na córkę i zacięta mina nastolatki złagodniała. Tę właśnie Indię widziałam przelotnie w Nowym Jorku, kiedy dziękowała swojej babci.

Przedstawiłam się wreszcie.

— Jestem Carlisle Cushing. Zajmuję się balem debiutantek.

— A tak, India opowiadała mi, jak wspaniale pani sobie radzi.

Uniosłam brwi i spojrzałam na dziewczynę.

— Nieważne — stwierdziła, a potem zwróciła się do matki. — Naprawdę chciałabym, żebyś przyszła na bal. Wiem, że jesteś strasznie zajęta, ale będzie fajnie i to coś wyjątkowego, co mogłybyśmy zrobić razem.

Kobieta zsunęła ogrodowe rękawice i odsunęła na bok, potem położyła dłoń na policzku córki.

— Indio, nie mogę przyjść.

Szczęście zniknęło jak błękit nieba wyparty przez zimny front atmosfery.

— W porządku.

— Indio, posłuchaj. Nie chcesz, żebym tam była. Nie pasuję już do tego świata.

— Nie musisz pasować! To tylko jeden wieczór! Tylko jeden wieczór, żeby być ze mną.

Renata westchnęła.

— Nawet nie mam sukni.

— Powiedziałam, że ci kupię. - Jej głos wznosił się z każdą sylabą i szczerze mówiąc, żałowałam, że nie oddaliłam się z listonoszem.

— Indio, to ja jestem dorosła — wyjaśniła jej matka. — Dziecko nie powinno kupować mi sukni.

— Nie jestem jakimś tam dzieckiem, jestem twoją córką! Kobieta wyglądała na zaskoczoną, jakby o tym zapomniała.

India też to zauważyła i zacisnęła zęby.

— Tak, moją córką — powtórzyła kobieta — ale matka też nie pozwala, żeby córka kupowała jej ubrania.

— Nieważne — stwierdziła India. - Chociaż nie rozumiem, co cię obchodzi, co powinna, a czego nie powinna robić matka. Z tego, co słyszałam, matki nie powinny porzucać swoich córek.

India odeszła, zostawiając spłoszoną Renatę na jej nieskazitelnym trawniku. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Jest zraniona. Nie rozumie, że może pani być zakłopotana albo skrępowana kontaktem z jej ojcem, że są jakieś inne przyczyny, dla których nie chce pani przyjść. Ma tylko osiemnaście lat, próbuje znaleźć własną drogę do dorosłości i bez względu na to, czy zdaje pani sobie z tego sprawę, czy nie, potrzebuje matki. Każda dziewczynka potrzebuje matki.

Odwrociłam się, żeby odejść.

— Panno Cushing, musi pani zrozumieć. Po prostu nie mogę.

— Nie może pani czy nie chce?

— Naprawdę nie należę już do tamtego świata...

— To nie mnie powinna pani przekonywać. Zostawiłam ją stojącą na chodniku. India siedziała już

w samochodzie. Renata nie próbowała nas zatrzymać.

Jechaliśmy do domu w ciszy, India opierała się o boczne drzwi. Nie wiedziałam, jak to naprawić. Miałam wystarczająco dużo kłopotów ze zrozumieniem własnej matki.

Gdy tylko podjechaliśmy pod dom Blairów, India wysiadła bez słowa. Chciałam coś powiedzieć, cokolwiek, żeby pomóc i może przekonać ją, by nie rezygnowała z debiutu.

Dobre wieści, złe wieści... Sumienie zwyciężyło i pozwoliłam jej odejść, nie wspominając o balu.

*

Poranek w dzień balu przyniósł idealną pogodę. W ciągu dnia miało się zrobić gorąco, ale wieczorem faliste wzgórza się ochładzają, na czarnym jak aksamit niebie wschodzą gwiazdy niby kryształki lodu. Noc zapowiadała się wspaniale... Jeśli nie brać pod uwagę ośmiu, teraz już siedmiu, stanowczo niereprezentacyjnych debutantek na imprezie, która kiedyś należała do najważniejszych towarzyskich wydarzeń w Willow Creek.

Czułam zdenerwowanie, gdy wkładałam szorty khaki, koszulę z podwiniętymi rękawami i buty na gumowych podszwach. Kiedy weszłam do kuchni, Lupe, Janice i moja matka już tam były. Na mój widok wszystkie uniosły brwi.

— Z tego, co słyszałam — zaczęła mama — w Willow Creek nie ma jachtklubu.

— Bardzo śmieszne — stwierdziłam.

— Co to za mina? — zapytała Janice.

— Noo... — zawahałam się.. — Po prostu chcę, żeby bal się udał.

— Uda się — stanowczo stwierdziła Janice.

Ale jak mogła w to nie wierzyć, skoro jej córka była jedną z debiutantek. Wręczyła mi filiżankę kawy.

— Dzięki.

— Będzie wspaniały — powiedziała.

— I to pada z ust przeciwniczki?

— Wciąż jestem przeciwna tego typu wydarzeniom, ale postanowiłam, że nasz bal odniesie sukces.

— Jak sobie radzi Morgan?

— Wspaniale. Suknia jest idealna. Po południu idziemy do fryzjera. Wolałabym tylko, żeby nie spędzała tyle czasu z tym swoim kawalerem.

— Uczą się za każdym razem, kiedy ich widzę. To chyba nie najgorzej — odważyłam się wtrącić.

Janice prawie się roześmiała.

— Tak, moja córka zaczęła dostawać dobre stopnie, odkąd ma chłopaka, a nie odwrotnie.

Jak na zawołanie, Morgan weszła do kuchni ubrana w prosty bawełniany top i dżinsy, ciemne długie włosy zebrała w koński ogon. Wyglądała jednocześnie uroczo i wytwornie, wielka, wielka odmiana po stylu a la Cyndi Lauper sprzed zaledwie kilku miesięcy.

— Już lecę — powiedziała, biorąc grzanekę. — Przed fryzjerem muszę pójść na spotkanie koła wiedzy o społeczeństwie. W poniedziałek zaczynają się egzaminy i zamierzam dokopać... naprawdę dobrze wypaść.

W kuchni zjawiała się Savannah. Wciąż jeszcze nie doszła do siebie. Prawdę mówiąc, w tym nowym, cichym wydaniu była jeszcze piękniejsza, ale widziałam, że jej niebieskie oczy zdradzają raczej utratę nadziei niż spokój.

— Twoja herbata — powiedziała Lupe, stawiając przed nią pamiątkową porcelanową filiżankę, dzbanuszek śmietanki i cukiernicę.

Savannah odsunęła na bok inne naczynia i podniosła tylko filiżankę, pijąc herbatę bez dodatków. I znów ktoś cierpiał, a ja nie miałam pojęcia, co z tym zrobić.

Ben wszedł za nią. Wydawał się równie zestresowany jak żona. Kiedy zobaczył nas wszystkie, zawahał się.

— Co takiego? — zapytałyśmy. Namyślał się przez chwilę.

— Herb Pennings dostał informację, że jest do wzięcia dziecko. Savannah się spięła.

Mama wyglądała na zagubioną.

— Herb Pennings, prawnik z Dallas? Co ma wspólnego z dziećmi?

— Pomaga nam znaleźć dziecko do adopcji. Oczy mojej siostry wypełniły się łzami.

— Savannah — powiedział Ben. — W zeszłym roku zgodziłaś się, że adopcja to najlepsze wyjście.

— Bo nie sądziłam, że do tego dojdzie. Zakładałam, że będę miała własne dziecko.

Ben przesunął dłonią po twarzy.

— Tylko pojedź ze mną do Dallas. Posłuchaj, co ma do powiedzenia. Zresztą wyjazd z miasta na parę dni dobrze by ci zrobił.

Na chwilę wróciła dawna Savannah, zerwała się z krzesła.

— Nie! Nie zamierzam rozmawiać z prawnikiem o adopcji. Ben mruknął coś niepoehlebnego, chwycił teczkę i poszedł do garażu.

— Ach, Dios — westchnęła Lupe.

— Dobrze powiedziane — stwierdziła moja matka. — Dziś jest bal. Jak Ben może myśleć o wyjeździe do Dallas?

Pokręciłam głową i wyszłam.

— Co? — chciała wiedzieć mama. — Co takiego powiedziałam?

Savannah wróciła na górę. Matka ruszyła na poszukiwanie swojego męża. Janice i ja pograżyłyśmy się w ostatnich przygotowaniach. Telefon nieustannie dzwonił z pytaniami o suknie, makijaż, dekoracje, catering.

Bal zaczął się o siódmej trzydzieści koktajlem dla rodziców i gości.

O ósmej gala miała rozpocząć się wejściem dziewcząt, potem ojcowie prowadzili je do tańca. Kawalerowie wprowadzali na parkiet matki, a po kilku minutach następowała zamiana, tak by ojcowie tańczyli z matkami, a kawalerowie z debiutantkami. Zaraz potem planowano kolację, a po niej długą teksaską noc picia i tańców. Wiedziałam, że nie usiądę spokojnie dopóty, dopóki nie wyjdzie ostatni gość.

O szóstej trzydzieści starannie ubrałam się w balowy strój kupiony w San Antonio. Góra z kremowej organzyny z wysokim kołnierzem, który otwierał się w głęboki jak na moje możliwości dekolt, przechodziła w powiewną, sięgającą ziemi spódnice z niebiesko-czarnej tafty. Zaszalałam i kupiłam czarne sandały na czterocalowych obcasach, choć wiedziałam, że pożałuję tego wyboru po pierwszej półgodzinie. Makijaż zajął mi więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem, włosy ściągnęłam w luźny węzeł z tyłu głowy. Siedząc przy biurczku w sypialni, zawahałam się nagle. Po chwili wyciągnęłam babcine perły. Trzymałam je, pocierając palcami, i już chciałam włożyć sznur z powrotem do pudełka, gdy zamiast tego zapięłam go na szyi.

— To jest to, babciu — wyszeptalam. — Zwycięstwo albo śmierć.

Poczułam, że otacza mnie ciepła fala. Przysięgam.

Dzwonek rozległ się, gdy zmierzałam do tylnych drzwi. Janice i Morgan wciąż jeszcze były na górze, Lupe im pomagała. Kiedy dzwonek zadzwonił ponownie i jeszcze raz, zebrałam spódnice i wróciłam.

— Ruth — powiedziałam, gdy zobaczyłam ją w drzwiach. Stała na werandzie biała jak duch, oczy miała wielkie z przerażenia.

— Nie mam sukni.

— Ale sądziłam, że...

— Och, panno Cushing, myślałam, że zbieram dość pieniędzy, ale suknie są strasznie drogie, więc pomyślałam, że może znajdę coś tańszego, więc chodziłam od sklepu do sklepu i nawet pojechałam do San Antonio, ale nie mogłam znaleźć nic białego, co by się nadawało i...

— Ruth, uspokój się. Załatwimy to. Chociaż nie miałam pojęcia jak.

Janice zeszła na dół wytwornie ubrana, nigdy nie widziałam jej wyglądającej tak pięknie.

— Co się stało? — zapytała.

— Ruth nie ma sukni.

— Co się z nią stało?

— Długa historia, wystarczy powiedzieć, że musimy coś dla niej wykombinować. Masz jakieś pomysły?

Twarz Janice pojaśniała.

— Tak!

Pognała na górę. Rozległ się jakiś hałas i pospiesznie wróciła.

— Proszę, załóż to.

— Och nie, nie mogłabym — westchnęła Ruth. Musiałam się uśmiechnąć. Sufrażystowska szata miała jednak trafić na bal.

— Nie miałam serca jej oddać, bo tak mi się podobała — wyjaśniła Janice. — A poza tym uznałam, że lepiej być gotowym na wszelki wypadek. I proszę.

Co dziwne, kiedy ubrałyśmy Ruth w staroświecki strój, okazało się, że dobrze wygląda.

— Genialna! — stwierdziła dziewczyna. — Dziękuję! Ale obiecuję, zapłacę za nią.

Janice poprawiała coś przy szwach.

— Nawet o tym nie myśl, kochanie. Uznaj, że to prezent ode mnie. Ktoś powinien nosić tę suknię i cieszyć się, że to będziesz ty.

Jestem pewna, że sprzedawczynie w sklepie dla sufrażystek też byłyby zadowolona, choć nie widzę szans, by Janice ostatecznie zdecydowała się dokonać zwrotu. Naprawdę nie mogłam sobie wyobrazić absolutnie nikogo w całym Willow Creek, oprócz Ruth Smith, kto wybrałby tę suknię.

Gdy siły szybkiego reagowania zakończyły akcję, wsiałam do volvo i pojechałam do filharmonii. Janice, Henry i Morgan jechali następnym samochodem, Ruth kolejnym. Dzięki Bogu, że zdążyłam wziąć się w garść, bo pierwszą osobą, którą zobaczyłam po wejściu do wspaniale udekorowanej sali ze sklepieniem w kształcie złotej kopuły, był Jack.

Ubrany w wieczorowy smoking, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu, wyglądał, jakby zszedł ze strony czasopisma o modzie. Nie spodziewałam się, oczywiście głupio, że zjawi się z Racine. W głębi serca założyłam chyba, że powie jej o tym, co zaszło, a ona mu nie wybaczy. Można było powiedzieć o nim wiele rzeczy, ale nie kłamałby na temat ponad-programowego seksu.

Ponieważ stał przy stole mojej rodziny, nie miałam wyboru i musiałam podejść.

— Jack — powiedziałam. — Cześć.

— Carlisle, jak się masz?

— Dobrze, a ty?

— Dobrze.

— Witaj, Carlisle — chłodno odezwała się Racine, mocno trzymając ramię Jacka.

A więc wiedziała, co się wydarzyło, ale wybaczyła Jackowi, choć nie mnie.

— Cześć, Racine.

Z Benem u boku zjawiła się Savannah, eteryczna w oszłamiającej kremowej sukni bez ramiączek, z białą satynową szarfą. Za nimi weszli Janice i Henry. Henry jak zwykle przystojny, Janice w naprawdę ślicznej balowej sukni z ekologicznej tkaniny.

— Carlisle! — zawołała mama, wchodząc w długiej spódnicy ze złotej tafty z lekką bluzką z kremowej organzyny. Zatrzymała się na mój widok i wiedziałam, że zauważyła perły babci. Przez chwilę się w nie wpatrywała, potem bez słowa skinęła głową, odruchowo przesuując palcami po własnym sznurze.

Gdy dostrzegła Jacka, opuściła dłoń i odwróciła się, odchodząc bez powitania.

— Spójrzcie, kto nas dziś zaszczyił — stwierdziła z zachwytem.

Niepostrzeżenie podeszła do nas ciotka Penelopa, stara panna. Miała ze sto lat, jednak odgrywała rolę nastoletniej księżniczki. Miała na sobie obszerną suknię balową z tiulu i tafty,

spod której było widać fragmenty sztywnej białej krynoliny i gorset. Jaskrawe plamy różu znaczyły jej upudrowane na biało policzki.

Wszyscy kochaliśmy ciocię Penny, ale nikt nigdy nie pokazywał się z nią publicznie. Nie mogłam zrozumieć, skąd się tu wzięła tego wieczoru.

— Będę ci towarzyszyć! — zagruchała do mnie z dumą. — Twoja matka zadzwoniła dziś rano, wyjaśniła, że będziesz sama, sama, sama i zapytała, czy nie mogłabym ci towarzyszyć, żeby nie wyszło, że nie masz na świecie życzliwej duszy.

Zarumieniłam się pod spojrzeniami Jacka i Racine. Przysięgam, że Racine uśmiechnęła się złośliwie.

Stałam nieruchomo i przyglądałam się ludziom przede mną. Dokładnie, parom przede mną.

Matka z Vincentem.

Janice z Henrym, uśmiechnięci, chociaż ona nie całkiem jeszcze przeboleła fakt, że córka wybrała staroświecki debiut. Jack z Racine. I ja... z ciotką starą panną.

Powiedziałam sobie, że nie jestem zakłopotana, że jestem silniejsza niż typowa kobieta, która definiuje się poprzez mężczyznę. Powiedziałam sobie, że zniosę to z dumą, poprowadzę inteligentną rozmowę. Po czym zrobiłam to, co zrobiłaby na moim miejscu każda szanująca się dziewczyna.

— Wybaczcie mi na chwilę.

Oddaliłam się najszybciej, jak mogłam, ale tak, by nie wyszło na to, że uciekam. Przysięgam, że czułam na sobie wzrok Jacka.

Gdy tylko weszłam za kulisy, ogarnęła mnie poprzedzająca prezentację trema.

— Moje włosy!

— Mój makijaż!

— Moje buty!

Dziewczęta i ich niemal histeryczne lęki były dokładnie tym, czego potrzebowałam. Zajął się makijażem, sukniami, które nagle zrobiły się za ciasne albo za luźne, nawet poprawianiem wymyślnych fryzur, które zaczęły się rozplatać.

Dziewczęta były niemal gotowe do wyjścia, ojcowie niemal równie zdenerwowani jak córki.

Przewodnicząca Towarzystwa

Symfonicznego, Yolanda Shoemaker, weszła na podium i poprosiła o uwagę. Wyglądając zza kurtyny z prawej strony sceny, zobaczyłam lśniącą salę balową, wypełnioną pięknie ubranymi gośćmi. Byli tam senatorowie, przybył gubernator, jednak ja widziałam wyłącznie dziurę, którą stanowił pusty stół Indii. Siedzieli tam tylko Jack i Racine, jakby nie zostali uprzedzeni, że nie mają przychodzić. Janice, która stanęła za mną, też wyjrzała na salę.

— Naprawdę nie przyjdzie?

— Na to wygląda. Chociaż próbowałam. Dzwoniłam do jej ojca i babki. Ale chyba India mówiła poważnie.

— Więc co zrobimy?

Nie miałam pojęcia, podejrzewałam, że będę zmuszona uciec się do ściągnięcia jakichś ludzi z ulicy, którzy wypełnią puste miejsca, aby tak bardzo nie rzucały się w oczy.

Szybkim krokiem weszła Morgan, oszłamiająca w eleganckiej białej satynie i białej pelerynie, obrzeżonej białym lisem, która stanowiła rodzinną pamiątkę. Byłam niemal pewna, że ktoś musiał powiedzieć Janice, że futro jest sztuczne, w przeciwnym bowiem razie czułaby się zmuszona oblać córkę czerwoną farbą.

— Wciąż nie zamierzam tego aprobować — stwierdziła Janice — ale czy Morgan nie wygląda pięknie?

Uśmiechnęłam się do niej. Mój uśmiech zamarł, kiedy weszła Betty.

Dziewczyna miała na sobie coś, co można by określić mianem źle dopasowanej białej sukienki. Bez wątpienia o szyciu tego właśnie stroju wspominała Merrily. Na dokładkę jej włosy zostały splecione w dwa ciasne warkocze, spiętrzone na czubku głowy.

Ogarnął mnie gniew. Jak to możliwe, że jej matka była tak bezmyślna?

Nie ja jedna jęknęłam, chociaż nawet mój jęk umilkł, gdy weszła India we własnej osobie. W przeciwieństwie do Betty była ubrana modnie w suknię z ciężkiego matowego jedwabiu, koronki i satyny. Stanik bez ramiączek opinał ją ciasno, ozdobiony kryształowymi paciorkami i ręcznej roboty białymi satynowymi różami. Spódnica była tak pełna, złożona z całych zwojów białej satyny, że nie powstydzilaby się jej Scarlett O'Hara. Włosy miała ściągnięte w kok, upięty za pomocą opasek z kryształami.

— Boże, Betty, co to ma być? Szwajcarska pasterka? India była oczywiście niegrzeczna, ale miała rację.

— Indio! — Obie z Janice poczułyśmy ulgę. — Jesteś! Wykrzywiła się po swojemu.

— A co miałam zrobić? Wyrzucić na śmietnik taką kupę dolarów i zmarnować szansę na założenie tej sukni?

Podeszłam bliżej.

— Dobrze się czujesz?

— Oczywiście. W sumie jestem superzadowolona, że mama nie przyjdzie. Sama nie wiem, co sobie myślałam. Nie warto na nią tracić energii.

Dzięki ostatnim trzem miesiącom wiedziałam, że wcale nie myśli tego, co mówi. Nie miałam jednak pojęcia, co mogłoby skruszyć skorupę, którą wokół siebie zbudowała, żeby nie dać się ranić, co w efekcie wszystkich trzymało na dystans.

India zwróciła się do Betty.

— A tak serio, o co chodzi z tymi włosami?

Inne dziewczęta uśmiechały się złośliwie, a twarz Betty natychmiast sposepniała.

— Nie wyglądam dobrze? — zapytała. — Mama powiedziała, że nie mogła rozczesać mi włosów, więc zrobiłyśmy warkocze.

Dziewczyny wybuchnęły głośnym śmiechem. Oprócz Morgan. Ona wpatrywała się w Betty z twarzą wykrzywioną złością.

— Wyglądasz śmiesznie — stwierdziła India. Oczy Betty wypełniły się łzami.

— Przestań płakać.

— Zamknij się, Indio — ostro rzuciła Morgan.

Indię zatkalo, ale nie czekałam, by zobaczyć, co będzie dalej. Wzięłam Betty za rękę.

— Będiesz wyglądać wspaniale, ale może zdołamy trochę poprawić ci fryzurę,

— Tak. — Janice pospiesznie nas dogoniła. — Trzeba ci tylko poprawić włosy.

— I może trochę makijaż — dodała Morgan, biegnąc za nami.

Janice, Morgan i ja utworzyłyśmy zespół do spraw pospiesznego upiększania. Użyłyśmy podkładu, podgrzewanych wałków oraz lakieru do włosów, który przyniosłam na wszelki wypadek. Kiedy skończyłyśmy, wręczyłyśmy Betty lusterko.

— O rany — westchnęła.

Za pomocą podgrzewanych wałków ujarzmiłyśmy jej włosy, a potem zaczesaliśmy je do tyłu w kombinację luźnych loków i kosmyków. Morgan działała cuda z podkładem, tuszem, kredką i różem.

— Wyglądasz totalnie jak Drew Barrymore — oznajmiła Morgan.

I rzeczywiście.

— Będiesz wspaniała. — Janice uściśnęła jej ramię. Podniecenie Betty rozplynęło się, gdy przyjrzała się swojej sukni.

— Ale moja sukienka. W porównaniu z innymi jest okropna.

— Wcale nie — zapewniłam.

— Jesteś po prostu oryginalna — zapewniła Janice, choć mogę dodać, że bez sensu, ponieważ celem Betty było wyglądać normalnie.

W tym momencie jednak na suknię, nie mogłyśmy nic poradzić.

— Wszystko będzie świetnie — powiedziałam. A może nie.

Za kulisy wtargnęła Merrily i z początku nie rozpoznała własnej córki. Gdy się jej to wreszcie udało, wstrząsnął nią dreszcz.

— Betty Bennett, coś ty zrobiła?

— Merrily...

Przerwała mi i marszowym krokiem zbliżyła się do córki.

— Ile razy mam ci mówić, że jesteś osiemnastoletnią dziewczyną, nie jakąś... jakąś...

Tym razem to Betty przerwała matce.

— Jakąś kim, mamó? — Zacisnęła ręce w pięści. — Kimś, kto dla odmiany wygląda mniej więcej normalnie?

Można by pomyśleć, że Betty właśnie oznajmiła matce, że jest w ciąży. Merrily zatkało i zaczęła się trząść.

— Betty!

Gniew dziewczyny z miejsca zniknął, ale zaskoczyła mnie, bo się nie wycofała.

— Przepraszam. Wiem, że lubisz swoje krasnale, szalone herbatki i lubisz być kimś, kto robi, co chce, bez względu na to, co powiedzą inni. To świetnie, mamó. Kocham cię, choćby nie wiem co. Chcę tylko, żebyś traktowała mnie tak samo.

Merrily wpatrywała się w córkę, nawet nie drgnęła. Betty westchnęła.

— Czy naprawdę byłoby tak źle, gdybym wyglądała jak reszta dziewczyn? Ten jeden raz? Czy jesteś w stanie zrozumieć, że w przeciwieństwie do ciebie mnie nie kręci to, że nie pasuję?

Usta Merrily zadrżały.

— A tobie przyszło kiedyś do głowy, że ja nie miałam wyboru?

Z wyrazu twarzy Betty widziałam, że nie rozumie, o czym mówi matka. W jej mniemaniu „wpasowanie się” polegało na zmianie fryzury i właściwych ciuchach. Nie dotarło do niej jeszcze, że wygląd to tylko początek. Ja jednak pamiętałam wzdargę matki wobec Merrily, gadanie o zwariowanej rodzinie. Merrily przyjechała do miasta i wyszła za faceta, którego wszyscy uważali za geja. Potem teść wziął ją pod swoje skrzydła w sposób, który wywołał uniesienie niejednej brwi. Wiedziałam, że zwykła zmiana stroju nigdy nie pomogłaby Merrily Bennett w dopasowaniu się do Willow Creek.

— Och, mamó — powiedziała Betty. — Przepraszam, że zraniłam twoje uczucia. Kocham cię i kocham babcię Bennett, i nawet krasnale. Ale dzisiaj pozwól mi... być jak wszyscy.

Merrily coś mruknęła, ale pomyślałam, że może jest raczej zakłopotana niż niezadowolona.

— No, skoro lubisz krasnale.

Oddaliły się pospiesznie, by znaleźć pana Bennetta w chwili, gdy usłyszałam z głośników głos Yolandy, proszącej wszystkich o zajęcie miejsc. Gdy tłum się usadowił, wygłosiła kilka słów, po czym przekazała mikrofon prezesowi zarządu filharmonii w Willow Creek, Bernardowi Hallowi.

— Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić tegoroczne debiutantki.

Filharmonia rozbłysła, a salę wypełniła Melodia na trąbkę w D-dur Purcella, gdy rozsunięto kurtynę, odsłaniając tradycyjne schody, prowadzące w dół na scenę. Młody kadet Milton Havery długimi krokami dotarł do podstawy schodów, u szczytu których Abby i Grady Bateman pojawili się jak panna młoda z ojcem. Grady promieniał, jednak Abby przeraziła się, gdy zobaczyła jaskrawe światła i publiczność.

— Panna Abigail Bateman — oznajmił Bernard Hall. — Córka pana Grahama Donalda Batemana z Willow Creek

w towarzystwie ojca oraz starszego sierżanta Milтона Harveya z Akademii Willow Creek.

Tłum zaklaskał, gdy ojciec i córka wykonali kilka pierwszych kroków. Abby miała na sobie bardzo stosowną suknię z jedwabnej satyny z długimi rękawami, masą paciorków i pełną spódnicą, wybrała jednak satynowe szpilki od Jimmy'ego Choo. Wstrzymałam oddech, gdy się zachwiała. Ojciec szybko chwycił ją za rękę i pomyślnie dotarli na dół, ale jak świetnie wiedziałam, nie oznaczało to jeszcze, że wyszli na prostą. Na dole schodów Milton i Grady stanęli po obu stronach dziewczyny. Abby puściła ramię ojca i na chwilę czas się zatrzymał, cała trójka stała tam, ojciec w czarnym smokingu, Abby w sukni, jej towarzysz w galowym mundurze, wszyscy w białych rękawiczkach. Potem rozłożyła ręce i zaczęła Teksaski Dyg. Biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się w Willow Creek w stanie Teksas, nikt na sali specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Po prostu oczekiwali dygnięcia, chociaż widziałam zmarszczki napięcia na twarzy mojej matki. Pomyślałam, że matka Abby zaraz zemdleje ze stresu. I nie bez powodu, ponieważ gdy Abby zaczęła zbliżać się do podłogi, ponownie się zachwiała i byłam pewna, że upadnie. Jej ojciec nie zamierzał jednak do tego dopuścić, chwycił córkę za ramię i poderwała się w górę z mieszaniną wstydu i ulgi.

Gdy publiczność zorientowała się, że nie może liczyć na nic więcej, rozległy się oklaski, jednak niezbyt gorące. Debiutantka, jej kawaler i ojciec odeszli na lewo, gdzie polecono im czekać.

Nie wyszło idealnie, pomyślałam, ale nie była to też katastrofa. Jedna z górki, zostało siedem. Muzyka stała się głośniejsza, gdy reflektor poprowadził do stóp schodów następnego kawalera. Cofnęłam się o krok, by ogarnąć wzrokiem resztę dziewczyn i ojców nerwowo tłoczących się za kulisami w oczekiwaniu na swoją kolejność wejścia

na platformę u szczytu schodów. Kątem oka zauważyłam, że Morgan zniknęła.

— Panna Tilda Kay Beeker — oznajmił prezes zarządu.

Z mojego miejsca za kulisami widziałam Tiki i jej ojca stojących na szczycie. Tiki wyglądała na przerażoną, brązowe oczy miała rozszerzone, skromnie umalowane usta — szeroko otwarte. Prawie usłyszałam syknięcie mojej matki.

— Tilda Kay jest córką pana Armanda Beekera z Willow Creek. Towarzyszą jej ojciec i starszy sierżant Kenneth Kenan z Akademii Willow Creek.

Suknia Tiki była niemal identyczna jak Abby, jedwabna satyna i masa paciorków. Jednak obcasy jej butów były o połowę niższe. Zmierzała z ojcem na dół, do miejsca, gdzie dziewczyny wykonywały dyg. Niemal na samym dole Tiki zaczepiła obcasem o obrąbek i poleciała w przód. Tłum jęknął, ale na szczęście starszy sierżant Kenan miał dobry refleks i po jednej strasznej chwili złapał dziewczynę, zanim upadła na podłogę.

Przerażona Tiki ukloniła się niezgrabnie, po czym popędziła na swoje miejsce obok Abby, z podążającymi za nią ojcem i kadetem. W tłumie rozległ się pomruk niezadowolenia.

— O mój Boże! — jęknęła za sceną India. — Czy może być jeszcze większy wstyd? Staniemy się pośmiewiskiem, Betty w worku i reszta tych porąbanych dziewczyn...

Muzyka przybrała na sile i nadeszła kolej Betty. Ale Betty zniknęła.

— Gdzie Betty? — zapytałam gorączkowo. Zza rogu wybiegła Yolanda.

— Gdzie następna dziewczyna?

— Jestem! Jestem! — krzyknęła nasza zaginiona debiu-tantka.

— Betty? — Na jej widok ze zdziwienia otworzyłam usta. Miała na sobie inną suknię.

— Betty! — jęknęły dziewczęta, wszystkie z wyjątkiem Indii.

Z nową fryzurą, makijażem, w nowej sukni, Betty była piękna jak Drew Barrymore w roli Kopciuszka.

— Szybko. — W głowie mi wirowało. — Już cię zapowiedzieli!

Wzięła ojca pod ramię i pospiesznie ruszyli w stronę schodów, po czym wyszli przed kurtynę.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Betty dokonała przemiany. Jedno, co wiedziałam, to że kiedy się odwróciłam, zobaczyłam swoją bratanicę stojącą za kulisami w samej halce.

Od strony widowni nadbiegła Janice.

— Betty ma na sobie suknię Morgan! Na widok córki stanęła jak wryta.

— Boże, Morgan, coś ty narobiła!

Rozdział 32

Janice wpatrywała się w córkę pałającymi oczami.

— Morgan — zdołała z siebie wydusić. — Coś ty zrobiła? Morgan uniosła podbródek.

— Nie mogłam pozwolić, żeby Betty tam poszła i zrobiła z siebie idiotkę, a suknia pasowała, więc kazałam jej ją włożyć. — Skrzywiła się po swojemu. — Nie bardzo myślałam, co będzie potem. Przepraszam. Wcale nie chciałam głupio postąpić.

Jej matka westchnęła, a potem podeszła, ujmując dłonie córki we własne.

— Nigdy w życiu nie byłam z ciebie taka dumna. Chwilę to trwało, ale w końcu spięte ramiona Morgan

się rozluźniły. Gdy się od siebie odsunęły, dziewczyna pospiesznie otarła oczy.

— Chyba twoje życzenie jednak się spełni.

— Jakie życzenie?

— Żebym nie była debiutantką. Tak na pewno nie mogę wyjść.

Janice chwyciła córkę za ramiona i spojrzała jej w oczy.

— Czy chcesz być debiutantką, kochanie?

Wzruszyła ramionami niemal wstydliwie.

— Tak, chcę.

— Więc będziesz debiutantką. Tak naprawdę, w sukni czy nie, będziesz najlepszą debiutantką, jaką to cholerne miasto widziało.

Morgan była przerażona.

— Mamo! Nie mogę wyjść w halce!

— Nie, chyba nie — mruknęła Janice. Matka i córka odwróciły się do mnie.

— Co robimy?

Na to, uświadomiłam sobie, mogłam coś poradzić.

— Mam pomysł, ale musimy działać szybko. — Nabazgrałam notatkę. — Podaj to Yolandzie, niech Morgan zamieni się z Indią na miejsce, tak żeby była ostatnia. Potrzebujemy czasu.

— Co? — zaprotestowała India. — Morgan wychodzi ostatnia? Nie może! Ja jestem ostatnia!

— Indio — powiedziałam. — Nie mamy wyboru. Spojrzała na Morgan, która stała prawie naga.

— To nie mój problem! Mam wyjść ostatnia.

— Przykro mi, Indio, ale to niespodziewana sytuacja. Stała strasznie sztywna, zaczęły jej drżeć usta.

— To nie w porządku. Morgan ma wszystko.

Jej ciało przeszył dreszcz i zdumiona patrzyłam, jak pęka skorupa otaczająca Indię.

— Ma matkę — szlochala — ma ojca. I siostry, i braci, i ciotki, i wujków. Wszyscy mieszkają razem w jednym domu. — Strumienie łez rozmazywały jej makijaż. — Nie może mieć też tego.

— Indio...

— Indio — odezwała się Morgan, przerywając mi. Podeszła do Indii, potem spojrzała na resztę dziewczyn. — Lepiej się ustawcie, bo przegapicie swoją kolejkę.

Pozostałe debutantki zerwały się i popędziły w stronę sceny. Morgan zmarszczyła nos, jakby usiłowała wymyślić, co powiedzieć.

— Masz totalnie zajebiste życie, Indio. Boże, masz normalnie niesamowity dom i samochód, i ciuchy.

India jednak płakała, zakrywając twarz dłońmi, rękawiczki miała poplamione różem i szminką.

— Ale tata mnie nienawidzi. Poczułam, że pęka mi serce.

— O rany — powiedziała Morgan. — Wcale cię nie nienawidzi.

— Nigdy go nie ma. Nic, co robię, nie jest dość dobre według niego. Jakby chciał mieć idealną córkę, kogoś takiego jak ty.

— Ja? — Morgan niepewnie zerknęła na matkę, potem bardziej się nachyliła. — Słuchaj, nie jestem idealna, możesz mi wierzyć. I moje życie wcale nie jest takie idealne. Halo, mojego taty prawie nigdy nie ma w domu. Ale nie rób takich głupot jak ja.

— Co chcesz powiedzieć? — India pociągnęła nosem. Morgan się zawahała, a potem na własne oczy zobaczyłam, jak moja bratanica dojrzeła.

— Słuchaj, Indio, wywalali mnie z prawie każdej szkoły w San Francisco, bo usiłowałam zwrócić na siebie uwagę ojca. A udało mi się tylko wszystko zepsuć. — Z trudem znajdowała słowa. — To była strata czasu, a tata nawet nie zauważył. Ale myślę, że któregoś dnia zauważy, jaka jestem świetna. — Uśmiechnęła się cierpko. — Chodzi o to, że musimy sobie radzić z tym, co mamy. — Jeden kącik jej ust podjechał w górę. — No i jeśli to w czymś pomoże, to wiedz, że kiedy z tyłu ubierałam Betty w moją suknię, widziałam jakąś kobietę, która weszła z twoją babcią, twoim tatą i jakimś innym facetem. Domyślałam się, że to twoja mama i ojczym.

— Co? — Gwałtownie przeniosła spojrzenie z Morgan na mnie i z powrotem. — Moja mama tu jest?

Przemilczałam, że zadzwoniłam do jej ojca i (usilnie) zasugerowałam, że dla dobra córki mógłby się postarać, by jej matka poczuła się mile widziana przez mężczyznę, którego opuściła. Wyrztałam zza kurtyny.

— Tak, jest tutaj — powiedziałam, czując wielką ulgę. — Myślę, że twój tata do niej zadzwonił i poprosił, żeby przyszła. — Uścisnęłam jej rękę. — Tata cię kocha, skarbie, pozwól mu na to.

— O mój Boże! Muszę ją zobaczyć. — India się zerwała, zrobiła jakieś trzy kroki, po czym stanęła, pognęła z powrotem i uściskała mnie, Morgan, a nawet Janice. Następnie popędziła na widownię, mimo że nie powinna być widziana do chwili debiutu. Jednak prawdę mówiąc, India zawsze traktowała reguły dość swobodnie.

— Czas płynie — warknęła do mnie Yolanda. Kurwa.

Ruszyłam za Indią na widownię z inną misją. Zwolniłam, gdy zobaczyłam matkę Indii, niepewną siebie w sukni, którą, jak podejrzewałam, kupiła w sklepie z używanymi ubraniami. India nawet tego nie zauważyła. Zarzuciła matce ramiona na szyję i zaczęła przedstawiać ją wszystkim w pobliżu.

Sytuacja nie była idealna, ale zawsze to jakiś początek.

Niestety, nie miałam czasu się przyglądać. Najdyskretniej, jak mogłam, zaciągnęłam moją ciotkę za kulisy.

— Ojej — powiedziała, gdy wyjaśniłam, że potrzebna mi jej powiewna bielizna.

W chwili gdy ściągałam z ciotki suknię, zjawiała się Savannah.

— Co się dzieje?

Janice jej wyjaśniła, ja tymczasem nie przerywałam pracy. Ciocia Penny okryła się białą satynową narzutką Morgan, gdy pospiesznie ubierałam bratanicę w halkę uszytą z białej organzyny i tafty, która w obecnym tysiącleciu mniej więcej przypominała suknię. Stanik miała gruby, gładki i obcisły, z cieniutkimi ramiączkami, spódnicę pełną, spływającą aż do podłogi. Krynolina pod spodem nadawała jej piękny kształt dzwonu.

Savannah tylko spojrzała i stwierdziła:

— Wygląda na niewykończoną. — Rozejrzała się, zatrzymała wzrok na ciotce. Jednym ruchem pozbawiła starszą panią okrycia.

— Nie mogę tego włożyć! — powiedziała Morgan.

— Nie to. — Z mojego awaryjnego zestawu do szycia Savannah wyjęła nożyczki i zaczęła manipulować przy obszytym futrem brzegu.

— Chcesz pociąć pelerynę mamy? — Wybałuszyłam oczy.

— Potrzebne mi tylko futro.

Fachowo wykonała cięcie, odrzuciła nożyczki, a potem jednym ruchem oderwała białe futro od satyny.

Ciocia Penny, mimo że ledwie ubrana, zrozumiała, co musi nastąpić dalej. Podeszła z igłą i nitką.

— Przyczepię to w mgnieniu oka.

Pracowałyśmy jak ekipa techniczna w pit stopie w czasie wyścigów Nascar. Janice i ja zerwałyśmy halkę z Morgan, Savannah ciachnęła ramiączka, potem Penny przymocowała futro do stanika, po czym wepchnęłyśmy oszołomioną dziewczynę z powrotem w nową, ulepszoną suknię. Po ostatniej inspekcji Savannah zdjęła swoją białą szarfę i zawiązała Morgan w pasie na wielką kokardę. Trochę w stylu Lindy Evans z Dynastii, ale, co dziwne, dzięki Savannah dobrze to wyglądało.

— Proszę — oznajmiła — jesteś gotowa. Za scenę wpadła moja matka.

— Gdzie są wszyscy? — zapytała stanowczo. Gdy zobaczyła swoją osiemdziesięcioletnią ciotkę stojącą prawie nago, niemal zemdląła. — Co się stało?

Morgan zrobiła krok naprzód i rozłożyła ręce.

— Jak wyglądam?

Mama położyła rękę na piersi. Nie umiałam stwierdzić, dostanie ataku serca czy uśmiechnie się z radością.

— Morgan, wyglądasz jak rosyjska księżniczka.

Z ciemnymi włosami Janice i fiołkowymi oczami Wain-wrightów oraz alabastrową skórą była naprawdę oszałamiająca.

— Proszę. — Sięgnęłam do zapięcia moich pereł. — Załóż to.

Matka mnie powstrzymała.

— Nie zdejmuj. Długo trwało, zanim wreszcie je założyłaś. — Rozpięła własne perły. —

Proszę — powiedziała, stając za wnuczką. — Włóż moje.

Kiedy skończyła, cofnęłyśmy się, by podziwiać nasze dzieło.

— Widzisz, mam — zwróciłam się do Janice. — Debiut nie zniszczył twojej córki.

Oczy bratowej zalśniły.

— To dobry dzieciak.

— Tak, dobry. Janice uścisnęła córkę.

— Jestem z ciebie taka dumna. Tym razem Morgan była twarda.

— Może jednak mam w sobie coś wartego Pulitzera. Mama uśmiechnęła się kpiąco.

— Oczywiście, że tak. Jesteś z Wainwrightów. — Tym razem nie kpiła.

— Jesteś następna! — zawołała Yolanda.

Przytrzymując długą spódnicę, Morgan popędziła do schodów, gdzie czekał Henry. Puch białego filtra wokół jej stanika delikatnie falował.

Gdy wróciłam za kulisy, zdążyłam obejrzeć Indię. Stojąc na szczycie schodów z Hunterem, wyglądała jak księżniczka.

— Panie i panowie, niech mi wolno będzie przedstawić pannę Indię Elizabeth Blair. Jest córką pana Huntera Blaira z Willow Creek. Towarzyszą jej ojciec i starszy sierżant Derek Clash z Akademii Willow Creek.

Z gracją zeszli po schodach, zatrzymując się na dole, gdzie India przybrała wyniosłą pozę. Potem zaczęła formalny ukłon. Cała sala wstrzymała oddech, gdy pochyliła się ku podłodze. Przez chwilę myślałam, że się zatrzyma, gdy skrzypce wzięły długą nutę, ale pochyliła się w przód, aż czołem niemal dotknęła spódnicy. Wypadła lepiej niż ktokolwiek do tej pory. Odmienne niż podczas innych debiutów, których byłam świadkiem, zebrani urządzili Indii głośny aplauz. Jej ojciec zachował stoicki spokój, gdy tymczasem babcia otwarcie płakała na widowni. Matka dziewczyny miała w oczach łzy jednocześnie dumy i żalu.

Spodziewałam się, że India przyjmie wyrazy podziwu jako coś, co się jej należy, ona jednak pomachała do matki, potem zarzuciła ojcu ramiona na szyję.

— Dziękuję, tatusiu.

Hunter Blair stał bardzo sztywno, niezgrabny i zakłopotany. Tłum wyczuł napięcie, wiwaty zaczęły cichnąć. India to zauważyła i puściła ojca, zaczęła przybierać zwykłą arogancką pozę. Hunter jednak ją zatrzymał, ujmując pod brodę, by na niego spojrzała.

— Świetnie sobie poradziłaś. — A potem człowiek, który poprzez ogień i niebezpieczeństwo nieodłącznie towarzyszące wydobywaniu ropy od skrajnej nędzy doszedł do oszałamiającego bogactwa, naruszył konwencję, uniósł córkę do góry i zakręcił nią dookoła.

Tłum wiwatował, gdy Hunter odprowadził Indię na bok, by dołączyła do szeregu debiutantek. Muzyka zagrała głośniej po raz ostami. Tym razem na szczycie schodów pojawiła się Morgan.

Jeśli India była księżniczką, to moja bratanica wyglądała na młodą królową, gdy stała tak ze swym ojcem. Biała suknia z organzyny, tafty i satyny obramowana białym futrem była prosta w swej elegancji, ciemne włosy spięte do tyłu opadały na ramiona Morgan w miękkich lokach. Uśmiechnęła się ze spokojną pewnością, jej dłoń w rękawiczce spoczywała zgodnie z obyczajem na grzbiecie wyciągniętej dłoni mojego brata. Na szyi miała rodzinne perły Wainwrightów.

— Panie i panowie, niech wolno mi będzie zaprezentować pannę Morgan Wainwright Cushing. Jest córką pana Henry'ego Herberta Cushinga Czwartego, potomką księcia Ridgely'ego Wainwrighta, założyciela filharmonii w Willow Creek.

Widziałam, że mama miała łzy w oczach, gdy schodzili po schodach. Na dole Morgan uśmiechnęła się do swego kawalera oraz ojca, po czym zaczęła powolny skłon. Jako pierwsza podczas ćwiczeń przewracała się na czarno-białą marmurową podłogę w holu, więc nikt nie był zaskoczony bardziej ode mnie, że dotarła do punktu, w którym większość dziewcząt kończyła ukłon. Tymczasem ona pochylała się dalej. Opadała niżej i niżej, a ja wstrzymywałam oddech, nie żartuję, aż dotknęła czołem obfitych fałd swojej zaimprovizowanej sukni z ramionami rozłożonymi na boki jak skrzydła.

Widownia wybuchła entuzjazmem, ten niezbyt szacowny tłum wiwatował na cześć grupy niezbyt szlachetnego rodu dziewcząt, które dowiodły jednak, że są idealne takie, jakie są. I stojąc tam, zrozumiałam, że nie chodziło o pieniądze, historię mojej rodziny, moją przeszłość czy nawet o babkę. Tu chodziło

o osiem dziewcząt i był to tylko jeden z wielu sposobów, by poczuły się zdolne zdobywać świat.

Orkiestra zagrała tusz, tłum ryknął z aprobatą, a ja z ulgą oparłam się o ścianę, gdy dziewczęta i ich ojcowie zaczęli tradycyjnego walca. Skończone. Dziewczęta wypadły wspaniale

i w tamtej chwili nie obchodziły mnie finanse filharmonii ani rodzinna spuścizna. Interesowały mnie tylko moje dziewczęta. Może nie był to najbardziej tradycyjny z debiutów, ale byłam dumna z tego, co osiągnęły podczas trzech krótkich miesięcy.

Kawalerowie wymienili matki na córki i uznałam, że czas już wracać do rodzinnego stołu. Gdy tylko wyszłam zza kulis, zobaczyłam Jacka z Racine, owiniętą wokół niego jak tani sweter ze spandeksu. Pożeglowałam w przeciwną stronę, ale tam stała Janice. Chwyciła mnie za ramię.

— Co się między wami dzieje?

Z namysłem spojrzałam na bratową, potem się skrzywiłam.

— Pamiętasz, co mówiłaś o seksie w męskiej toalecie? Jej oczy powiększyły się do rozmiaru spodków.

— Ty i Jack? — wydusiła.

— Tak. Ja i Jack w sądzie, w męskiej toalecie, podczas gdy Racine siedziała na galerii.

Wybuchnęła śmiechem.

— Niegrzeczna z ciebie dziewczynka. I pomyśleć, że nagadałyśmy Savannah z powodu toalety w klubie sportowym! — Objęła mnie ramieniem, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami. — Chodź. Nie możesz pozwolić, żeby wystraszyło cię drobne pieprzenie.

Manewrowałyśmy między stołami, ludzie zatrzymywali nas dosłownie co krok.

— To była piękna prezentacja!

— Dziewczęta były urocze.

— Gratulacje!

Nie zwracałam specjalnej uwagi na pochwały. Zauważyłam, że mama siedzi przy naszym stole samotnie. Cioci Penelopy nie było, Vincent gdzieś zniknął.

Ridgely siedziała sztywno, otoczona pustymi krzesłami z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Przybrała idealną minę, udając, że uwielbia siedzieć samotnie, gdy wszyscy tańczą, a kobiety z Willow Creek, stare i młode, szepczą za jej plecami.

Udało się nam nie dopuścić do katastrofy na balu, dowiodłam, że matka nie zdradzała męża, ale nieprędko miało jej zostać wybaczone kłamstwo na temat wyglądu.

Poczułam tę dobrze znaną potrzebę, by ją ratować, i ruszyłam w stronę stołu. Zanim tam dotarłam, Jack wstał i podszedł do niej.

Och, nie! Nie urządź tu konfrontacji — chciałam zawołać. Jednak nie zdążyłam dojść do stołu, więc zaczęłam do nich wołać, gdy zobaczyłam, że Jack wyciąga rękę i prosi moją matkę do tańca.

Przeniosła spojrzenie z jego dłoni na twarz, potem powiedziała coś, czego nie usłyszałam. Kiedy niemal ślizgiem dotarłam do stołu, usłyszałam jego śmiech.

— Pani Ogden, jeśli o panią chodzi, to nienawiść nie jest odpowiednim uczuciem. Piękna. Niezniszczalna. Wytrwale dążąca do celu. To właśnie przychodzi mi do głowy, gdy o pani myślę.

— Ależ, panie Blair — zagruchała.

— A teraz czy będzie pani tu siedzieć sama, czy zatańczy ze mną?

Ujęła go za rękę, a kiedy mnie mijali, uśmiechnęła się i wyszeptwała:

— Nie rozumiem, jak mogłaś go zostawić.

Zatkało mnie. Musiałam jednak szybko nabrać tchu, bo muzyka umilkła. Zdumiona zobaczyłam Indię, Morgan i resztę debutantek rozmawiające z dyrygentem. Najpierw ukradkiem pokręcił głową, potem odbyły się kolejne szepty i zobaczyłam, że ustępuje.

— Panie i panowie — zawołał — mamy tu specjalną prośbę! — Odwrócił się na pięcie, powiedział coś do orkiestry, a muzycy pospiesznie to coś sobie przekazali i zaczęli nowy kawałek.

— Co? — wyszeptalam.

Przyglądałam się wraz z resztą gości, jak grupa moich ośmiu debiutantek chwyciła się za ręce i zaczęła śpiewać, do granego przez orkiestrę kawałka Dixie Chicks Not Ready to Make Nice.

Rozdział 33

WAINWRIGHTOWIE POZOSTAJĄ W PIERWSZEJ LIDZE

W czasach, gdy świat pełen jest wojen, głodu i nędzy, bale debiutantek wydają się czymś frywolnym i przebrzmiałym. W tym roku jednak Carlisle Wainwright Cushing, córka dawnej debiutantki roku, Ridgely Wainwright, zdołała zorganizować Setny Doroczny Bal, który przyniósł filharmonii w Willow Creek rekordowe zyski. Aby tego dopiąć, zgromadziła stare i nowe rodziny z Willow Creek i zaprezentowała nam osiem eleganckich czarujących młodych kobiet, które pokazały, że nie dadzą się skrępować konwenansom.

To jeszcze nie korpus pokoju, ale nie jest to już bal debiutantek znany z czasów naszych babć i matek.

W ciągu nocy stałam się kimś w rodzaju gwiazdy. Idąc w ślady mojej matki, Morgan została przez teksaską prasę wybrana na Debiutantkę Roku. Indii udało się wyrwać z kręgu złości, gdy obiecała sobie spędzić więcej czasu z matką i jej nową rodziną, aby się lepiej poznać. Wszystko to miało się wydarzyć po jej powrocie z wyprawy z ojcem na Środkowy Wschód, gdzie Hunter tak dużo pracował. Uważam, że to nie miejsce dla dziecka, ale nie mniej oceniać. Jak stwierdził Hunter, nadszedł czas, żeby jego córka poznała trochę świata poza własnym podwórkiem.

I może o to chodziło. Może trzeba wyjechać, zobaczyć świat, znaleźć się z dala od własnego podwórka, by zrozumieć, co się ma. Albo spojrzeć z dystansu na idee, które narodziły się pod wpływem ograniczeń konkretnego miejsca.

Janice dostała pracę jako publicystka, a nie w dziale towarzyskim w „Willow Creek Times”, jak początkowo jej proponowano. Obie z Morgan z miejsca zaczęły planować wspólną podróż do Barcelony. Mój brat nie mógł pojąć zmiany, która zaszła w jego życiu.

— A co ze mną? — zapytał w kontekście wyjazdu.

— Ależ nie chcemy odrywać cię od pracy — stwierdziły, a potem roześmiały się jak uczennice.

Po publikacji artykułu panie z Willow Creek szybko wybaczyły mojej matce. Powiedziała mi, że jest zachwycona wynikiem balu, że nigdy nie wątpiła w moje umiejętności i ponownie przyrzekła nie pakować się w kłopoty. Uwierzyłam jej mniej więcej w połowie.

Następna była moja siostra. Dzień po balu zastałyśmy Savannah w holu, spakowaną i gotową na wyjazd z Benem do Dallas. Wrócili dwa tygodnie później po adopcji nie jednego, ale dwóch maluchów, bliźniaczek. I jeśli nasza mama będzie tu miała cokolwiek do powiedzenia, to nie wątpię, że wyrosną na przyszłe debiutantki.

Co do mnie, to po wszystkim, co zaszło, nie umiałam sobie wyobrazić, że kiedykolwiek wyjdę za mąż, ale kto wie. Widok mojej siostry z tymi dziećmi kazał mi wierzyć w cuda. Jedno, czego byłam pewna, to że mimo nowego statusu pomniejszej gwiazdy nie mogłabym zostać w Willow Creek. Ale tu zaczynał się kłopot. Dokąd miałam pojechać?

Jasne, mogłam wrócić do Bostonu i miałyby to wielki sens. Mogłam nawet przekonać Mela Townsenda, że nie jest za późno, abym przejęła jego sprawę. Tylko jak miałabym wyjaśnić, czemu nie przyznałam się do posiadania pieniędzy? I jak miałabym codziennie pracować z Philipem? Oczywiście mogłam sobie z tym poradzić, ale, szczerze mówiąc, nie chciałam. Chciałam zacząć od początku w nowym miejscu, w którym mogłabym swobodnie się odnaleźć, a błędy mojej przeszłości pozostałyby nieznane.

Wszystko zostało załatwione, nie miałam powodów zostawać dłużej. Poszłam do biura na drugim piętrze Wainwright House. Znalazłam stary atlas, którego poprzednio użyłam, określając miejsce przeznaczenia. Poczulałam komfort pogrążenia się w rytuale, gdy z sięgających od podłogi do sufitu półek wyciągnęłam starą, oprawioną w skórę książkę. Położyłam atlas na blacie, otworzyłam na mapie Stanów Zjednoczonych, ale potem odwróciłam kilka kolejnych stron, aż znalazłam podzieloną na dwie strony mapę świata. Czemu się ograniczać? Uznałam, że tym razem powinnam otworzyć się na świat.

Zamykając oczy, usiłowałam opróżnić umysł, ale nie potrafiłam przestać myśleć o poddaszu. Gdy nie udało mi się wyrzucić tej myśli, postanowiłam wrócić do atlasu później i powlokłam się na schody. Przez okna wlewał się blask późnego popołudnia, wiążąc pyłki kurzu w żółtopomarańczowym świetle.

Grzebałam wśród kartonów i szafek, aż znalazłam pudło oznaczone „Carlisle”. Usiadłam na podłodze i zdjęłam przykrywkę. W środku leżały nagrody z konkursów dyskusyjnych, świadectwa, dowody osiągnięć. Wszystko dowodziło, w jak zdyscyplinowany sposób pracował mój umysł. Odcisk małej dłoni w suszonej glinie, zamontowany na kawałku pomalowanej sklejki, opisany starannymi drukowanymi literami, które podawały moje

nazwisko, wiek, wzrost i wagę. Wypracowanie z piątej klasy, które napisałam, a potem oprawiłam w karton i porządnie zszyłam na grzbiecie. Odwróciłam się na dźwięk kroków.

— Pomyślałam, że może cię tu znajdę.

Mama weszła po schodach w stanowiącym jej znak rozpoznawczy gustownym stroju i rodowych perłach, kremowe eleganckie buty na niskim obcasie stuknęły o deski podłogi. Gdy stanęła za mną, spojrzała mi przez ramię, a potem się uśmiechnęła.

— A, wypracowanie, które napisałaś w piątej klasie. „Sześć powodów, dla których Eleanor Roosevelt powinna być prezydentem zamiast swojego męża”. — Cmoknęła. — Mieszkałaś ze mną i twoją siostrą i nigdy nie pojęłam, skąd ci się wzięła cała ta powaga. Ani śladu zainteresowania tańcami, chłopakami czy studenckimi rozrywkami. Zawsze byłaś inna i potrzebowałaś czegoś innego, niż mogłam ci dać.

— Czy to powiedziałaś Jackowi, kiedy wyjechałam? Przechyliła głowę.

— Więc ci powiedział.

— Tak. Wszystko.

— Zastanawiałam się, co robiłaś, kiedy na tak długo zniknęłaś w sądzie, i to razem z Jackiem.

— Skinęła głową. — Dobrze. Cieszę się, że to wyszło na jaw.

— I słusznie. Kiedy zrozumiałam prawdziwe powody, dla których nie chciałaś pomóc mi przy rozwodzie, miałam ochotę zostawić cię na pastwę losu.

Mama przewróciła oczami.

— Nie dramatyzuj.

Rozbawiło mnie to.

— Nauczyłam się od ciebie.

— Przynajmniej mam jakieś zasługi. To rozbawiło nas obie.

Potem milczaliśmy, pogrążone w myślach.

— Powiedział mi też, że byłaś ze mnie dumna — dodałam.

— Naprawdę?

— Tak.

Zawahała się, potem powiedziała:

— Wpadłam dzisiaj na Jacka. Spojrzałam na nią.

— Sądząc po twojej minie, albo go rozjechałaś, albo postanowiłaś poddać go działaniu swojego uroku.

— Carlisle! Doprawdy. — Potem się uśmiechnęła. — Chociaż to mężczyzna, który dobrze się prezentuje. Młody oczywiście. A ja jestem bezgranicznie szczęśliwa z Vincen-tem. — Spoważniała. — Ale nie o to chodzi. Jack się przeprowadza.

— Co?

— Też byłam wstrząśnięta.

— Co z domem, który budował? I co z Racine? Jedzie z nim?

— Z tego, co rozumiem, zerwał z nią. Nie, nie powiedział o tym. Usłyszałam tę wieść w salonie piękności Velvet Door. Najwyraźniej Racine urządziła tam wczoraj niezłą scenę, opowiadając, że z nią zerwał i złamał jej serce.

Jack się przeprowadza? A przede wszystkim: Jack bez Racine?

Mama podeszła do okna i przesunęła palcami po parapecie.

— Nie myliłam się, mówiąc Jackowi, że nie jest dla ciebie dość dobry — stwierdziła. — Nie był. Choć nie miało to nic wspólnego z jego rodziną czy czymkolwiek, co mogło ci przyjść do głowy. Nie był dość dobry przez tę dzikość i złą sławę, a ty zawsze miałaś do niego słabość. Tego rodzaju miłość może zniszczyć dziewczynę. Pozwól sobie powiedzieć, Carlisle Cusbing, że on by cię zniszczył.

— Mamo...

— Wiem, co mówię. Twój ojciec był taki.

— Co?

W popołudniowym słońcu wpadającym przez okno idealna twarz matki przybrała wyraz rozmarzenia.

— Twój ojciec był niesamowity, szykowny, pełen życia i gdyby nie wjechał tym swoim sportowym samochodziem w drzewo, nacierpiałabym się przez niego.

Tego się nie spodziewałam. Tego o drzewie i cierpieniu.

— Kiedy za niego wyszłam, był ode mnie starszy, ale pozostał przystojnym chłopcem, uroczym i nieokiełznanym jak rzeka Missouri. Tata powiedział, że bym za niego nie wychodziła. Zapewniał, że mnie unieszczęśliwi. Jednak się mylił, przynajmniej z początku. Zaraz po ślubie byłam nieprzytomna ze szczęścia. Otworzyliśmy Lucky Stars, podróżowaliśmy, kochaliśmy się...

— Mamo.

— Ależ tak. Jednak dorosły mężczyzna nie może prowadzić życia chłopca, w każdym razie nie jeśli ma żonę i dzieci, które na nim polegają. — Spojrzała na mnie. — Kochałam twój tatę, Carlisle, ale nasze wspólne życie wymknęło się spod kontroli, jeszcze zanim umarł. A Jack Blair był dokładnie taki jak twój ojciec. Czy potrafisz zrozumieć, że nie chciałam tego samego dla ciebie?

Podczas ostatnich pięciu minut usłyszałam o ojcu więcej niż przez całe życie. I zobaczyłam więcej prawdziwej twarzy matki, niż podejrzewałam, że istnieje.

— Zawsze tak dobrze się zapowiadałaś — ciągnęła. — Mogłaś być, kim zechcesz. Wiedziałam, że wyjeżdżając, zdołasz wykorzystać ten potencjał. Mogłam zrobić przynajmniej tyle — pozwolić ci odejść.

— I sprawić, żeby także Jack pozwolił mi odejść.

— Tak, właśnie — potwierdziła bez śladu skruchy. Podeszła do wysokiej szafki i otworzyła górną szufladę. Po chwili wyciągnęła pudełko.

— Proszę.

Wzięłam je nieufnie i zamarłam zaskoczona, gdy po otwarciu znalazłam w nim plastikowy pierścionek, który Jack dał mi w liceum.

— Skąd go masz?

— Z domku, w którym mieszkałaś w kampusie. Po twoim wyjeździe, a przypominam, że odbył się bez słowa, pojechałyśmy tam z Lupe wszystko spakować. Znalazłam go na łańcuszku w twojej sypialni. — Podeszła i uklękła przede mną. — Kochałaś Jacka, odkąd skończyłaś trzynaście lat, Carlisle. I czy chcesz się do tego przyznać, czy nie, on nie tylko cię pociąga...

— Mamo...

— Wciąż go kochasz.

Spuściłam wzrok, gardło miałam idiotycznie ściśnięte.

— I dużo mi z tego przyszło.

— Z pewnością nie kiedy siedzisz na podłodze, grzebiąc w stuletnich śmieciach.

— Ale nie chciałaś, żebym z nim była.

— Nie chciałam, nie wtedy. Ale sytuacja się zmieniła. I okazuje się, że Jack nie jest dokładnie taki jak twój ojciec.

— To znaczy?

— Pozwolił ci odejść. — Dotknęła mojego podbródka i uniosła mi głowę. — To właśnie należało zrobić i on tak postąpił. Takemu mężczyźnie warto poświęcić życie. Może nie byłam dla ciebie zbyt dobrą matką, ale starałam się, jak mogłam. A teraz najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić, to powiedzieć ci, żebyś ruszyła za swoim mężczyzną.

Tylko moja matka tak mogła to ująć.

Pomyślałam o Janice i Morgan, Merrily i Betty, także o mnie i mojej matce. Kiedy siedziałam na podłodze otoczona pozostałościami stu lat rodzinnej historii, uświadomiłam sobie, że mama miała rację i jeśli nie popełnimy błędu, to matki znajdą dość siły, żeby pozwolić córkom poszukiwać tożsamości na własną rękę. A córki zrozumieją, że mniejsza o błędy i że

każda matka stara się najbardziej, jak umie... Przy odrobinie szczęścia ich własne córki pewnego dnia obdarzą je tym samym zrozumieniem.

To właśnie zrobiła moja matka. Narzekałam na nią i jej dramaty, a jednak dopilnowała, żebym została tym, kim chciałam być. Nie zmusiła mnie do noszenia sukienek z falbankami, choć wiedziałam, że tego chciała. Nie zmusiła mnie do chodzenia na lekcje tańca, na których tak świetnie radziła sobie Savannah. A kiedy uciekłam do Bostonu, nie zmusiła mnie do powrotu. Pozwoliła mi znaleźć własną drogę. Ofiarowała mi to, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Zapominasz o jednym, Jack nie pozostawił mi wątpliwości, że mnie nie kocha. — Być może pożądał mnie seksualnie, a może nawet nie i chodziło po prostu o klimat męskiej toalety, jak przewidziała Janice.

Mama wzruszyła delikatnymi ramionami.

— Cóż, to możliwe. Auć.

— Tylko nie będziesz tego wiedzieć, jeśli tam nie pójdziesz i się nie dowiesz. Nie wolałabys raczej wiedzieć, w tę czy w tę?

Niekoniecznie, przynajmniej nie wtedy, gdy podejrzewałam, że prawda może okazać się dla mnie niemiła.

Spojrzała na mnie surowo.

— Carlisle.

— Masz rację. Masz rację. Lepiej wiedzieć. Wstałam i ruszyłam ku schodom, jakbym szła na ścieżce.

— Dobry Boże, Carlisle, gdzie twoja czerwona peleryna? Zmusiło mnie to do śmiechu, pączek podniecenia przepychał się obok lęku przed odrzuceniem.

— Powiedz, skąd wiedziałas, że to pierścionek od Jacka? Uśmiechnęła się kpiąco i popędziła mnie ruchem ręki.

— Ile razy mam wszystkim powtarzać, że wiem o każdym drobiazgu, który ma miejsce pod moim dachem?

Wtedy zupełnie jak India zawróciłam, ucisnęłam matkę, a potem popędziłam na dół i wskoczyłam do volvo. Przemknęłam przez miasto i podjechałam pod dom Jacka z mocno bijącym sercem. Kiedy otworzył drzwi i na mnie spojrzał, zaschło mi w ustach. Gdy zobaczyłam, ile już spakował, poczułam się, jakbym miała w ustach trociny.

Oparł się o framugę.

— Hej.

Tak po prostu.

— Hej.

Możecie sobie wyobrazić, co czułam, widząc go w tych pięćsetjedynkach i T-shircie na tyle ciasnym, żebym zaczęła marzyć o jego szerokich ramionach. Wcale mi to nie pomogło wymyślić, co dalej.

— Wyjazdy są przereklamowane — zaryzykowałam. — Wiem, co mówię. Chociaż potrafię też docenić urok nowego miejsca. Innego miasta, gdzie nie jesteś dziewczynką Wainwrightów, która walnęła nosem w podłogę... Ani dzieciakiem Blairów, który musiał iść śladem starszego brata.

Nadal nic.

— Chociaż z drugiej strony, jak tu porzucić homara i gril lowanie na drewnie mesquite? I co z otwartym niebem i wścibskimi sąsiadami? W nowym mieście tego nie znajdziesz.

Próbowałam go rozbawić, ale niewiele mi z tego przyszło. Nabrałam powietrza i rzuciłam się na głęboką wodę. Stłumiłam lęk przed tym, by kogoś pokochać, wiedziałam, co muszę zrobić, bez względu na konsekwencje.

— Byłabym strasznie nieszczęśliwa, gdybyś wyjechał. Nie odpowiedział od razu, nadal mi się przyglądał.

— Dlaczego? — zapytał w końcu.

Ani śladu uśmiechu, sama powaga, która zdradzała to, co kryło się głęboko pod powierzchnią.

— Pamiętasz? — zapytałam i wyciągnęłam plastikowy pierścionek.

Nie miał pojęcia.

— To z liceum, kiedy przyniosłeś jajo z automatu z gumą do żucia, żeby mi podziękować za podanie odpowiedzi na pewne pytanie — podpowiedziałam.

Iskra w tych ciemnych oczach.

— Zachowałaś go?

— Miałam go przez lata, potem znalazła go moja mama i zachowała dla mnie.

Odwrócił wzrok.

— Co to znaczy?

Tym razem to ja się krzywo uśmiechnęłam.

— To znaczy, że kocham cię, odkąd przysiadłeś się do mnie na matematyce u pana Hawkinsa i po piętnastu latach już czas wszystko sobie wyjaśnić.

Zabrzmiało jak w melodramacie, ale tak to wyglądało. Kto wie, czy mama miała rację co do tego, co wydarzyłoby się między nami, gdybym została? Kto wie, co by się stało, gdybym inaczej postąpiła? Nie o to chodziło.

Wzruszyłam ramionami, ponownie czując się jak trzynastolatka. Może wcale nie było to takie złe.

— Kocham cię, Jack, i myślałam, że moglibyśmy zapomnieć o przeszłości i zacząć od nowa. Nadal stał nieruchomo.

— Chcesz to zrobić? Przygryzłam usta.

— Chciałabym spróbować. Zawahał się przez chwilę.

— Moglibyśmy—powiedział, ale bez przekonania. — Albo moglibyśmy zostawić wszystko, jak jest — dodał. Ale potem wziął mnie za rękę. Na jego twarzy pojawił się ten słodki uśmiech. — Nie jestem pewien, czy chcę wymazać z pamięci ciebie w sądzie, w męskiej toalecie.

No dobrze, Janice naprawdę miała rację co do facetów i ich upodobania do seksu w dziwnych miejscach.

Krew napłynęła mi do twarzy i wybuchnęłam śmiechem. Patrząc na niego, doświadczałam wszystkich tych absurdalnych uczuć z przeszłości i ogromnej, wszechogarniającej miłości. Czulałam coś takiego tylko przy nim i dlatego tak bardzo starałam się go unikać.

Potem jednak sytuacja się zmieniła. Okoliczności, na które nie miałam wpływu, przywiodły mnie tutaj. Wróciłam do Teksasu i uratowałam filharmonię przed bankructwem. Podtrzymałam związek rodziny z balemb debutantek i ocaliłam majątek matki. Stojąc tam, zdałam sobie sprawę, że być może ocaliłam również siebie. Nie chodziło o Boston ani o Philipa. Wreszcie przestałam się wypierać, że przez całe życie tylko uciekałam.

Nadal nie wiedziałam, co przyniesie przyszłość. Nie miałam mapy ani nawet planu. Nauczyłam się jednak, że takie właśnie jest życie — ryzykowne, pełne nieładu, w żaden sposób nie da się go popakować w schludne paczuszki, mimo że bardzo bym tego chciała. Więc kiedy wciągnął mnie do domu, nie opierałam się. Kiedy wziął mnie na ręce i zaniósł do sypialni, trzymałam go mocno. Wiedziałam, że należę do tych, którym się poszczęściło. Przestałam zaprzeczać prawdzie i na styku marzenia o tym, jakie powinno być życie z tym, jakie faktycznie jest, natrafiłam na rzadko spotykany okrucz łaski i w ten sposób znalazłam drogę powrotną do moich korzeni. Do rodziny. Znalazłam drogę do domu.